

FABRYCZNAZONA.PL

OŁOWIANY \$WIT



STALKA



MICHAŁ GOŁKOWSKI

Michał Gołkowski

Ołowiany Świt

Ilustracje Szymon Radomski

Kogóż to z nas tonący nie wiozł wrak?
Któż z nas zaprzeczyć może – że ułomny?
Kogóż nie łudził oślepiiony ptak?
Kogóż w bezludzie nie wiodł pies bezdomny?

A przecież wciąż przyciąga strefa ogrodzona
I ogrodzona – nie bez celu – chcemy wierzyć;
To nie my w Zonie – to nam odebrana Zona,
Nam ją niepewnym, ale własnym krokiem mierzyć,
Póki nadziei gorycz wreszcie nie pokona.

Dlatego mimo druty, wieże i strażnice
Tam chcemy dotrzeć, gdzie nam dotrzeć zabroniono;
Bezużyteczne śmieszne posiąść tajemnice,
Byleby jeszcze raz gorączką tęsknot płonąć,
Nim podmuch jakiś strzepnie chwiejne potylice.

Droga okrężna może być – i oszukańcza,
Może nas wiedzie szalbierz chciwy paru groszy,
Lecz lepsze to niż śmierć na wapniejących szańcach
U progu granic niewidzialnych i aproszy,
Gdzie ziewa żołnierz – tak podobny do skazańca.

Po zatopionych dawno droga to dolinach;
Pod płytką wodą – nieczytelne czasu grypsy:
Szlak po ikonach, rękopisach, karabinach,
Nad którym wiosło kreśli plusk Apokalipsy;
Nie po nas płacz, i nie po przodkach – płacz po synach.

Więc prawda, którą znaleźć mam – to pusty pokój,
Gdzie nagle dzwonią wyłączone telefony?

Serdeczna krew snująca w martwym się potoku,
Bezsilny gniew na obojętność Nieboskłonu,
I magia słów, co chronić ma od złych uroków?

Więc prawda, którą znaleźć mam – to stół z kamienia,
Z którego przedmiot modłów spadł – nietknięty dłonią?
W stukocie kół transportu – Aria Beethovena?
Bezdenna toń – a nad bezdenną tonią
Twarz własna – co przegląda się w przestrzeniach?

Z tonących – komu los nie zesłał tratw?
Z ułomnych – zdrowia nie przywrócił – komu?
Gdy oślepiiony ptak odnalazł ślad
I pies bezdomny siadł – na progu domu...

Jacek Kaczmarski – „Stalker”

**Dla mojej pięknej Muzy,
bez której nie byłoby S.T.A.L.K.E.R.a po polsku**

Mleczarnia

Naciskam włącznik latarki – żarnik LED zalewa stusiedemdziesięciolumenowym snopem trupio sinego światła fasadę budynku. Przez chwilę spoglądam w oczodoły okien, lustrując wnętrze w poszukiwaniu ruchu. Nic. Puszczam przycisk, ciemność znowu opada granatowoszarą zasłoną, a ja zamykam oczy, bo przez kilka minut i tak będę ślepy; zamiast tego koncentruję się na doznaniach słuchowych – wolałbym, żeby ta nagła iluminacja w środku nocy nie przyciągnęła uwagi nikogo, kto mógłby być w pobliżu. Nikogo albo niczego.

Noc w Zonie jest zupełnie inna niż na Dużej Ziemi. Tutaj nie ma żab ani komarów, nie ma puszczyków i świerszczy – tylko cisza dzwoni w uszach, cisza świata, który zdążył za ludzkiej pamięci umrzeć już dwa razy, w osiemdziesiątym szóstym i dwadzieścia lat później, już w nowym millennium. Tutaj tylko wiatr bezustannie szeleści żółknącymi liśćmi i skrzypi zawiasami niedomkniętych na wieczność okien, świszczcze w pustych, zimnych izbach zawilgoconych chat i pokrytych odłóżką farbą klatkach schodowych opuszczonych blokowisk. Tutaj nie czekają psy i nie marczą się koty, a każdy dźwięk może oznaczać niebezpieczeństwo. Ale teraz wokół mnie jest tylko i wyłącznie martwa cisza.

Otwieram oczy, rozglądam się. Dobrze. Rozróżniam kontury potrzaskanych stolików i rozbebeszonych szafek na archiwa, z których białą kaskadą wysypały się kiedyś karty produkcji. W myślach raz jeszcze sprawdzam, czy mam wszystko, co może przydać mi się w środku. Tak. Powstrzymuję się siłą woli, żeby nie przeładować jeszcze raz mojej wiernej strzelby – to zupełnie jak z biegiem w samochodzie, na

światłach: niby człowiek wie, że ma wrzuconą jedynekę, ale dla pewności chce nacisnąć sprzęgło i raz jeszcze sprawdzić... Durny odruch. Przez mniej istotne nawyki niejeden w Zonie kości złożył, i niejeden złoży jeszcze – *Zbawiciela* repetowałem po ostatnim strzale do psów, tyle jeszcze pamiętam. Próbuję kciukiem bezpiecznik. Odbezpieczony. Mimo wszystko warto sprawdzić. Rozglądam się ponownie po ciemnym podwórku. Wsłuchuję w noc – cicho, spokojnie jest. Pora ruszać.

Wyślizguję się przez otwór po wyrwanym razem z futryną oknie, ostrożnie brnę przez wysoką po pas suchą trawę. Niby dobra taka trawa, bo anomalie widać z daleka – ot, chociażby tam, po lewej wypalony na metr w głąb gruntu krąg „żarnika”, kołyszącego się teraz falującym słupem powietrza – ale z drugiej strony może skrywać się w niej cokolwiek. Na przykład zarośnięty czarnobyłskim powojem obluzowany luk do studzienki kanalizacyjnej. Jeden nieopatrzny krok i lecisz cztery metry w dół, a uwierzcie mi – lepiej sobie po drodze kark skrócić, niż ocknąć się na dnie takiej studzienki z połamanymi nogami. Dokładnie tak zginął Lewy – szedł sobie i myślał o pierdołach, a w następnej sekundzie już leżał na dole i wrzeszczał z bólu. Żeby chociaż cicho był, to może byśmy zdążyli jakoś mu pomóc... a ten darł się, jakby mu za to płacili. Musiało boleć jak cholera, w to nie wątpię. Ale bardziej chyba bolało, jak dorwało go to coś, które na te krzyki wylazło z kanałów. Jaszczur opowiadał później przy wódce, że już prawie trzymał Lewego za rękę, patrzył mu w oczy... Ja z Łysym trzymaliśmy wtedy Jaszczura za nogi, on zwieszony w otchłani studzienki, nic nie widać, co robi ani co się dzieje... A Lewy krzyczy tylko, żeby go zabrać, i krzyczy, a potem nagle przestaje – i Jaszczur mówi takim matowym głosem: „Wyciągnijcie mnie, chłopaki” – no to ciągniemy, ale coś lekko idzie, patrzymy, a on

sam. Zaglądamy do studzienki, a tam Lewego nie ma. Ot, był człowiek – nie ma człowieka. *Pomjaniem usopszych, rebjata.*

Tfu! Potrząsam głową, przykucam na chwilę wśród traw. Nie mam o czym myśleć podczas *chodki w Zonu*, tylko o trupach? Wsłuchuję się w noc, ale nadal tylko dzwoniąca cisza. Zastanawiam się chwilę nad rodzajem dzwonięcia... Nie, wszystko w porządku, to nie kontroler sączący mi swoje myśli do głowy. Wiem, bo raz takiego spotkałem. Rozglądam się, ruszam dalej, ku kompleksowi Mleczarni.

Nie mam pojęcia, kto wpadł na pomysł zbudowania czegoś tak wielkiego na takim odludziu. Na starej mapie widać, że była tu kiedyś w pobliżu jakaś wieś, z której teraz zostało tylko kilka przegniłych zrębów chałup i murowany zewłok niegdysiejszego punktu skupu, pełniącego też rolę lokalnego sklepiku i szynku – ot, typowe sowieckie planowanie. Ale ta Mleczarnia... Na razie szedłem przez dwie ogromne blaszane hale, z których każda mogłaby spokojnie pomieścić nieduży samolot pasażerski, i to zarówno w poziomie, jak i w pionie, bo do obrośniętego „rdzawym włosiem” dachu musiało być z dziesięć metrów; obok nich długi rząd komórkomagazynów z podjazdem i rampą, wypełnionych zwojami folii aluminiowej, workami korków i skrzynkami pustych butelek; ale nawet z mojego poprzedniego punktu obserwacyjnego widziałem jeszcze schowany w krzakach po prawej parterowy budynek, przysadzistą stołówkę po drugiej stronie potrzaskanej asfaltowej drogi, okna piętrowego biurowca i główną halę produkcyjną. Gdzieś z tyłu musi jeszcze być kotłownia, której przekrzywiony, ceglany komin służył mi za punkt orientacyjny podczas wieczornego marszu w tę stronę. Kawał fabryki, jak na wiejską mleczarnię w środku niczego – szczególnie że na mapach z osiemdziesiątego szóstego zaznaczony był tylko jeden główny budynek. No cóż,

pażywiom, uwidzim, jak to mawiają Ruskie.

Przyczajam się za kawałkiem ogrodzenia z betonowych prefabrykatów, po raz kolejny lustrując spowitą ciemnością halę. Pusto... zbyt pusto trochę. Nie to, żebym narzekał, ale taki bezruch jest najbardziej denerwujący. Już stąd widzę rój drobnych gwiazdeczek przy bliższych schodkach, prowadzących na rampę przy wejściu – „treser” kręci się spokojnie, czekając, aż cokolwiek zbliży się na tyle, żeby mógł smagnąć na odlew ektoplazmatycznym biczem i przeciąć ofiarę na pół. No, z tą ektoplazmą to teoria taka tylko, nikt nie wie, czym dokładnie „treser” ludzi zabija, ale komuś się to kiedyś skojarzyło z promieniami do łapania duchów z durnego filmu z lat osiemdziesiątych i tak już zostało. Fakt faktem, że z „żarnika” można się od biedy wygrzebać, „wiedźmi kisiel” tylko nogi upali, pod „ptasią karuzelą” można się złapać trawy i czasem przeleżeć, a „treser” od razu ubija na śmierć. Tędy się nie da, trzeba dookoła. Patrzę na otwartą, zapraszającą powierzchnię wyasfaltowanego placu, na której na zawsze spoczął wrak jakiejś przedpotopowej ciężarówki, i coś mi tu nie gra. Wszystko dookoła popękane i zmurszałe, a ta ciężarówka jak nowa – w wypucowanych szybach odbija się połówka księżycy, błyszczący plastik podszybia. Opony dawno już zmieniły się w strzępy, pogięte felgi wrosły w asfalt, a nadwozie jakby wczoraj zeszło z linii produkcyjnej pod Charkowem. Nie, nie pójdę ja przez ten plac za żadne skarby. Nie pójdę, i tyle.

Podbiegam truchtem do rogu budynku, wtulam się plecami w ścianę. Przynajmniej jedna strona bezpieczna – nie słyszałem, żeby budynki atakowały ludzi w Zonie, chociaż chodzą słuchy o jakichś drapieżnych grzybach, porastających cienką przezroczystą powłóczką ściany w głębokich podziemiach bliżej Sarkofagu. Ani ja blisko serca Zony, ani pod ziemią.

Przesuwając się wzdłuż muru, zaglądam za winkel. Czysto. Przesuwam się jeszcze kawałek dalej, aż do ziejącej w ścianie dziury i widocznych dalej schodów, wiodących gdzieś w dół, w podziemia Mleczarni. Nie wiem, co tam jest, nie chcę wiedzieć, na pewno nie mam zamiaru tam schodzić – najchętniej profilaktycznie posłałbym w otwór dwunastkę grubego śrutu i poprawił granatem, ale na to mnie nie stać. Zamiast tego w dwóch dużych susach przeskakuję obok jaskini, wciągam się na rękach na prowadzące donikąd podwyższenie ze schodkami i zamieram w bezruchu. Cisza. Skądś z daleka dobiega tylko ujadanie sfory ślepych psów – musiały chapnąć się z jakimś większym drapieżnikiem, może z prypec-kabanem. Walczę chwilę z myślami, potem przesuwam się kawałek po rampie i powoli podciągam na rękach, żeby zajrzeć przez okno do środka.

Nie widzę zbyt wiele. Nie tyle z racji skąpego oświetlenia, raczej dlatego, że nie bardzo jest na co patrzeć. Przedemną przeciwległa ściana niedługiego korytarza, po lewej znikającego w drzwiach obok rozbebeszonej skrzynki elektrycznej, po prawej otwierającego się na halę produkcyjną. Potężne kadzie na mleko na betonowych postumentach, plątanina pordzewiałych rur i kabli elektrycznych wiszących pod sufitem, odłamki szkła i tynku na podłodze. Pusto. Jeśli wierzyć Łysemu, to gdzieś tutaj, uciekając przed żywym trupem, zrzucił plecak z wyposażeniem i towarem. Nie wiem, jak żywy trup może kogokolwiek ŚCIGAĆ – widziałem kilku tych nieszczęśników z wypalonymi mózгами, szwendających się bez sensu po Pograniczu i szczerze mówiąc, ciężko byłoby im wygrać bieg na setkę, bo nawet poruszanie się w tempie umiarkowanie ślimaczym sprawia im ogromne trudności, a na jakimkolwiek trudniejszym terenie – chociażby nierównym polu – są praktycznie unieruchomieni. Tak czy inaczej, Łysy gdzieś tutaj się schował, wystrzelał cały zapas

amunicji, a potem zrzucił sprzęt i po prostu ratował życie. Pożyjemy, zobaczymy. Mówił coś o jakimś podwyższeniu, więc trzeba będzie schodów albo drabin szukać, ale na razie to muszę do środka wejść.

Odsuwam się od okna, zostawiam w spokoju wspominki z kroniki towarzyskiej, idę dalej wzdłuż zewnętrznej ściany. Oho! – przede mną stalowe drzwi, a na podeście rozsypane wachlarzem łuski od AK. Jakiś czas tu leżą, bo lekko zaciągnęły się rdzą, ale ewidentnie ktoś się tu ostrzeliwał. Pociągam za rączkę – drzwi uchylają się z oporem. Otwieram je najpierw na całą szerokość, gotów rozwalić na strzępy cokolwiek, co może przez nie wybiec, wyskoczyć albo chociażby wystawić łeb, ale jest tak samo cicho i pusto, jak było. Zaglądam ostrożnie do środka... nic. Werandopodobne pomieszczenie zasłane resztkami jakiegoś chłamu, ściana po lewej i na wprost ślepa, po prawej dwa ogromne okna i zamknięte na głucho podwójne stalowe wrota załadunkowe. Hm, myślałem, że to wejście będzie, a to tylko przybudówka jakaś. Ciemnowo tutaj, ale we wpadającym przez szybki światło księżyca widzę zalegające na podłodze łuski. Będzie tego towaru z pięćdziesiąt sztuk... Strzelano najpewniej przez okna, tutaj pod kątem, a tu pewnie na wprost. Tyle amunicji wywalić – musiały mu nerwy ostro puścić, bo z kalibru siedem sześćdziesiąt dwa przecież *jeder sztos – ajn francos*, jak to mawiają Białorusini. Część kul poszła w ścianę budynku biurowego, część zrykoszetowała od przybudówek wokół komina. Ciekawe, co też...

Rzucam się na ziemię, przekręcam na plecy i wyciągam przed siebie żarłoczną gardziel lufy *Zbawiciela* – palec drga na spuście, ale nerwy jeszcze trzymają, więc bezsensowny strzał nie pada. Nic. Leżę tak dłuższą chwilę na bezdechu, celując w drzwi, potem wypuszczam obłoczek pary. Uff... Czuję, jak od

adrenaliny trzęsą mi się kolana – dałbym sobie głowę uciąć, że czuję czyjś wzrok na plecach. Gdy podnoszę się powoli, widzę pomiędzy krzakami wybite okno budynku schowanego w chaszczach. Kiedyś prowadziła do niego niewielka ścieżynka, ale teraz ledwo ją widać spod gałęzi zdziczałych, zmutowanych krzaków głogu. *Czort pabieri...* Nie podoba mi się ten budynek i ta weranda. Wyślizguję się na zewnątrz, zamykam za sobą drzwi i ruszam dalej wzdłuż hali produkcyjnej.

W rogu pomiędzy niby-werandą a halą leży góra jakiegoś śmiecia – widzę kilka starych materaców, na pół rozwalone plastikowe beczki, jakieś worki... Teoretycznie to najkrótsza droga, można by tędy przeleźć, ale licha wie, co może być pod spodem, może cały ten śmieć ściągnął tu jakiś słaby „grawikoncentrat”. Na tyle słaby, że nie zabije, ale dość mocny, żeby trzymać mnie tu jeszcze długo po tym, jak gawrony wydziobią mi oczy. Trzeba pójść inną trasą... Po lewej mam wysokie okna Mleczarni, po prawej ślepy parter i poprzebijane oknami piętro budynku biurowego – w drugim od lewej oknie przelewa się i słabo błyszczy jakaś poświata, pewnie kałuża „wiedźmiego kisielu” złapała jakiś zbłąkany promień księżyca. Nie lubię tak między budynkami chodzić, oj, nie lubię... Po prawej mijam niskie, ciemne przybudówki kotłowni i pękaty, ceglany komin z żelazną drabinką. Nie potrafię powiedzieć czemu, ale przechodzę na drugą stronę asfaltowej dróżki, mimo że zieje tam ciemnością i zapachem zleżalego żużlu otwór wejścia, przez który widzę potężne piece. Po prostu przechodzę, i tyle – w Zonie kierujesz się albo intuicją, albo rozsądkiem, nie da się ich połączyć. To akurat była intuicja. Dosłownie siedem–osiem kroków i znowu wracam pod ścianę Mleczarni, zawijam lufą *Zbawiciela* za kolejny róg, wchodzę po schodkach na kolejną rampę... Co oni z tymi rampami? Tutaj okna są niżej,

więc przeczołguję się pod nimi aż do drewnianych drzwi, podnoszę się, biorę za klamkę... Nożeż ty, też zamknięte! Hm, czyli głównym wejściem trzeba będzie. Ale nie ma tego złego – zaglądam ukradkiem przez okna do środka, widzę te same kadzie na mleko, tyle że z drugiej strony. Wyłożone białymi kafelkami ściany, przeszklenie zaczynające się półtora metra nad podłogą i ciągnące się do wysokości sześciu metrów, aż do sufitu – księżyc świeci, przynajmniej jest jasno, dobre i to. Wsłuchuję się w noc. Nic. Coraz mniej mi się to podoba. Schodzę schodkami na drugim końcu rampy, wyglądam zza rogu – ten sam placyk, ta sama prehistoryczna ciężarówka, tylko ja z drugiej strony fasady i bliżej wejścia. Trzy schodki, barierka, przycupuję w rogu przy czymś, co kojarzy mi się tylko ze strażniczą wieżyczką flankującą. Druga taka strzelnica patrzy na mnie z przeciwległego końca rampy – gdyby ktoś tam stał teraz z kałaszem...

Aż spinam się cały, podrywam broń do oka, gdy wydaje mi się, że widzę zarys twarzy w wąskim okienku. Serce wali jak młotem, ale biorę kilka głębokich wdechów, wyrównuję rytm – był czy nie był? Był... Wyraźnie widziałem głowę w hełmie i pociągłą twarz, zarysowaną głębokimi cieniami. Czyli jednak coś się tu kręci... Dzięki niech będą Czarnemu Stalkerowi, już zaczynałem się bać, że to początki omamów. Ujmuję pewniej chwyt śrutówki i wkraczam przez otwarte na oścież drzwi do głównej hali.

Od razu omiatam spojrzeniem wszystko w zasięgu wzroku, skręcam w lewo, trzymając się blisko ściany, nieco zbyt szybko wchodzę przez przejście w ścianie działowej, popycham barkiem drzwi do strzelnicy, pod którą się czailem, wchodzę do środka, zamykam za sobą na zamek. Oddycham z ulgą. Stara kanciapa ciecica, okno na zewnątrz, drugie mniejsze na

podobieństwo otworu strzelniczego wychodzi na rampę wejściową, przeszklona ściana do obserwowania wnętrza hali, jest tu nawet rozwalająca się kanapa i mały telewizorek ze śmieszną podwójną antenką. Na ścianie kalendarz z gołą babką i logo jakiejś nieistniejącej już białoruskiej firmy. Wyglądam przez szybkę na główną halę – pusto, ale coś słychać, jakby szuranie i niewyraźne mamrotanie pod nosem. Coraz głośniej i wyraźniej...

– Aaaalkeee, yyhiiii... – Zombi wyłania się spomiędzy kadzi. Za życia chyba żołnierz, może *desantnik* albo *morpiech*, bo wiszą na nim jeszcze resztki niegdyś porządnego uzbrojenia, teraz wygląda bardziej jak zaszuszonego stracha na wróble ubranego w za duże ciuchy. Same dziury i łachmany, kamizelka w nierozróżnialnym spod warstwy brudu i zakrzepłej krwi kamuflażu trzyma się na jednym tylko ramieniu, ale w suchych dłoniach nadal wierny AK-104 – ot, co znaczy sprzęt, służący właścicielowi nawet w życiu pozagrobowym. Nie wiem, czy truposz mnie widzi – to chyba niewłaściwe określenie, bo jak martwy miałby WIDZIEĆ? Na pewno czuje, bo idzie w tę stronę, starając się skierować ku mnie lufę pordzewiałego karabinu. Odruchowo przypadam do ziemi, gdy umarłak podrzuca do góry automat, przepisowo opiera kolbę o biodro i repetuje broń...

Suchy szczęk uderzającej w pustkę iglicy. No tak, w sumie czego się tu spodziewać... Wychylam się zza parapetu i obserwuję, jak zombi nieporadnymi, sztywnymi ruchami wypina pusty magazynek, jakimś cudem chowa go do kieszeni kamizelki i wyciąga nowy, oczywiście też pusty. Po kilku próbach trafia w gniazdo zatraskiem, magazynek zaskakuje, truposz repetuje broń, celuje z biodra i po raz kolejny spuszcza iglicę na pusto. Kilka razy jeszcze naciska na spust, niezdarnie przykuca, udając

manewry chowania się za przeszkodą, i wstaje, repetuje broń i znowu strzela bez naboju, podnosi broń i zaczyna zmieniać magazynek... *I śmieszno, i straszno*, jak to napisał pewien Rusek.

No dobra, ja tu się bawię w cyrk zombi, a ten coraz bliżej. Zrobić mi tu nic nie zrobi, bo drzwi solidne i na zamek, przez okno nie wlezie, bo szybki w mocnej, kratowej framudze mają po trzydzieści centymetrów na szerszej krawędzi, ale i ja stąd nie wyjdę – jak truposz uprze się stanąć pod drzwiami, to będę uwięziony. Ech, takie skutki włożenia do zamkniętych pomieszczeń. Rzucam okiem na spowitą mrokiem halę, starając się znaleźć najlepszą drogę, która ominęłaby chodzącego trupa, odryglowuję i otwieram drzwi, wyskakuję na zewnątrz.

– Aaaalkieeee, uuhaaahyyyy... – jęczy zombak, próbując sięgnąć mnie ręką, ale ja jestem już kawałek dalej, klucząc między kadziami i próbując nie potknąć się o nic w ciemnościach. Dobiegam za róg, staję, rozglądam się – czysto. Słyszę tylko bicie własnego serca i szuranie nóg zombi, próbującego pewnie zorientować się, gdzie też zniknąłem. No, mam chwilę fory, ale nie można...

– Aaaalii eehoooo... – rozlega się gdzieś zza mnie. Tutaj już refleksy biorą górę – obrót na pięcie, przypadnięcie na kolano, ręce same podrywają się do góry, palec ciśnie na spust. *Zbawiciel* rzyga ogniem, dwanaście ośmiomilimetrowych wolframowych śrucin dosłownie podrywa zombaka w powietrze, roznosząc przy okazji na strzępy głowę w potrzaskanym hełmie i praktycznie odrywając lewe ramię od tułowia, pusta gilza odbija się od ściany, gdy mechanizm powrotny sam wybiera i dosyła kolejny nabój do komory. Cholera! Błysk i huk wystrzału praktycznie ogłuszają mnie na chwilę, ściany jeszcze rezonują echem. No, to teraz każdy w promieniu kilometra wie, że tu jestem... Skąd on się tu wziął, do czorta?

Musiał stać tam, za skrzynką z bezpiecznikami w przejściu... Zombi najczęściej stoją zupełnie nieruchomo, jeśli nic się wokół nich nie dzieje, a ten musiał mnie zauważyć i się „włączyć”. Teraz już nie ma co się kryć, zapalam latarkę i omiatam snopem światła pomieszczenie. Jestem chyba na dojeździe do drugiej niby-wieżyczki, w której widziałem moją najnowszą ofiarę. Kilka szybkich kroków, zwrot w lewo, w prawo – tu czysto, tylko ten jeden tu był. Wyglądam przez okienko, dające przez jakieś minilaboratorium widok na korytarz hali – zdaje się, że widzę ruch za uchylonymi drzwiami, ale nie jestem pewien. Chwilę walczę z pokusą strzału na ślepo, ale szkoda amunicji – jeżeli są tu zombi, to ich na czysto trzeba, na pewniaka. Od ran postrzałowych się nie wykrwawia.

– Aaaaalkee, yyy hheeeee... – słyszę pierwszego zombasa gdzieś ze strony, z której tu przyszedłem. Czyli jest jeszcze jeden. Przyklejam się plecami do ściany, wyłuskuję z pasa nabój, odcinam komorę naboju, przełączam na ręczne przeładowanie, dopełniam magazynek. Trochę z tym roboty, mogli jednak się konstruktorzy bardziej postarać – dźwigienki, przełączniki, tu się przesuwają, tutaj wciska, eh... zachodu z tym sporo, ale opcja doładowań na bieżąco nieraz już się przydała. Zostanę na ręcznym, nie ma bata.

– Aaaaalke, uuut tyyy... – Zombak wyłania się zza rogu, podnosi broń i spuszcza iglicę na pusto. Ruszam prosto na niego, żeby mi nie skręcił przypadkiem, trzymając go na muszce, obchodzę szerokim łukiem i chowam się pomiędzy zbiorniki.

– Staaaalkeeeee, uuuhaaayyyy... – rozlega się jego kolejny jęk. Wygadany, jak na trupa. Odwracam się plecami do okien, wychodzę na otwartą przestrzeń, rozglądam po hali – już wcześniej zauważyłem rodzaj półpięterka na środku, ale na razie nie wiem, jak się tam dostać. Został tylko jeden korytarzyk, w

który nie wchodziłem – taki mały, ciemny, wąski korytarzyk z drzwiami po obydwu stronach, a ja takich wąskich korytarzyków nie lubię, oj, jak nie lubię... Ale jeśli mam się dostać na górę, to chyba właśnie tamtędy. Ale na pewno nie najkrótszą drogą, nie najkrótszą, bo na skróty to do grobu tylko. Obiegam dookoła halę, słysząc gdzieś za sobą szuranie butów martwego specnazowca.

– Aaaaheeee, aaahiiyy auuuhaaaa... – jęczy zombak, ale mnie w tej chwili uderza zupełnie co innego. Przebiegając koło drzwi wejściowych, zauważam okolone barierką schodki wiodące gdzieś w podziemia Mleczarni i kątem oka rejestruję ruch... Nie zatrzymując się nawet, naciskam spust, repetuję, posyłam drugą wiązkę grubego śrutu w dół zejścia, gdzie kłębią się jakieś niewyraźne kształty; łuski jeszcze toczą się po podłodze, gdy ja dopadam do rogu korytarzyka, rzucam okiem za siebie; w chmurze prochowego dymu z piwnicy zaczyna wyłaniać się trup z odstrzeloną połową głowy, w biegu walę w ciemne pomieszczenie po lewej, widzę w błysku płomienia twarz pokrytą plamami rozkładu, długim skokiem dopadam schodów, potykam się o coś miękkiego, ale w trzech susach wlatuję na górę, omiatam wzrokiem podest, przypadam na kolanie z dymiącą lufą *Zbawiciela* patrzącą od góry na kręcone schodki. Szit!

Cała Mleczarnia zaczyna ożywać jękami i szuraniem, niewyraźnym bormotaniem i odgłosami kroków. Niemalże mogę wyobrazić sobie chodzące trupy powoli wypełzające z podpiwniczenia, słyszę, jak bez sensu kręcą się w kółko i próbują wygniłymi oczami wypatrzyć, gdzie też mógł schować się ten żywy? Co najmniej dwóch przechodzi korytarzykiem na dole, ale żaden nie próbuje wchodzić po schodach. Ha, tutaj mogę im się odstrzeliwać do usranej śmierci... Tfu! Co za durne

myśli mnie dziś nachodzą! Już raz dziś pozwoliłem zamknąć się w pomieszczeniu bez wyjścia, wystarczy. Nie zmieniając położenia lufy, oglądam się przez ramię, próbując ocenić sytuację – i widzę plecak. Tak jak Łysy mówił, wisi sobie na uchwycie pod rurą, dokładnie pod tym oknem, przez które jego właściciel uciekł z budynku na dach – a ja myślałem, że stary pijus zmyślał o tej eskapadzie! Nie pozwalam jednak, żeby euforia zmąciła mi rozsądek, bo w takiej chwili najłatwiej o głupi błąd. Swoją drogą, każdy błąd jest głupi, mądrych nie ma... Sięgam do ładownicy na boku, wyciągam trzy naboje typu Breneka – tu nie ma co śrutu marnować, trzeba walić tak, żeby łby urywało, a grzybkujący ołowiany walec kalibru dwanaście idealnie się do tego nadaje. Doładowuję magazynek, licząc w myślach: cztery, pięć, sześć... Komplet. Tylko pamiętać, że pierwszy załadowany jeszcze śrut. Podnoszę się powoli, ale gdy widzę czubki głów zombi na hali poniżej, jednak przypadam do ziemi – lepiej, żeby mnie nie widzieli. Łażą w tę i we w tę po całym budynku, jęczą i beczą coś po swojemu, ale na razie chyba nie wiedzą, gdzie jestem, i tego się trzymajmy. Zauważam coś jeszcze – bezkształtny, wyciągnięty tłumok pod ścianą. Kieruję na niego snop światła z latarki i moim oczom ukazuje się nikt inny, jak sam Wańka. Wańka zwany Wstańką, słynny mordobijca i wielbiciel wielkokalibrowych rewolwerów, zaginiony bez wieści kilka tygodni temu. Ot, już wiadomo, gdzie głowę złożył. Podchodzę nieco bliżej – rozerwany kaptur, ciemnobury wykwit nad głową i rewolwer w martwej dłoni dość wymownie świadczą o tym, w jaki sposób Wańka zakończył żywot. Nieco dalej leży rzucony w kąt AK i puste magazynki... Rzeczywiście, cała podłoga zasłana jest wystrzelonymi łuskami, widać Wańka tutaj urządził sobie ostatni bastion. Wieczny odpoczynek...

Akurat ten moment wybiera Wańka, by rozkleić powieki i spojrzeć prosto na mnie martwymi oczami o konsystencji świętego jajka. Ze strachu zataczam się do tyłu, potykam o coś i opieram o ścianę, podnoszę drżącymi rękami strzelbę, ale Wańka jest szybszy – wkłada sobie w usta lufę rewolweru i pociąga za spust. Huk wystrzału i plaśnięcie galarety o kafelki nad nim zlewają się w jedno, głowa dwa razy martwego stalkera odskakuje do tyłu i zwiesza się na bok, dymiąc niczym zgaszona świeczka. Jednocześnie z dołu rozlega się przeciągły, nieartykułowany jęk z wielu nieumarłych gardeł naraz, gdy zombasy reagują na hałas i błysk. Szit! Szit! Szit... Fala trupiego smrodu pomieszanego z zapachem dymu prochowego dociera do mnie jak obuch siekiery, więc szybko naciągam na twarz filtr – niewiele to pomoże, ale zawsze coś. Słyszę poruszenie od strony schodów, podskakuję tam i roznoszę na strzępy czerep pierwszego zombi, który próbował wdrapać się po nich na górę. Sziiiiiiiit! Zrywam z kamizelki odłamkową „limonkę”, wyrywam zawleczkę, przechylam się przez barierkę i ciskam pomiędzy tłoczące się w dole głowy żywych trupów. Odskakuję do tyłu i przypadam do podłogi, stłumiony odgłos eksplozji i odłamki rykoszetujące po ścianach napędzają echem całą halę, gryzący w oczy dymek podnosi się z dołu... Kupiłem chwilę, ale tylko chwilę – jeżeli Wańka aż tutaj doszedł i został, to znaczy, że nie ma co się tu próbować bronić, trzeba uciekać. Chwytam plecak Łysego, ciężar aż zgina do ziemi – co on, kamieni tam nakładł? Nie czas teraz na remanent, wyciągam z kieszeni motek linki, zawiązuję wokół uchwytu plecaka, wspinam się na rury, żeby przerzucić przez okienko, kiedy huk strzału rozlega się zza mnie, a ja aż spadam ze strachu na ziemię, boleśnie uderzając się w kość ogonową. Wańka po raz kolejny spowity chmurą prochowego dymu, głowa odrzucona w jeszcze inną stronę –

trzecie samobójstwo pod rząd, a niech mnie... Ciekawe, ile mu zostało kul w bębenku? Nie czas teraz bawić się w zgadywanki – zombasy zaraz zaczną włączyć tu na górę, a ja w lesie... Najlepiej jak umiem celuję w łączenie framugi pomiędzy szybkami, naciskam spust – breneka roznosi w *driebieżgi* cały segment okna, dając dość miejsca, żebym mógł przecisnąć tamtędy i siebie, i plecak... Kolejna rundka do schodów, dwa strzały bez celowania, drugi i zarazem ostatni granat leci między chodzących umarłaków. W samą porę, bo kilka kul rykoszetuje od ścian niebezpiecznie blisko mojej głowy. O, bydlaki, amunicję jeszcze mają... Eksplozja targa powietrzem, rzucam się do okna, trzęsącymi rękami przekładam nylonową linkę przez rurę ciepłowniczą zaraz pod framugą, słyszę za sobą ruch – to Wańka po raz kolejny wkłada lufę do ust... Więcej tego nie wytrzymam! Gdy zamiast spodziewanego wystrzału słyszę tylko suchy szczęk kurka o wystrzelony już nabój, podchodzę do niegdysiejszego znajomego i z gorzkim grymasem przykładam mu dymiącą lufę do czoła. Wańka-Wstańka, ale już nie wstaniesz... Zombi spogląda na mnie niewidzącymi oczami i uśmiecha się gnijącymi wargami na chwilę przed tym, jak naciskam spust.

Podskakuję do okna, podciągam się na zaczepie rury, opieram nogi o hak do przewodów, wciskam się w najeżony szklanymi odłamkami otwór okienny – twarz owiewa mi świeży podmuch nocnego wiatru, przez krótką chwilę patrzę na pejzaż Zony nocą, rozjarzony nieziemskimi kolorami i błyskami anomalii. Odwracam się na brzuchu na śliskiej blasze dachu, wymacuję rękami linkę i zaczynam ciągnąć pieruńsko ciężki plecak do góry. Gdy wreszcie chwytam za klapę, rzucam okiem w dół na halę – jeden jedyny zombi nie polazł ze wszystkimi innymi na schody, stoi teraz sam, celując do mnie z pustego

kałacha i cisnąc bez sensu na spust.



– Uuuhhaahiii, staaaaaahheeee... – jęczy zombas. Wyciągam plecak na daszek, pociągam ku sobie strzelbę, składam się do strzału – krąg światła z latarki zalewa zombaka stojącego pośród kadzi, a ja, patrząc z góry, widzę, co NAPRAWDĘ skrywają. Przekręcam się w prawo, strzelam do trupa, który dał radę wdrapać się na górę po schodkach, wysuwam się na zewnątrz, przepełzam po pochyłym daszku dalej od okien, pod którymi zaraz zaroją się żywi-nieżywi. Ciągnąc za sobą plecak Łysego, przesuwam się ku werandowej przybudówce, zrzucam na jej dach najpierw swój cokolwiek ciężki łup, potem przepinam strzelbę na plecy i spuszczam się na dół na rękach, powtarzam procedurę jeszcze raz, z ciężkim stęknieniem ładuję na ramiona wojskową stelażówkę, repetuję *Zbawiciela* i szybkim krokiem ruszam w ciemności nocy, zostawiając za sobą halę pełną żywych trupów.

Gdy mijam opuszczoną stołówkę i wychodzę poza teren Mleczarni, to czuję tylko, jak przez pokryte suchymi liśćmi krzewy głogu obserwują mnie puste okna budynku schowanego w zaroślach.

* * *

Północno-wschodnia rubież Zony, trzy dni później

Stoję w deszczu nad niewielkim pagórkiem świeżo usypanej ziemi, zwieńczonym krzyżem z dwóch zespawanych drutów zbrojeniowych. Zamiast tabliczki – stara maska przeciwgazowa. Zamiast wieńca – dwie puste butelki po wódce nasadzone na poziome ramiona krzyża i tetetka przyspawana na jego szczycie. Wieczny odpoczynek, Łysy – niech ci Zona lekką będzie.

Łysy podobno skończył się tej samej nocy, gdy doszedłem do Mleczarni po jego porzucony plecak z towarem. Siedział do późna w świetlicy, zalał się w trupa, a za ostatnie pieniądze kupił trzy puszki konserw dla swojego owczarka – potem poszedł do siebie, nakarmił psa konserwami, wziął pistolet, zastrzelił psa i strzelił sobie w skroń. Chłopcy mówią, że można się było spodziewać, bo od dawna już tylko pił i nie ruszał się nawet na

łatwe zbiory, więc pieniądze musiały mu się skończyć. Ja mam na ten temat swoją opinię, ale to moja prywatna sprawa.

Łysego złamała ta Mleczarnia, w której porzucił plecak napchany po brzegi artefaktami – złamała go na tyle, że nie odważył się do niej wrócić. Powiedział o niej Wańce, Wańka tam poszedł i się zastrzelił. Powiedział mi, ja obiecałem mu, że wrócę z jego towarem, a on zastrzelił się tej samej nocy, gdy tam doszedłem.

Duża część artefaktów w jego pojemniku przereagowała i zlała się w przedziwny produkt uboczny transmutacji, tak zwany „brukowiec”, mlecznobiałą, perłową sferoidę o nieznanym właściwościach, nawet bez pola radiacyjnego. Wyciągam z kieszeni i kładę na mokrym grobie lekko opalizujący eksartefakt. Można za taki dostać nawet osiem tysięcy, ale wiem, że nikt go stąd nie weźmie. Naciągam na głowę kaptur, odwracam się plecami do mogiły – ruszam do siebie.

Odcyfrowanie zalanych wodą bazgrołów i dokumentów, które Łysy trzymał w tajemnej kieszonce plecaka, zajmie mi jakiś czas, ale tego mi akurat nie brak. Jest tam też kilka ciekawych zrzutów ekranu z jakiejś cyfrowej mapy – jeszcze nie zidentyfikowałem widocznych na nich obiektów, ale to też kwestia czasu, Mleczarnię poznałem na pierwszy rzut oka. Łysy był na tropie czegoś dużego, a Mleczarnia była tego częścią – aż nadto wyraźnie mówi o tym nie tyle to, co widziałem w kadziach, ile kalendarz na ścianie w cieciovce – kalendarz z dwa tysiące siódmego... Ten obiekt działał jeszcze rok po Drugiej Katastrofie, i to działał pod ochroną wojskowych, którzy chronią go do dziś, nawet po śmierci. A ten zombi – jestem więcej niż pewien, że w jego na pozór bezsensownych jękach słyszałem coś więcej. „*Staaalkiiiiieeer, uchaaaadziiiiinii...*”

„Staaaalkiiiiieeer, waaaliiiii atsiuuuudaaaaaa...” – „Stalker, uciekaj, wynoś się stąd...” Może to tylko moja wyobraźnia, a może nie. Tak czy inaczej, mam te dokumenty i mapy, i zamiar, by je sprawdzić.

Wiatr z południa przynosi daleki łopot śmigłowca i echo serii karabinowych.

Zona wzywa.

Szkoła

Tak ty *gawari* mnie, Dyry, *sztó* my tutaj *dziela*jem, a?

– Jak to, *sztó* *dziela*jem... – Twarz skryta pod maską przeciwgazową i goglami pokrytymi siatką maskującą obraca się do mnie. – Na bandytów będziemy zasadzać się, *wot* *sztó*.

Ożeż ty w mordę. No, to tego się nie spodziewałem.

– Dyry, ty powaga? – Pukam w ramię mojego towarzysza.
– Ty co, żarty takie ustroił?

– Nu, jakie tobie żarty, a, Miś? – Dr opuszcza lornetkę, gotów bym przysiąc, że słyszę nutki rozbawienia w głosie zniekształconym przez membranę maski. – Toż ty sam przecież słyszał, *sztó* na *bazie* *gawarili*. Tribik ledwo maruderom odbił się, jak *paszoł* na Stiepanow, a nam to po drodze przecież, więc i tak ja *padumał*, że oni się tu przystroją pewnie. Marudery tu zaraz przyleżą, sprzątniem ich na czysto, łupami się podzielim i pójdziem twoje sprawy załatwiać. Co, nie tak się dogadywali my?

– Nu, w sumie... – Wzruszam ramionami, gdy już udaje mi się przetrwać dłuższą wypowiedź w nadal obcym języku. – Dlaczego mnie nie mówił ty?

– A ty co, pytał? Ja w twoje sprawy nie leżę, ty też mi nic nie *gawarił*, a ja z tobą poszedł, nie? – Znowu przykładą wizjer do lornetki, kręci ostrością. – A ty sobie lepiej jakąś kryjówkę znajdź, skąd ci będzie wygodniej strzelać. Powinni stamtąd przyjść, ale kto ich tam *znajet*? – Pokazuje ręką szeroko pojęty kierunek.

Schodzę z dachu po wpuszczonych w ścianę klamrach, rozglądam się po podwórku opuszczonej wiejskiej szkoły. Bandyci – no świetnie... Nawet mi nie powiedział ilu.

Wiejska szkółka, praktycznie przyklejona do ściany solidnego lasu na pagórkach, zdaje się tak nierealna i pozornie spokojna, że aż można uwierzyć, że zaraz rozlegnie się dzwonek i z klas wybiegną dzieci. Sama szkoła to w zasadzie długi korytarz z doklejonymi trzema czy czterema salami lekcyjnymi, wejściem na przestrzał, szatnią i świetlicą, do niego doczepiona przybudówka gospodarcza, obok niego budynek kotłowni z potężnym kwadratowym kominem, podwórko zamknięte od strony lasu czymś, co wygląda jak budynek kolonijnokwaterunkowy – rząd mikromieszkanek z oddzielnymi wejściami od tyłu, właśnie na jego dachu siedzi Dr i wypatruje bandytów w lesie. W pewnym oddaleniu, pośród krzaków bzu, zewnętrzna toaleta i komórki. Wszystko parterowe, niskie i mocno zapuszczone – widać, że ostatnie lekcje odbyły się tu w kwietniu osiemdziesiątego szóstego, dachy już dawno osiadły i przepuściły wodę, tynk odchodzi pęcherzami od przemrożonych ścian, grzejniki i większe żelazne elementy rozszabrowano na złom jeszcze przed Drugą Katastrofą. Gdy wchodzę przez pomalowane na czerwono drzwi z małymi szybkami, ogarnia mnie przemożne poczucie nostalgicznego smutku – prosta, drewniana ławka pod ścianą, nad nią rząd żelaznych wieszaków przybitych do lakierowanej grubo deski, na jednym z nich wciąż wisi dziecięca kurteczka z wyliniałym futrzanym kołnierzem i czerwonymi wyłogami na rękawach. Widziałem już takie obrazki dziesiątki, setki razy, ale nadal chwyta mnie to wzruszeniem za gardło... W korytarzu ślady ogniska na podłodze i okopcony sufit, na podłodze poniewierają się puszki po konserwach i butelki po parszywej wódce – część całkiem świeżych, ciekawe, skąd Dr ma swoje informacje... Bandyci to zjawisko rzadkie, ale śmiertelnie niebezpieczne – część podaje się za zwykłych stalkerów, tylko czekając momentu, żeby

strzelić ci w potylicę i zabrać łupy. Prawda jest taka, że nie ma żadnego oficjalnego podziału na „stalkerów” i „bandytów” – teoretycznie każdy, kto do Zony wchodzi, jest tu tak samo nielegalnie. O ile jednak „my”, stalkerzy, ryzykujemy życiem, łażąc po anomaliach, o tyle „oni”, bandyci, szukają łatwego i szybkiego zarobku, rabując naszych wracających z wypraw. Prawda, były ostatnio rozmowy, że się niebezpiecznie zrobiło; jeżeli mamy tu prawdziwą bandę, to faktycznie trzeba jak najszybciej się jej pozbyć.

Rozglądam się po sieni, patrzę na dekoracje pierwszomajowe sprzed ćwierć wieku – mój Boże... Rysunki kredkami ołówkowymi z podpisami dzieci, z których część pewnie choruje dziś na zaawansowaną białaczkę albo wręcz dawno już nie żyje. „Mój tata na fabryce” – odcyfrowuję koślawe bukwy pod wypłowiałym rysunkiem. „Sława pracy Kostja Dawidowicz” – to z kolei podpis pod czymś, co musi z racji ilości czerwonego być pochodem pierwszomajowym. Czuję się, jakbym chodził po czyimś grobie... bo też i chodzę. Martwa ziemia pozostała po martwym imperium.

Ruszam w głąb korytarza – w końcu mamy tu zasadzkę urządzić, a nie podróż sentymentalną. Niskie, groźne buczenie dobiega z drugiej sali po prawej – potężna „elektra” rozłożyła się na samym środku pokoju, mackami błękitnych wyładowań sięgając niemalże do osmalonych drzwi. Wycofuję się powoli i z szacunkiem – czasami wystarczy opadający z drzewa liść, żeby „elektra” eksplodowała orgią wyładowań, poszerzając rejon swojego działania nawet trzykrotnie i za wszelką cenę próbując wyrównać napięcie ładunków elektrycznych w całym swoim zasięgu, co zazwyczaj równa się usmażeniu wszystkiego w okolicy na skwarkę. W dalekim kącie pokoju widzę jakiś artefakt, a z okna szczyrzy do mnie zwęglone zęby trup jakiegoś

durnia, któremu pewnie wydawało się, że da radę go dosięgnąć, nie aktywując potężnej anomalii – chciałeś, masz.

Otwieram rozchwierutane drzwiczki – chyba kanciapa stróża, widać stąd na głucho zamkniętą bramę wjazdową i całe podwórko. Rozkładana płowoczerwona kanapa z wystającymi sprężynami, na stoliku z odklejającą się politurą stoi graniasta szklanka, proszek na dnie kiedyś był pewnie fusami herbaty; obok szklanki okulary w grubej bakelitowej oprawie i resztki książki o pomarszczonych, żółkłych stronicach. Podważam lufą *Zbawiciela* oprawę – Lenin, „Dzieła zebrane”. No proszę, wykształconych woźnych wtedy mieli. Oczywiście wszędzie zwyczajowy bałagan i syf – przez dwadzieścia lat szabrownicy zrobili swoje, zanim gniew Reaktora nie przegnał padlinożerców...

Tak się zamyśliłem, że prawie nie zauważyłem gorączkowego machania Dra z dachu. Wyglądam przez wybite okno – najpierw oczywiście pokazuje mi kilka niewybrednych gestów, potem wskazuje ręką na południe-południowy wschód, podnosi cztery palce, potem robi drugą ręką gest niepewności, dokłada jeszcze jeden. No świetnie – czterech, a może pięciu. A może, dzika twoja mać, dziesięciu, kartoflu ty jeden białoruski. Czyli będą szli od strony lasu, wejdą pewnie pomiędzy kotłownią a budynkiem kolonijnym... Dr pokazuje na mnie ręką, robi gest strzelania – podnoszę kciuk, zrozumiałem, ja zaczynam koncert. Przebiegam z powrotem korytarzem, łapię na chybił trafił kilka puszek po konserwach, ustawiam w piramidkę przy sali z „elektrą”. Anomalia wyraźnie się ożywia, czując świeży metal – trzaski wyładowań i zapach ozonu napełniają powietrze, ale na szczęście się nie aktywuje. Poczekaj, zaraz ci coś przyniosę... Przez chwilę chcę zadekować się od razu w stróżówce, ale zmieniam zdanie – nie będę zaczynał od obrony

ostatniej rubieży, tam się potem wycofam. Zamiast tego przykucam przy drzwiach wejściowych – a co, na bezczelnego, w końcu ze strzelbą gładkolufową i tak się nie schowam. Poprawiam pas z nabojami, czekam.

Cisza i spokój. Na dworze zaczyna siąpić lekki deszczyk, taki, co nie przemoczy od razu, ale z czasem przesiąknie przez wszystkie warstwy niby-wodoodpornej odzieży – niedobrze, nie będzie ich słyszać... Widzę Dra, jak rozpląszcza się na dachu ze swoim G36 – pokaźna rura hybrydowego urządzenia wylotowego nakręconego na karabinek szturmowy daje broni prawie że długość niedużej snajperki – wtula się w róg, widzę, że celuje w tym kierunku – żeby mi tylko w plecy nie strzelił z rozpędu...

Są. Po prostu wychodzą jak gdyby nigdy nic z za rogu kotłowni, nie dalej jak piętnaście kroków ode mnie – niby normalne twarze, ale jest w nich coś takiego, że... Widać po prostu, że uczciwą pracą ich właściciele się nie skalali. Nie lubię do ludzi strzelać, ale nie czas na medytację – biorę przez szybkę na cel środkowego w grupie i pociągam za spust.

Potężne szarpnięcie gładkiej lufy, huk, brzęk tłuczonego szkła, wrzask bólu i zaskoczenia, chmura sinawego dymu... Nie czekam ani chwili – podrywam się i przebiegam korytarzem, gdy drzwi za mną eksplodują fontanną odłamków i szczap, przerabiane na sito kulami dziewięć milimetrów. Suuuki, mają pistolety maszynowe... Wbiegam do wyłożonej tandetnymi kafelkami łazienki, rozkraczam się nad wpuszczonym w ziemię niby-sedesem i bez celowania strzelam na wyczucie przez zamalowaną farbą olejną szybę – okno wylatuje na zewnątrz kaskadą szkła, ja schylam się i wybiegam na korytarz, gdy płytki na ścianach pękają i zamieniają się w ceramiczny tłuczeń pod ogniem dochodzącym z zewnątrz. Cholera, słyszę tam co

najmniej jeszcze jednego kałasza, i to chyba pełnowymiarowego. Kanonadę kontrapunktuje głęboki bas wystrzału z ukochanego przez bandziorów obrzyna, na korytarzu wypadają aż dwa okna – czysty fart, gdybym był dwa kroki z przodu, to akurat bym to przyjął w plecy. Kule świszczą dokoła i rykoszetują od ścian, rzucam się szczupakiem na podłogę i przejeżdżam kawałek ślizgiem po odłamkach szkła, podczas gdy ściana po prawej dostaje gwałtownego ataku ospy wietrznej kalibru siedem sześćdziesiąt dwa. Nie no, nie wstanę teraz... Strasznie amunicji nie szanują, Ruski głupie. Czołgam się w tym szklanym deszczu, naciągam na głowę kaptur, ale i tak mam za kołnierzem pełno szklanego lodu. Byle do gaci nie naleciało, idiotyczna myśl błyska mi w głowie, gdy dopełzam w końcu do cieciovki. W samą porę – kolejna seria z kałasza masakruje drzwi wejściowe i kibelek, pewnie będą teraz szturmować... Dr, zasnąłeś tam czy co?!

Słyszę kroki bandyty, który wlatuje do szkoły, puszczając na oślep serię z kałacha w mój korytarz. Ściana rezonuje uderzeniami, na głowę osypuje mi się tynk, podnoszę oczy – o w trąbę, trzy kule na wylot... Co oni, z gówna tę szkołę budowali? Bogu dzięki *durak* nie pomyślał, bo jakby zaczął strzelać w ścianę na wysokości kolan, to nie ma przebaczyć – skosiłby mnie bez dwóch zdań. Nie ruszam się, nie oddycham, nie ma mnie. Dr, do cholery jasnej! Co on, zabić się tam dał na tym dachu?

Słyszę kroki na potłuczonym szkłe, poślizg, szuranie – pewnie bandyta wbiegł do łazieneczki, z której palnąłem przez okno. Jeszcze kawałek... Pojedynczy strzał, kula wyrywa kawałek ściany przy mojej głowie, do ucha pomimo kaptura nasypuje mi się garść piachu – jak mnie nie zastrzelą, to się tu w końcu od pyłu uduszę... Ale bandzior przebiegł na drugą stronę korytarzyka do salki obok – dokładnie tak miało być. Wychylam

się i strzelam w piramidkę z konserw, chmura śrutu rozwija się w powietrzu, uderza prosto w żelazne puszkę, posyłając je w głąb sali, gdzie już czeka na nie wiecznie głodna „elektra”...

Trzask wyładowania i skowyt bólu z pomieszczenia obok zlewają się praktycznie w jedno. Ha, ha, ha... Anomalia uderza po raz drugi, kolejny i jeszcze, coraz słabiej, z każdym strzałem błękitne języki wyładowania rozpełzają się po zawilgoconych ścianach i podłodze korytarza, sięgając aż do dwóch sąsiadujących sal. Tjaaa, można se nawet mieć trampki na gumowej podeszwie, ale jak się z deszczu wchodzi, to sorry gregory, nie ma przebaczyć. Początkowy skowyt przechodzi w jęk i skiełczenie, w końcu cichnie zupełnie. Pozwalam sobie na chwilę słabości i zanoszę się kaszlem, starając się wykasłać z płuc pół kilo ceglanego pyłu. No dobra, dwa niepotwierdzone trafienia na moją korzyść, a co dalej?

Dobrą chwilę czaję się w mieszkanku woźnego, próbując usłyszeć coś przez miarowo siąpiący deszcz i szum kropel na zalegających ziemię liściach. Tutaj chyba wiele już nie wymyślę... Nie czuję się zbyt pewnie, mając za plecami okno otwarte na oścież, no ale się nie rozdwoję przecież, trzeba robić jakieś założenia, jak się do Zony wychodzi z partnerem – nasze jest takie, że Dr kryje mnie z dachu naprzeciwko... I właśnie dlatego nie lubię chodzić po Zonie z partnerem – człowiek robi sobie jakieś założenia, a potem przez nie ginie przedwczesną śmiercią. Gdybym był sam, to pewnie prześlizgnąłbym się do najbliższej klasy, stamtąd oknem na zewnątrz... I coś dalej. Nie ma sensu robić planów w Zonie – ona tylko na to czeka, żeby nam nogę podstawić. Dobra, kij z tym, pora się ruszyć.

Podnoszę się i wystawiam tylko głowę za drzwi, gdy pocisk wystrzelony z dworu wbija się w futrynę może dłoń ode mnie, obsypując mnie deszczem drzazg. Padam plackiem na ziemię,

jednocześnie słysząc z zewnątrz głos Dra:

– Miszka, to ja, sorka! Ty żyw, a?...

– Ty Rusku cholerny! – drę się po polsku, leżąc na podłodze. – Mendo ty komunistyczna, posrało cię już zupełnie na tym dachu!...

– Misz, nu, ty nie drzyj się, nie złość, a?... – pojednawczo woła z dachu mój, pożał się Boże, snajper. – Ja dwóch *ubił*, chyba wszystko *budziat*...

– Ty kacapie zasrany! – Wstaję, nie przestając się drzeć, wygrażam pięścią przez okno. – Bambusie ty białoruski, byś mnie tu zastrzelił, kołchoźniku pierdzielony!...

– Eeej, *smatri*, ty nie tak ostro, Kurwa, bo zaraz i tobie *puliu w łob zagonim!* – Zjeżam się, słysząc nielubiane, pierwsze przezwisko, jakie dostałem w Zonie trzy lata temu. – Uważaj, burżuju Polaczku jeden ty!...

– Nu, dobra, Dyry, dawaj złaż... Ty wszystkich *ubił*?

– A skąd mnie wiedzieć, a? Dwóch *prikonczył* ja... – Dr obserwuje świat nadal przez przyrządy celownicze karabinka. No tak, ma tłumik, to go nie słyszałem...

– Nu ja też dwóch, znaczy się wszyscy. Mój jeden tutaj w klasie, *drugij* ten, co *wnaczale*... a twój gdzie?

– A *adzin* tam, za rogiem. – Pokazuje mi ręką. – A *wtaroj* cię od zadu zachodził, to ja mu bęc! kulkę, no i tyle melodii.

– Nu to i będzie *wsjo*. Dawaj złaż, *chabar* będziemy dzielić.

Ściągamy cztery trupy do korytarza wejściowego – dwa z małymi, punktowymi dziurkami po kulach pięć pięćdziesiąt sześć milimetra, jednego posiekanego moim śrutem i ostatniego, lekko przypieczonego... Sądząc po minie, facet zszedł w ostatecznym rachunku na zawał. Dwa kałasze, jeden MP5, obrzyn i dwa makarowy – niezły arsenał mieli, jak na zwykłych bandziorów; przebieramy towar, odkładając na jedno miejsce

rzeczy niepotrzebne – ktoś przyjdzie, znajdzie i może mu się przyda. Ja biorę sobie tylko amunicję do strzelby i naboje dziewięć milimetrów – wreszcie będzie czym z glocka strzelać, a tak to leży i się kurzy tylko... Dr pakuje resztę uzbrojenia i przydatnych rzeczy w plecak jednego z bandytów, wnosi to wszystko na swój daszek i upycha w kominie – zabierzemy w drodze powrotnej; trupy odciągamy dalej w las, za dwa dni nawet śladu po nich nie będzie. Doładujemy broń, ruszamy na zachód – do wieczora powinniśmy zejść. O ile mapy po Łysym się nie mylą i o ile ja też się nie mylę.

Wieża

Idziemy przez las, poboczem jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi drogi. Ze dwa kilometry temu minęliśmy pozostałości jednej z wiosek – gdzieś na północ od linii kolejowej przez Kołybań – wiosek, które ongiś niczym perełki rozrzucone po stole zalegały pośród lasów i błot w widłach Dniepru i Prypeci, a teraz straszą tylko czarnymi szybami okien i poprzekrzywianymi płotami wokół obejść, zarośniętych zmutowanym barszczem Sosnowskiego i brzytwa-trawą. Wydaje mi się, że nawet wiem, gdzie jesteśmy według mapy, ale to maksymalny stopień pewności, jaki da się uzyskać tutaj, w Zonie.

– Ćśśś... cichaj, Misza... – Dr podnosi rękę w ostrzegawczym geście.

Posłusznie zatrzymuję się, nie wykonując żadnych zbędnych ruchów – tutaj jest Zona, nie wojsko, i tylko dureń brałby się od razu za broń. Dr teraz prowadzi: on szuka drogi między anomaliami, on zbiera ewentualne artefakty i to on decyduje, co robi reszta grupy, czyli ja. Jeśli każe poczekać, będę czekał; jak powie „skacz”, to skoczę, nie myśląc nawet – prosta zasada przewodnictwa. Teraz ewidentnie nasłuchuje czegoś, starając się przebić wzrokiem otaczającą nas gęstwinę krzewów, zsuwa z czoła na oczy swoje technogogle, sięgając jednocześnie prawą ręką za plecy po karabinek. Posłusznie też ściągam z ramienia *Zbawiciela*, odbezpieczam...

– Słyszał ty? – zwraca się do mnie półgębkiem, majstrując przy przełącznikach wizjera.

– *Niet*, ja nic nie słyszał... – Rozglądam się uważnie po terenie, którego akurat nie zasłaniają mi rozrośnięte ponad miarę

chaszczce. Cicho... Chociaż, może coś jednak...

– Coś tam za krzakami *budzieta*... – Dr powoli podnosi lufę swojej giety, ja też machinalnie unoszę strzelbę. – Dosyć, *bljadź*, spore...

– Dyry, a dokładniej można? – pytam konspiracyjnym szeptem. – „Spore” znaczy *sabaka* czy „spore” znaczy *juchociąg*?

– Dokładniej to *nie wižu*. *Lieży*t w trawie, może śpi... Chodź, obejdziemy delikatnie.

Ostrożnie stawiając stopy, uważając, żeby nie nadepnąć na ani jedną suchą gałązkę i nie strącić nieopatrzonym ruchem szyszki z drzewa, obchodzimy dużym kołem niebezpieczne miejsce. Przy okazji konotuję sobie w pamięci, żeby zagadnąć Dra o jego technogogle – czy to jednak prawda, że ma w nich zamontowany termowizor. Ja tam technologii w Zonie nie ufam w ogóle, ale zabaweczka fajna, chętnie popatrzę, jak tylko...

– Kaban!! – ostrzegawczy okrzyk Dra, trzask łamanych gałęzi, tratowanych krzaków i wściekły, ponury ryk wielkiego zwierza zlewają się w jedno. Naciskam spust od razu, gdy tylko potężne, szarobure cielsko wyłania się ze ściany zieleni – porcja wolframu idzie nieco za wysoko, orząc bydlakowi bruzdę na karku i więznąć gdzieś w pokładach tłuszczu na masywnym grzbiecie. Repetuję, słysząc serię Dra i widząc przelatujący mi przed twarzą strumień gorących łusek, ale na drugi strzał nie ma już czasu, bo stwór wpada prosto między nas. Dr rzuca się w bok, ja też odskakuję i czterysta kilo morderczych mięśni, kości i ścięgien przelatuje na wyciągnięcie ręki, kosząc z rozpędu kilka młodych brzózek. No do cholery, za jakie grzechy...

Prypeć-kaban, czyli wielki dzik mutant, to chyba największy i najgroźniejszy przedstawiciel lokalnej fauny, mający jeszcze sporo wspólnego ze swoimi nie tak znowu

odległymi protoplastami z normalnego świata. Natura – albo właśnie nie-natura – obeszła się stosunkowo łagodnie z tym gatunkiem, oszczędziwszy mu drastycznych zmian w budowie ciała: żadnych kolców jadowych, chitynowego pancerza ani orientowania się za pomocą ultradźwięków, nic z tych rzeczy. Po prostu zwykłego, i tak już wystarczająco groźnego dzika powiększyła o jakieś sześćdziesiąt–siedemdziesiąt procent, wyposażywszy go w warstwę tłuszczu grubości dłoni dorosłego mężczyzny, szczecinę mogącą zedrzeć ciało z kości, paszczkę, do której zmieściłby się dorodny arbuz, i mózdzek wielkości orzecha włoskiego, czyniąc ze zwierzęcia praktycznie bezmyślną, potwornie agresywną i cholernie skuteczną maszynę do zabijania wszystkiego. Oczywiście tutejsze dziki, podobnie jak ich niezmutowani kuzyni, to też wszystkożercy – na co dzień zjadają, jak sama nazwa wskazuje, wszystko, nie gardząc też padliną – a że padlina to zasadniczo martwe zwierzę, a natura lubi chodzić na skróty, to prypec-kabany szybko nauczyły się, że najłatwiejszym sposobem uzyskania padliny jest zabicie czegoś żywego. Chociażby nas.

Gdy kaban wyhamowuje i zawraca, Dr puszcza w niego jeszcze jedną serię, krwawymi wypryskami tnącą bok zwierza. Odyniec ryczy wściekle, ja, nawet nie wstając z ziemi, przełączam *Zbawiciela* na automat i posyłam jeden za drugim trzy ładunki śrucin prosto w ogromny łeb – większość pewnie odbije się od grubej płyty czołowej albo uwięźnie w karku, ale liczę na łut szczęścia i trafienie w oko. Kaban potrząsa łbem, rozbryzgując dokoła posokę i kawałki sierści, Dr nadal faszeruje go ołowiem. Gdy zwierz spina się w końcu i rusza na niego, wyraźnie wolniej i słabiej już niż z początku, podskakuję z boku i praktycznie z przyłożenia strzelam mu poprzez sterczące, kosmate ucho w czaszkę. Nogi potwora uginają się, ogromne

cielsko siłą bezwładności ryje bruzdę w ziemi, w końcu nieruchomieje nieopodal.

– Ożeż ty jego w mordę, to bydlę cholerne... Dyry, ty okej?
– Ciężko dysząc i nie spuszczać z celownika wyglądającego na martwego kabana, ale kto go tam wie, spoglądam kątem oka na towarzysza.

– To suka świnia, zaczepił mnie... – Dr ogląda z dezaprobatą zwisającą w strzępach nogawkę kamuflażowych spodni. – *K szczęściu* wyłożenia nie porwał, ale kamuflażem można sobie *żopu* wytrzeć...

– Dyry, bandaż *nada*? – Patrzą mimo wszystko zaniepokojony, wypatrując, czy z nogi zaraz nie buchnie krew.

– Daj mi spokój, Misza! Bandaż to akurat sam umiem... – burczy na mnie towarzysz. – Ty lepiej dzikowi kopyta odpiłuj, puścimy *posljezawtra* przesyłką, chociaż za naboje się zwróci...

Wzdycham ciężko, ale wyciągam z bocznej kieszeni piłkę sznurkową i zabieram się do ponurej roboty – faktycznie, odkąd szaleni naukowcy z Jantarnego wynaleźli receptę na przerobienie kopyt prypec-kabana na coś niezmiernie potrzebnego klientom na Zachodzie, popyt na ten egzotyczny składnik zdecydowanie wzrósł. Nie wiem co prawda, czy Dr ma rację – nawet jeśli zdejmę wszystkie cztery (co może nie być łatwe, bo kaban akurat przednie nogi przygniótł całym swoim ciężarem), to uzyskany z tego zarobek pewnie nie wystarczy na pokrycie kosztów amunicji potrzebnej do upolowania zwierzaka. Eh, okrutny świat wolnego rynku.

– Misz, a ty bądź ciszej tam trochę. Zaraz nas cała okolica *ustłyszyt*... – ofukuje mnie Dr, próbujący na szybko zszyć nogawkę. Nie rozumiem, o co mu chodzi.

– Ty co, Dyry, zdurniał? To ty tam *tiechnikoj* swoją szumisz.

Wymieniamy spojrzenia. Ja rzucam w diabły kopyto, Dr nawet nie kończy szycia, łapiemy broń i puszczamy się biegiem, próbując prześcignąć narastające dudnienie i łomot...

Stado musiało paść się gdzieś niedaleko, pewnie usłyszało nasze strzały i ryki odyńca. Przyznaję, nielicha wataha – gdy przebiegamy przez piaszczystą polankę, ryzykuję spojrzenie za siebie i widzę przynajmniej pięć–sześć burych kształtów, we wściekłym pędzie tratujących wszystko na swojej drodze. Widzę, jak Dr w biegu wyciąga zawleczkę i ciska za siebie granat – stłumiony huk eksplozji ergiedeszki odbija się echem od drzew, coś tam ryczy i wyje z tyłu, ale chyba wybuchło za stadem, bo pogoń nie ustaje.

– Dyry, *tuda* biegnij! Na górkę *dawaj!* Tam bardziej bezpieczniej *budziej!* – kalecząc mowę swoją i obcą, pokazuję ręką na majaczący wśród lasu piaszczysty pagórek. Nadkładamy tylko kawałek drogi, żeby ominąć spory „grawikoncentrat” – nietrudno go zauważyć po nienaturalnie wykręconych i ściągniętych do centrum pniach sosen i brzózek, których wszystkie gałęzie nieustannie drżą w wiejącym do epicentrum sfery grawitacji wietrzyku – i wylatujemy na wzniesienie, pośrodku którego na betonowym postumencie dumnie stoi rusztowanie żelaznej wieżyczki obserwacyjnej z przeszkloną budką na szczycie, pewnie pozostałości po straży pożarnej ubiegłej epoki... Albo i obecnej, bo przecież do dwa tysiące szóstego wszystko działało tu w zasadzie normalnie. No, bardziej normalnie niż teraz. Na szczyt wbiegamy na pełnym bezdechu, Dr już zaczyna piąć się w górę po szczebelkach, ja przypadam na kolano, gotów krzyknąć naszą pozycję ogniem... diabliiiiiiii, nie doładowałem! tylko trzy naboje zostały... czy dwa w ogóle... Tak czy inaczej, biorę na cel dziki, które powinny być tuż-tuż, a są...

– Hej, Dyry, weź no *pasmatri!* – wołam do partnera, którego tyłek i wielkie buciory widzę ponad sobą. – One czego, boją się?

Dr patrzy na mnie, na polankę w dole, potem znowu na mnie. Powoli schodzi i nie odzywając się ani słowem, siada na betonowej wylewce, patrzy na kabany, które najwyraźniej boją się podejść do naszej górki – odbiegają kawałek, wracają niepewnie, kładą uszy i stroszą sierść, fukają i prychnają, ale żaden z nich nie zbliża się bardziej niż do granicy wyznaczonej przez piach.

– Miszka, weź się razem ze mną rozejrzyj, nie stoi nam za plecami przypadkiem chłeptokrwij? – pyta matowym głosem.

– *Niet.* Ja też tak już myślał, ale nie stoi. – Rozglądam się na wszelki wypadek.

– No i *charaszo.* Ty będziesz? – Wyciąga do mnie paczkę papierosów.

– *Da niet,* nie trzeba. – Odżegnuję się gestem. – A ty co, po co ty *kurisz?*

– A cholera jego *znajet,* może to ostatni. – Zaciąga się dymem i wyjmuje z kieszeni licznik Geigera. – Jak się boją, to niech nie podchodzą...

– Jakie tło radiacji? – pytam, gdy Dr dłuższy czas milczy.

– A tło żadne. Wychodzi, że tu promieniowania nie ma.

– Jak to nie ma promieniowania! – Denerwuję się, wyrywam mu z ręki licznik i podnoszę do góry, prawie przytykając urządzenie do żelaznych prętów konstrukcji. Od razu rozlega się miłe dla ucha trzeszczenie głośniczka, a wskazówka zaczyna miarowo podrygiwać na skali. – Zepsuło ci się barachło, a tło tutaj normalne, twoja mać!...

– To nie tło, tylko ty oddajesz, Miszka. – Dr spokojnie odbiera mi licznik, który w jego rękach od razu cichnie. –

Rozumiem ja, że ty po ostatniej wyprawie odpromieniowałeś się jak należy, sprzęt wyszorowałeś, radionuklidy z organizmu wygoniłeś, a?

Patrzę na niego osłupiały. Prosta, szczerą twarz byłego pediatry z Mińska jak zwykle wyraża czystą, słowiańską uczciwość człowieka o gołębim sercu, który swego czasu nie spał po siedemdziesiąt dwie godziny tylko i wyłącznie po to, żeby sprawdzić reakcje organizmu na deprywację snu. Bez słowa odbieram od niego porcję tabletek antyradu, rozgryzam i popijam wodą z manierki – blee, tak samo ohydne, jak za pierwszym razem. Podnoszę głowę ku szaremu niebu, żeby się nie porzygać...

– Dyry, to tutaj! My *tut!*... *sjuda...* *zdzieś...* cholerny świat, cholerny język! To to miejsce!

– Nu *da?* – rozgląda się Dr powątpiewająco. – No to się cieszę. *Szto dalsze*, jaśnie pan przewodnik?

– *Pasmatri* ty lepiej, niedowiarek! – Rozkładałam mapę na betonie, wygładzam gorączkowo rękami, wyciągam z kieszeni zafoliowaną kserówkę skrinshotu z notatek Łysego. – *Wot* las, *wot* droga biegnie, a tu polanka, gdzie ty granat rzucił. A my tutaj jesteśmy, *wot*, a *tut* na skrinshotcie – na cień patrz! Widać, że to ta *samaja* wieżyczka!

– Wieża się mówi, wieżyczkę to masz w beteerze, poligloto ty od siedmiu boleści. – Dr krytycznie potrząsa głową, jak zawsze niezadowolony z mojego koślawego rosyjskiego. – No, to znalazł ty. Ty cieszysz się, ja cieszę się twoim szczęściem. To co, wracamy?

– No jakie wracamy, ty co, z głupim się na rozum *obmieniał?* – teraz to ja się oburzam. – Ty miał swoich bandytów, teraz ja sobie poużywam! Ty zostań, pilnuj, czy kto nie idzie, czy kabany nie *pryjdut*, a ja na wierch poleżę, może

tam co ciekawego *budzet!*

– Burżuj polski, *bljadź*, na rozkazy mu się zebralo... – mendzi sobie pod nosem Dr, gdy ja wspinam się po żelaznej drabince na górę. Zauważam, że wzdłuż jednej z nóg wieżyczki biegnie spora wiązka grubych na palec kabli – zdecydowanie za gruba, jak na dwieście dwadzieścia woltów, żeby znudzony strażak mógł sobie poczytać nocą „Nasz Dziennik” czy co oni tam na Białorusi i Ukrainie szmatławego mają. Dochodzę do samej góry, mocuję się chwilę z zatraskiem żelaznej kłapy, w końcu metal ustępuje i przez wąski właz winduję się na górę...

Gdy tylko podnoszę wzrok, prosto w lewe oko spogląda mi lufa karabinu. Przez krótką chwilę zastanawiam się, czy zaryzykować sięgnięcie po strzelbę, czy raczej puścić się rękoma i zlecieć w dół, ale potem widzę właściciela broni. Pokryty resztkami zasuszonej skóry szkielet żołnierza w spłowiałym, zetłałym mundurze z wiszącym na plecach AK-104 siedzi sobie na żelaznym taboreciku z łokciami opartymi o blat stolika i wciąż przyłożoną do oczu lornetką, jak strażnik, na wieki już zastygły na swojej pozycji. Piękny kawałek propagandy by z tego był – „wierni poza grób”... Tfu! Znowu mnie na trupy naszło...

Podciągam się, zamykam za sobą właz, żeby nie wpaść w niego przypadkiem, rozglądam się – wow, ale widok. Widać stąd chyba całą Zonę, a na pewno dużą jej część – tam Dniepr, za nim Kordon i odcięta granicą normalnego, jaśniejszego nieba Duża Ziemia. W tamtą stronę będzie gdzieś Kijów, co wieczór z niepokojem wysłuchujący podawanych rutynowo komunikatów o Strefie Zamkniętej wokół CzEJ, czyli po rusku CZAES – Czernobylskiej Atomnej ElektroStancji. Tam jest Białoruś i jej niby-rezerwat, tak naprawdę gigantyczny kordon wojskowy i megapoligon dla całej FR, gdzie Putiny i inne Miedwiediewy

mogą bezkarnie testować wszelkie rodzaje najbardziej nawet idiotycznych wunderwaffe pod pozorem obrony ludzkości przed nienazwaną grozą skądkolwiek. A tam widać megality Prypeci i kominy Reaktora, gdzie...

Złe przeczucie uderza mnie jak grom z jasnego nieba. Spoglądam na martwego wojaka, który z lornetką przyklejoną do oczodołów patrzy dokładnie w tym co ja kierunku. Przyklejoną to bardzo dobre słowo – gumowo-plastikowe oprawki okularów potężnej wojskowej lornety niczym stearyna na słońcu rozmiękły, spłynęły i wtopiły się w kości policzkowe, dzięki czemu cały szkielet zachowuje jeszcze podpartą pozycję siedzącą. Czyżbyście, towarzyszu Iwanow, mieli wątpliwy zaszczyt oglądania Drugiej Katastrofy? Ciekawe, jak to było, gdy...

Mówiłem wam, że Zona nasłuchuje głosów głupców? No to właśnie mówię. Nie kończę nawet myśli, gdy niebo nagle ciemnieje i gdzieś spod ziemi dobiega niski, przeciągły huk – coś jak pociąg przejeżdżający pod Śródmieściem, ale o wiele bardziej basowo; jednocześnie nad dachami i kominami Czarnobyła, nad dalekim Sarkofagiem rozwija się jakaś dojmująco piękna i straszna zarazem zorza, niczym płatki czarnej róży otwierającej się do niewidocznego słońca. Patrząc na swoje ręce i widzę, że kolory lekko zbladły...

– Dyry!!! – otwieram klapę i drę się, zaczynając schodzić na dół. – Dyry, *śłuszaj*...

Urywam w pół słowa, bo ostatni raz spoglądam na siedzącego na wieżyczce martwego żołnierza i dostrzegam naszywkę na jego ramieniu. Naszywkę, którą już gdzieś kiedyś widziałem... Waham się, czy zdążę, ale głupia ciekawość wygrywa – wracam na górę, razem z fragmentem rękawa odpruwam emblemat i trzymając go w zębach (bleeeeeee nie

myśleć nie myśleć nie myśleć), najszybciej jak mogę schodzę, zjeżdżam praktycznie na dół.

– Dyry, *wybroś* idzie! – wołam do kompana po drodze. – Mamy *jeszcze* czas, ale mało!

– Na mapę *smatri*! – Dr gorączkowymi ruchami rozwija sztabówkę, pokazuje palcem na naszą pozycję. – My tutaj gdzieś, tam na północy masz Pirki! Dobiegniem, zdążym?

– *Dobieźć* to zdążym, ale nie wiem, czy w anomalie się po drodze nie wpierdolim! – staram się przekrzyczeć narastające porywy wiatru. – *Możet w dzierewnie...*

– Po wsiach piwnice płytko, tam nam mózgi do cna wypali! A ja tu *takoje* coś znalazł... – Pokazuje palcem niewyraźną plamę cienia na wydruku zdjęcia. – Powinno gdzieś tam być, jak ja butem w piachu pogrzebał, to pod nami lity beton jest!

Patrzę we wskazanym przez Dra kierunku, potem na niego, raz jeszcze na zbocze. Bez słowa wciskam mapę i zdjęcia za pazuchę, wyrywam saperkę z pokrowca i zbiegam do połowy po piaszczystym zboczu.

Próbowaliście kiedyś kopać piasek na czas? No, zabawa przednia, powiadam wam. Ja robię specnazowską łopatką, jakbym nigdy niczego innego się w życiu nie uczył, Dr grzebie rękami, jakby od tego jego życie zależało – no bo zależy, i jego, i moje. Łopatka zgrzyta o beton – widać już zręby betonowej ścianki podpierającej część zbocza, pojawia się zarys litery U, jak w osłonkach studzienek kanalizacyjnych w górach. Wiatr świszczuje i huczy dokoła nas, niebo nasycza się szkarłatem, ołowiane chmury przelewają się nad nami, gdzieś daleko przetacza się odległym echem grzmot...

– Jest! Jest właz!! – drze się Dr, gdy spod warstwy piachu pomiędzy żelbetowymi wspornikami widać róg solidnej, żelaznej klapy wpuszczonej w betonową płytę. Pot zalewa nam

oczy, gdy rękami staramy się wyczyścić obrys sześćdziesięciocentymetrowego, kwadratowego włazu, zamkniętego na solidną kłódkę zalaną plastikiem... Dr wyskakuje z wykopu, ja po prostu wyrepetowuję resztę magazynka, trzęsącymi się dłońmi próbuję odpiąć kieszonkę ładownicy, wyciągam garść naboju kulowych, łuski lecą mi przez palce, w końcu udaje mi się wepchnąć jeden do komory nabojowej, repetuję *Zbawiciela* i wypalam z bliska prosto w kłódkę... Myśl o rykoszecie kuli kalibru dwanaście miga mi w głowie i gaśnie, na szczęście zbyt późno, gdy resztki kłódki już odlatują na bok, a my we dwóch siłujemy się, żeby odkleić klapę od warstw uszczelek i towotu... Z miękkim, przeciągłym mlaśnięciem luk puszcza i odjeżdża do góry na hydraulicznych zawiasach. Praktycznie wpycham Dra przodem, sam zrzucam tylko za nim rozsypane na ziemi łuski i spuszczam nogi w dół, na żelazną drabinkę... Gdy ciągnę za sobą pieruńsko ciężką klapę włazu, w niebie nade mną rozlega się potworny huk, świat pogrąża się w oślepiającym purpurowym blasku z zielonymi odcieniami, a ja uwieszam się całym ciężarem ciała na uchwycie klapy, ciągnę i szarpie, czując, jak mózg zamienia mi się w papkę, a potem tylko lecę, lecę w dół, w ciemność...

* * *

– Nu, tak nam *połnyj piździec*.

Miarowe buczenie agregatu i zgrzytanie starej drukarki zlewają się w jedno w tej psychodelicznej, betonowej klitce. Poświata kilku kolorowych lampek napełnia wnętrze ponurym blaskiem, w którym da się rozróżnić płataninę rur i przewodów,

masywy szaf komputerowych i prowadzącą na górę żelazną drabinę. A na zewnątrz... Na zewnątrz w tej chwili buszuje Szatan i jego legiony, przelewają się fale nieokiełznanej energii, gdy z nieba na ziemię spada deszcz czystej śmierci wypłutej z trzewi Sarkofagu, niosący obłęd wichrem Emisji, zakrzywiający prawa fizyki takiej, jaką ją znamy. Nawet tutaj, pod warstwą piachu i żelbetonu, czuć wyraźnie, jak coś ciśnie na mózg, próbując wykręcić go z myśli jak mokrą ścierkę – oczy pieką i swędzą, w gardle czuć posmak żółci i metalu.

Przestaje mi się kręcić w głowie, zaczynam widzieć cokolwiek więcej niż tylko czerwone kręgi. Wstaję na czworaki, próbuję podnieść się do pionu...

– Misza, ty *sztó*, już na nogach? – Dr spogląda na mnie, wyciąga z kieszeni małą latareczkę i sprawdza mi odruchy źrenic. – Porządnie oberwał ty, ja już myślał, że mózg ci usmażyło. Weź no antyradu i przeciwwymiotnego sobie szarpnij.

Krzywię się niemiłosiernie, ale posłusznie odbieram garść tabletek, rozgryzam je po jednej i małymi łykami popijam pachnącą aluminium wodą z manierki. Dr przy okazji oblatuje mnie geigerem i sprawdza odczyt mojego dozymetru – sporo złapałem, nie ma co, ale jeszcze żyję, więc trzeba się ratować. Teraz i tak nigdzie nie wyjdziemy, więc można skorzystać z czasu wolnego – rozpakowujemy plecaki, ja wyciągam na kawałek ceraty ciemny chleb sprzed dwóch dni i tuńczyka w konserwie, Dr dokłada ze swojej strony małosolne i przysłowiowe pół litra. Żeby nie było, żadnego pijaństwa, wszystko dla zdrowotności i gwoli wygonienia radionuklidów z organizmu. Przez tych kilka spokojnych chwil po prostu staramy się odpocząć od szalejącego wokół obłędu i napchać na spokojnie brzuchy, ja muszę też uzupełnić treść żołądkową, żeby

kolejna dawka tabletek nie przepaliła mnie na wylot.

– Ty jak myślisz, Miś, *szto eta* za miejsce jest, a? – Dr przerywa milczenie i zadaje pytanie, które nurtuje nas obydwo.

– *Czort znajet, Dyry, czort znajet...* Nie wieża pożarowa, to *nawierno*.

– Co prawda, to prawda... – Widzę jego uśmiech w świetle lampek konsoli. – Ty wiedział, co tutaj *budziat*?

– A skąd! – Wzruszam ramionami. – Ty przecież włącz znalazł. Dyry, ty u nas człowiek po technologii, ten sprzęt *znajesz*?

– Gdzie tam, pierwszy raz coś takiego *wizu*. – Opiera się o deskę rozdzielczą, spogląda na przełączniki. – Chyba dość dawno tu nikogo nie było...

Podchodzę do niego i patrzymy razem na coś w rodzaju sejsmografu, śmigającego pisakiem w powietrzu pomiędzy dwoma kręcącymi się na pusto wałkami. Dr schyla się i podnosi z ziemi pozagniatany zwój papieru zapisanego wykresami, pomagam mu rozwinąć taśmę, patrzę na sam początek szpuli...

– Dyry, ty datę wdział?

– *Nu wot te na, ty, no, to niezłe*. – Wciąga ze świstem powietrze, patrząc na wykaligrafowaną na początku zwoju datę: 11 kwietnia 2006, 20:18, dokładnie w wigilię Drugiej Katastrofy. Przewijamy razem papier, patrząc, jak płaska linia zaczyna drgać i tańczyć po szpuli, wylatując daleko poza skalę i zapisując czarnymi zygzakami długi odcinek wydruku, potem uspokajając się i schodząc znów do zera, długo nic, potem odcięcie czerwonym atramentem i kolejna adnotacja: 15 kwietnia 2006, 09:44, a to dopiero początek całego zapisu. Trzy dni po lokalnym końcu świata ktoś tu był i coś opisywał... A potem zamknął to laboratorium na kłódkę i my jesteśmy tu pierwsi od kilku lat.

Zapalam latarkę na lufie, rozglądam się po pomieszczeniu... Nieduży, podziemny bunkier w kształcie stożka, żadnych przejść ani wyjść, tylko tych kilka maszyn pod ścianami, kable na podłodze i w obejmach, dwie lampy w kratowych oprawach. Podążając wzrokiem za kablami, namierzam obrotowy przełącznik – szczęknięcie mechanizmu, trzask iskry, żarówki zapalają się przyćmionym światłem. Koło wyłącznika zawieszona na ścianie lista, podobna do spisu remanentowego w pokojach biurowych – numer, nazwisko, imię, otczestwo, stopień, data i godzina inspekcji, podpis... Patrzą po datach – ostatni wpis faktycznie 15 kwietnia 2006, a pierwszy... 2005 rok, czerwiec. Siedem inspekcji przez ten czas... Odpinam kartkę, składam na cztery i ostrożnie chowam w folijkę – nie jestem pewien, po co dokładnie, ale czuję, że coś będzie jeszcze z tą sprawą...

Siedzimy, nic nie mówiąc, tak długo, aż huk z zewnątrz zaczyna cichnąć, a ramię z pisakiem na niby-sejsmografie się uspokaja – burza wyładowań anomalnej energii powoli słabnie i odchodzi, na dworze pewnie zaczyna lać teraz ulewny deszcz, jak to zawsze po Emisji. Świat próbuje splukać z siebie nadmiar radiacji i ochrzcić nowe rozlokowanie anomalii, z których część przemieszcza się, część znika, a inne pojawiają się w zupełnie nieoczekiwanych miejscach. Większość z nich nie przetrwa nawet kilku minut, najdalej godzin po Emisji, znikając w wyniku własnej niestabilności, ale nawet ginąc w niebycie, zostawia po sobie niezatarty ślad... Nadchodzi więc pora najlepszych zbiorów artefaktów, które jak przysłowiowe grzyby po deszczu rodzą się w trzewiach Zony. Może to działa podobnie jak z perłami w ostrygach – coś wpada do takiej anomalii, a ona próbuje się bronić przed tym, otaczając takie ziarenko piasku warstwą właściwej sobie materii? Widzę, że Dr też jest myślami

na zewnątrz – musi zupełnie jak ja myśleć o zbierających się na powierzchni plonach...

– Nu *szto*, Dyry, *paszli*?

– Ciemno już pewnie, zwierzęta teraz niespokojne i potworów *w pizdu*.... – powątpiewająco rozważa Dr. – Ryzykownie, tak zaraz po Emisji...

– Tak *szto*, *paszli*? – Spoglądam na partnera.

– Nu, *paszli*. – Kiwa głową.

Jednak być pierwszym prawie dziesięć kilometrów w głąb centrum Zony, dosłownie minuty po Emisji... Zbieramy po sobie śmieci, doładowujemy broń i sprawdzamy stan baterii, poprawiamy oporządzenie i dociągamy paski uprząży. Dr rusza pierwszy, jeszcze na drabince włączając swoje cudowne gogle. Ja czekam na sygnał, że na górze czysto, w międzyczasie wyciągam z kieszeni i patrzę na naszywkę zabraną martwemu żołnierzowi z wieżyczki strażniczej – identyczną jak u zombi w Mleczarni kilka tygodni temu: stylizowany widok na Sarkofag, z którego komina wyrastają zielone pędy, oplatające całość emblematu i litery B430 u dołu. Tylko tyle albo aż tyle...

– Miszka, dawaj ty tu na górę!! – słyszę podekscytowany głos. – Tak ty zobacz tylko, co się wyprawia!

Uśmiecham się do własnych myśli. Pora na żniwa.

Most

Trzy tygodnie bezczynności.

Mogę zrozumieć Łysego, który w końcu nie wytrzymał i palnął sobie w łeb – dla stalkera bezruch to w zasadzie śmierć. W Zonie nic nie stoi w miejscu, wszystko porusza się i płynie, nawet nieaktywne anomalie co jakiś czas same się ożywiają, żeby nie wyjść z wprawy w zabijaniu. Nawet artefakty nie leżą sobie spokojnie w trawie, tylko podrygują i wirują jak piłeczki z silniczkami. Cokolwiek się nie rusza, jest w Zonie martwe: domy; drzewa; woda; zombi. No, zombi czasami się ruszają, ale też kwestia ich żywości i martwości jest, bądź co bądź, dyskusyjna.

Prawda jest taka, że solidnie się doprawiłem na ostatniej wyprawie z Drem, więc musiałem urządzić sobie przymusową rekonwalescencję. Próbuąc zamknąć tamten właz, nachapałem się radiacji tyle, co przez pół roku normalnego łożenia po Zonie, więc nasz nieformalny administrator postawił mi embargo na dostawy sprzętu i amunicji, aż się trochę podkuruję. Ach tak – nie wspomniałem wcześniej, więc pora teraz nadrobić zaległości. Jak już zapewne się zorientowaliście, ja jestem Miś, czyli po rusku Miszka; Doktor, zwany w skrócie Dr, jest faktycznie naszym odpowiednikiem barmana, naprawiacza i handlarza, czyli *targawca* po tutejszemu – mówię „naszym” nieco na wyrost, ale tak jest prościej.

Równie nieduża, co luźna wspólnota stalkerów, której jestem nieformalną częścią, obrała sobie za bazę wypadową opuszczone po Drugiej Katastrofie gospodarstwo rolne niedaleko od byłej stacji Jołcza, na byłej trasie kolejowej Prypeć–Sławutycze. Tereny te nie leżały w Strefie Zamkniętej

przed dwa tysiące szóstym, więc infrastruktura jest tu nieco bliższa standardom cywilizowanego życia, mamy nawet działającą instalację hydrauliczną i ogrzewanie, a wszystko to dzięki pomysłowości Dra, który chyba jako pierwszy akurat tutaj osiadł. Ja przybyłem do Zony w dwa tysiące dziesiątym, co czyni mnie po tragicznej śmierci Łysego drugim co do stażu żyjącym członkiem grupy... O ile o grupie można tu mówić. Zona Czarnobylska funkcjonuje w świadomości większości ludzi na zasadzie mitów i wyobrażeń – czegoś na podobieństwo Dzikiego Zachodu, tylko że na wschodzie; dzielni, szorstcy w obyciu, ale posługujący się niepisanym kodeksem honorowym stalkerzy, podli bandyci atakujący z ukrycia, klany i zgrupowania ideologiczne, piękne i łatwe kobiety w podziemnych barach, emocje, zagrożenie, ryzyko i szybki zysk, sekty i frakcje, prawo silniejszego i dostępność broni palnej, życie na ostrzu noża.

Bzdury.

Nie ma klanów, nie ma zgrupowań, nie ma telewizora ani muzyki w barze na opuszczonej fabryce Rostok. Nie wiem, czy w całej bez mała osiemdziesięciokilometrowej Zonie zebrałaby się nas, stalkerów, setka – szczerze mówiąc, poważnie w to wątpię. Cała ta otoczka ma w sobie mniej więcej tyle prawdy, co pokutujący w świadomości społecznej mit o tym, że do CzAES idzie się przez Prypeć, i to jeszcze na północ, obowiązkowo przez ogromny stadion, cały okolony betonowymi trybunami. Ludzie kochani, litości, proszę was... Nie wiem, czy macie akurat zasięg, ale włączcie mapy w necie i zadajcie sobie minimum trudu, żeby poznać prawdę. Dla was prawda jest w zasięgu ręki, wystarczy kliknąć myszką; ja muszę chodzić w jej poszukiwaniu trochę dalej, chociaż przy okazji też przydaje mi się koordynacja oko–ręka i wyćwiczony palec wskazujący.

Prawda jest taka, że nikt nie wie, skąd wzięła się Zona. Do kwietnia dwa tysiące szóstego wszystko było w miarę jasne – awaria na czwartym energobloku, stopienie rdzenia reaktora, chmura pyłu powstała po przepaleniu się rur z chłodziwem, skażenie na niespotykaną skalę, katastrofa w iście sowieckim stylu – no bo trzeba naprawdę nieźle się postarać, żeby ręcznie zepsuć idiotoodporny z założenia, w pełni automatyczny reaktor jądrowy. Ale 12 kwietnia 2006, prawie że okrągłe dwadzieścia lat po Pierwszej Awarii, stało się coś, czego nikt się wtedy nie spodziewał i nikt do dziś nie rozumie.

Gazety pisały o najróżniejszych rzeczach – o widocznym aż z Kijowa słupie oślepiająco białego światła, który uderzył w centrum Zony, o słyszalnej aż w Czernihowie eksplozji i ogromnym radioaktywnym grzybie, o fali bezgłośnej ciszy, która z siłą huraganu uderzyła w te nieszczęsne ziemie, o przepięciach sieci energetycznej w promieniu paruset kilometrów i trzęsieniu ziemi, które jakoby zarejestrować miały sejsmografy aż w Moskwie. Nikt nie wie, jaka prawda BYŁA, ale każdy widzi, jaka JEST – a jest taka, że na miejscu Strefy powstała Zona. Wszystko w promieniu trzydziestu–czterdziestu kilometrów od Sarkofagu stanęło na głowie, zapłonęły lasy i zagotowały się jeziora, ludzie ginęli tysiącami, nawet nie wiedząc, co ich zabija. Pierwsza Emisja przyniosła nam Zonę taką, jaką znamy – pełną straszliwych anomalii, okaleczonych nie do poznania zwierząt i obłąkanych ludzi, nowych ognisk zabójczej radiacji i kolejnych zniszczeń, ale również pełną artefaktów i nieznanych zasad fizyki, chemii i biologii, energii oraz zjawisk, o jakich nie śniło się naukowcom nawet w najbardziej obłąkanych koszmarach... Białorusini i Ukraińcy zareagowali błyskawicznie, wysyłając na granicę strefy zniszczeń tyle wojska, ile tylko się dało, rzekomo pod pozorem chronienia ludności cywilnej, faktycznie starając

się zawłaszczyć prawo do prowadzenia badań nad wszystkim, co tylko zbadać się da. Łukaszenko w jedynym swoim stylu ogłosił, że cała Zona jest własnością Republiki Białoruś, co prawie doprowadziło do wybuchu wojny z Ukrainą, w którą już-już gotowa była zaangażować się również Federacja Rosyjska i NATO; to ostatnie w przyspieszonym trybie włączyło Ukrainę do planu akcesyjnego i przyjęło ją w poczet swoich członków dwa dni później. Jak zwykle, gdy tylko ludzie zaczęli planować, Zona pokazała pazur.

Druga Emisja w dwa tysiące siódmym przyniosła równie ogromne straty, co Pierwsza – do dziś nie ustalono, ilu żołnierzy zginęło naprawdę w okropieństwach anomalnych wichrów, ilu zmarło później w szpitalach na najpotworniejsze manifestacje wszelkich chorób znanych i nieznanymi, a ilu uznano eufemistycznie za „zaginionych podczas pełnienia obowiązków służbowych”, czytaj: albo spalonych na popiół, albo rozerwanych na atomy, albo do dziś bełkocących coś przegniłymi wargami w głębinach Zony. W rzadko spotykanym porywie solidarności wszystkie kraje zaangażowane bezpośrednio i pośrednio w niedoszły konflikt – jak również spora grupa niemających z nim nic wspólnego, ale niechcących przegapić okazji – utworzyły specjalny kontyngent UNFChEZPP, którego nazwa jak również kompetencje do dziś pozostają kwestią zażartych debat. Zonę otoczono (raczej) szczelnym kordonem wojska, tym razem już uważnie pilnującego, żeby broń Boże nie znaleźć się w pobliżu strefy rażenia kolejnych Emisji, które od tamtej pory stały się zjawiskiem niemalże cyklicznym i podobno nawet prawie przewidywalnym. Wszelkie kontakty z Zoną zostały odcięte, oficjalnie uznano wszystkich pozostałych w jej wnętrzu za martwych, żołnierze dostali zielone światło na strzelanie do

wszystkiego, co tylko dadzą radę zobaczyć przez szkła celowników. Z wyjątkiem nielicznych quasi-samobójczych misji badawczych, od czasu do czasu przepadających bez wieści w kolejnej doskonale przygotowanej i całkowicie bezpiecznej wyprawie, do Zony nie wchodził nikt, a zatem nikogo w niej nie było. Sytuacja została opanowana.

Teoretycznie.

Tak jak nie da się ustawowo ustalić temperatury, tak samo nie da się ustawowo stwierdzić, że gdzieś nie będzie ludzi. Od samego początku do Zony zaczęli przenikać podobni nam – łowcy przygód, zwykli szaleńcy, amatorzy mocnych wrażeń, agenci światowych mocarstw i szabrownicy poszukujący łatwego zarobku. Większość ginęła jeśli nie od razu, to w przeciągu dni albo tygodni od wejścia do Zony, ale ci, którzy przeżyli, stali się pierwszymi prawdziwymi stalkerami – duchowymi potomkami Rudego Shoeharta, filmowego Stalkera prowadzącego do Zony Uczonego i Poetę, następnie likwidatorów Pierwszej Awarii i uczonych z licznych instytutów badawczych, przez lata oficjalnie i nie do końca oficjalnie wchodzących do Strefy w przeróżnych celach. Nigdy nie było nas wielu, zawsze byliśmy samotnikami – każdy w końcu tu przyszedł sam i z własnych pobudek, którymi wcale nie chce z innymi się dzielić. Poza tym Zona nie lubi takich, którzy nie potrafią sami o siebie zadbać. Tutaj trzeba być samotnikiem z konieczności, bo jeśli ktoś tutaj potrzebuje pomocy, to tak, jakby już nie żył.

Skąd zatem „my” jako grupa? Ano też z konieczności; w grupie łatwiej się obronić, grupa pozwala człowiekowi od czasu do czasu spokojnie się przespać. Grupa gwarantuje, że nikt nie okradnie twojego domu, gdy jesteś na wymarszu, pozwala też szybciej i skuteczniej wymienić towar na amunicję, chleb i

lekarstwa. Ale grupa nigdy nie może być niczym więcej niż zbiorem tworzących ją jednostek – w przeciwnym razie Zona zauważy ją i zniszczy. Idziesz czasem na wymarsz z partnerem, owszem, ale nie dlatego, że go lubisz albo że mu ufasz. Ufać masz tylko sobie, lubić możesz moment powrotu do bazy, ale podstawowym warunkiem partnerstwa jest KONIECZNOŚĆ – każdy z nas dałby radę sobie sam, ale w symbiozie jest łatwiej, szybciej i mniej groźnie; zwykła zwierzęca ekonomia sił i środków. Ja osobiście nie lubię chodzić z partnerami, a co dopiero w większej grupie. Nie lubię, i tyle. Człowiekowi wydaje się wtedy, że inni coś za niego zrobią, że go przypilnują, że go wyręcą. Człowiek w grupie czuje się bezpieczny, wrzuca na luz – przestaje mieć się na baczności. Pamiętacie Lewego i studzienkę kanalizacyjną? To był mój ostatni wymarsz w dużej grupie. W Zonie grupa nie tworzy wartości dodanej, ale wartość odjętą – jest MNIEJ niż sumą swoich członków. Wszystko jest kwestią tego, żeby wiedzieć, na który wymarsz jest niezbędna, a na którym człowiek poradzi sobie sam. Ja z założenia chodzę tylko na te drugie, tych pierwszych unikam.

Trzy tygodnie przymusowego urlopu... Dla stalkera Zona staje się z czasem całym życiem, a pomyślcie tylko sobie, że na trzy tygodnie musicie odciąć się od swojego życia. Oczywiście możecie patrzeć na nie przez okno, jak przepływa obok bez waszego udziału, ale nie wolno wam w nim uczestniczyć. Naturalnie, sporo przez ten czas zrobiłem – ponaprawiałem sprzęt, dopieściłem broń, uruchomiłem znów glocka, porządnie odpocząłem... Oprócz tego popracowałem nad dokumentami i zapiskami Łysego, nawet wydaje mi się, że dałem radę w przybliżeniu określić dwa kolejne obiekty ze zdjęć – ale to temat na długi i poważny wymarsz, a ja wyszedłem z wprawy. Nie mogę pójść teraz na głęboki, samotny rajd, bo po prostu z niego

nie wróćę – potrzebuję czegoś prostszego, co pozwoli mi znowu złapać rytm Zony. Czegoś takiego, jak ta właśnie wyprawa.

Dr od czasu do czasu wysyła i odbiera przesyłki z Dużej Ziemi – ma jakiś swój układ z kimś z pobliskiego Kontyngentu Niedanczycze, nie moja sprawa. Istotne jest to, że rutynowe patrole UNFOR od czasu do czasu zbaczają z wytyczonych marszrut. Oczywiście nie robią tego ot, tak sobie, powód jest z pewnością za każdym razem bardzo ważny – a to zaobserwowana nietypowa aktywność anomalna, a to podejrzenie przekroczenia Pogranicza przez uzbrojony element kryminalny, a to przypadek *force majeure* w postaci równie nagłej, co nieszkodliwej awarii sprzętu, która magicznie ustępuje po opuszczeniu terytorium Zony. Dla nas ważne jest to, że te patrole przeważnie notują pewne straty w kontraktowym sprzęcie; a to z samochodu wypadła skrzynka z narzędziami, a to helikopter zgubił jeden z plecaków ratunkowych. Straty te, całkowicie statystycznie nieistotne dla macierzystego batalionu danego patrolu, stanowią istotną pozycję naszej gospodarki na bazie wypadowej Jołcza – plecak amunicji albo skrzynka pełna wojskowych konserw stanowią tu o życiu lub śmierci kilkunastu osób... Oczywiście Dr ma też inne kanały przerzutowe dla eksportu towarów bardziej luksusowych: wódka, prawie świeży chleb z piekarni w Sławutyczach, detergenty, części zamienne do sprzętu i import artefaktów drogą powrotną, ale zaopatrzenie w produkty pierwszej potrzeby: amunicja, żywność, lekarstwa, w całości przechodzi przez rzekomo zabłąkane patrole wojskowe.

Dokładnie coś takiego zlecił mi wczoraj wieczorem Dr – przyszedł do mojej skromnej kwatery i zapytał, czy nie odbiorę transportu. Teoretycznie zawsze można odmówić takiej prośbie, podobnie jak nikt nikomu nie zabroni wyjść w Zonę w samych

gatkach i kapciach z pomponami. Sprawa była jasna – to będzie misja rozgrzewkowa, jak wrócę, to on znowu otwiera mi konto handlowe i idę na wymarsz, dokądkolwiek zechcę. Przy okazji przyzwyczajamy się z Zoną do siebie nawzajem jak z dawną, wymagającą kochanką, którą widzi się po długiej przerwie; obydwie strony pamiętają, jak to się robiło kiedyś, ale potrzeba pewnego okresu wzajemnego dotarcia na nieco niższych obrotach. Marszruta prosta, idę w kierunku starego mostu kolejowego na Dnieprze, cztery kilometry z hakiem na wschód, tam czekam na helikopter, helikopter zrzuca transport, ja odbieram i wracam na bazę; wszystko łatwe, miłe i proste. W teorii. W teorii, bo w praktyce w Zonie nic nie jest proste, z wyjątkiem głupiej śmierci, więc na pewno coś pójdzie nie tak. Zresztą tutaj wszystko idzie nie tak, w końcu to rzeczy niezwykle i nienormalne wyznaczają w Zonie obowiązujący standard.

Idę, nie spiesząc się, nasypem kolejowym pomiędzy rozległymi błotami i rozlewiskami Dniepru. Dokoła mnie, jak okiem sięgnąć, tylko ogromna otwarta przestrzeń, którą po rosyjsku określa się słowem *prastor*, niemającym odpowiednika chyba w żadnym innym języku – to rodzaj takiej pustki, gdzie widać więcej nieba nad głową niż ziemi pod nogami, gdzie widnokrąg pokrywa się z horyzontem, a człowiek odczuwa aż do bólu serca, że jest sam – nie samotny, a właśnie SAM. Tylko czarne punkciki gawronów krążą na tle szarosinych chmur, tylko wiatr porusza trawą na trzęsawiskach w dole. Za mną i przede mną bezkres zardzewiałych i poprzerastanych trawą torów kolejowych, wychodzących znikąd i biegnących donikąd, tonących z obydwu stron w siwym bezmiarze pustej przestrzeni. Po lewej i po prawej rozlewiska i starorzecza potężnej rzeki, zarośnięte rzęsą i dziką trzcina, kryjące Bóg jeden wie co w

swoich zielonoczarnych, napromieniowanych głębinach. Jest cicho, tak cicho, jak potrafi być tylko w Zonie. Jestem sam na sam ze światem – znowu sam, znowu niezależny, znowu szczęśliwy.

Minąłem już połowę drogi – mimo że idę, klucząc pomiędzy starymi i nowymi anomaliami, nakładając drogi, żeby obejść niebezpieczne miejsca i rozmyte przez deszcz fragmenty nasypu. Pociąg służy za nieomylny znak rozpoznawczy. Głębiej w Zonie, gdzie ścieżki płaczą się i nakładają, nie byłbym taki pewien, ale tu jesteśmy na tyle blisko Pogranicza, że nie ma potrzeby powątpiewać w jego realność i położenie w przestrzeni – tak, Pociąg to doskonały punkt orientacyjny. Dlaczego wielką literą? Bo to nie obiekt, a bardziej już nazwa własna. Stara *elektryczka* musiała jechać akurat przez Jolczę do Prypeci, wioząc pewnie pracowników instytutów naukowych i laborantów, gdy w dwa tysiące szóstym Sarkofag bluznął na świat śmiercią i zniszczeniem... Pociąg jest straszny głównie dlatego, że nic mu nie jest – nie ma śladów działania anomalii, nie widać brych bryzgów krwi na oknach, nie szczyrzy zębów szkielet maszynisty zwieszającego się z rozbitej kabiny; nic, po prostu stoi sobie pusty pociąg na szynach. Kiedyś ktoś wysunął przypuszczenie, że może maszynista zatrzymał skład i wszyscy uciekli, widząc, dokąd wiezie ich feralny kurs 12 kwietnia 2006; ale drzwi są zamknięte na głucho, więc nikt z pociągu nie wyszedł. Przez brudne szyby widać w środku plastikowe siedzenia i tandetne wykończenie wnętrza, czyjaś kurtkę z identyfikatorem wiszącą na haczyku, jakieś torby i plecaki na aluminiowych półkach, parasolkę stojącą pod ścianą... I ani śladu ludzi. Co ciekawe, przez te długie lata nikt nie odważył się też do Pociągu wejść, nawet wiedziony przemożną chciwością lub ciekawością silniejszą niż śmierć. No, poza

jednym wyjątkiem – kiedyś Jaszczur i jeszcze jeden idiota, Askar, zdecydowali, że spenetrują skład w poszukiwaniu dokumentów mogących rzucić nowe światło na Drugą Awarię. Mieli jeszcze minimum instynktu samozachowawczego, więc nie pchali się przez drzwi ani okna, tylko umyślili sobie wleźć do środka przez klapę w dachu. Askar był mocno wysportowany – na Dużej Ziemi był chyba motocrossowcem wyczynowym – więc w try miga wspiął się na górę, otworzył łomem luk awaryjny i zabrał się do schodzenia na dół... Jaszczur, żeby nie stracić go z widoku, podszedł bliżej do okien, żeby patrzeć od środka na pierwszego odkrywcę Pociągu – i zobaczył tylko, jak z hukiem zatrzaskuje się właz. No to odszedł kawałek od pociągu, żeby zobaczyć, czemu Askar nie wszedł – a Askara na dachu *elektryczki* już nie było. Nie było go też z drugiej strony pociągu ani nigdzie na torach, ani nigdzie w ogóle, więc najwyraźniej musiał przez tę klapę zeskoczyć do środka. Nie muszę wam mówić, że Askara nikt nigdy więcej nie widział, a do Pociągu przestaliśmy się nawet zbliżać.

*Nocz chłodna, apasjen puć,
wizdzie stait achrana.*

*W rassijskij tył wragu idut –
atrjad Radujewa Sałmana...* Nucąc sobie pod nosem czeczeńskie pieśni powstańcze, szerokim łukiem wymijam stojącą na torach czerwono-kremową żelazną gąsienicę i wspinam się na Nasyp jakieś sto kroków dalej. Stąd wyraźnie widać już potężną, żelazną konstrukcję Mostu – pomnika dawnej myśli inżynierskiej, teraz spinającego świat normalny z obłąkanym i stanowiącego niepisaną granicę Zony. Żeby nie było wątpliwości, Emisje sięgają swoim zasięgiem jeszcze dalej na lewy brzeg Dniepru, ale są już o wiele słabsze, nie tworzą praktycznie żadnych trwałych anomalii ani nie rodzą artefaktów.

Potwory z Zony rzadko tylko zapuszczają się aż tak daleko od Sarkofagu, więc Most de facto stanowi barierę nie do przejścia, szczególnie że, jak na ironię, sam usiany jest anomaliami, nieszczęśliwie groźnymi dla ludzi – dość dobrze widocznymi, rozpoznanymi i oznaczonymi „grawikoncentratami” i „wyżymaczkami”, między którymi czasem przejeżdża nawet wojskowy łązik – dość skutecznie jednak odsiewającymi te mutanty, które pomimo słabnącego pola utrzymującej je przy życiu energii dały radę dotrzeć aż tutaj. Resztę załatwiają wysunięte umocnione posterunki ogniowe Kontyngentu Niedanczycze, dyżurujący w okolicy snajperzy z wielkokalibrowymi armatkami wyposażonymi w celowniki optyczne i przepisowe patrole helikopterów szturmowych. Na jeden z takich właśnie latających, stalowych huraganów zniszczenia mam czekać w okolicy Mostu w nadziei, że zrzuci plecak z zamówionym wyposażeniem zamiast bomby kasetonowej albo pojemnika z napalmem. Rutyna.

Gdy dochodzę wreszcie do Mostu, czuję się nieco niepewny swego – chyba jestem po prostu za blisko drugiego brzegu. Rzeka ma tu jakieś czterysta metrów, do najbliższych dużych drzew będzie jakieś dwieście... Nie, stoją za nisko i za blisko wody. A tamta kępa? Będzie... Przykucam, podnoszę do oczu wojskową lornetkę z podziałką – no tak, tu mamy słup wysokiego napięcia, jeden segment ma jakieś dwa i pół metra, czyli wedle podziałki... będzie coś koło siedmiuset metrów. Niby daleko, niby bezpiecznie, ale na strzał z eswude jeszcze się łapie. Na wszelki wypadek siadam plecami do Mostu w zagłębieniu jednej z podpór konstrukcji – niewiele widzę, ale i mnie nie widać, od strony Mostu nic nie przyjdzie, cały Nasyp i Zonę mam przed sobą. Kładę *Zbawiciela* na kolanach, wyciągam z ładownicy paczkę wojskowych sucharków – *priwał*, czyli

odpoczynek. Trzeba będzie trochę poczekać... Przymykam jedno oko, zanurzając się po pas w nurt niemyślącego otepienia.

I wot w sjelje zasjeli wy,

nad wami krużat wjertaljoty... – znów nucę pod nosem, słysząc narastający huk łopat wirnika potężnej wojskowej maszyny. Spokojnie, nie wykonując gwałtownych ruchów, podnoszę się, rozciągam zastane mięśnie i skrajem wybetonowanego nasypu ześlizguję pod Most, wchodząc jak najgłębiej w cień przyczółka. Teoretycznie nie powinni akurat polować na stalkerów, ale procedury swoje mają – jak mnie zobaczą, to pociągną profilaktycznie serią z działka, a wtedy witaj smutku, tutaj ostrożności nigdy dosyć.

Ogromny Mi-24 wyłania się z za zakrętu rzeki, sunąc majestatycznie ponad wodami Dniepru w chmurze wodnej mgły. Odruchowo wciskam się głębiej pod dźwigary Mostu – jednak pierwotny strach przed wielkimi gadami jest głęboko zakorzeniony w podświadomości człowieka, a Krokodyl jest chyba najstraszniejszym z polujących tu mechanicznych drapieżników. Czytałem dawno temu wywiad z jakimś ministrem, który podobno we wczesnych osiemdziesiątych ganiał z mudzahedinami po górach Afganistanu – facet mówił tam, że nawet po dwudziestu latach chowa głowę w ramiona i kuli się w sobie, gdy słyszy dźwięk nadlatującego helikoptera. No, nie dziwię mu się. Mi-24, zwany pieszczotliwie *Lietajuszczym Tankom*, jest chyba szczytowym ogniwem trendu ewolucji broni, który popychał niegdysiejszych inżynierów do tworzenia potworów w stylu mózdzierzy obłężniczych kalibru osiemset milimetrów albo siedemdziesięciotonowych niszczycieli czołgów. Dwudziestometrowe monstrum obleczone w pięć milimetrów pancernej blachy, wyposażone w kuloodporne szyby, karabiny, automatyczny granatnik,

czterolufowy enkam i wyrzutnie raket niekierowanych, zdolne jest dosłownie zmieść z powierzchni ziemi każde zagrożenie – a jakby tego było mało, w swoim przepastnym brzuszysku potrafi przewieźć jeszcze ośmiu żołnierzy desantu. Nie, lepiej nie pchać mu się na widok.

Krokodyl przelatuje pod liniami wysokiego napięcia i schodzi majestatycznym trawersem ku Zonie, podnosząc nieco lot, aby uniknąć sfery działania anomalii naziemnych – głębiej ku Sarkofagowi istnieją też powietrzne, ale tutaj raczej nie występują. Wychylam się nieco ponad nasyp, żeby nie stracić z widoku miejsca zrzutu; śmigłowiec leci kawałek wzdłuż linii kolejowej, potem szerokim łukiem zawraca ku Mostowi, przelatuje na drugą stronę rzeki, wraca nad Zonę, chwilę krąży nad Pociągiem, znów mija Most i zawisa nad przeciwległym brzegiem... Co jest, do ciężkiej...?

Wiedziony straszliwym przeczuciem, wyszarpuję z pokrowca lornetkę, kieruję szkła na śmigłowiec i łapię ostrość – widzę, jak maszyna zawisa nieruchomo w powietrzu, potem stopniowo, powoli schodzi niżej i niżej nad ziemię, ponad jedną z niedokończonych betonowych wylewek... NIE! NIE! NIE! A potem otwierają się na chwilę drzwi przedziału desantowego, bezkształtny tłumok wypada z wnętrza śmigłowca, zaraz za nim leci ciągnąca za sobą pióropusz zielonego dymu flara, drzwi się zamykają, Krokodyl nabiera wysokości i odlatuje gdzieś na północ. Odrywam oczy od lornetki, mrugam w osłupieniu, raz jeszcze podnoszę ją i spoglądam na przeciwległy brzeg Dniepru, gdzie zjadliwego koloru chmura ciągnąca się z leniwym wiatrem wyznacza miejsce zrzutu. No chyba jaja se robicie...

Dobra, byle spokojnie... Siadam na szynie, drżącą ręką wyciągam z kieszeni papierosa, próbuję zapalić ogienek – raz, drugi, trzeci pstrykam zapalniczką, w końcu wyrzucam i

papierosa, i zapalniczkę do wody. Cholera! Podnoszę się, otrzepuję, ruszam na Most, staję, zawracam, robię krok w kierunku Zony, staję, kręcę się w miejscu, w końcu w bezsilnej złości uderzam dłonią w żelazny dźwigar. CHOLERA JASNA! Biorę głęboki oddech, drugi, czuję, jak złość i inne niepotrzebne emocje zaczynają parować mi z głowy. No dobra, trzeba będzie się na drugi brzeg przeprawić. Zakładałem, że coś pójdzie nie tak, ale nie, że aż tak bardzo; zadzieram głowę do ołowianego nieba i uśmiecham się gorzko.

– Ja również się cieszę, że znowu się widzimy. Też tęskniłem.

Zona nie odpowiada, ale też i nie musi. Skoro dopełniliśmy formalności przywitania, można zacząć grę wstępną.

Bardzo, ale to BARDZO nie uśmiecha mi się perspektywa spaceru przez most kolejowy nad nurtem Dniepru. Nie to, żebym tego nigdy nie robił – zdarzało się, a i owszem – ale właśnie dlatego mi się to nie uśmiecha, bo wiem, co może czekać po drugiej stronie. Stąd raptem pięć kilometrów do bazy Kontyngentu, położonej za niegdysiejszym pasiołkiem Niedanczycze, dawnego węzła logistyczno-spedycyjnego, teraz zamienionego w stalowo-żelbetową fortecę okoloną kręgami drutu kolczastego i najeżoną lufami stanowisk ogniowych, której dowodzący wciąż żyją w przekonaniu, że poprzez utrzymywanie wysokiego stanu gotowości można być przygotowanym na niespodzianki, które potrafi zgotować Zona, a żołnierzy można zahartować do przyszłych trudów odbicia tej ziemi dla dobra całego człowieczeństwa. Stąd właśnie patrole śmigłowców wzdłuż linii Dniepru, stąd żołnierze na beteerach jeżdżący w tę i we w tę po drugim brzegu – no i w końcu snajperzy.

Snajperów boję się najbardziej, bo to zawodowcy. Desant na Krokodylu chowa się za pancierzem i polega na sile ognia,

żołdacy na transporterze opancerzonym jadą za szybko i za głośno, żeby stanowić jakiekolwiek realne zagrożenie dla samotnego stalkera – a snajperzy to samotnicy, podobnie jak my zdani tylko i wyłącznie na siebie, zatem doskonale kalkulujący siły i możliwości, a przez to śmiertelnie niebezpieczni. Rzadko kiedy biorą pod ostrzał Most, ale głupio byłoby się podłożyć... Biorę jeszcze jeden głęboki oddech i spokojnym krokiem wchodzę na żelazną konstrukcję.

Idę od kolumny do kolumny, od przęsła do przęsła, w pełni skoncentrowany i spokojny – strzelba zarzucona na plecy, w rękę tylko garść muterek do testowania drogi. Kilka kroków, stop, przykucnąć, popatrzeć, wsłuchać się w wiatr, znowu parę kroków, przylgnąć do zimnej, stalowej powierzchni, rozejrzeć się przez lornetkę. Na szczęście jest dość szarawo i mgliście, nie najlepsze warunki na długi strzał... Chociaż krótkiego też wolałbym uniknąć. Wymijam pierwszą „karuzelę”, kręcącą wirem suchych liści i piachu w oczekiwaniu większej zdobyczy, za nią widzę fachowo obrysowany fluorescencyjną farbą „grawikoncentrat” – no, wojaki się uczą... Po prostu chlusnęli z wiadra na gęsto – tam gdzie farba zwyczajnie leży, jeszcze można chodzić, a miejsca rozmywających się koncentrycznie smug to już obszar działania anomalii. Jak na nich, to nawet niegłupio.

W połowie długości Mostu robię sobie przerwę – przysiadam na przęsle, zwieszam w dół nogi, sięgam po papierosy. Cholera, przecież wyrzuciłem zapalniczkę. Patrzą tępo na paczkę bielamorów, potem ujmuję ją w dwa palce, puszczam i obserwuję, jak niknie w dole, lecąc ku odmetom Dniepru. Dawno już była pora rzucić, a moment odpowiednio epicki; nie wypada w Zonie umrzeć na raka płuc akurat. Zamiast zapalić papierosa, pociągam wody z manierki, łykając przy

okazji dzienną porcję Doktorowego antyradu – pocę się po tym jak świnia, śmierdzą jak szambo, zaczerwieniona skóra na twarzy i dłoniach złuszcza się płatami, ale lek działa, bo licznik daje już nieco łaskawsze odczyty.

*No pradałżajut ich bambić
i wjertaljot agniom grachoczet,
„Nam nada rwacsa na praryw” –*

i źdzjot Sałman prichoda noczi... – fałszuję pod nosem, patrząc na noski moich ciężkich buciorów dyndające ponad wodą. Może faktycznie warto poczekać do wieczora? Ciszej, spokojniej, nie byłoby mnie widać... E, bzdura – jeżeli będzie tam snajper na wachcie, to i tak mnie wypatrzy przez noktowizor i ustrzeli jak kaczkę. Prędzej się w dzień ukryję, niż jak będę próbował przechytrzyć wroga z tak ewidentną przewagą technologiczną. Diabli nadali, przecież ja nie mam sprzętu na taką wyprawę – na sobie tylko podstawowe wyposażenie, pas z nabojami i dwie małe ładownice z lekarstwami, przecież ten plecak będę na plecach targał, a to może ze trzydzieści kilo ważyć... Cholerny świat, no! Łapie mnie straszna ochota na papierosa, ale paczka wpływa już pewnie do Kijowa. Wzdycham ciężko, podnoszę się, rozglądam w lewo i prawo – czysto. Sięgam do kieszeni po muterki, ruszam dalej ku drugiemu brzegowi.

Smród czuję już z daleka, truchło dostrzegam nieco później – mięsak leży dokładnie na środku Mostu w burobrązowej kałuży krwi, odchodów i ropy. Póki mnie nie zatchnie, naciągam filtr na twarz i omijam ścierwo brzegiem Mostu... Rozkład i gawrony zrobiły już swoje, ale nie ma wątpliwości co do przyczyny śmierci tego dość ohydneho stwora – potężny otwór wlotowy po wielkokalibrowej kuli i rozrzucone po stronie wylotu wnętrzności dostatecznie wymownie potwierdzają

zasadność moich wcześniejszych obaw – czyli tutaj już mają zasięg. Przyspieszam kroku, próbując jak najszybciej minąć feralne miejsce, bo ptaki i tak już zaniepokoiły się moją obecnością, kilka kracze nerwowo, siedząc na wyższych przęsłach, a jak ucieknie jeden, to poderwie się całe cholerne stado... Na szczęście wiatr idzie wzdłuż rzeki, więc jeszcze kawałek i zdejmuję respirator, przykucam za podporą i lustruję okolicę przez lornetkę. Chyba nikogo nie ma... Jeszcze kawałek i zejść na przeciwległy brzeg, a tam już powinno być łatwiej. Powinno.

Czuję się nieco nieswojo, gdy zbliżam się do ciemnych otworów strzelnic fortyfikacji na drugim brzegu – w Zonie człowiek się uczy, że jeżeli nie wie, czy w tym ciemnym pomieszczeniu coś jest, to zazwyczaj jest. Patrząc w lufy wystających z bunkrów enkamów NSW kaliber czternaście i pół milimetra i jak zwykle mam nadzieję, że nic mi się nie stanie.

Fortyfikacje drugiego brzegu to zupełnie odrębny temat. Po Pierwszej Emisji w dwa tysiące szóstym, gdy narodziła się Zona, ta część Ukrainy ucierpiała najmniej – mimo wszystko dwie kolejne rzeki znacznie osłabiły pęd anomalnych fal mutagennej energii, więc za Dnieprem nie utworzyły się nawet stałe ogniska anomalii. Mimo to, dość rozsądnie zresztą, ewakuowano całe liczące siedmiuset trzydziestu mieszkańców Niedanczycze, zaś okolice wsi zamieniono w jeden wielki obóz wojskowy, mający zagwarantować bezpieczeństwo nie tak znów odległych Sławutycz. Myśląc kategoriami standardowej wojny i standardowego przeciwnika, dowództwo podjęło decyzję o utworzeniu ufortyfikowanego przyczółka przed mostem kolejowym – na zasadzie bazy wypadowej do stopniowej rekonkwisty przeciwko Zonie. Święta naiwności niewinnego

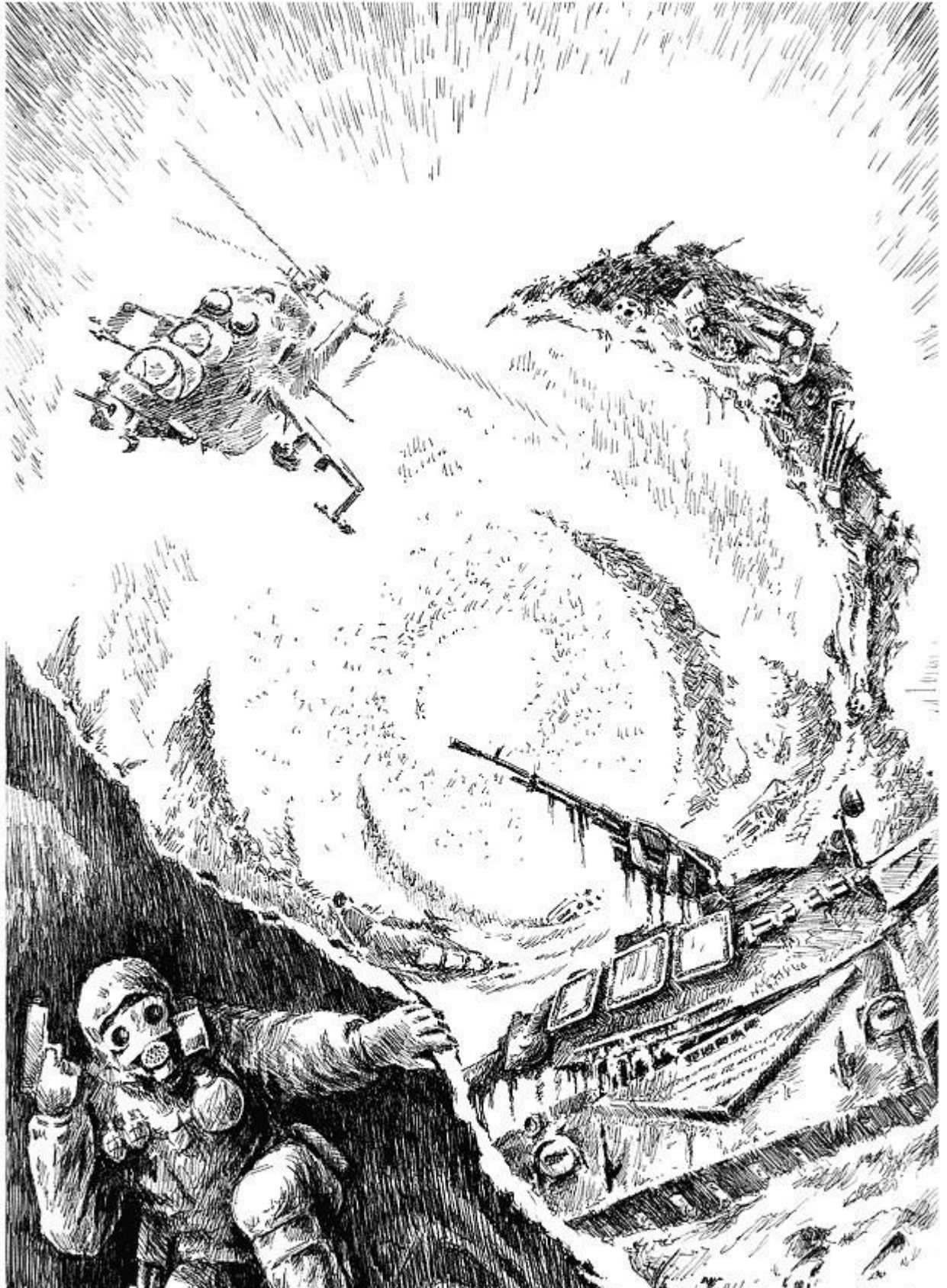
wówczas jeszcze świata! Dość powiedzieć, że ogrom prac inżynierskich wykonanych tu w ciągu zaledwie dziewięciu miesięcy jest imponujący – podobno robota wrzała dzień i noc, specjalne pociągi towarowe zwoziły non stop ziemię i gruz, przy pomocy których niegdyśszą główkę nasypu powiększono do rozmiarów sporego cypla o płaskim wierzchołku średnicy ponad dwustu metrów. Ilość zaangażowanego w to ciężkiego sprzętu robi wrażenie po dziś dzień – spychacze i koparki, czołgi inżynierskie i walce... Całość oczywiście solidnie umocniono i zabetonowano, po czym na tak przygotowanym podłożu rozpoczęto budowę Umocnionego Kompleksu Wojskowego WUK-1, co upamiętnia spizowa tablica pamiątkowa z wmurowania kamienia węgielnego przez samego Janukowycza, który ponoć osobiście nadzorował postępy prac wokół Zony. Zbudowano zatem kilka potężnych żelbetowych bunkrów ogniowych, czyli po rusku DOT, broniących podejścia od strony Zony i flankujących imponujących rozmiarów żelazną bramę na torach, przez którą w założeniu pewnie miały wyjeżdżać na zakazane terytorium pancerne pociągi pełne odważnych *desantników* gotowych oddać życie za pokój na świecie. Postawiono z prefabrykatów kwatery dla budowlańców, przygotowano betonowy szkielet dla budynku dowództwa, rozpoczęto budowę koszar i kantyny oraz specjalnej boczniczy dla wojskowych elektrowozów, poczyniono też plany rozbudowy kompleksu na ponad kilometrowej długości wzniesieniu, które powstałoby po połączeniu bazy z nasypem nieistniejącej już drugiej nitki tymczasowych torów na południu. Jednym słowem, wojsko spisało się naprawdę na medal.

A potem przyszła Druga Emisja i rozpiżdziła to wszystko w drobny mak.

No, nie była to Emisja taka, jakie widuje się głębiej w

Zonie, ale i tak wystarczyło. Już wam mówiłem, że Zona nie lubi buńczucznych planów – tutaj uderzyła z pełnym gniewem wściekłego bóstwa, gotowego na wieki pokarać mrówczy lud, który umyślił sobie wznieść kolejną wieżę Babel. Ilość anomalii, jakie musiały powstać na tym stosunkowo niedużym terenie w czasie pojedynczej Emisji, musiała być porażająca – do dziś świadczą o tym powykręcane i pozwijane jak mokre ścierki ramiona żurawi budowlanych, kałuże metalu ze stopionych czołgów, hałdy zeszlonego piasku i żwiru oraz idealnie sferyczne leje po potężnych anomaliach grawitacyjnych, które w jedną jedyną noc obróciły w perzynę marzenia ludzkości o jakimkolwiek wpływie na losy świata. Jedną z koparek odrzuciło aż na brzeg rzeki, a tory kolejowe podniosło do pionu, skręciło w warkocz i zawinęło w obwarzanek. Trudno powiedzieć, ile musiało przy tym zginąć ludzi, ale przesłanie dotarło, bo od tamtej pory nikt nie próbował budować niczego w Zonie ani w jej pobliżu, a projekt WUK najwyraźniej zarzucono, w każdym razie ja o żadnych innych nie słyszałem.

I to gdzieś tutaj ten cholerny śmigłowiec zrzucił mój plecak!



Ostrożnie, z bronią w pogotowiu podchodzę do pomarszczonych jak mokra kartka i skorodowanych wrót – rdza sypie się z nich płatami, a jak pierwszy raz tu byłem, to jeszcze wyglądały prawie jak nowe. Słuchawka licznika trzeszczy ostrzegawczo, więc nie zatrzymując się zbyt długo, wślizguję się na teren niedobudowanej bazy – nigdy nie lubiłem tego miejsca, no ale co zrobić. Na szczęście omijają je też wojskowi, najwyraźniej nie chcący prowokować losu bez wyraźnej potrzeby – czasem zapanuje tu patrol szkoleniowy, na którym doświadczony sierżant objaśnia rekrutom, czym grozić im może Zona; to prawie tak, jakby na podstawie odchodów tygrysa próbować sądzić o jego szponach, ale trepy to specyficzny naród. Podobno nasi koledzy z kontyngentów słowiańskich i tak radzą sobie lepiej niż ci amerykańscy lalusie w wypranych i zaprasowanych w kancik mundurach naszpikowanych elektroniką albo trzymający się procedur i regulaminów frajerzy z armii Zachodu. Rozglądam się ostrożnie po krajobrazie niczym z filmu dokumentalnego o apokalipsie, próbując wykncypować najbezpieczniejszą marszrutę dojścia do dwupiętrowej betonowej wylewki, gdzie – jak sądzę – zrzucił dostawę ten durny pilot. Są schody, a jakże, ale będę tam jak na strzelnicy... Chyba że podejdem od północy, gdzie część niedoszętego budynku osiadła i połamała się niczym krakersy na dnie plecaka. Tam nie będzie aż tak komfortowo, ale żelbetowe płyty zasłonią mnie chociaż trochę przed ciekawskim wzrokiem kogokolwiek, kogo Zona mogła tu dziś zesłać na moje nieszczęście.

Przebiegam koło stopionej ściany lewej kaponiery, nurkuję za stos stalowych belek nośnych, które jakaś potworna siła podniosła kiedyś w górę, skręciła o pół obrotu w dwóch przeciwnych kierunkach i tak powstała kokardo-wiązkę

delikatnie ułożyła na poprzednim miejscu. Nie odważę się wejść do osmalonego wnętrza baraku dla budowlańców – nie, i tyle – więc przeczołguję się dalej, obok wraku koparki błyszczącej polerowaną stalą. Ogromna maszyna wygląda tak, jakby gigantyczna sprężarka do piaskowania dmuchnęła na nią z jednej strony, zdzierając do żywego farbę i podkład i zamieniając szyby w półmatowe tafle... Ciekawe, bo nigdy nie widziałem nic podobnego w Zonie; no ale z drugiej strony wielu rzeczy nie widziałem w Zonie i zobaczyć pewnie nie chcę. Wyglądam ostrożnie zza lśniącej gąsienicy – chyba nikogo ani niczego tu nie ma, czyli trzeba mieć się na baczności. Chowając się i klucząc pomiędzy najprzeróżniejszymi elementami placu budowy i śladami działalności pełnego wachlarza anomalii, docieram już do połowy zamierzonej trasy, gdy echo przynosi odległy ryk silników. Nie ma wątpliwości – BTR-94, sądząc po nakładającej się intonacji, co najmniej dwa. Słucham chwilę, jak transportery opancerzone to znikają, to pojawiają się w mojej fonii, zjeżdżając zapewne w dolinki i wyłaniając się znowu na wzgórzach. Ruszyli dwa beteery, no proszę, proszę... I jeszcze coś, czego nie mogę akurat rozpoznać, ale wyraźnie słychać nutę trzeciej maszyny, narastającej niepokojąco znajomym łomotaniem. Co jest, manewry sobie jakieś urządzili, idioci?! Przypadam do ziemi i wczołguję się pod porzuconą wojskową ciężarówkę, gdy niebo nade mną przecina potężna sylwetka Krokodyla. Fak, fak, fak! Co jest grane?! Mam nadzieję, że to nie z powodu mojej skromnej osoby taka defilada, bo jeżeli tak, to czeka mnie tak zwana *chana* – wleźć na WUK to do mnie nie wleżą, ale rakietami niekierowanymi poczęstują... Co ja gadam, ze zwykłego działka pokładowego ustrzelą. To nieprawda, że stalkerów prawo traktuje jako przestępców czy potencjalnych terrorystów – dla wojskowych wszystko, co wychodzi z Zony, to

jej bękarty, więc po prostu mnie rozwała, i tyle.

Na szczęście Mi-24 przelatuje nade mną tylko ten jeden raz – potem słyszę, jak robi jeszcze ze dwa kręgi gdzieś w kierunku bazy Kontyngentu i odchodzi dalej, wkrótce w ogóle cichnąc i znikając z tła dźwiękowego. Beteery wyją i ryczą silnikami, ale nie podjeżdżają dużo bliżej – spokojnie, ja mam czas, ja poczekam, jak to głosiła przedwojenna piosenka. Spoglądam tylko jeszcze na dozometr – na szczęście wskazóweczka skali nie wychyliła się zbyt, więc najwyraźniej promieniowania tu dużego nie ma. Nawet tabletek z jodem więcej ze sobą nie wziąłem, *czort pabieri...* Takie są skutki chodzenia na łatwe i przyjemne wycieczki niedaleko od bazy w bezpiecznym i znanym kierunku. Mówiłem, że coś pójdzie nie tak? No mówiłem. Sam sobie jestem winien.

*I wot w sjelie zasjeli wy –
nad wami krużat wiertalioty,
was miortwoj chwatkoi akrużyw –
trajnym kalcom piechoty.
Słażyć arużje, zdacca w plien*

i wam abieszcziana paszcziada... – cały czas dźwięczy mi w uszach natrętny fragment piosenki ze zdartej taśmy magnetofonowej. Leżę tak pod tą ciężarówką chyba z pół godziny – aż minie wszelkie potencjalne zagrożenie i jeszcze chwilę dłużej. Co to jest pół godziny, phi... Kiedyś siedzieliśmy z Buolkim w starej piwnicy dwa dni, czekając, aż zniknie „elektra”, która po Emisji zablokowała nam wyjście. To znaczy akurat po dwóch dniach znikła, bo jakby nie to, tobyśmy tam zdechli jak przysłowiowa *sabaka* pod płotem.

Powoli, ostrożnie wyłączę z kryjówek, wsłuchuję się w odgłosy otoczenia – niby spokój, ale bynajmniej nie cisza. Po tej stronie Dniepru czuję się jednak nieswojo, tutaj i ptaki już

słysząc, i wiatr niesie jakieś dalekie odgłosy z Dużej Ziemi. Pewnie tak czują się normalni ludzie w Zonie, która na początku poraża ciszą i pozornym bezruchem. Rozglądam się, wybieram nową (w stalkerskich kategoriach poprzednia już się zdezaktualizowała) trasę do dwupiętrowego *niedostroja*, ruszam ku białej do połowy w ziemię kilkutonowej przemysłowej betoniarni, przesuwam się plecami do żelbetowego postumentu najeżonego prętami zbrojeniowymi, zwiniętymi ku górze w idealną spiralę – musiała tu działać potężna „karuzela”, aż strach myśleć. Do zwalonej ściany niedoszłego budynku jeszcze dwadzieścia–trzydzieści kroków, trzeba ostrożnie – jednak zdołałem przez te trzy tygodnie: brak oddechu, osłabł mi refleks i nogi się szybko męczą. Skądś dobiega mnie ryk silnika betiera, zamieram, ale maszyna musi być gdzieś daleko, bo po chwili echo cichnie i gaśnie w oddali. Nie podoba mi się ten ruch na Pograniczu dzisiaj, oj, nie podoba. Nie na darmo chyba jak idiota szedłem w prysiadach po tym Moście, klucząc jak pijany i chowając się niczym paranoik za tregami – niewykluczone, że leżałbym teraz gdzieś tam z przestrzelonym płucem i dławił się własną krwią.

Dochodzę w końcu do rogu betonowego szkieletu, rzucam jeszcze raz okiem na zapraszająco szerokie schody... Nie. Zarzucam strzelbę na plecy; ostrożnie wybierając oparcie dla stóp i łapiąc się rękoma za zbrojenia wystające ze szczelin w potrzaskanych płytach, zaczynam powoli pięć się do góry, co i rusz oglądając się za siebie, czy nie wystawiam się za bardzo na widok ponad murem okalającym WUK-1. Na wysokości pierwszego piętra pokonuję odruch paniki i wciskam się między dwie leżące ukośnie płyty stropowe – wiem, że trzyma je w miejscu kilkadziesiąt ton żelbetu, że nie ruszyły się ani o centymetr od momentu, gdy jedna oparła się o drugą, że nie ma

możliwości, żeby mnie zgmiotły... Ale strach i tak pozostaje. Nie jest tu najwygodniej, ale pełznę tym wąskim, klaustrofobicznym korytarzem ku górze, wiedząc, że jeszcze tylko kawałek i dam radę wydostać się na drugie piętro, a tam...

Wypelzam na górę, po prostu przekręcam się na plecy i chwilę tak leżę, patrząc się w niebo; budowlańcy zdążyli postawić tu dwa rzędkie cegieł, zanim Emisja zamieniła ich w bezmózgie warzywa, więc nawet jeżeli ktoś obserwuje ten budynek, to nie powinien mnie zobaczyć. Starając się trzymać jak najniżej, odwracam się na brzuch – JEST. Wypalona wojskowa flara, rozciągnięty po posadzce zielony ślad substancji barwiącej, a zaraz obok spory, brezentowy plecak starego typu. Nawet teraz widzę, że wypchany po brzegi... Podczołguję się bliżej, gdy łapię go ręką, zauważam tylko przymocowaną do klapy przypinkę z uśmiechniętą buźką. Dowcipne wojskowe dupki. Pociągam plecak do siebie – ożeż ty w trąbę, co oni tam, kamieni nawalili do środka? Niezbyt łatwo jest mi ruszyć taki bezwładny ciężar; sapiąc i warcząc, odholowuję go do krawędzi budynku, przepycham dalej i spuszczam na lince na dół – blokuje się co prawda o jakiś występ po drodze, no ale jakoś go stamtąd już zdejmę. Uff... Zasapałem się i spociłem jak diabli, jednak przymusowy urlop wcale nie wyszedł mi na dobre – słaby jestem po tej kuracji antyradiacyjnej. No, ale w końcu lepiej słaby niż martwy. Mam przemożną ochotę zapalić, ale po pierwsze nie tutaj, po drugie i tak nie mam papierosów. Wykręcam się tyłem do betonowej pochylni, wciskam z powrotem pomiędzy dwie płyty, ześlizguję niżej, wychodzę na pięterko. *Wsjo, priwał nada* – muszę trochę odsapnąć, zanim...

– *Ruki wwierch! Stoj na miescie, suka!*

Zamieram. Powoli podnoszę ręce w górę, odwracam się do człowieka trzymającego mnie na muszce kałasznikowa... Bogu

dzięki, nie wojskowy – ten by nie gadał, tylko od razu strzelił.

– *Ruki dalsze od broni trzymaj! Automat na ziemię rzuć, ale powoli!*

– Automata u mnie nie ma, ty *szto*, ślepy? – z przekąsem zapytuję mojego bandytę. – Ty widzisz, u mnie strzelba na plecach wisi. Jak mnie ją niby rzucić, kiedy *ruki wwierch*, a?

– Ty... to *ruki wwierch*, ty broni nie dotykaj! – słyszę nerwowe nutki w jego głosie. Przyglądam się uważnie twarzy patrzącej na mnie wzdłuż lufy AK; niegolony ze cztery dni, błyszczące adrenaliną i niewyspaniem oczy. Łokieć podniesiony za wysoko, więc widać, że nie zawodowy strzelec. Frymuśny kamuflaż myśliwski renomowanej zachodniej firmy, buty za pół tysiąca baksów, kontraktowe oporządzenie którejś z armii NATO – teraz to wszystko ubabrane błotem i w strzępach, tu naderwana kieszeń, tu już puściły szwy i zmechaciły się rzekomo niezniszczalne rzepy... Chłoptaś musiał wydać na to pseudowojskowe barachło niemałą fortunę, nawet taki naszpikowany elektroniką licznik Geigera z odczytami promieniowania alfa, beta i gamma (nie wiem po co, swoją drogą), co dynda mu na kamizelce w modnym ostatnio wśród heteroseksualnych inaczej systemie MOLLE, kosztuje na Dużej Ziemi tyle, że można by za to kupić u Dra niezłą skrzynkę amunicji kalibru dwanaście. I jeszcze tak potwornie kaleczy akcent... Opuszczam powoli ręce.

– Dzieciaku, zabierz mi tę pukawkę sprzed twarzy.

– *Ja że ciebie gawarił, ruki wwierch! Ty... ty też Polak jesteś?* – Opuszcza trochę lufę, mruga oczami.

– Ja stalker jestem, dzieciaku. Opuść broń.

– Ręce do góry, człowieku! – Podrzuca znowu kałasza, ja podnoszę posłusznie otwarte dłonie, bo widzę, jak mu latają ręce, jeszcze gotów mi przypadkiem w brzuch strzelić. –

Żadnych głupot, bo cię rozwalę!

– Dobra, jasne. – Wydymam pogardliwie wargi. – Tak jakbyś do kogoś w życiu strzelał.

– Strzelałem! I nie zawaham się! – Nie podobają mi się wysokie, histeryczne nutki w jego głosie, oj nie. – A skąd niby mam kałasza, co?

Patrzę chwilę na AKS-74 w jego rękach.

– Nie zabrałeś go chyba żołnierzowi, prawda? Powiedz mi, że nie zastrzeżyłeś żołnierza i nie zabrałeś jego broni.

– A jakże! – puszy się chłoptaś. – Miałem tylko mojego wiernego USP, a teraz mam też jego karabin!

„Wiernego USP”. Jezu.

– I pewnie wydaje ci się, że zostaniesz stalkerem? – pytam go zrezygnowany.

– Jestem stalkerem! – Robi krok w moją stronę, widzę, jak bieleją mu kłykcie ręki ściskającej broń. – Wszedłem do Zony, więc jestem stalkerem!

– Do Zony jeszcze kawałek – kręcę głową – a jeśli zabiłeś wojskowego, to jesteś trupem, nie stalkerem. Daleko w tym gównianym wdzianku nie zajdziesz... Opuść broń, chłopcze.

– Ani kroku! – krzyczy zdecydowanie zbyt głośno aspirujący stalker-bandyta, więc ja odruchowo przytulam się do ściany i strzelam oczami na lewo i prawo, starając nie wystawiać się na widok z żadnej strony. – Wyskakuj też ze swojego sprzętu, dawaj amunicję!

– Ty na mnie tu czekałeś, bydlaku jeden. – Spływa na mnie oświecenie. – Czekałeś w zasadzce na stalkera, bandyto za trzy grosze.

– Widziałem helikopter i flare! – Podnosi dumnie głowę. – Ukryłem się tu, jak mnie gonili, bo wiedziałem, że ktoś po to przyjdzie. A teraz zaprowadzisz mnie do Zony!

Przez chwilę nie mówię nic, po prostu patrzę na lekko frenetycznego kolesia nadal trzymającego mnie na muszce. Cholera, karabin ma odbezpieczony, więc łatwo nie pójdzie...

– Śmigłowiec, a nie helikopter. A ja cię do Zony nie zaprowadzę, chłopcze, bo nie jestem przewodnikiem. Wracaj do domu.

Widzę, jak przez głowę przelatuje mu tabun najróżniejszych myśli. Strzeli, nie strzeli?

– Co jest w plecaku? – Pokazuje ruchem lufy za mnie. Strzeli, ale przypadkiem, i to w brzuch, jak mi Zona miła.

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Towar dla Dra.

– To teraz mój plecak! – Oblizuje nerwowo usta. – Pierwszy tu byłem, mam do niego prawo!

– Okej, jak powiesz.

– Naprawdę? – Widzę, że szczerze się zdziwił. – Mogę go wziąć?

– Jasne. A ja wtedy cię zabiję, żeby go odebrać i zanieść człowiekowi, który za niego zapłacił.

– To zabiję cię pierwszy! – Przytula się do kolby policzkiem, widać, że szuka oparcia w sile broni. Musiał nieźle dostać w dupę przez te kilka dni, ale jeżeli zabił ukraińskiego wojskowego... Wojsko jest na te sprawy strasznie czułe, więc prawie mi go szkoda. – Zabiję cię!

– Strzelaj – mruczę pod nosem. – Byle szybciej, bo strasznie mi się jarać chce.

Powiew wiatru łopoce połą jego kurtki, podnosi chmurę pyłu z dołu.

– No i co? – pytam drwiąco. – Dlaczego nie strzeliłeś?

– Odepnij lewą ręką strzelbę i trzymając za lufę, połóż na ziemi. Tylko powoli! Potem odwróć się i kładź się twarzą w dół na podłodze... Bez żadnych sztuczek!

– Tylko strzelbę czy pistolet też mam wyjąć z kabury?
– Pistolet też! I bez sztuczek!
– Wiesz co, chłopcze, zrobimy inaczej. – Opuszczam rękę.
– Zapomnimy o naszym niefortunnym spotkaniu i zaczniemy od początku. Opuść broń, porozmawiamy normalnie.

– Ręce do góry! – wrzeszczy młody idiota. Cholera, zaraz nam śmigłowiec na głowę ściągnie.

– Nie. – Kręcę głową. – Opuść broń, a zaprowadzę cię do Zony.

– Na... naprawdę? – Opuszcza trochę lufę. – Weźmiesz mnie?

– Tak.

Tak będzie prościej i bezpieczniej, a potem się zobaczy.

– Opuść tylko broń. – Wyciągam do niego rękę. – Wołają mnie Miszka, czyli Miś.

– Ale... – on też wyciąga do mnie dłoń, robi krok, żeby podejść bliżej – ale ja też jestem Miś.

Nasze ręce prawie dotykają się już palcami, spotykamy się wzrokiem – jakbym patrzył w lustro trzy lata temu...

Trzask fali dźwiękowej, uderzenie lecącego siedemset metrów na sekundę sześćdziesięciogramowego pocisku dwanaście i siedem milimetra w kruche ludzkie ciało i ohydny odgłos plaśnięcia tkanek miękkich o betonową ścianę przychodzą chwilę przed tym, jak potężny huk wystrzału przetacza się echem gromu nad całym Pograniczem. Patrzę tępym wzrokiem na pokrytą krwią i strzępami skóry krawędź budynku, za którą znikło to, co zostało z głupiego, młodego chłopaczka, który tak jak ja niegdyś przyszedł do Zony tylko z pistoletem. Ja też zdobyłem pierwszą porządną broń na wojskowym.

Uważając, żeby nie wejść w żaden prześwit, czołgam się ku

pochylni zwałonej ściany, zjeżdżam na brzuchu na dół. Mocuję się chwilę z plecakiem, który zaczepił o wystający pręt zbrojenia, w końcu zarzucam sobie pieruńsko ciężki ładunek na plecy, robię kilka chwiejnych kroków ku strzępowi, odrzuconemu siłą uderzenia kilka metrów od ściany budynku. Pochylam się nad zmasakrowanymi resztkami – widywało się gorsze w Zonie, anomalia nie takie rzeczy potrafi zrobić z człowiekiem, ale śmierć zawsze porusza. Przyklękam nad ciałem, pogrążam się na chwilę w cichej zadumie nad kruchością ludzkiego żywota, potem sięgam do przedniej kieszeni zalanej krwią nowiutkiej wojskowej kamizelki i wyciągam stamtąd paczkę L&M.

Przechodzę przez łuszczące się rdzą wrota prowadzące do Zony, mijam ziejące pustką strzelnice kazamatów. Otwieram paczkę, wytrząsam i wkładam do ust papierosa. Cholera, nie mam przecież zapalniczki. To nic, odpali się od jakiegoś „żarnika” po drodze.

*Abratnyj puć Sałmanu dan –
i wot granica, Dagiestan...* Znad Dniepru podnosi się wilgotna, gęsta mgła.

Zona otwiera ramiona na powitanie.

*W rozdziale wykorzystano fragmenty
pieśni „Pierwomajskoje” Timura Mucurajewa*

Bocznic

Nie lubię ja w takie miejsca chodzić.

Nie lubię, i tyle. Każdy ma jakieś swoje upodobania i nawyki, jedni chodzą „na macanego”, rzekomo czując anomalie opuszkami palców wyciągniętej ręki. Są tacy, co drogę sprawdzają śrubami, jeszcze inni twierdzą, że to powinny być nakrętki (ja osobiście trzymam się nazwy „mutra”). Niektórzy nie wychodzą dwudziestego szóstego każdego miesiąca, inni w Zonę ruszają zawsze nocą albo prawą nogą. Jak to ujął podobno niejaki Kieł, „u każdego jest swój styl”. Każdy coś lubi, a czegoś nie. Ja nie lubię takich miejsc.

Zawijam się szczelniej w kurtę na wołokowej podszewce, poruszam zgrabiałymi palcami w zbyt cienkich rękawiczkach, żeby odzyskać czucie. Zimy w Zonie też nie lubię. Pogoda i tak jest tu wystarczająco kapryśna, nie ma takiego dnia, żeby ze dwa razy nie było gwałtownej zmiany i przejścia frontu atmosferycznego. Podobno ma to związek z anomaliami termalnymi, które w cyklach swojej podwyższonej aktywności generują ogromną ilość ciepła, ogrzewającego powietrze i ganiającego chmury w tę i we w tę po całej Zonie, niczym pijane, brudne owce po hali. Mnie się tam wydaje, że to bzdura jakaś wierutna, gdyby tak było, to można by to przeliczyć, sprawdzić, skwantyfikować, podzielić na małe kawałeczki i przewidzieć, zupełnie jak normalną pogodę na Dużej Ziemi. A tu Zona jest, jej się przewidzieć z założenia nie da, a kto inaczej twierdzi, ten o śmierć się prosi. Jakkolwiek by było, ciśnienie skacze tu w górę i w dół, chmury formują się i rozwiewają, mgła wstaje w południe, a ze spokojnych, białych obłoczków potrafi spaść grad wielkości pistacji. Przez większość roku jest

wystarczająco źle, ale zimą jest po prostu strasznie.

Podobnie jak wszystko inne, zima atakuje tu z zaskoczenia. Przez cały rok trwa coś w rodzaju długiej, relatywnie znośnej, beznadziejnie patowej jesieni – drzewa zrzucają liście praktycznie od razu, jak tylko je wypuszczą, trawa żółknie, zanim jeszcze dobrze wyjdzie spod ziemi, a krąg życia przypomina tu bardziej scentrowane koło od starego roweru. Wiosna idzie ramię w ramię z jesienią, ignorując jakiegokolwiek próby zaburzenia tego absurdalnego duetu przez lato, obie pory roku tratuja radośnie wszystko na swojej drodze, włączając sobie nawzajem w szkodę i barując się ku rozpaczcy otaczającego je świata. Ale kiedy przychodzi zima, to obydwie stare wariatki chowają się po kątach.

Przychodzi taka noc – czasem w grudniu, czasem w lutym dopiero – że człowiek budzi się i czuje, że jest mu przenikliwie zimno. Pół biedy, jeżeli jest się akurat na bazie, w piwniczce pod ziemią albo w starej, drewnianej chatce. Jeżeli pierwsza noc zimy zaskoczy cię na głębokim rajdzie, gdzieś w lesie albo w blokach z wielkiej płyty, to masz szczęście, jeżeli w ogóle się obudzisz. Wtedy jest jeszcze szansa zawinąć się w jakiegokolwiek, nawet najbardziej radioaktywne szmaty, spróbować sięgnąć do plecaka po chemiczne ogrzewacze albo podpalić trochę spirytusu w kaflu, na szybko wyrąbanym z węglowej kuchenki. Do rana jakoś się przeczeka, jak wychodzi słońce, to robi się minimalnie cieplej. Ja moją pierwszą zimę przetrwałem dlatego, że pobiegłem. Byłem akurat pod Pirkami, więc przez dwie i pół godziny truchtałem wokół wyschniętego zbiornika retencyjnego – prawie wyplułem wtedy płuca, odparzyłem sobie stopy, poobcierałem pachwiny i dostałem zapalenia mięśni, ale przeżyłem. Bywa tak, że po pierwszym ataku zimy część stalkerów już nie wraca do baz.

Gdy nadchodzi świt, okazuje się, że świat zamienił się w kryształ – wszystko lśni i błyszczy się okruchami lodu, trawa chrupie i chrzęści pod nogami, w lasach z głośnym trzaskiem pękają drzewa i łamią się gałęzie. Tynk strzela i odpada płatami od zawilgoconych ścian, metalowe powierzchnie zamieniają się w istny lep na muchy, gdy nieostrożnie spróbować ich dotknąć gołą ręką. Dr opowiadał mi kiedyś, że podobno stacja badawcza na Jantarnym zarejestrowała raz temperaturę minus trzydzieści cztery stopnie Celsjusza, nie wiem, ile w tym prawdy, ale to możliwe. Nie noszę ze sobą termometru, ale teraz też pewnie jest z piętnaście na minusie. Na dworze na pewno cieplej, może nawet koło zera, ale póki co ja siedzę tutaj, w środku.

Wyglądam ostrożnie za róg – czysto. Przebiegam do pokoju po drugiej stronie, rzucając przy okazji muterkę wzdłuż korytarza, słyszę, jak odbija się po betonowej podłodze, a potem jest taki dźwięk, jakby ktoś mocno depnął dużym buciosem w śnieg. Aha, czyli jednak tu jesteś – nie dałem się nabrać. Nie tym razem. Duża część zewnętrznej ściany musiała kiedyś po prostu wypaść albo ulec sprasowaniu na proch w jakiejś anomalii, więc jest tu minimalnie cieplej, bo lodowate tchnienie „gejzerów” po prostu wysąca się mgłą na zewnątrz. Nie mogę odpuścić sobie tej przyjemności – podchodzę do krawędzi podłogi, spoglądam w dół na budynki lokomotywowni. Jak byłem mały, to miałem taką małą, elektryczną kolejkę „Piko” i został mi sentyment do modeli w małej skali – dokładnie tak to z perspektywy trzeciego piętra wygląda: piękna, zimowa diorama. I tylko zgiąć można na serio.

No dobra, zapytacie się – co ja tu w ogóle robię? I gdzie jest „tu”?

Otóż nie jestem do końca pewien. Z całą pewnością jestem w Zonie – co do tego nie ma cienia wątpliwości. Przestrzennie to

przypuszczam, że znajduję się gdzieś na zachód od Gorodczan, prawdopodobnie już po dawnej ukraińskiej stronie granicy, w każdym razie tamtędy tu przyszedłem. Jestem jednak już zbyt głęboko, zbyt daleko w stronę Sarkofagu, żeby móc powiedzieć coś na pewno – kompas jest tu zupełnie bezużyteczny, a słońce potrafi wstać na zachodzie. Tutaj trzeba po prostu wiedzieć, jak i którędy dojść tam, gdzie się chce.

Znalazłem tę starą, opuszczoną bocznicę remontową dwa lata temu, gdy żywiłem jeszcze idiotyczny pomysł dojścia do Prypeci – na szczęście nie zdążyłem, bo akurat przyszła zima. Gdyby złapał mnie mróz na przejściu przez most... brrrr, dosłownie i w przenośni. Zatrzymałem się tu w drodze powrotnej w nadziei, że będzie odrobinę chociaż cieplej... marzenia ściętej głowy, he, he. Zmywałem się stąd szybciej, niż przyszedłem, modląc się tylko do Gospodarzy Zony, żeby odmrożenia były wyłącznie powierzchowne. Ale wyniosłem z tego rajdu nie tylko blizny, nieocenione doświadczenia i bezcenną wiedzę, o nie. Podczas pierwszej wyprawy na Bocznicę znalazłem też prawdziwy skarb.

Gdy wróciłem na Jołczę i wytrząsałem z pojemnika artefakty, to w świetlicy zrobiło się autentycznie cicho. Siedziało tam kilku stalkerów, jeszcze ze starej ekipy, gadając, śmiejąc się, pijąc różne grzane wynalazki i sprawdzając, jakie jeszcze produkty spożywcze da się spalić na węgiel w piecyku, który wymontowali Tribik z Lewym z jednego z domów na Komaryniu. Pamiętam, że było mocno przenikliwie – na dworze wisiała taka zamarzająca, wilgotna mgiełka – więc wszyscy zasiedli we wspólnej sali, żeby było cieplej i raźniej. Dla niektórych była to pierwsza zima, dla innych ostatnia, więc weterani raczyli żółtodziobów mądrymi opowieściami, strasząc ich Czarnym Stalkerem, opowiadając o Dimie Szuchowie,

Gospodarzach, Upiorach Zony i Bagiennym Doktorze – ot, taki sobie folklor. O ile nikt nie zwrócił uwagi na moje wejście (w końcu gadałem po rusku wtedy jeszcze gorzej niż teraz), o tyle zawartość kompozytowych pojemników uczyniła mnie centrum uwagi.

– A ty *szto prinios*, Kurwa? – Dr nachylił się nad żelaznym stołem do sprzętów. To był ostatni raz, kiedy ktoś zwrócił się do mnie tym niepochlebnym pseudonimem; od tamtej pory wszyscy zaczęli wołać mnie Miszka, czyli Miś. Najpierw obowiązkowa runda licznikiem Geigera, co bardziej radioaktywne artefakty wylądowały w zaizolowanych ołowianych przegródkach, a nad tymi, które nadal podskakiwały i obracały się na blacie, pochyliły się ciekawskie twarze.

– Nu, ty dał... – zagwizdał przez zęby młodszy o dwa lata Buolki, zarabiający wtedy jeszcze na swą reputację, patrząc na wijące się, opalizujące kształty. – I *szto eta* one są, a?

– „Łzy królowej”. – Nie wahałem się ani chwili. Nadanie nazwy nowemu artefaktowi to nie mały zaszczyt, a uświadomiłem sobie to dopiero później, dużo później... Głównie po tym, gdy do Dra dotarła wypłata za wysłane na Dużą Ziemię egzemplarze. Nie mógł zapłacić mi za nie z góry, bo nikt z nas nie miał pojęcia, co one w ogóle robią, więc przerzucił je na drugą stronę Kordonu w nadziei, że czegoś się dowiemy. Nie dowiedzieliśmy się jednak niczego – nie dostaliśmy ani listu, ani notatki, ani dokumentów, nic. Tylko paczkę pieniędzy, GRUBĄ paczkę.

„Łzy królowej”. Do dziś nie wiem, co robią – zeszłoroczne też sprzedałem na pniu, bo rok był słaby. Cena była jeszcze wyższa niż poprzednio, wygląda na to, że klient musiał mocno zainteresować się tematem i nadzieć na zupełny brak podaży towaru... czyli tylko ja wiem, skąd je wziąć. Tylko ja wiem, jak

powstają. No tak – doszliśmy do powstawania „łez królowej”.

Królowa.

Zima w Zonie oznacza nie tylko dziwną pogodę. Zima w Zonie to też jeszcze dziwniejsze zjawiska – takie, których nie spotyka się normalnie w ciągu roku. Znika duża część „żarników” i „elektr”, więc nagle dostępne stają się normalnie odcięte regiony i przejścia, ale za to pojawia się cały wachlarz anomalii zimowych – rodzących całkiem odmienne artefakty – śmiertelnie groźnych, bo praktycznie nieznanymi i zupełnie niezbadanych, o zupełnie nieprzewidywalnych zachowaniach i zwyczajach. „Lodowy gejzer”, „zamrażarka” i „kleik” to tylko kilka przykładów tych, które dorobiły się własnej nazwy. Przypuszczam, że te naprawdę śmiertelne pozostaną na zawsze bezimienne najzwyczajniej dlatego, że nie będzie ich komu nazwać. „Śnieżna Królowa” ma nazwę, ale wiem o niej tylko ja.

Nie mam pojęcia i nie próbuję nawet zgadywać, czym może być. Endemiczny typ mutanta, byt spektralny, anomalia błędząca – to wszystko tylko nasze ludzkie określenia, które nic nie zmieniają i nic do sprawy nie wnoszą. „Śnieżna Królowa” jest tym, czym jest – KRÓLOWĄ. Jakiś czas temu dopiero przypomniałem sobie, że po polsku to jest „Królowa Śniegu”, ale rosyjskojęzyczna wersja jakoś bardziej mi pasuje – była o tym w początkach zamierzonych lat dziewięćdziesiątych jakaś piosenka na gitarę, którą namiętnie grywał mój ziomek z klasy. Mieszkałem wtedy w Mińsku białoruskim akurat; dwa i pół roku wyrwane z życiorysu, zostały po nich tylko strzępki języka i kilka wspomnień... I ta piosenka, z której pamiętam jedynie pierwszy wers refrenu: *A cjepier ty nieznaja, karaliewa snieznaja...* No i tak już zostało.

Wciskam się bardziej w róg pomieszczenia, powstrzymuję

oddech, gdy „Królowa” przepływa korytarzem za ścianą; na tynku wykwitają kryształki lodu, szczeliny w podłodze pokrywają się szronem. Na szczęście musiała nie wyczuć obłoczku pary, bo chyba przenosi się piętro niżej.

Jak wam opisać „Królową”? Hm. Na pewno wielką literą, co do tego nie mam wątpliwości. „Królowa” to nie jakiś sobie byle tam snork czy inny mięsak, których w Zonie jest na pęczki – Ona jest jedyna, wyjątkowa. Wyobraźcie sobie, że jesteście w starym, opuszczonym budynku administracji kolejowej. Jest zimno, naprawdę zimno – „lodowe gejzery” na piętrze pluja lodowatą mgłą, więc wszystko spowija mroźny, szarawy opar. Podłoga jest naprawdę śliska, trzeba uważać na stojące na posadzce kałuże po ostatnim deszczu, nad którymi wiszą soplami nacieki stalaktytów. Każdy oddech zawisa przed wami obłoczkiem pary, włoski w nosie ciągną i kłują lodem, a policzki pieką ogniem, palce drętwieją, skóra na udach ciągnie zimnem. Wychodzicie za zakręt – a prosto na was płynie powoli kawałek chmury. Coś jakby obłok mgły, przelewający się i kłębiący w korytarzu, ale nie dotykający ścian, a w jego głębi WYDAJE WAM SIĘ, że widzicie zarys ludzkiej sylwetki – KOBIECEJ SYLWETKI. Wy po prostu stoicie, obłok po prostu sobie płynie. Pytanie – co robicie? Jeśli jeszcze się zastanawiacie, to znaczy, że wybraliście złą odpowiedź i prawdopodobnie nie żyjecie. Ja od razu rzuciłem się do ucieczki.

„Królowa” nie ściga cię w pełnym tego słowa znaczeniu – bez większego problemu można jej uciec, nawet poruszając się szybkim truchtem. Pytanie tylko, jak długo można truchtać po budynku pełnym nieznanymi anomaliami, nie pośliznąwszy się na oblodzonej podłodze i nie spadłszy ze schodów? Dlatego właśnie ja przyjąłem zasadę gry nie tyle w berka, co w chowanego – i właśnie wtedy pomyślałem sobie po raz

pierwszy, że „Śnieżna Królowa” musi być jednak czymś więcej niż błędzącą anomalią reagującą na ciepło ludzkiego ciała. Gdyby tak było, to gra zakończyłaby się bardzo szybko i bardzo nieprzyjemnie, bo przypominałoby to próbę oszukania komputera przy grze w warcaby. Ot, mój ruch, twój ruch, ograniczona ilość pionków i ruchów daje skończoną liczbę kombinacji, czyli kiedyś w końcu przegrywasz. A schować się za ścianą można tylko istocie, która w jakimś stopniu podobna jest do człowieka.

Wychylam się na korytarz – pusto. Tylko ściany wymalowane w esy-floresy i lodowe kwiaty świadczą o tym, że przed chwilą Ona tędy przechodziła. Skręcam w lewo, ślizgiem dopadam do schodów, praktycznie zjeżdżam na podszewkach na drugie piętro, zakręcam w korytarzyk, przelatuję przez niegdysiejszą salkę spotkań, do dziś zdobną papierowymi makietami pociągów w potrzaskanych witrynach i gazetką ze zdjęciami przodowników pracy. Rzucam się do okna, chwytam za piorunochron, zjeżdżam na daszek parterowej przybudówki, czując, jak chybotnie się pode mną przegniłe pokrycie, dobiegam do krawędzi i przeskakuję na stojącego pod ścianą przedpotopowego busika. Ześlizguję się po masce na ziemię, rzucając na szybko muterki, przebiegam przez placyk cechu naprawczego i chowam się w warsztacie. Płuca palą mnie ogniem, gryzę rękaw, powstrzymuję oddech, choć wołająca o powietrze tchawica zaraz wyskoczy mi między zębami... Mróz w głównym budynku trzaska i skrzypi, gdy „Królowa” przesuwają się wzdłuż okien, szukając śladu pary w mroźnym powietrzu. Obym tylko nie biegł zbyt wolno, obym tylko zdążył. Nasłuchuję, próbując nie udławić się własnym językiem, przed oczami latają mi już ciemne kręgi, ale wtedy szum strzelającego zimna odsuwa się gdzieś w głąb korytarza... Upadam na

podłogę, desperacko próbuję złapać oddech, sapię jak miech kowalski, charczę i pluję, zanoszę się kaszlem, ale nie ma czasu, muszę ruszyć głębiej, zejść jej z oczu czy czymkolwiek tam Ona czuje ludzi. Przeskakuję leżące w przejściu zamarznęte na kość cielsko prypec-kabana, który musiał zapędzić się tutaj, próbując uciec przed „Królową” – czyli słusznie uważałem, że Ona potrafi wyjść z budynku, a siedzi w nim tylko dlatego, że go lubi. Trasę na szczęście sprawdziłem tydzień temu, czując w kościach, że idzie zima, więc teraz skręt w lewo, przez pokój z planami, a potem dziurą w ścianie w wąski przesmyk... Zakręcam i prawie wpadam z rozbiegu w „kleik”, wyhamowuję dosłownie cudem, kilka kropel potu spada mi z nosa i z sykiem zastyga w obłoczkach pary na lodowatej powierzchni. Gdybym w to wlażył, noo... „Kleik” to wyjątkowo wstrętne anomalia, wyglądająca jak plama mrozu na płaskiej powierzchni, błyskawicznie przyklejająca wilgotnymi kryształkami lodu wszystko, co jej dotknie, a potem powoli oblepiająca całą ofiarę... Jak ma się szczęście i szybko ściągnie buty, to przy odrobinie akrobatyki się wyskoczy poza obszar działania anomalii, a jak nie... No, ja dlatego zawsze zimą noszę podwójne skarpetki i wkładki w butach. Cholera, nie tak miało być, chciałem tędy przejść – no, ale sam jestem sobie winien, próbując cokolwiek planować; wychodzę z pokoju już spokojniej, sprawdzając drogę muterkami.

Do lokomotywowni już niedaleko, ale muszę nadłożyć drogi, żeby dotrzeć do przejścia między dwoma składami. Wychodzę na zewnątrz, rozglądając się niepewnie, „Królowa” mogła już zakończyć swoją rundkę wokół budynku, więc lada chwila może pojawić się znów tutaj... I wtedy słyszę z zewnątrz sforę ślepaków. W czystym, mroźnym powietrzu Zony głos niesie się daleko, ale stado musi być już gdzieś blisko, bo

wyraźnie można odróżnić wycie poszczególnych osobników – charakterystyczne, jęklive ujadanie polujących ślepych psów służy tak naprawdę dezorientacji i wystraszeniu ofiary, bo same ślepaki porozumiewają się doskonale bez wydawania jakichkolwiek dźwięków. Wyraźnie polują na coś, trzeba będzie uważać na powrocie, żeby się bez sensu w kłopoty nie włądować.

Hala już niedaleko, przeciskam się wąskim przesmykiem, widzę w prześwicie między uchylonymi wrotami masyw lokomotywy spalinowej. Wymijam szerokim łukiem „lodowy gejzer”, teraz nieaktywny i dymiący mroźnym oparem, ścielącym się nisko przy ziemi, przebiegam wzdłuż rzędu komórek, sprawdzam muterkami strefę działania pobliskiego „grawikoncentratu”, plecami szorując po ścianie, przeciskam się obok anomalii i chowam w ciemnej lokomotywowni.

Przez chwilę przyzwyczajam oczy do panującego tu półmroku, czekam, aż zacznę rozróżniać szczegóły na potężnych sylwetkach porzuconych maszyn. Słuchawka licznika lekko trzeszczy w uchu, nasuwam na twarz półmaskę, ruszam wzdłuż boku lokomotywy, wspinam się po żelaznych stopniach na galeryjkę wzdłuż pojazdu. Na podłodze widać pokryte szronem resztki tuszkanów, które ustrzeliłem tu tydzień temu – coś je ewidentnie podjadało, więc trzeba się rozglądać, głupio byłoby dać się zagryźć tak blisko celu.

Zeskakuję z lokomotywy, przechodzę do kolejnego bloku remontowego – tu od razu kładę się na ziemi, czołgam po betonie, czując, jak mróz włazi mi w kości i jak ciągnie chłodem od przemarzniętej ziemi. To ten trudniejszy kawałek. Pomieszczenie wygląda, jakby szalała tu brygada naćpanych młotkowych z ADHD – ściany są upstrzone dziurami, wgnieceniami, rysami i placami odbitego tynku. Ja już wiem, że

to robota wyjątkowo złośliwej „magnetycznej karuzeli”, przyczajonej pod sufitem, która dość długo się aktywuje, potem zasysa w siebie wszystkie zalegające podłogę zupełnie niewinne narzędzia – klucze nastawne, trzykilowe młotki, nity, nożyce do blachy, klucze oczkowe rozmiar pięćdziesiąt pięć – i puszcza je w tany po całej hali, a następnie rozładowuje się, ciskając całym tym złomem po ścianach. Ja to wiem, bo wchodząc tu pierwszy raz, natychmiast zobaczyłem, co zostało z gościa, który próbował przejść ten pokój kiedyś wcześniej przede mną.

Zamieram, gdy słyszę odgłosy wystrzałów, odbijające się echem pomiędzy ścianami budynków. Bach-babach! Bababababach! – zachłystuje się serią, a potem cichnie pełnowymiarowy karabin. O w mordę, czyli nie jestem tu sam? Słucham jeszcze moment, a potem z sufitu z cichutkim trzaskiem odpada kawałek starego, spękanego tynku – widzę, jak plasterek zwietrzałej zaprawy odrywa się, leci w dół i wpada prosto w sam środek drzemiącej anomalii.

Podrywam się i zaczynam biec ku nie tak znów odległym drzwiom, jeszcze zanim „magnitkaruzela” zorientuje się, co się stało, i zdąży się porządnie wkurzyć. Niby powinno to być raptem kilkanaście kroków, nie tak znów daleko – ale wokół mnie w przyspieszonym tempie rozkręca się pandemonium. Jakimś szóstym albo i siódmym zmysłem rejestruję narastający na granicy słyszalności wizg, gdy wszystkie metalowe sprzęty, narzędzia i cokolwiek, co nie jest na stałe przytwierdzone do ścian i podłogi, zaczynają lekko się trząść, a potem wzlatają w powietrze i wirują w obłąkanym świątecznym korowodzie, przyspieszając i nabierając pędu. Potykam się o żelazny łom, uchylam przed przelatującym na wysokości głowy wspornikiem i wpadam twarzą w mgławicę drobnych gwoździ, czując jednocześnie, jak *Zbawiciel* zaczyna ciągnąć mnie ku epicentrum

magnetycznego tornada. O futrynę przede mną roztrzaskuje się puszka skawalonej farby w proszku, ja rzucam się głową naprzód ku zbawiennemu otworowi drzwi, szoruję po nierównym, chropowatym betonie i zakrywam tylko głowę rękami, gdy w hali naprawczej z odgłosem otwieranego słoja ogórków rozładowuje się potencjał grawitacyjny anomalii. Zgrzyt i łomot eksploduje ogłuszającą kakofonią dźwięków, cały budynek trzęsie się w posadach, gdzieś wylatuje szyba, gdy całe to żelastwo naraz ciśnięte w ściany opada na ziemię, podnosząc chmurę rdzawego, duszącego i na pewno radioaktywnego pyłu. Otwieram oczy, obok mnie leży żelazne kółko zębate wielkości małego kota. Dwadzieścia centymetrów w prawo i miałbym je w plecach... Odczołguję się w bok, rozglądam po zalanej przedziwnym blaskiem salce – i widzę to, po co tu szedłem.

Wysoko pod sufitem, lekko spłaszczona przez jeden róg pomieszczenia, wiruje pomiędzy rurami systemu wentylacyjnego galaktyka płatków śniegu i okruchów lodu. Tak powoli, majestatycznie sobie wiruje, po królewsku niemalże. Od czasu do czasu kawałeczek galaktyki odrywa się i spływa powolutku na dół, osiadając bezdźwięcznie na zalegającym posadzkę kobiercu lśniącego puchu. Nie mam wątpliwości co do tego, że to jakaś przedziwna, śmiercionośna anomalia, ale chyba najpiękniejsza, jaką widziałem w życiu. Nie wiem, skąd bierze się luminescencja – czy to świeci sama „galaktyka”, czy leżący na ziemi śnieg, czy może to, co pod nim się skrywa.

Spoglądam w róg pomieszczenia – jest tam, gdzie ją zostawiłem rok temu; stara, wysłużona łopata do śniegu, zrobiona z kawałka sklejkowego napisu. Jedyna rzecz, jaką udało mi się wtedy znaleźć i którą nie bałem się sięgnąć po „śnieżynkę”. Powoli, ostrożnie podchodzę do lodowego kopca, delikatnie wytaczam drewnianą łopatą pozornie kruchy artefakt

spod warstwy lodowego puchu. „Śnieżynka” jest niewiarygodnie piękna, ale też idiotycznie groźna – nawet teraz paruje temperaturą zera absolutnego, pokrywając szronem moje zaimprovizowane narzędzie. Rok temu zacząłem od długiego, żelaznego pręta. Miałem więcej szczęścia niż rozumu, że zdażyłem go puścić na czas, ale blizny na wnętrzu dłoni mam do dziś. Umieszczam specjalnie przygotowany pojemnik w rogu pokoju, ostrożnie zaganiam do niego zdobycz, zamykam wieczko trzonkiem łopaty – mechanizm zamykający sam się hermetyzuje, ale szczelina i tak zachodzi szronem. Uff... Zdejmuję plecak, montuję „śnieżynkę” obok pojemnika ze „łzami królowej”, które pozbierałem wcześniej, i kilkoma innymi trofeami zebranymi po drodze. Teraz tylko wrócić cało na bazę...

Przekradam się z powrotem, niestety tą samą drogą – nie powinno się tak robić, ale tym bardziej nie powinno się umierać z głodu w ślepych zaułkach. Mijam lokomotywę, wychodzę na zewnątrz, mrużąc oczy od blasku białego puchu, przemykam do garaży, którymi przekradam się przez tylne wyjście z powrotem na frontowy dziedziniec kolejowej remontowni. Patrząc chwilę po oknach – wydaje mi się, że widzę obłoczki zimnej pary na drugim piętrze, więc „Królowa” chyba nie będzie machać mi na pożegnanie. No i dobrze.

Jestem już przy wyjściu, gdy moją uwagę przykuwa pewien szczegół – PODWÓJNE ślady butów na śniegu. Oglądam się za siebie – nie, ja zostawiam pojedynczy zestaw, jedna lewa i jedna prawa noga. Czyli albo trafiłem w anomalię czasoprzestrzenną i ryzykuję spotkanie samego siebie i zniszczenie świata w wyniku paradoksu dziadka, albo ktoś jeszcze wchodził po mnie na teren Bocznicy. Patrząc po podeszwach butów, skłaniam się raczej ku drugiej opcji. Szybka kalkulacja. Ściągam *Zbawiciela* z pleców,

przerzucam na tryb ręczny, przeładowuję chodzący opornie na zastanym smarze mechanizm, ruszam po tropie, wiodącym ku wejściu do budynku administracji. Ktokolwiek to był, jeżeli zna zwyczaje „Królowej”, to skręcił od razu w bok, ku schodom na górę, bo...

Nie znał. Zastygła niczym w gabinecie figur woskowych postać pokryta warstwą szronu i lodu wciąż jeszcze ściska w dłoniach karabin, palec nadal na spuście, ale najwyraźniej mechanizm nie dał już rady po raz ostatni przeładować, więc okno wyrzutnika łusek zamarzło otwarte do połowy. Widząc potężny, niemiecki G3 jestem pełen najgorszych obaw; niestety, charakterystyczny wydłużony kształt maski dość wyraźnie wskazuje, kto nie wróci na Jołczę.

Jaszczur nigdy nie był typem marudera, ale nie da się zaprzeczyć, że miał w sobie pewną niewymuszoną łobuzerską grację – taki stalkerski bon vivant, zawsze idący po najmniejszej linii oporu. Przyszedł do Zony ze swoim własnym AK-74 bodajże, zrobił z nim nawet niezłą karierę, a potem zachorował z nieznanych mi przyczyn na G3, sprzedał swojego AK za grosze, kupił „Niemca” i od tamtej pory nieodmiennie tego żałował, twierdząc, że opuściło go szczęście. Zona takiego biadolenia nie lubi, oj, nie lubi, więc faktycznie fart Jaszczura opuścił – zaczął przesiadywać w świetlicy, podpinając się na doczepkę do bliższych wypadów i chodząc głębiej tylko wtedy, gdy nie miał już co do gęby włożyć. Widać, że zapachniały mu moje zimowe zbiory i postanowił moim śladem ruszyć – ot, dureń. Gdyby poprosił otwarcie, to może bym go nawet wziął na „wytrycha”, żeby szedł przodem i anomalie sprawdzał. Niechętnie, bo niechętnie, ja samotnik jestem, ale serce jeszcze mam, widzę, gdy kogoś do ściany przypiera i potrafię się nad nieszczęściem pochylić. A tak poszedł Jaszczur na łatwiznę, chciał wyczaić,

skąd moje artefakty biorę, i władował się prosto na „Śnieżną Królową”. Patrzę na pokrytego białym nalotem ekskolegę i w sumie cieszę się, że ma założoną maskę, bo chyba wołałbym jego twarzy nie widzieć.

Wyciągam nóż z pochewki, odłupuję od jego oporządzenia pojemnik na artefakty, biorę na saperkę i wynoszę na dwór, bo słyszę po charakterystycznym trzaskaniu zamarzającego betonu, że „Królowa” już mnie wyczuła i przemieszcza się w tę stronę. Czym prędzej chowam się za budkę stróża, na szybko rozglądam po okolicy – gdzieś dalej pod lasem widzę czerwoną plamę na śniegu, to pewnie ślepak, którego zdążył położyć Jaszczur. Wokół padliny krążą w pewnym oddaleniu pozostałe psy, ale póki co jeszcze mnie nie zauważyły. Rzucam po prostu pojemnikiem o ziemię, rozwalam na kawałki kilkoma uderzeniami łopatką, wyłuskuję spomiędzy warstw przemrożonego materiału i metalu dwa „sopelki” i „wywich”. To bydlę, moje artefakty pozbierał. No, niby chorągiewek na nich nie wieszałem, ale specjalnie szedłem koło bardziej płodnych anomalii, żeby zobaczyć, czy będzie co zebrać na powrocie. Zaganiam arty do mojego pojemniczka, uszczelniam wieczko – no dobra, pora wracać, bo trochę zmarzłem tam w środku. Spoglądam jeszcze ku remontowni, gdzie skończył swoją drogę kolejny stalker. Kolejny krzyż bez grobu trzeba będzie postawić na Jołczy.

Psy ujadają i wyją – chyba mnie poczuły. Odbezpieczam strzelbę, patrzę na zbliżające się kształty.

No chodźcie.

Porzeczkarńia

Widzę, jak nieskończenie powoli cofa się rączka przeładowania, otwierając komorę zamkową. Najpierw wyłania się nieśmiało ciemnoniebieska gardziel wystrzelonej łuski, wychylająca się coraz bardziej w bok, aż w końcu widzę też złotożółte denko ze świeżym wgnieceniem po uderzeniu iglicy – łuska wyskakuje z komory, wirując, odlatuje piruetami gdzieś na bok, ciągnąc za sobą cieniutką smużkę prochowego dymu, w której kilka spóźnionych iskier rozbłyska i gaśnie w sinym pióropuszu. W międzyczasie z czeluści magazynka wyjeżdża kolejny nabój, wpasowując się w łyżkę podajnika, sprężyna powrotna popycha całą konstelację zamka, zostawiając tylko naciągniętą iglicę – powoli, potwornie powoli rączka przeładowania sunie naprzód, ryglując zamek i uszczelniając komorę, czuję przez dłoń szczęknięcie i napiętą gotowość mechanizmu...

...SZYBCIEJ!

Palec ciśnie na spust, znajome szarpnięcie odrzutu rwie do tyłu nadgarstek i przedramię drugiej ręki, osiemnastomilimetrowa gardziel lufy rzyga ogniem i śrutem prosto w nadbiegającą korytarzem chmarę tuszkanów, masakrując i odrzucając do tyłu czoło fali drapieźników, ale zza nich już wylewają się kolejne, pociągam za spust jeszcze pięć! i jeszcze raz – sześć!! gryzący dym zasnuwa pomieszczenie, rzucam się na oślep w bok do jakiegokolwiek pokoiku, wskakuję na parapet, trzymając się futryny, zadzieram lewą nogę najdalej jak mogę, starając się sięgnąć do położonych jeszcze wyżej okien toalet... Potworny ból przeszywa mi prawą łydkę, gdy potworek wpija się w nią zębami, wrzeszczę i wyję, ale nie mam

jak zrzucić tego małego cholernika, bo już złapałem punkt zaczepienia i wiszę na samych rękach na rynnie, zarzucam drugą nogę z wczepionym w nią tuszkanem na parapet sąsiedniego okna toalety, przykucam i z rozmachu uderzam gołenią w ścianę poniżej. Słyszę chrupnięcie delikatnego szkieletu i zduszony pisk, zęby i pazury wbijają się konwulsyjnie w moją nogę, potem drobne ciało wiotczeje, strząsam truchło i podciągam pulsującą bólem kończynę poza zasięg tych cholernych królikowampirów, które już zdążyły mnie wyczuć i wylewają się potokiem szarej sierści przez wybite okna, piszcząc i skacząc do mnie, włączając sobie na głowy i za wszelką cenę próbując dosięgnąć choćby jeszcze kawałka mojego ciała. Wiem, że zaraz przestanie działać adrenalina i przeciwbólowy, który sobie wkłułem po jeździe z burerem, a wtedy pewnie po prostu spadnę z tego okna – wysiłkiem woli prostuję się na tyle, na ile to możliwe, łapię się krawędzi dachu i odgromnika po prawej, jakimś cudem zarzucam nogi na rynnę, podciągam się na górę pomimo dymiącego *Zbawiciela* dyndającego mi bez sensu na piersiach i gramolę się na dach. JEEEEZU... Właśnie zaczyna wstawać słońce, zalewając bladoróżowym blaskiem drzewa i mokrą od rosy trawę, rozganiając mlecznobiałe tumany porannej mgły ścielącej się nad rzędami niegdysiejszych porzeczek i zmutowanymi krzewami w sadzie. Byłoby pięknie, gdyby nie piszcząca i skiełcząca w dole horda potworków, które zasmakowały ludziny i teraz będą tu czekać godzinami. No właśnie... Rozsznurowuję but, podciągam nogawkę – ałała! paskudnie to wygląda. Odszpuntowuję piersiówkę i skowycząc z bólu, polewam paskudną ranę równie paskudną siwuchą, potem na szybko rozrywam zębami IPP, dezynfekuję ranę, wbijam sobie w mięsień zastrzyk przeciw tężcowi i cokolwiek tam jeszcze w środku jest, smaruję aseptyczną maścią i nakładam

bandaż z opatrunkiem. Myślę chwilę... Nie lubię takich sposobów, no ale co zrobić – odwijam bandaż, wyciągam z plecaka „krewkamień”, lekko zwilżam wódką; czuję, jak artefakt mięknie mi pod palcami, przykładam go do rany, przyczepiam kawałkiem plastra i okręcam bandażem. Niewygodnie będzie, ale to tylko do rana. Potem skrupulatnie odwijam porwaną i zakrwawioną nogawkę, wycieram resztką bandaża krew ze środka buta, odcinam wilgotny kawałek skarpety, zakładam wszystko i sznuruję ciasno but. No niech to wszystko Czarny Stalker, co za cholerna noc... A jeszcze cały dzień przede mną. Podpierając się strzelbą, kuśtykam po pokrytym eternitem dachu, słysząc, jak w zaroślach pode mną buszują tuskany. Dochodzę do końca budynku, nieśmiało wyglądam w dół – czyli dobrze widziałem, w ścianie szczytowej jest wejście na niby-poddasze. Zwieszam się za krawędź, wbijam palce w szczelinę między drewnianymi drzwiczkami a futryną, daję radę uchylić i otworzyć je na tyle, żeby się zmieścić – najpierw nogi, potem złapać się jedną ręką, potem drugą... Śmierdzi tu grzybem i pleśnią, widać, że ten „stryszek” to tylko błąd konstrukcyjny między betonowym stropem samego budynku a strukturą dwuspadowego daszku, ale na moje potrzeby będzie idealny. Omiatam światłem latarki ciemne kąty – nic, tylko pajęczyny sprzed lat i truchła dawno martwych szczurów. Zamykam za sobą drzwiczki, po ciemku uwalniam się od oporządzenia, otwieram plecak i rozwijam śpiwór, wciągam w siebie trochę smakującego jak przeżuta trawa zapychacza skrobiowego z tubki, zapijam wodą, potem wodą z tabletkami przeciwbólowymi i nasennymi. Choćbym miał tu zdechnąć, to muszę się przespać, inaczej po prostu nie dam rady wrócić do bazy, a to stąd kawał drogi przecież. No co za noc, naprawdę...

Zapadam w sen.

* * *

Dwa dni wcześniej. Okolice dawnego siola Kriuki, jakieś 20 km od zewnętrznej rubieży Zony

Zabudowania dawno wyludnionej wsi patrzą na mnie pustymi oczodołami okien, gdy rozkładam mapę na masce zardzewiałego zaporozca stojącego na poboczu. Stąd powinno być już niedaleko – jeszcze kawałek starą drogą przez las, potem mostem nad rzeczką w kierunku wsi Maszewo i gdzieś tam, schowane w lasach pośród niegdysiejszych pól, powinny stać zabudowania dawnej eksperymentalnej szkółki sadownictwa „Ekssmorsadkoł”, które udało mi się zidentyfikować na zdjęciach satelitarnych. Patrząc na kompas – tutaj jeszcze nie jest tak źle, wskazówka pokazuje twardo północ, ale kawałek dalej w głąb Zony i zacznie tańczyć niczym baletnica na pozytywce. Dawno nie byłem na tak dalekim samotnym rajdzie. Świetne uczucie.

Wchodzę do opuszczonego siola, mijam pozawalane chałupy i rozpadające się zabudowania gospodarcze. Chwilami trudno uwierzyć, że kiedyś w ogóle była tu wieś – drzewa i krzaki zarosły wszystko, wchodząc nieubłaganie do zagród, wypychając szyby w oknach i rozsadzając fundamenty, przewracając drewniane płotki i starając się zatrzeć ślady bytności człowieka. Można by dojść do wniosku, że jest to po prostu martwy, opuszczony świat – ale to złudne i mylne wrażenie. Tam po lewej widzę kręcącą się „karuzelę”; wypalony szkielet domu za drzewami musi gościć w sobie „żarnik”, bo ściany jeszcze stoją, ale po dachu nie ma ani śladu, a gałęzie potężnego dębu ponad nim są osmalone i nadwęglone od

niedawnego żaru. Tu i ówdzie z gałęzi zwisa „rdzawe włosie”, które pomimo dzielącej nas odległości wywołuje niemiłe mrowienie na karku. Naciągam na głowę kaptur kombinezonu, zakładam na twarz filtr – przy takim zestawie anomalii jest niewykluczone, że gdzieś tu może być „żrący puch”, a wolałbym do płuc go nie wciągnąć. Widzę rosnące tu i tam kępy brzytwa-trawy, odróżnialnej od swego normalnego krewniaka – trzcinnika – tylko po jaśniejszym odcieniu; brzytwa-trawa reaguje na ruch i dotyk, naprężając swoje mięsiste źdźbła, które potrafią przeciąć materiał i skórę do kości, ale reaguje z pewnym opóźnieniem, więc jak wejdiesz na porośnięte nią pole, to zdążysz ująć kilka kroków, zanim zorientujesz się, że masz nogi mokre od krwi. Potem jest już tylko gorzej – jeśli spróbujesz od razu wyjść, to skończysz jako nawóz dla kolejnej kolonii roślin, jedyna rada to cierpliwie krwawić i czekać, aż źdźbła zwiotczeją... Muszę być już w połowie drogi do serca Zony, bo robi się

zabawnie.

Nadkładam nieco drogi, żeby wyciągnąć z ruin pobliskiej chatynki dorodny okaz artefaktu „krewkamień” – musiał dość długo kształtować się w tutejszej „wyżymacze”, upaść się porządnie materia, bo mam aż kłopot, żeby upchnąć go do pojemnika. Sprasowane resztki liści, trawy i innej materii organicznej tworzącej ten dość paskudnie wyglądający artefakt odznaczają się poszczególnymi kolorami i ciemniejszymi smugami na półprzezroczystej, lekko fosforyzującej powierzchni. Nie ma czasu się za bardzo zachwycać – niezadowolony licznik Geigera trzeszczy mi słuchawką, więc chowam „krewkamień” do wyłożonego ołowiem kompozytowego pojemnika i wkładam na samo dno plecaka. Kokosów za to nie zgarnę, ale przecież...

– *Staaaaalkier, paamaaagiiii...* – głuchy jęk rozlega się gdzieś na zewnątrz chaty.

Błyskawicznie przypadam do ściany, ściągam z ramienia *Zbawiciela*, spuszczam z bezpiecznika i celuję w okno, potem w drzwi. Przesuwam się bliżej glinianego komina, żeby mieć lepsze pole ostrzału.

– *Braaaat, ja raaanien, pamagiiii...* – słyszę tym razem z drugiej strony, skądś bliżej wejścia. Przykucam na jedno kolano, przygotowany, by roznieść w strzępy cokolwiek, co pojawi się w prześwicie.

– *Aptieeeeeczku daaaaj...* – donosi się znów od okna. Szybko się przemieszcza, bydlę...

Z potrafiących imitować ludzką mowę stworów Zony przychodzą mi do głowy tylko dwa: pseudomięśak i złamiec. O ile pseudomięśak potrafi zapamiętać i odtworzyć tylko przypadkowe, bezsensowne zlepki słów i zdań, o tyle człekopodobny złamiec podobno rozumie to, co mówi, i potrafi kalkulować siły – pewnie widział, że idę przez wieś z bronią, co tłumaczyłoby, dlaczego nie wszedł do budynku. Poza tym w wąskich izbach domku nie mógłby skorzystać ze swojej najstraszniejszej broni, czyli hipertroficznej prawej górnej kończyny – po prostu nie dałby rady się zamachnąć... Złamiec posiada dwa, a czasami aż trzy dodatkowe stawy i segmenty prawej ręki, którą potrafi uderzyć niczym cepem – widziałem raz jednego z daleka, jak broni się napadnięty przez sforę ślepych psów, i powiem wam, że nie chciałbym znaleźć się w jego zasięgu. No, w tej chwili to oczywiście pobożne życzenia, bo już za późno...

– *Braaat, pamaagiiii...* – donosi się spod okna, widzę jakiś kształt przemykający się poniżej parapetu, ale nie strzelam, bo mignął mi za szybko. Poza tym, jeśli strzelę i trafię, to nie ma

odwrotu, a tak może się jeszcze z tego wykręć... Podciągam nogą otwarty plecak, lewą ręką wyciągam ze środka worek z żywnością, grzebię w nim chwilę, wyciągam dwie wojskowe konserwy – racja na cały dzień, ale co zrobić. Pociągam za uszko wieczka pierwszej, potem drugiej; zapach wieprzowiny w sosie rozchodzi się po izbie, ale nie otwieram konserw do końca – niech się mój złamiec pomęcz. Biorę zamach, rzucam puszkę gubiącą warkocz sosu daleko przez okno, drugą posyłam jej śladem; gdy słyszę z zewnątrz hałas przedzierania się przez krzaki, chwytam szelki z oporządzeniem i plecakiem, ruszam pędem ku wyjściu, wypadam poza obejście, biegnę spory kawałek poza opuszczoną wioskę, aż prawie udaje mi się wlecieć w przyczajoną przy sośnie „trampolinę” – dość, spokojnie, bo zaraz się głupio zabiję. Rozglądam się dokoła, patrzę długo ku zrujnowanym domom, ale nie widzę żadnego ruchu. Chyba dobrze zainwestowałem te dwie konserwy. Złamiec przeważnie stara się zwabić człowieka w zasadzkę, udając wołanie o pomoc, ale ten nawet nie próbował się kryć – najwyraźniej chodziło mu o pożywienie właśnie. Opowiadał mi kiedyś bodajże Fant, że jemu z kolei ktoś mówił, że ze złamcem można prawie normalnie porozmawiać – ale czego to ludzie w Zonie nie plotą. Poprawiam szelki na ramionach, zapinam paski, spoglądam na kompas na przedramieniu; idziemy dalej.

Las w Zonie jest naprawdę straszny – pusty i ciemny, pełen powykręcanych, umierających i już martwych zrakowaciałych drzew, gubiących płatami korę i ociekających lepką żywicą. Staram się trzymać starej gruntówki, ale czasami przegradzają mi drogę anomalie albo bagienne jeziora – niekonserwowane od lat kanały melioracyjne zarosły i porozlewały się podmokłymi łęgami, podchodzącymi po lewej stronie nawet do mojej drogi. Dokoła rozplenił się barszcz Sosnowskiego,

spuścizna genialnej przodującej radzieckiej nauki. Przywleczony skądś z Kaukazu i szczepiony we wszystkich bratnich republikach, barszcz Sosnowskiego miał być odpowiedzią na problemy żywnościowe świata rewolucji proletariackiej – wyglądająca jak skrzyżowanie ogromnego ostu z łopianem dwumetrowa roślina o mięsistych liściach jak płyty winylowe miała niewiarygodny przyrost, gigantyczną ilość masy zielonej i doskonale nadawała się na kiszonki paszowe dla trzody, trzymając pełnię wartości odżywczych przez dwa–trzy lata od zbioru... Był tylko jeden problem: zwierzęta nie chciały go jeść. No taki fajny wynalazek, a nie chciały, bydlaki jedne. A jak już krowom go jakoś podsunęli, to okazywało się, że cokolwiek zrobić, mleko zawsze smakuje anyżem. Lubicie anyż? No ja też nie. Niektórzy podobno lubią, ale chyba nie w mleku. Więc w latach siedemdziesiątych barszcz zarzucono... i wtedy zaczęły się prawdziwe problemy, bo barszcz nie chciał odejść. Odrastał z kłączy na drugi rok, nasiona wysiewały się w odległości kilkunastu kilometrów od plantacji, no nijak się go nie dawało wyplenić. Ale to była połowa zabawy – okazało się, że największa rzekoma zaleta barszczu, czyli jego wysoka kwasowość, była też jego bronią. Wszystko było fajnie, gdy po całym ZSRR sadzono go przy rowach wzdłuż dróg, bo nie chciały przechodzić przez niego zwierzęta. Ale dopiero gdy było za późno, przypomniano sobie raporty z kołchozów, jakoby niedoczyszczone kombajny stawały po zbiorach z powodu przeżerającej żelazo rdzy, a nowe kosy po jednym dniu wyglądały jak znalezione w szopie u pradziadka. Najmniejsza kropla soku powodowała oparzenia chemiczne i potworną reakcję alergiczną u ludzi, więc zbiory ręczne odpadały... Stosowano opryski herbicydami, ale barszcz ginął jako ostatni, a wymagana do zabicia go dawka wypalała całą warstwę humusu,

wyjaławiając ziemię. Barszcz był dostatecznym problemem na Dużej Ziemi, gdzie w swoim niepowstrzymanym marszu w latach dziewięćdziesiątych już przekroczył granicę Białorusi; dalszy opis jest chyba zbędny, wyobraźcie go sobie w Zonie.

Widzę dalej po lewej pierwszy mostek przez kanał – to dobry znak, tutaj mapy jeszcze nie kłamią. Za jakieś dwa kilometry powinienem dojść do byłej wsi Kułażyn, gdzie spróbuję przeprowić się na drugi brzeg i ruszyć ku niezaznaczonemu na mojej mapie obiektowi „Ekssmorsadkoł”. Ależ te kacapy miały fantazję do nazw, niech ich cholera... Póki co krok za krokiem idę pomiędzy martwymi drzewami, starając się robić jak najmniej hałasu i pilnować pleców – spotkanie w opuszczonej wiosce trochę mnie wybiło z równowagi, cały czas mi się wydaje, że ktoś za mną idzie, a to tylko moje kroki. Bliskie spotkania trzeciego stopnia...

Robi się już ciemnowo, gdy widzę pogrążone w wieczornej mgiełce pierwsze zabudowania Kułażyna. Na moście rozłożyła się spora kałuża „wiedźmiego kisielu”, którą obchodzę szerokim łukiem po krawędzi betonowej konstrukcji, uważając, żeby nie poślizgnąć się na omszałej krawędzi i nie zwalić do zarośniętego trzcinami i rzęsą kanału – niby nic by mi się pewnie nie stało, ale... ALE. Zauważam ruch gdzieś po lewej, na łące, więc podnoszę do oczu lornetkę – stadko mięsaków wyszło sobie na wieczorny żer, widzę ze trzy dorosłe sztuki i dwoje młodych, kręcących się opodal maciory. Dość daleko są, więc pozwalam sobie na chwilę przyrodniczej ciekawości, obserwując te przedziwne stwory w ich naturalnym otoczeniu, gdy tak brodzą wśród wysokich bagiennych traw i wybierają coś płaskimi, trójkimi pyskami z płytkiej wody. Prawie jak na National Geographic, ale tego nawet w najwyższym abonamencie nie zobaczycie – było kilka ekip, które próbowały nakręcić

dokument o Zonie, ale w najlepszym razie siadała im elektronika, a w najgorszym sami stawali się bohaterami filmów dokumentalnych. Oczywiście pośmiertnie. Mięśaki łązą po łące, nawołując się krótkimi porykiwaniami – trudno powiedzieć, czy mutanty faktycznie są potomkami świń, mnie kojarzą się bardziej z niewydarzonymi niedźwiedziami. Wielkie, nalane góry mięcha na cienkich, pająkowatych nóżkach porośniętych rzadką szczecina, z przodu małe główki, najbardziej przypominające mordy psów-bokserów, ale jakby przekoszone na bok, z trzecim okiem na ruchomej szypułce – ot, taka kpina z matki natury. Przenoszę wzrok na pozostałości wioski... Co prawda panoramę częściowo zasłaniają mi drzewa, ale już wcześniej widziałem, że najbliższe mostu domy są praktycznie zrównane z ziemią, zostały po nich tylko smutne resztki porozrzucanego gruzu i kilka cudem ocalałych węglów – trudno powiedzieć, czy to anomalie, czy działalność jakichś mutantów, czy po prostu czas... Możliwe, że domy zostały też rozebrane planowo w ramach likwidacji skutków Pierwszej Awarii, a gruzu użyto do utworzenia Sarkofagu nad czwartym energoblokiem – tutaj wszystko jest prawdopodobne. Dalej po prawej rząd pustych domów i gospodarstw, a za nimi wyraźnie widoczne zabudowania dawnego kołchozu – kuszące, bo i budynki solidne, i pewnie schować byłoby się gdzie na noc. Tylko że po drodze musiałbym minąć niewysoką górkę porośniętą drzewami; niby górka jak górka, ale nawet stąd da się zauważyć resztkę żelaznego ogrodzenia i poprzekrzywiane kamienne płyty – cmentarz jak nic, a koło cmentarzy się w Zonie nie chodzi. Nie chodzi się, i tyle. Czyli tam nie pójdę... W takim razie opcja najprostsza – skręcam w lewo, ku widocznym nieco dalej jako tako zachowanym obejściom, tam zawsze znajdzie się jakiś strych albo bezpieczna piwnica.

Dość długo szukam domu, który spełniłby moje standardy bezpieczeństwa – to znaczy takiego, do którego nie bałbym się wejść. W jednej ze starych obór natykam się na ślepe psy, ale na szczęście obchodzi się bez strzałów – musiały już wcześniej mnie wyczuć, bo uciekają przez dziurę w ścianie, gdy tylko podchodzę do drzwi. Prawdopodobnie albo odłączyły się od większej grupy, albo straciły większość jej członków w starciu z silniejszym drapieżnikiem i nie chciały ryzykować nierównej walki z uzbrojonym człowiekiem, więc dość rozsądnie zdecydowały się podać tyły i poczekać, aż pójdę dalej. No sorry, ślepak, poczekacie do jutra. W sumie to dobrze, bo jeżeli coś będzie podchodzić, to najpierw zaalarmuje mnie ich ujadanie. Nie mogę zdecydować się na wybór miejsca na nocleg, kiedy mój wzrok zatrzymuje się na uchylonych drzwiach starej stodoły. Wchodzę do środka – w zakurzonej garażu stoi klasyczny sowiecki ZiŁ-130, równie potężna, co ohydna wizualnie ciężarówka, pomalowana nieśmiertelną niebieską farbą i z białym ryjem. Wyglądam na zewnątrz, w zapadającą ciemność, potem znów patrzę na kabinę ZiŁ-a. Jeden czort w sumie... Przelatuję tylko na szybko wokół samochodu licznikiem – tło w normie, więc można. Lecę na szybkie siku pod ścianę domu (oczywiście stoję do niej tyłem), potem wracam kłusem do stodoły, mocuję się chwilę z zastałymi drzwiami maszyny, w końcu udaje mi się otworzyć je na tyle, żebym dał radę wgramolić się do środka, zatraskuję za sobą porządnie, przy okazji urywając rączkę – nic to, drugimi wylezę. Przez chwilę mam ochotę zapalić lampkę, ale nie ma co przyciągać uwagi światłem, więc w półmroku sprawdzam drugie drzwi i dokręcam szyby, rozkładam śpiwór i przykrywam się nim jak kołdrą – mmm, może nawet przytulnie tu być, na pewno cieplej niż na dworze. Wnętrze ciężarówki pachnie co prawda starością i

kurzem, benzyną i smarem, ale to i tak komfort. Kładę sobie glocka na podorędziu, usadam się w miarę wygodnie na fotelu kierowcy. Oj, wygodnie będzie...

Budzę się nieludzko zdrętwiały i obolały. Nie poruszając się jeszcze i nie otwierając oczu, staram się rozruszać prawą rękę, wymacuję znajomy kształt polimerowej rękojeści pistoletu, ujmuję go pewnie w dłoń i dopiero wtedy otwieram oczy – czysto i spokojnie. Na zewnątrz powoli zaczyna wstawać błądy świt, niedługo zrobi się jasno, więc nie ma się co zasiadywać. Zakładam sprzęt na plecy, zjadam wojskową rację żywieniową i sprawdzam jednocześnie mapę – jakieś trzy kilometry marszu starą drogą przez las, potem skręt w lewo i gdzieś tam nad kanałem-rzeczka powinien być mój obiekt. O ile znajdę gruntówkę sprzed ćwierć wieku i jej skrzyżowanie z jeszcze mniejszą leśną dróżką. Hm, albo spróbować przecinkami – nie pierwszą, ale drugą z kolei, powinna potem mnie wyprowadzić na najwyższy punkt w okolicy... Najwyższy punkt. Ciekawe, czy będzie tam wieża obserwacyjna? Zakręcam manierkę, składam mapę, spoglądam na dozometr. Można ruszać.

Marsz przez podmokły, zarośnięty las nie należy do najprzyjemniejszych – zgodnie z moimi oczekiwaniami po gruntówce nie ma już śladu, za to przecinki są jeszcze całkiem widoczne. Miejscami trafiam na trzęsawiska i bagienka, na które nie odważam się wchodzić, więc nadkładam drogi; czasami skupiska anomalii zmuszają mnie do szukania innej ścieżki. Wskazówka kompasu zaczyna tracić swą pewność i drżeć niepokojąco przy anomaliach grawitacyjnych, więc polegam na wyczuciu kierunku. Po drodze widzę niedużego mięsaka, który podobnie jak ja zapuścił się w te strony – to w sumie dobrze, bo obecność tego stosunkowo spokojnego wszystkożercy świadczy o tym, że nie ma w okolicy większych drapieżników. Zwierzak

zauważa mnie dopiero, gdy jestem dość blisko, wydaje z siebie przerażony kwik, staje na tylnych łapach, wierzgając w powietrzu przednimi pająkowatymi odnóżami, po czym rzuca się do panicznej ucieczki przez las. Ciekawe, czym też był tak zajęty? Smród prawie zatyka, ale udaje mi się podejść bliżej – trup cywila, zapewne do niedawna zombi, wnosząc po stopniu rozkładu. Jedyne pożytek z mięsaków jest taki, że zeżrą wszystko, łącznie z mniej obrotnymi, ale bardziej irytującymi potworami Zony. Nie ma się co zatrzymywać, ruszam dalej.

Zastanawiam się, czy ktoś ze stalkerów w ogóle się tu zapuszcza. Niby to dość daleko na zachód, tutaj mogą już dochodzić nawet ci z Grupy Orewicze, ale w sumie jestem tak głęboko w lasach i błotach... Sądząc po artefaktach, dawno tu nikogo nie było, o ile był tu ktokolwiek – oprócz typowej drobicy, czyli wyciągniętych spomiędzy anomalii grawitacyjnych dwóch „grawików” i „wywicha”, znajduję też najprawdziwszy „purchel”! Zielonkawa, przelewająca się w rękach amebopodobna struktura pachnąca siarkowodorem i wybielaczem do tkanin jest jednym z najbardziej poszukiwanych artefaktów, jako że jej lekko smrodliwa gazowa wydzielina doskonale neutralizuje promieniowanie radioaktywne w organizmie. No proszę – jestem w Zonie już kilka lat, a to dopiero drugi, jaki dane było mi znaleźć... Pierwszy nieopatrznie sprzedałem, co prawda za dobre pieniądze, ale drugi raz bym tego błędu nie popełnił; teraz wiem, że tworzący się w śmiertelnie niebezpiecznej „kwasowej mgle” artefakt jest dla stalkera praktycznie bezcenny. Patrzę na wiszący pomiędzy martwymi drzewami lekko zielonkawy obłok, sięgam do kieszeni i wrzucam w anomalię niedojedzonego batonika energetycznego, którego opakowanie już w locie marszczy się i pokrywa dziurami; trzeba umieć się odwdzięczyć losowi.

Jest już dobrze po południu, gdy przechodzę przez resztkę starej leszówki i wychodzę na wzgórze na przecince; wcześniej już zauważyłem ponad koronami drzew złamaną w pół wieżę obserwacyjną, a teraz z bliska mogę lepiej ocenić rozmiar zniszczeń.

Musiały tu szaleć przynajmniej ze dwa „grawikoncentraty” – jeden, który powstał zapewne gdzieś w połowie wysokości wieży, zgniatając i zwijając niczym źdźbła trawy potężne, stalowe tregry, oraz drugi, który uderzył przy samej jej podstawie, wyrywając w żelbetowej wylewce ogromną dziurę i wykrzywając w esy-floresy dwie z czterech podpór; pomimo tego wieża wciąż stoi, niczym podstarzała baletnica na chwilę przed straceniem równowagi. Cała żelazna konstrukcja jęczy i skrzypi, kołysząc się nawet przy najłżejszym podmuchu wiatru i grożąc zawaleniem w dowolnej chwili.

Nie mogę nie zauważyć idealnie okrągłej linii stoku piaszczystego wzgórza; z ciekawości wyciągam przed siebie dyszę licznika Geigera – kilka słabych trzasków, potem cisza. Zero promieniowania, jak i na poprzedniej. Wspinam się na częściowo osiadłą górkę, spod której miejscami wystają betonowe progi i tarasy. Tak jak się spodziewałem, potężny „grawikoncentrat” wyrwał dziurę przez wszystkie warstwy ziemi, betonu, żelaza i zbrojeń, tak że wewnątrz bunkra pod spodem widać jak na dłoni – zwinięte w spirale rury, wykrzywione w przedziwnych piruetach kable, otwarta jak zamek błyskawiczny żelazna drabinka. Jako że anomalia musiała dawno już zniknąć, to podziemny schron pełny jest wody, liści i piachu, które naleciały tu przez powstałą dziurę. Szkoda... Ale poza tym układ identyczny – grube kable idące do budki na górę, aparatura pomiarowa na dole, prymitywne komputery starego typu w żelaznych szafach. No właśnie, kable. Patrzą na

kołyszące się kilkanaście metrów nad ziemią żelazne gniazdo na końcu wieżyczki – wyraźnie widać, że do balkoniku wokół stróżówki zamocowany jest rząd anten i talerzy zbiorczych oraz... MOŻLIWE? Tak, nie ma wątpliwości – solidna, stacjonarna lornetka. A jeżeli wieża stała o tak, zanim się złożyła w górę, to szkła lornety patrzyły dokładnie na...

Spoglądam na południe, gdzie rura komina wentylacyjnego nad czwartym energoblokiem nieomylnie wyznacza epicentrum Zony. No, nieźle, nieźle – dwa niemalże identyczne obiekty, obydwa obserwujące CzAES i pewnie prowadzące jakieś pomiary. Przy czym tutaj jesteśmy już w strefie przygranicznej, przecież za kanałem Grubczańskim to już Ukraina...

Nagle czuję, jak z nerwów robi mi się gorąco. Fak! Fak! Fak!... Gorączkowo rozwijam mapę, patrzę jak cieleń na malowane wrota w przerywaną linię pogrubioną fioletem, biegnącą wzdłuż kanału, przy którym ma się znajdować mój „Ekssmorsadkoł”. CHOLERA! Przecież tu do dawnej granicy nawet pół kilometra nie będzie, jakim cudem niby miałoby budować kołchoz w strefie przygranicznej! Że też ja na to wcześniej uwagi nie zwróciłem...

Przysiadam ciężko na betonowym postumencie, wyciągam z kieszeni papierosa, zapalam. Bezsilna złość ściska mnie za gardło – no przecież to oczywiste, jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć! Nikt przecież nie zezwoliłby na budowę tak rozległego obiektu w pasie przygranicznym, a na pewno już nie pchaliby się do tego wojskowi. Ech... taki kawał drogi na darmo. No, może nie na darmo, bo kilka artów się zebrało po drodze i wieżę się znalazło, ale...

...zaraz. Zadzieram głowę i patrzę na przełamaną w połowie konstrukcję – przecież tu nie miało być wieży, w sumie to natknąłem się na nią przypadkiem. A jeżeli jest wieża, to może,

może...

– Joptliplecki wyźzgód! – rozlega się zza mnie piskliwy wrzask. Instynktownie nurkuję w dół i rozplaszczam się na piachu, dzięki czemu tylko unikam dekapitacji przez chitynowe odnóżne pseudomięsa, który musiał podkraść się do mnie z tyłu, gdy tak siedziałem pogrążony w czczej zadumie – ot, Zona pokarała za niestałość i wątpliwości w trakcie rajdu. Co to jest tutaj z tymi mutantami imitującymi ludzką mowę? Wyszarpuję z kabury glocka, przerzucam kciukiem selektor – broń rwie się i skacze w rękę, wypluwając wachlarz łusek i dziurawiąc podbrzusze stwora serią kul dziewięć milimetrów.

– Branćwa! Skimałlijon! – Pseudomięsak staje na tylnych odnóżach i przednimi łapami niczym zębate kosy wierzga w powietrzu, opada na ziemię i próbuje nabić mnie na nie niczym szaszłyk ze stalkerzyny. Ach ty, niedoczekanie twoje... Podrywam się na nogi, daję jeszcze ognia w stwora, ale pociski rykoszetują od chitynowego pancerza, raptem dwa dają radę przebić grube płytki – muszę ściągnąć *Zbawiciela*, wtedy szybko pójdzie... Pseudomięsak próbuje szarżować, więc nie spuszczaając go z oczu, chowam się za róg betonowej podstawy, sięgam ręką za plecy po strzelbę, tracę oparcie pod nogami i spadam prosto do bunkra w dole.



Chlap! – otwiera się pode mną burobrazowa, śmierdząca breja. Krztuszę się i pryham, próbuję odruchowo płynąć, ale woda sięga mi tutaj zaledwie do pasa, więc wstaję, próbując zrozumieć, co się stało. Zrywam strzelbę z ramienia, zapominam jej odpiąć, chwyt wyślizguje mi się z dłoni, szarpię się i mocuję z wojskową szybkostrzączką, w końcu udaje mi się pół odpiąć, pół rozerwać mocowanie, toczę wokoło siebie lufą, dopiero w połowie zapalam latarkę, zaczepiam o coś nogą, wywalam się jak długi w cuchnącą wodę...

– Młyśpniak? – słyszę z góry zdziwione mamrotanie pseudomięsaaka zagląającego do wielkiej dziury, w której znikła jego niedoszła zdobycz. Podrywam lufę i wypalam do niego, nie celując, śrut wyrywa kawałki betonu ze ściany, stwór znika z przerażonym kwikiem, a ja stoję na dole, dysząc ciężko ze wściekłości i przerażenia. Na głowę spada mi kilka fragmentów odstrzelonego żelbetu, trochę piachu osypuje się z góry i z pluskiem wpada do wody. Każdy mój ruch, każdy dźwięk odbija się echem w tym betonowym grobie. Choolerrraa...

No dobra, tylko spokojnie. Zona pokarała, Zona oszczędziła – w sumie to niezły cud, że nie nadziałem się na jakiś pręt ani nie trafiłem kręgosłupem w żadną żelazną skrzynkę w tym dość w końcu wąskim bunkrze. Walnąłem się co prawda strasznie w udo, bo dość płytko było, ale i tak nie jest źle – to znaczy jest źle, ale nie jest najgorzej. Zgubiłem tylko gdzieś pistolet... Próbuję sięgnąć do dna ręką, ale nie ma szans. Brodzę chwilę w tej burej brei, szurając nogami po dnie, aż w końcu trafiam butem na znajomy kształt – zamykam oczy, nabieram powietrza, przykucam i podnoszę mojego G18; pistolet jest, tylko magazynek się wypiął. Ech, na szczęście mam drugi, ale wygląda na to, że teraz będzie jedyny. No nic, i tak muszę go

dobrze wyczyścić... Ale to nie teraz.

Rozglądam się uważnie po zalanym wodą podziemnym schronie – obraz nędzy i rozpacz. Co tu dużo mówić, woda zrobiła swoje, wszystko zaśniedziało i zapyziało, brud, syf, kiła i mogiła. Z przewagą mogiły w moim przypadku, bo drogi wyjścia nie widać. Drabinka rozerwana na pół, więc do wjazdu nie dojdę; do dziury po „grawikoncentracie” nie ma się jak dostać – no chyba że po kablach jakoś, ale musiałbym być półnagim cyrkowcem z anoreksją, żeby mnie utrzymały zaczepy. Innych wyjść nie ma... DIABLI NADALI. Wyłazę z wody, siadam na jakimś starym urządzeniu, wyciągam z kieszeni paczkę papierosów – może nie zamokły do końca... Próbuję podpalić szluga, ale mokry tytoń tli się tylko i gaśnie – chyba rzucam palenie po raz kolejny.

Siedzę tu już chyba ze dwie godziny, bo na zewnątrz zaczyna robić się lekko purpurowo – po niedużym deszczu wyszło przedwieczorne słońce, wpadające teraz ostatnimi promieniami do mojego żelbetowego grobu i rzucające świetlne refleksy na zawilgoconą ścianę bunkra. Do powierzchni tak blisko, a jednak tak daleko... Powoli zaczynam tracić nadzieję.

Zdażyłem już przejrzeć i wysuszyć sprzęt – na szczęście nieprzemakalne wkładki nie puściły, więc do plecaka mi się za bardzo nie nalało. W glocku tkwi pół kilo błota, więc na razie go nie ruszam, wysiadł mi licznik Geigera, z którego już wyjąłem akumulatory, no i nie mam mapy, która chyba została na górze. Nie aż takie duże straty, będzie się z czym do grobu położyć. Zaraz się zrobi ciemno, będę mógł się tu przespać, akurat dostanę zapalenia płuc.

Zastanawiałem się już nawet, czy jest szansa, że ktoś będzie w okolicy i może zobaczy leżącą na stoku zafoliowaną mapę. Jasne – sam przed chwilą mówiłem, że nikt się tu nie zapuszcza.

Pomocy nie ma jak wezwać, bo nawet jeśli odpalę flarę, to przecież nikt jej nie zobaczy. Choćbym miał jeden z tych frymuśnych, naszpikowanych elektroniką PDA z łączem satelitarnym, to i tak jestem za głęboko w Zonie, żeby był tu zasięg, a poza tym siedzę siedem metrów pod ziemią w żelbetowej klatce Faradaya.

Zaglądam w czarną lufę *Zbawiciela* – trzy dni. Tyle sobie kiedyś dałem czasu na wypadek sytuacji bez wyjścia i tego będę się trzymać. Z „elektrą” w piwnicy było niebezpiecznie blisko, ale się udało. Tutaj... zobaczymy, ale sprawa wygląda więcej niż beznadziejnie.

Próbowałem dwa razy już wspinać się po przewodach – brakuje mi rąk po prostu. Za drugim razem zdjąłem sprzęt i przywiązałem tylko do niego nylonową linkę, zaczepioną za pas, ale i tak wymiękłem w pół drogi – nawet jak dojdę do wjazdu, to co? Drabinki już pod nim nie ma, więc jak go otworzę? Gdyby tylko te cholerne kable nie chowały się, ot tak, po prostu w suficie...

Patrzę uważnie na grubą wiązkę czarnych kabli, które biegną z otworu w stropie, lecą po żelaznych obejmach i chowają się we wpuszczonej w ścianę kratce. W KRATCE. Bardzo powoli, żeby nie spłoszyć szansy, przekręcam się na tyłku i zapalam latarkę – snop sinawego światła wyłuskuje każdy szczegół kratownicy przykręconej do pordzewiałej framugi, opatrzonej wzmocnionym kątownikami wycięciem, przez które chowają się za nią grubaśne przewody. KRATKA.

Zsuwam się znów w zimną, brązową breję na dnie bunkra, brodząc po pas podchodzę do ściany, zaglądam, przyświecając latarką, w szyb techniczny po drugiej stronie. Czyżby jednak...

Drżącymi z ekscytacji rękami wyciągam szwajcarskiego multitoola z pochewki, otwieram śrubokręt krzyżakowy, chwilę

walczę, żeby poruszyć pordzewiałe śruby, w końcu udaje mi się obluźować i wymontować kratową zaślepkę. Wkładam do środka strzelbę z latarką – przede mną może półmetrowej średnicy korytarzyk z betonowych prefabrykatów, wzdłuż którego na ścianie biegną w żelaznych przewodnicach kable. Koniec poziomego szybu ginie gdzieś w ciemnościach, ale zawsze daje to nadzieję, że jeszcze coś zobaczę w życiu i strzełę sobie w łeb gdzie indziej. Niewiele myśląc, zakładam na siebie wyposażenie, do przedniej kieszeni kurtki upycham zapasowe akumulatorki do baterii, podciągam się na łokciach i wpełzam w ciemną gardziel.

Nie wiem, jak długo już czołgam się we wszechogarniającej ciemności. Umysł płata nam w takich chwilach figle – czasami wydaje mi się, że coś słyszę lub widzę, kiedy indziej znów mam wrażenie, że już wypelźłem na otwartą przestrzeń, więc próbuję wstać na czworaki, nieodmiennie uderzając się boleśnie o niski sufit. Nie wiem, czy mam otwarte, czy zamknięte oczy, więc czasami zapalam latarkę – gdy widzę przed sobą cały czas tak samo wyglądający szyb, to mam wrażenie, że nie ruszyłem się ani o krok albo że przebieram nogami w miejscu. Nie mogę nawet się obrócić, żeby zobaczyć, jak daleko dałem radę się doczołgać, więc mogę iść tylko naprzód. Gdy zatrzymuję się, żeby odpocząć, to nie jestem pewien, czy zasnąłem, czy tylko czuwam, więc tracę poczucie czasu. Czasami wydaje mi się, że już-już coś złapie mnie za nogę, a kiedy indziej boję się włączyć światło, by nie zobaczyć przed sobą jakiejś potwornej twarzy. Chwilami ogarnia mnie klaustrofobia, bo mam wrażenie, że tunel zaczyna się zwężać, a ja mam coraz mniej miejsca – wtedy zapalam latarkę i widzę przed sobą tylko identycznie wyglądające cztery ściany, wiązkę przewodów w uchwytach i ginącą w mroku perspektywę. Zdaje mi się, że słyszę głosy albo

melodie, że czuję na twarzy powiew świeżego wiatru. Boję się, że może wszedłem w jakąś anomalię przestrzenną i już na zawsze będę czołgał się tym tunelem.

Gdy widzę przed sobą kratkę, za którą nikną przewody, to nie wiem, co myśleć – boję się podczołgać do niej bliżej, bo może okazać się, że będzie za nią zalany podziemny bunkier i ja siedzący na pordzewiałej konsoli. Dłuższą chwilę po prostu leżę tak, starając się zebrać myśli i uspokoić rozedrgany umysł – spokojnie, tylko spokojnie... Na szczęście boli mnie każdy mięsień, więc przynajmniej czuję, że żyję. Starając się robić jak najmniej hałasu, podczołguję się do kratki... Nie wiem, po co się tak staram, swoją drogą – i tak będę musiał jakoś ją zerwać z mocowań, przecież jej nie odkręcę od środka. Na pewno jest za nią jakieś pomieszczenie, na pewno nie bunkier pod wieżyczką – chwała Czarnemu Stalkerowi, dokądś doszedłem... Wsłuchuję się chwilę w ciszę po drugiej stronie. Pora się trochę rozruszać.

Nie muszę wam mówić, ile wysiłku kosztuje mnie wyrwanie pierwszej śruby w tym upiornie wąskim korytarzyku – mogę uderzać tylko jedną ręką z bardzo krótkiego zamachu, więc zanim udaje mi się osiągnąć jakikolwiek efekt, obydwie dłonie bolą mnie tak, że prawie zaczynam płakać. Nie wiem już, jak się ułożyć ani jak uderzać, więc po prostu walę na oślep, czując, jak milimetr po milimetrze śruba wysuwa się z gniazda... Gdy w końcu puszcza i kratka odgina się minimalnie, uwieszam się na niej całą swoją masą, klnąc i łkając naraz, zapieram się butami o obejmy kabli, pcham i szarpię, bluźnię i błagam, wiedząc, że walczę nie tyle o życie, ile o godną śmierć. Kratka zaczyna się poddawać, raz i jeszcze raz, znowu...

Gdy zapora puszcza, a ja całym impetem wylatuję z szybu, miga mi w głowie myśl, że nawet nie wiem, jak wysoko jest wylot korytarzyka, a ja mogę zginąć szybciej i głupiej, niż mi się

zdawało... Ale potem huknięcie o ziemię i łomot upadającej na betonową podłogę kratki rozwiewają moje obawy. Uderzenie zupełnie odbiera mi dech, próbuję zaczerpnąć powietrza, jednocześnie staram się namacać rękojeść strzelby i wdusić włącznik latarki. Chyba coś mi pękło w plecaku, bo słyszałem takie charakterystyczne chrupnięcie... Zapalam w końcu światło, jakoś podnoszę się z podłogi i w pozie bardziej żalostnej aniżeli bojowej rozglądam po pomieszczeniu.

Kiedyś musiała to być jakiegoś rodzaju serwerownia – ściany zastawione rzędami żelaznych szaf z pudłami przedpotopowych komputerów, potężne wywietrzniki w ścianach, plątanina kabli i przewodów. Kilka maszyn wygląda podobnie do niby-sejsmografu, który znaleźliśmy z Drem w pierwszym bunkrze, ale pożółkłe bele papieru już dawno stanęły w miejscu, a pisaki zamarły w swojej ostatniej pozycji. Jakiś stół i puszka z długopisami i mazakami, proste lampy w hermetycznych siatkowych kloszach na ścianie – *wsjo*. Jedyne drzwi wyjściowe są zamknięte, ale na razie nie będę ich otwierać, zamiast tego osuwam się na ziemię i pozwalam sobie na chwilę zasłużonego odpoczynku. Przy okazji sprawdzam też, co mi tak chrupnęło – wygląda na to, że pękł jeden z pojemników na artefakty, ale niegroźnie, bo jeszcze się trzyma w całości. Trudno, jakoś to przeżyję. Chwila wolnego, tylko krótka chwila...

Otwieram oczy. Spałem? Cholera, chyba spałem. Więcej szczęścia niż rozumu, bo przy takiej nonszalancji można się nie obudzić... Latarka na *Zbawicielu* już ledwo bzdzi, więc wyłączam ją i zmieniam akumulatorek – no świetnie, jeszcze wymarnowałem bez sensu baterię. Potworne zmęczenie rwie wszystkie mięśnie, więc raz-dwa wciągam porcję żywnościową, zagryzam słodkim batonem i zapijam energetykiem – trzeba się

szybko podnieść, a co... Gdzie ja w ogóle jestem?

Otwieram solidne, przeciwpożarowe drzwi, wyglądam szybko w lewo i w prawo razem ze światłem latarki. Cisza, spokój – betonowy korytarzyk ciągnie się kilka metrów w lewo i kończy schodami w górę, po prawej, i zaraz naprzeciwko podobne moim drzwi. Decyduję się najpierw sprawdzić pokój na wprost – drzwi poddają się stosunkowo łatwo, w środku nic szczególnego, jakaś generatornia z agregatem Diesla i rzędkiem hebli elektrycznych na ścianach, schemat podłączeń prądowych i liczniki... Nooo, niezłą instalację i niezłe podłączenia tu mieli, jeżeli prawidłowo odcyfrowuję te ruskie bazgroły. No dobra, pora na pracę wywiadowczą – wyjmuję zza szklanej ramki schemat, składam kulturalnie, chowam do hermetycznej torebki strunowej – podrzucę to Drowi do rozkminki, on się zna na takich rzeczach. A co do pokoiku na końcu korytarza...

No, tutaj był kiedyś punkt dowodzenia – to po prostu widać. Imponująca flaga BSSR, na jej tle fotka Baćki Łukaszenko z jego szalowymi wężorami, solidne dębowe biurko, a na nim trup w mundurze majora, wciąż ściskający w dłoni solidnej konstrukcji pistolet TT-33, z którego musiał kiedyś przestrzelić sobie skroń – nie najlepszy wybór broni na samobójstwo, silny pocisk małego kalibru może zapewnić użytkownikowi dobrych kilka godzin upojnego konania. Na biurku przewodowy telefon starszego typu, jakieś papiery w rogu i chyba list pożegnalny, ale zalany na amen krwią i przyklejony do blatu, poza nimi jeszcze oprawione w srebrną ramkę zdjęcie uśmiechniętej kobiety w średnim wieku i dwóch nastolatków, obrotowy kalendarz... Pod ścianą stoi AKS, obok stosik magazynków, trzy granaty; granatami to się akurat zaopiekuję, reszta mi po nic. Przechodzę za biurko, patrzę na datę – fiu, fiu, 5 maja 2006, dwa tygodnie po Drugiej

Katastrofie. Nieźle. Ile ja bym wytrzymał, zamknięty w podziemnym schronie i otoczony przez potwory, bez łączności ze światem? Chyba nie aż tak długo, ale efekt byłby podobny. Podnoszę plik teczek i kartek, przeglądam szybko – o kurczę, wygląda to na coś ciekawego, sądząc po sygnaturach bezpieczeństwa. Trzeba będzie przejrzeć na spokojnie... Wiedziony jakimś idiotycznym impulsem salutuję szkieletowi wojaka – bądź co bądź, wykazał się niewiarygodnym hartem ducha i spokojem, a ja znalazłem dokumenty, które on właśnie po to starał się ocalić. Wkładam kartki w podwójną folijkę, chowam do plecaka, przy okazji pobieżnie przeglądając zawartość szafek obok – jeszcze trochę dokumentów, ale przecież wszystkiego nie zabiorę, jakieś teczki danych osobowych, kwity i potwierdzenia zamówień wojskowych... O, i mapa na ścianie – okazałych rozmiarów wojskowa sztabówka, kwadrat M-36-I, ale nówka sztuka, datowana na dwa tysiące piąty – wow, nieźle znalezisko, do tej pory najbardziej aktualna mapa tego rejonu pochodziła jeszcze z czasów przed Pierwszą Awarią, z bodajże osiemdziesiątego piątego, a tutaj aktualna, białoruska sztabówka mojego rewiru. Patrzą jeszcze na szkielet na biurku – na ramieniu munduru naszywka z emblematem Sarkofagu i zielonych liści... Ciekawe. Wychodzę, zamykam za sobą drzwi – *wiecznaja sława gierojam*.

Schody na drugim końcu korytarza pną się dość wysoko w górę, potem kończą się niedużym pomieszczeniem dla strażnika: jakieś resztki mebli, rozbebeszony telefon, monitor komputera i ogromne, żelazne drzwi. Wszystko, co nie było przytwierdzone do podłogi albo ścian, jest rozwalone w drzazgi, zupełnie tak, jakby ktoś wielokrotnie rzucał sprzętami o ściany i skakał po nich dla samej radości skakania. Drzwi są w kilku miejscach wgięte do środka – nie wygląda to na wgnioty po strzałach z

broni palnej, raczej jak potężne uderzenia jakimś tępym, niewiarygodnie ciężkim przedmiotem. Wrota są zamykane na potężny kołowrót, który przywiązano wieloma zwojami stalowej linki do zawiasów, a koła zębate mechanizmu poblokowano wbitymi na siłę między tryby nabojami do AK – tak jakby major za wszelką cenę chciał się upewnić, że nikt nie da rady tych drzwi z zewnątrz otworzyć. Ale niby jak miałyby je otworzyć, skoro zaryglowano je od środka? Chyba że...

Mam swoje podejrzenia, ale nie pora je teraz werbalizować. Innego wyjścia stąd nie ma, więc biorę się za mozolną rozbiórkę dzieła naszego wojskowego – nie jest to łatwe, część naboju wjechała między tryby i sprasowała się na papkę, część musiała odpalić w trakcie, teraz nagar zapiekł się i trzyma pomimo kilogramów smaru i towotu na mechanizmie. No co to ja mam ostatnio z zamkniętymi przestrzeniami... W końcu udaje mi się poruszyć kołem, tryby zaczynają się kręcić, ale wtedy opadają mnie wątpliwości – a może mam za mało amunicji? Może wziąć dodatkowego kałasza i ze dwa magazynki? Eeee, bzdura – właśnie przez takie myślenie i próby osprzętowania się na siłę giną stalkerzy. Polegać mam na sobie, nie na broni ani sile ognia, a do tego *Zbawiciel* mi spokojnie wystarczy. Wracam tylko do majora, na paluszkach podchodzę do szkieletu i wyłuskuję mu z dłoni tetetkę – akurat bronią krótką nie pogardzę. Wsuwam magazynek – no tak, wojskowy, chciał się zastrzelić, to załadował tylko jeden nabój. Resztę znajduję w szufladzie biurka, przy okazji wyciągam stamtąd pęk kluczy i dwie karty kodowe na łańcuszku. Kto wie, mogą się przydać.

Odblokowuję do końca pancerną gródź przy wyjściu, napieram na nią barkiem – idzie! Słyszę zza drzwi jakiś hałas i rumor, drzwi otwierają się i otwierają, a wciąż widzę tylko ścianę bunkra... W końcu pojawia się prześwit, ale wtedy gródź

blokuje się na amen, ani drgnie dalej – zamykam kawałek i znowu otwieram, ale nic z tego, po prostu uderza w coś na tyle ciężkiego, że nijak nie dam rady tego przesunąć. Przeleżę? Przeleżę, no co mam innego zrobić, zdechnąć tutaj? Pcham się w prześwit, włożę na jakąś hałdę śmieci i złomu, wyciągam do góry ręce, próbując chwycić się czegokolwiek, gdy wychylam głowę, łapie mnie absurdalny, paniczny strach, że drzwi zaraz się zamkną i zmiażdżą-przetną mnie na pół, ale to tylko zszargane nerwy. Udaje mi się w końcu wygramolić przez tę wąską szparę i zleźć ze stosu wszelkiego baracha. Dysząc ciężko, przysiadam w rogu, trzymając przed sobą strzelbę; czuję zapach wilgotnych liści i ścian, brudu i opuszczenia – zapach Zony. Jestem na powierzchni... ale GDZIE jestem?

Niewielkie pomieszczenie, przez trzy okienka po lewej wpada światło księżycy, przede mną spore drzwi typu garażowego, przy czym jedno żelazne skrzydło leży zerwane z zawiasów; jakieś przejście po prawej, chyba nie ślepe, bo też sączy się stamtąd słaba poświata. Koło mnie ogromna hałda śmieci i złomu, na spodzie której leży przeogromnych rozmiarów tylny most napędowy od ciężarówki – wygląda na to, że to właśnie on pełnił rolę improwizowanego taranu. W koncentrycznych kręgach wokół drzwi do podziemnego bunkra ułożone są kręgi czaszek i kości – najdalej od wejścia drobne, ptasie albo szczurze, potem nieco większe, psie i inne zwierzęce, w końcu kilka ludzkich i człekopodobnych. Moje podejrzenia tylko się umacniają, co wcale mnie nie cieszy...

BURERY.

Nikt nie wie, czy zamieszkujące podziemia i kanały pod Zoną plemię karłów-telekinetyków ma cokolwiek wspólnego z ludźmi, ale ja osobiście skłaniałbym się ku temu, że są nam podobni – przynajmniej jeśli idzie o używanie resztek ludzkiej

odzieży, kwestie prymitywnej komunikacji i zaczątki szamanizmu. Przesłanie jest jasne – dawno, dawno temu, u zarania Zony, za tymi drzwiami skrył się potężny wróg. Nasi przodkowie starali się ze wszystkich sił, ale nie dali rady dopaść bestii w jej leżu, więc zasypali wejście do jej groty i oznaczyli je symbolami śmierci, aby nikt nigdy nie zbliżał się do Zakazanych Wrót, na pamiątkę i przestrożę młodym burerzutom, że Wróg może kiedyś powrócić. No i powrócił, jak widać – w trochę innym wcieleniu, ale nie mniej, a wręcz bardziej groźny. Nie wiem tylko, czy odwołania do mitologii mi w czymkolwiek pomogą – burery to wredne stwory, równie niebezpieczne na krótkim, jak i długim dystansie, obdarzone w dodatku zdolnościami telekinetycznymi. Pojedynczy burer potrafi samą myślą podnieść worek cementu i piżgnąć nim na kilkanaście metrów, a trzy lub cztery pewnie byłyby w stanie podnieść samochód... a już na pewno wał korbowy od ciężarówki. Na szczęście zazwyczaj trzymają się ciemnych podziemi i rzadko kiedy gromadzą się w większe stada, więc można je omijać, no chyba że akurat z podziemi się wyłazi. Niestety, jak widać, są pamiętliwe, więc jak raz człowieka zobaczą, to nie odpuszczają.

Ech... Skoro już tu doszedłem, to zobaczmy, gdzie jestem. Podchodzę ze *Zbawicielem* w gotowości do okna, przecieram brudną szybę – widzę solidny betonowy płot, za nim niedaleką ścianę ciemnego lasu. Pod nogami oprócz wszelkiego śmiecia znajomo pobrzękują łuski – ktoś tu musiał strzelać, chyba w kierunku drzwi, sądząc po przestrzelinach w żelaznych wrotach. Wyglądam nieśmiało na zewnątrz, księżyc lśni całą powierzchnią swojego srebrzystego dysku, zalewając nierzeczywistym światłem zabudowania starego kołchozu. Jeden rzut oka wystarczy, żebym zorientował się, że jestem tam, gdzie chciałem – porzucone budynki „Ekssmorsadkołu” straszą

powybijanymi oknami i półrozwartymi paszczami starych garaży, porozrzucane po okolicy „elektry” dodają nutkę upiornobłękitnego blasku do poświaty księżyca, a bezlistne drzewa wyciągają się ku niebu niczym drapieżne szpony. Nie ma co, urocze miejsce...

Próbuję przywołać z pamięci zdjęcie satelitarne – jeżeli tu mamy las, to muszę być w tym przysadzistym parterowym budynku, pewnie od wschodniej strony. Zacząłem od końca, to znaczy od schronu ostatniej szansy. Z wyjątkiem tego, co zniósł ze sobą major, nie było tam nic na temat bieżącej działalności obiektu, czyli szukam budynku administracji. Spróbuję zacząć od tego, który akurat widzę przed sobą – piętrowa ślepa ściana i drugie skrzydło z oknami. Będzie jakieś siedemdziesiąt metrów, najpierw przez stary placyk, potem zaroślami; ruszę wzdłuż płotu, będzie bezpiecznie.

Wymykam się z budynekczku i idę, mając po lewej ręce betonowe ogrodzenie; teren kołchozu wydaje się wymarły, ale wiem, że to tylko złudzenie – gdzieś tu na pewno coś się czai. Kilkoma susami pokonuję prześwit otwartej na oścież żelaznej bramy, dopadam krzaków po drugiej stronie prowadzącej na teren spółdzielni produkcyjnej dróżki. Pod słupem z transformatorem buczy groźnie „elektra”, ale postaram się nie wejść w jej zasięg. Naprawdę się postaram. Przedzieram się przez żywopłot, przystaję na chwilę, nasłuchując – czysto. Chociaż... gdzieś od strony schodzącego ku kanałowi zapuszczonego sadu dochodzi jakiś dźwięk, ale ciężko mi go teraz zdefiniować. Na wybetonowanym podejździe do budynku stoi wojskowy KaMa3, którego całą krypę i tylną część podwozia wciągnęła w siebie „popielniczka” – ciężarówka wygląda trochę jak tonący Titanic ze starych rysunków, z przednimi kołami uniesionymi pod dziwnym kątem. W szoferce

wciąż ściska kierownicę trup żołnierza. Pewnie próbowali uciekać przed Pierwszą Emisją, ale dopadła ich radiacja. Omijam łukiem truchło maszyny, wchodzę przez ogromne garażowe wrota do wnętrza budynku. Latarka wyłuskuje z mroku dwie ogromne hale składowe, zavalone starymi łubiankami i skrzynkami na jabłka. Kiedyś pewnie było to wszystko ułożone na regałach i posegregowane, ale teraz wygląda tak, jakby ktoś podniósł to do góry i wszystko naraz rzucił o ziemię... Burery jak nic, szkodniki cholerne. W głównym skrzydle podobny bałagan – kiedyś chyba było tu jakieś laboratorium, wszędzie poniewierają się resztki sprzętów i probówek, ale to sprawdzę potem; na razie obejdę cały budynek. Wycofuję się na dwór i wchodzę przez główne drzwi wyrwane z zawiasów przez detonację granatu – na ścianach widać pozostałości osmaleń i bruzdy wyżłobione przez rykoszetujące odłamki, na podłodze jakaś kupa szmat, która po bliższych oględzinach okazuje się pozostałościami człowieka, ubranego chyba w piżamę... Brr. Pomieszczenie administracji po lewej totalnie zdewastowane i popalone, w rogu zresztą leniwie przelewa się „żarnik”, więc nie będę się tam pchał.

Zamieram przy schodach na górę, bo znowu słyszę jakiś dźwięk... a może głos? Dochodzi chyba z pomieszczenia na górze, ale trudno to określić – sufity w kilku miejscach rozerwały anomalie, ściany częściowo zmurszały i pokruszyły od lejącej się z góry wody, więc dźwięk rozchodzi się bardzo nieregularnie, rezonując od dachu.

– Awtaaaaju, aaas aahaaauuujuuuu... – znów rozlega się niewyraźny jęk z góry. Świecę latarką, ale nie widać zbyt dużo, tylko ciemny prostokąt drzwi i korytarzyk zakręcający w prawo... Wchodzę na piętro, omijam póki co wejście, sprawdzam korytarz – po prawej zdewastowane toalety i prysznice, dalej w

pomieszczonego z oknami na zatopioną ciężarówkę chyba jakaś cywilna kwatera – zwykle, niegdyś porządne łóżko, poniewierające się po całym pokoju książki, zacieki wilgoci pod wybitymi oknami, szafa wciąż pełna równiutko poukładanych ubrań, które teraz rozsypują się pod dotykiem. Tablice i jakieś wykresy na ścianach, na wieszaku strzęp białego fartucha laboratoryjnego, na półce nad łóżkiem czarno-białe zdjęcie jakiegoś łysiejącego księdza w okularach – Kolbe czy co? Aha, Mendel... ten od genetyki, znaczy się. Obok w pudełeczku posegregowane i opisane minikasety od dyktafonu, przebiegam oczami daty – ostatnia 02.04.06–10.04.06, pierwsza 15.08.04–21.08.04, czyli dwa lata... łapię tylko pierwszą oraz kilka ostatnich i wpycham do kieszeni, nie widzę najbardziej aktualnej, czyli od 10 kwietnia 2006 – trzeba będzie poszukać. Poza tym chyba nic ciekawego...

– Aaaa mahhooohhhyaaa, aaa maaahohyhaaaa, phyyyyyhoooo... – kolejne zawrozenie z pokoju obok. Ujmuję pewniej *Zbawiciela*, zaglądam ostrożnie przez drzwi. Musiały to być koszary – rzędy piętrowych łóżek, szafki na rzeczy osobiste, plakaty wojskowe na ścianach. Teraz panuje tu potworny nieład, łóżka poprzewracane, na podłodze leży kilka zetłałych trupów w ubraniach o różnych stadiach rozpadu, wszędzie ślady strzelaniny, jedna ściana rozepchnięta przez „trampolinę”. Częściowo musiało się tu coś palić – zupełnie tak, jakby ogień dostał się przez okna z zewnątrz. Daleko na południu widać oświetloną przez księżyc CzAES...

– Aaaaas aaahauuuujjuuu, phyhoooooooo... – przyklękam i składam się do strzału, ale nie pociągam za spust. Skulony pomiędzy łóżkami zombi w kamuflażowych spodniach i pasiastej *tielniaszce* patrzy wygniłymi oczami w leżącą na podłodze roztrzaskaną radiostację, kręcąc bez sensu stopionymi

gałkami i jęcząc w słuchawkę, dyndającą na urwanym przewodzie. – Haaaa maaahohyyyya, phyoooo...

Wycofuję się po cichu – nie ma co niepokoić martwych. Schodzę po schodach, starając się nie hałasować zbyt na rozbitym szkle, zaścielającym odłamkami całą podłogę, na dole raz jeszcze zatrzymuję się przy szkielecie w piżamie – tak jak czułem, martwe palce wciąż ściskają dyktafon... Wyjmuję z ręki trupa urządzonego, wyluskuję minikasetę, przy okazji zdejmuję mu z szyi identyfikator i kartę kodową, podnoszę głowę – i patrzę prosto na stojącego opodal burera.

Stwór jest chyba tak samo zaskoczony, jak ja – musiał właśnie wyjść zza rogu budynku i też się nikogo nie spodziewał... Pomarszczona skóra na twarzy niczym u przerośniętego dziecka wykrzywia się grymasem gniewu, ale ja już podrywam broń, biorę go na cel, sto siedemdziesiąt lumenów światła odbija się w przystosowanych do widzenia w pełnej ciemności oczach, odziany w resztki płaszcza z kapturem burer odruchowo zasłania się nieproporcjonalnie grubą łapą od rażącego blasku i to chyba ratuje jego parszywy żywot – *Zbawiciel* grzmi ogniem i pluje ołowiem, ale śruciny, zamiast urwać potworowi łeb, uciekają w górę, zaczepiając go tylko za przedramię i odrzucając do tyłu, ja rzucam się szczupakiem w przejście po lewej do laboratorium, sunę barkiem po tłuczonym szkle, biorąc na cel wejście i gotów poprawić... Cholera, skrewiłem, trzeba było od razu dobić! Wstaję na nogi, susem dopadam korytarzyka, świecę na zewnątrz, ale karzełka już tam nie ma. No, to zaczynamy tany.

Słyszę przeraźliwy zgrzyt metalu o beton, gdy ogromny żelazny regał przesuwają się po podłodze tam, gdzie byłem jeszcze chwilę temu, i wbija w przeciwległą ścianę. O kurka, będzie wesoło... Leżąca na podwórzu beczka powoli unosi się w

powietrze i kiwa na wysokości jakichś dwóch metrów, potem punktowo leci w kierunku ciężarówki i z głuchym hukiem odbija się od drzwi kabiny, potem toczy się kawałek i spada z podjazdu. Jednocześnie z hal składowych wyjeżdża latający pociąg łubianek, które kręcą się chwilę wirem w powietrzu i potem rozlatują na wszystkie strony, rozbijając się o ściany budynku i osypując fragmentami plastiku i drewna. Co on kombinuje, skubaniec? Na pewno zna teren lepiej ode mnie, bo ja nie znam go wcale, więc ewidentnie tworzy zasłonę dymną, a sam pewnie...

Podskakuję do okienka z tyłu, już po drodze wyrywając zawleczkę z granatu i ciskając obłym kształtem RGD-40 przez szybę; brzęk tłuczonego szkła, gardłowy ryk i trzask gałęzi z zewnątrz.

Detonacja granatu wstrząsa budynkiem, błysk rozświetla okolicę, huk odbija się echem od drzew, na górze wypada jeszcze kilka okien. Mam cię! – ale... coś daleko ten granat wybuchł... Skubany, musiał zdążyć go odrzucić! Ale jeżeli był z tyłu, to teraz pewnie... zaglądam do laboratorium tylko po to, żeby błyskawicznie schować się za ścianę, gdy w moją stronę leci nawałnica wszelkiego śmiecia: potłuczone próbówki, kawałki narzędzi, szkło i gruz, ale też dwa stołki i żelazna skrzynka, która roztrzaskuje się o ściankę korytarza metr od mojej głowy. Jednocześnie widzę, jak z podłogi unoszą się doczesne resztki profesora w piżamie – no nieeeeeee... Odskakuję w jedyną stronę, w jaką mogę, czyli ku schodom, gdy martwy od lat uczony roztrzaskuje się z grzechotem kości o ścianę, uderzam się boleśnie o kant betonowej wylewki, jednocześnie widzę, jak na szczycie schodów balansuje podwójna żelazna prycza...

...ojej.

W przeblysku instynktu rzucam się pod schody,

kilkadzieciąt kilogramów zardzewiałego żelastwa i sprężyn lotem pikującym spada tam, gdzie byłem jeszcze chwilę temu, czuję przeszywający ból lewej nogi, której nie zdążyłem na czas schować. Wygrzebuję się na klatkę schodową, próbuję nogę – działa, czyli lecimy dalej. Wypadam na korytarzyk, chowam się dla odmiany w pełnym hałasie i brzęku laboratorium – co jest, wszystko tu wisi w powietrzu, przypadkowe przedmioty rozbijają się o ściany, a tamten na zewnątrz przecież jest... chyba że... przebiegam szybko przez nawiedzone pomieszczenie, po drodze obrywam w głowę kilkoma odłamkami drewna, żelazny mikroskop boleśnie uderza mnie w plecy, ale biegnę dalej, bo w rogu widzę prowadzący w dół szyb z metalowymi kłami. Tu was mam, bydlaki. Szybko posyłam na dół dwa granaty, słyszę z dołu wściekło-przerażone wycie, potem dwie eksplozje granatów odłamkowych ucinają to wszystko w pół nuty, laboratoryjny chłamek opada bezładnie na ziemię, kakofonia dźwięków i rumoru prawie ogłusza, ale nie czas się użalać – jest jeszcze jeden... Biegnę do pokoiku przy wejściu, stąd będzie dobry widok. Ustawiam się w rogu, stąd kryję ogniem moje drzwi, garaż i wieniec budynku. Wszelki miażdżenie wiruje w powietrzu, ale to nic – poczekam, aż podejście bliżej. Tak jak się spodziewałem, nagle wszystkie beczki i skrzynki na podwórku podrywają się w powietrze, a zza rogu wyskakuje ohydny karzełek w szmatach – pociągam spust, chmura śrucin masakruje drewniane skrzynki i wyrywa kawał tynku na rogu, ale burer zdążył się schować. Ja też przykucam, bo w okna uderza nawałnica żelaza i drewna, szkło sypie mi się na głowę, ale to nic – dokładnie tak miało być. Czekam, aż się uspokoi, znowu biorę na cel wieniec, układam sobie wygodnie *Zbawiciela* na framudze, latarka świeci na miejsce, w którym poprzednio stał burer. Poczekam.

Słyszę go, jak wchodzi drzwiami od strony laboratorium. Jest cichy i szybki, ale całe to barachło, które na siebie założył, jednak ciągnie się po podłodze. Czai się chwilę w pomieszczeniu, ale nie reaguję – teraz bawimy się w kotka i myszkę, każdy z nas udaje, że go nie ma. Powoli zbliża się do drzwi, przechodzi do korytarzyka... Nie reaguję. Prawie – PRAWIE – bezszelestnie podkrada się do drzwi, zza których świeci na podwórze latarka. Spinam się w sobie... Gdy pokoi flankujący wejście oprócz aktywującego się „żarnika” eksploduje wirem resztek mebli, szklanych odłamków, żelaznego złomu i gruzu, który wciąga i porywa w siebie strzelbę z latarką, wyskakuję spod schodów i staję na końcu korytarzyka – telekinetyczny huragan już się uspokoił, anomalia jeszcze szaleje, latarka świeci gdzieś na podłodze, burer mruży ślepią i próbuje coś tam dojrzeć...

– Pozdrowienia od majora! – Nie mogę odmówić sobie epickiego tekstu, gdy rzucam lewą ręką granat prosto pod nogi stwora. Ten wydaje z siebie ryk zaskoczenia i strachu, granat podrywa się w powietrze, błyskawicą leci ku mnie... Huk wystrzału. Granat upada u moich stóp, patrzę na burera, który stoi, jak stał, a potem osiada bez jednego dźwięku na ziemi. Nie będę ryzykował – podchodzę bliżej, mimo że kolana trzęsą mi się jak galareta, i pakuję jeszcze dwie kule z tetetki w jego paskudny łeb. Cztery lata nieużywana i nadal kopie, kawał porządnej broni. Wracam po granat, podnoszę nieodbezpieczoną „limonkę” z ziemi, wkładam do ładownicy. Trudno uwierzyć, że się udało – strzelba z latarką na przynętę, oszukany granat na przystawkę i prawdziwa kula w łeb na danie główne.

Wyciągam *Zbawiciela* spod przygniatającego go śmiecia – ał, ał, ała! Chucham na sparzoną dłoń w rękawiczce, do której przywarły kawałki stopionego plastiku z rękojeści. No super po

prostu... Dobrze, że się w całości nie spaliła. Doładowuję magazynek, zaczepiam strzelbę na plecach – niech lepiej ostygnie. Z tetetką w ręku schodzę na dół szybem z klamrami. Woń trotylu i krwi powinna tłumić inne zapachy, ale smród jest po prostu wszechogarniający... Dwa burery rozsmarowane granatami po podłodze i ścianach – w tak małej przestrzeni nie było szans, żeby cokolwiek przeżyło. Mam ślad wyrzutu sumienia, gdy zauważam, że jeden z potworów był znacznie mniejszy od drugiego; pewnie gniazdo rodzinne. No cóż, tylko kolejny dowód na tradycyjne sposoby rozmnażania się fauny w Zonie. Świecę latarką, ale nie wchodzę dalej – kiedyś pewnie była tu podziemna część laboratorium, krótki korytarzyk i wyrwane drzwi na kartę kodową, za nimi pomieszczenie zasłane ogryzionymi kośćmi, śmieciem i odchodami burerów. Nic tu po mnie, a cuchnie tak, że aż na wymioty zrywa.

Przyznam się wam, że ledwo daję radę wleźć na górę po drabince, chyba jestem bardziej poobijany, niż mi się wydawało. Słyszac cały czas, jak zombi na górze próbuje wezwać pomoc przez radio, otwieram apteczkę i wkłuwam sobie końską dawkę adrenaliny i przeciwbólowego – noc może być jeszcze długa, dopiero pierwszy budynek. Robię szybki przegląd sprzętu, dociągam sprzączki, podwieszam ostatni granat z przodu na szelkach... Amunicji nie zabraknie, byleby sił starczyło. Przypominam sobie o liczniku Geigera, wkładam akumulatory – no proszę, ruszył! *Gniotsa, nie łamiotsa*. Hm, trochę tu trzeszczy... Jednak nieświadomi śpią spokojniej.

Gdy przedzieram się przez krzewy zdziczałych porzeczek za budynkiem, to normalnie czuję, jak brakuje mi nóg. Na szczęście wojskowe dopalacze powoli zaczynają działać, obraz nabiera ostrości i jasności, anomalie zaczynają rysować się wyraźniej w nocnym powietrzu. Po lewej widzę, jak jakiś

wojskowy zombi brodzi chybotliwie pomiędzy krzakami, ale akurat jest tyłem, więc niegroźny. Nurkuję pod gałęzie, czołgam się po suchych liściach ku budynkowi garażowemu, przyczajam się na chwilę przy dwóch starych ławeczkach i drewnianym stoliku pod rozłożystą leszczyną. Ciemno, cicho, spokojnie. „Wiedźmi kiesel” błyszczy zielonkawo przy wejściu, przelewając się bąblami do góry i spadając znowu w dół.

– Whhheehhooo, w aaaahaaaahuu... – słyszę jęk od strony budynku z laboratorium. No tak, czyli kilku zombi jeszcze się kręci po okolicy, pewnie przykuśtykali na odgłosy strzelaniny i wybuchów. Chwilowo niegroźni, bo ja już gdzie indziej, ale pamiętać trzeba.

Garaże puste – tylko dwa wojskowe łaziki i cywilna ciężarówka, „wiedźmi kiesel” gotuje się w kanałach technicznych. Widać, że działały tu burery, narzędzia i części porozwłózione po całej podłodze, wszędzie bałagan. Tutaj raczej nic nie będzie – chyba trzeba wrócić do budynku, z którego tu zacząłem, widzę rząd obiecująco wyglądających okien. Patrząc na ciąg hal składowych po lewej – nie, do tego budynku nie pójdę. Księżyc świeci jak wielka lampa halogenowa, gdy przebiegam niespiesznym truchtem do budynku dawnej wagi ciężarowej. Nic mnie już nie boli, pełny energii jestem, niezłe te prochy... Gdzieś w mechanizmie ważącym uwiązał jakiś artefakt, ale nie będę po niego teraz wlaził. Dobiegam do części parterowego budynku, w której wyłoniłem się z podziemi, omiatam snopem światła drzwi do schronu. Tak, byłem tu, ale tym głupiej byłoby tu zginąć. No dobra, lewą czy prawą?

Prawą, wzdłuż płotu. Na tyłach budynku porosły już spore krzaki, ale przejść się da, poza tym mam stąd ładny widok na okna – trzy nieco wyżej, żółte kafelki i rury w środku, łazienki

pewnie, pozostałe już niżej, więc od razu zaglądam do środka, ale na razie bez latarki, żeby samego siebie nie oślepić, bo księżyc i tak zdrowo daje. Drewniana boazeria na ścianach, zacieki i grzyb na suficie, ślady po kulach, podłoga zasłana papierami i szkłem... W jednym z pokoi leniwie wiruje sobie „karuzela”, w niej kilka kartek maszynopisu i pół tuzina plastikowych długopisów. Prawie wsadzam głowę w „rdzawe włosie” wiszące na framudze, odskakuję do tyłu, opieram się o ścianę i kręcę z dezaprobatą głową – oj, jednak zmęczony jestem, prochy prochami, a organizm siada. Obejdę jeszcze ten budynek, a potem schowam się w bunkrze majora na lizanie ran.

Jakiś nieokreślony dźwięk przykuwa moją uwagę – podnoszę *Zbawiciela*, ale jeszcze nie palę latarki, patrzę uważnie na róg budynku. Ostrożnie podchodzę ze dwa kroki, znowu to słyszę – ni to skrobanie po betonie, ni to echo jakiegoś... Jeszcze krok, wyglądam za winkel – nic, pusto. Tylko „treser” mruga gwiazdkami dalej po prawej. Złudzenie może? Nie, nie w Zonie. Skrobanie i pisk rozlega się znów, tym razem zza mnie i z dołu – obracam się i celuję w rozłożysty krzak płożącego się iglaka. Ki czort? Podchodzę bliżej, widzę krąg zasłoniętej przez krzew studzienki. Zapalam latarkę, lewą nogą odgarniam gałęzie...

Pisk, szelest, huk strzału, fala dźwiękowa odbita od cembrowiny uderza po uszach niczym młotem. Tuszkan – daleki krewniak zająca polnego i skoczka pustynnego, nieduży, ale wredny mięsożerca o zębach jak igły i pazurach jak żyłki. Podobne do bezwłosych królików z jaszczurzymi ogonami tuszkany potrafią zagryźć samotnego stalkera, ale pojedynczy jest niegroźny – szczególnie po przyjęciu ładunku śrutu z tej odległości. Nie gaszę już latarki, bo i tak wszystko w promieniu dwóch kilometrów mnie znowu słyszało, wychodzę zamiast tego przed budynek, świecę w długi, ciemny korytarz, którego

fragmenty widziałem już przez okna. No dobra, wchodzimy...

Znowu słyszę pisk od strony studzienki pod jałowcem, cofam się o krok, wyglądam zza rogu. Na krawędzi cembrowiny siedzi tuszkan – raczej nie ten sam, ale siedzi i patrzy na mnie wielkimi, czarnymi ślepiami nocnego drapieźnika. Podnoszę strzelbę i celuję do niego, ale stworek nie ucieka – przekrzywia tylko łepki i wyszczerza zęby, sycząc odstraszająco... Opuszczam strzelbę, odchodzę o krok, tuszkan syczy głośniej i jeży się, stając na tylnych łapach, cofam się o kolejny krok, potem jeszcze jeden, rzucam się do ucieczki, gdy szarobura fala mutantów wylewa się ze studzienki, wbiegam do budynku, odwracam się i daję ognia w drzwi – raz, drugi – lecę korytarzem, strzelam za siebie w biegu, nawet nie celując, tuszkany piszcą i syczą, wypełniają całą szerokość korytarza, pracują niepowstrzymanie i szczerzą paszcze pełne ostrych kłów...

* * *

O w mordę i nożem.

Budzę się zlany potem na śmierdzącym kurzem i starością poddaszu budynku administracyjnego. Czy nawet pospać spokojnie się nie da, nie dość, że raz to przeżywałem, to muszę o tym śnić jeszcze... O rany, ale mnie wszystko boli. Przeciagam się, łupią wszystkie gnaty, ale wygrzebuję się ze śpiwora i zaczynam zwijać swoje posłanie – deski poszycia rozeschły się i wypaczyły, więc wlewającego się przez szczeliny światła akurat wystarcza, żeby się ogarnąć. Na zewnątrz pada deszcz, słyszę wyraźnie bębnienie o blaszany dach – jednostajny szum działa kojąco, jeszcze chwila spokoju mi nie zaszkodzi. Przeglądam sprzęt, doładowuję *Zbawiciela* i zdobycznego tokariewa –

zostało mi w zapasie dziewięć naboju do strzelby i siedem do tetetki plus ostatnia kula, „co w ustach się schowa”, jak to śpiewał ongiś wieszcz. Rozciągam po kolei mięśnie, przypominam sobie o opatrunku – zdejmuję bandażę i odklejam pomarszczony i wyschnięty artefakt od łydki, rana się w miarę ładnie zaczęła zablizniać, ale radiacji się pewnie znów nażarłem... Cholera, mogłem przecież skorzystać ze znalezionej w lesie „purchla” – ano nie pomyślałem, frycowe się płaci. Zakładam standardowy opatrunek, artefakt chowam do pojemnika – niech się naładuje na spokojnie, szkoda byłoby go zepsuć. Przyciągam plecak, wyjmuję i rozwijam sztabówkę, otwieram na potrzebnej sekcji – no, trzeba zaplanować marszrutę powrotną. Otwieram sobie drzwiczki, wpuszczając do środka więcej światła – na zewnątrz dżdżysto i mgliście, iście czarnobyłski pejzaż. Sięgam po lornetkę, widząc jakieś kształty na podmokłej łące za budynkiem składów – dziwne, pająkowate nogi i niekształtne korpusy, zakończone dziobopodobnymi pyskami głowy... Ach, więc to muszą być te słynne tarki, czyli *Phaenacodus chernobylensis*, produkty domniemanej ewolucji wstecznej konia domowego o pięćdziesiąt milionów lat. Nigdy ich nie widziałem – w ogóle dawno nie widziałem tyle stworów, co przez ostatnie pięć dni, ale też dość głęboko się zapaściłem. Wracam do studiowania mapy – najprościej byłoby pójść wzdłuż kanału, do rzeczki Nieświcz, a potem do linii kolejowej i do domu...

Podnoszę głowę ze skrzyżowanych ramion – chyba przysnąłem znowu, bo przestało padać. Tarki zniknęły, rozwiła się mgła, wyszło słońce – można ruszać. Złazę ze stryszku na dół, słucham chwilę – tuszkany pewnie straciły zainteresowanie i schowały się do swojej nory, ale nie ma co ich drażnić – odchodzę w przeciwnym kierunku, tam gdzie za lasami powinna

znajdować się żelazna nitka torów, prowadząca ku miejscu, które zacząłem już dawno uznawać za swój dom.

Owszem, daleko będzie i niełatwo.

Ale przecież dam radę.

...prawda?

*Dziennik docenta Witalija Anatoljewicza Kuznieckowo –
wybrane fragmenty ze stenogramu*

15 sierpnia 2004

Kuznieckij Witalij Anatoljewicz, lat 49, docent MGBU...
Ciekawe, czy działa, trzeba będzie sprawdzić.

(trzaski)

Dzisiaj zjechaliśmy na nową placówkę. Jestem niezmiernie podekscytowany i pełny dobrych nadziei... „Ekssmorsadkoł” tyle lat stał opuszczony, aż wreszcie ktoś podjął jakże słuszną decyzję o reaktywacji zapomnianej i nieco podupadłej placówki. Szabrownicy zdążyli poczynić tu trochę spustoszeń, odkąd personel naukowy wyjechał w ’97, ale na szczęście większość sadów i upraw pozostała nietknięta. Oczywiście dokonałem dziś jedynie pobieżnej inspekcji. Część drzew wymarła, inne zniszczyły szkodniki, krzewy wymagają dużo pracy, ale w sumie jest to bardzo ciekawa okoliczność – w końcu będziemy mieli szansę ocenić faktyczny wpływ promieniowania na rośliny, których stan na dzień opuszczenia jednostki ponad sześć lat temu mam dokładnie udokumentowany! Niespecjalnie podoba mi się tylko duża ilość personelu wojskowego, no ale cóż począć – zapewniono mnie, że nie będą przeszkadzać w moich badaniach, a nawet mają okazać wszelką pomoc, jakiej mogę potrzebować. Hmm. Nie wiem, w czym mogliby pomóc ci nieokrzesani, prymitywni ignoranci, ale z pewnością dobrze poradzą sobie z noszeniem skrzynek, łopatami i siekierą.

21 sierpnia 2004

Dziś przybyła pierwsza partia nowych sadzonek, które pozwolą mi uzupełnić braki. Mamy tu ciszę i spokój, mogę w pełni poświęcić się mojej pracy, więc wszystko idzie gładko. Ach, jak dobrze jest w końcu wyrwać się z Mińska, od tych pretensjonalnych, nadętych mądrali, jeżdżących tylko od konferencji do konferencji, bełkocących bezustannie o teorii i tak bardzo bojących się praktyki! A przecież nauka to właśnie eksperyment, to próba i błąd, to ofiara i wniosek. Mendel patrzy na mnie poważnie z półki – mam nadzieję, że mój skromny wkład nie pozostanie niezauważony.

4 września 2004

Ośrodek działa już pełną parą. Wczoraj zakończono montaż ostatnich centryfug w laboratorium na dole, przygotowano też komory chłodnicze do przechowywania próbek. Żołnierze okazali się lepszymi pomocnikami, niż z początku sądziłem. Kapitan Słabadzuk trzyma ich krótko i doskonale rozumie istotę mojej pracy, więc wygląda na to, że nasza współpraca będzie przebiegać owocnie.

9 marca 2006

Projekt „Odrodzenie” zaczyna dawać pierwsze wymierne rezultaty. Jakkolwiek niejasne są dane, jakie spływają do nas z Centrali, to zaczynam zauważać w nich pewną prawidłowość – chyba będę zmuszony odbyć kolejną nużącą i długą wyprawę przez Strefę, aby porozmawiać osobiście z profesorem Simonowem. Że też Obiekt Jeden musi znajdować się aż tak potwornie daleko... Nie uśmiecha mi się jazda wojskowym dżipem po tych bezdrożach, ale z drugiej strony nie zaszkodzi mi nieco się przewietrzyć i popatrzeć na świat poza tym płotem. Gdy patrzę na moje uprawy, to prawie zapominam, że jesteśmy w Strefie – chyba pora przypomnieć sobie, do czego doprowadziła ludzka ignorancja i brak właściwego podejścia

naukowego, a co najważniejsze, przypomnieć sobie, przeciwko czemu walczymy i do czego zdążamy. Przygotowałem próby do badań, zaraz pójdę na dół włączyć maszyny, a jutro pojedę do Simonowa.

17 marca 2006

Odebraliśmy dziś transport czynnika X-4, którego będę używać na jutrzejszych nasadzeniach. Nie wiem, czy nie narzucamy zbyt szybkiego tempa, ale major Słabaczuk dał mi do zrozumienia, że Ukraińcy mogą pracować nad czymś podobnym po swojej stronie granicy. Niedoczekanie! Pewnie będą chcieli wkupić się tym w łaski tych szakali z NATO i UE, a to wszystko przecież na wynikach wykradzionych nam badań! Musimy rzeczywiście przyspieszyć testy... Zaczniemy jutro o świcie.

22 marca 2006

Zakończyliśmy nasadzenia i nawożenie czynnikiem X-4. Co ciekawe, każdy transport przybywa w nieoznaczonych skrzyniach, ale w ostatniej znalazłem fragment opisu, bez cienia wątpliwości po ukraińsku... Czyżbyśmy tutaj, na Obieckie Dwa, testowali produkcję, jaką udało się pozyskać ze słynnego INB „Agroprom”? Nie ukrywam, że powinienem czuć się urażony w moim patriotyzmie, ale nie mam nic przeciwko zapoznaniu się z wynikami badań konkurencji.

28 marca 2006

Dziś pozyskaliśmy ostateczne rezultaty stosowania czynnika X-3. Patrząc nawet teraz na wydruki i muszę przyznać, że jestem... Nie wiem, jak to ująć... To po prostu niesamowite! Osiągnęliśmy średni przyrost rzędu 43% w stosunku do grupy referencyjnej, przy czym w poszczególnych egzemplarzach osiągał nawet do 81%! Co prawda pomiary radiacji przekraczają wszelkie normy, ale... to zadziwiająca korelacja – przecież tło

nie podwyższyło się znacząco, prowadziłem nawet dziś rutynowy pomiar. Zagadka do rozwiązania.

Notka na przyszłość – zapytać Słabadzuka o punkty pomiarowo-obserwacyjne.

2 kwietnia 2006

Niesamowite! Przeprowadziłem szczegółowe pomiary, które muszę jeszcze potwierdzić badaniami na Obiekcie Trzy, ale wygląda na to, że tło promieniowania gleby pod krzakami spadło o ponad 25% od czasu pomiarów referencyjnych! Czy możliwe jest, aby czynnik X-3 aż tak zwiększał absorpcję materiałów radioaktywnych, by to właśnie one były przyczyną tak wysokiego wzrostu?

Poinformowałem już Simonowa o moich przypuszczeniach – zdawał się mile zaskoczony, ale chyba czegoś się już spodziewał. Czyżby prowadził równoległe podobne badania? To szaleństwo, Obiekt Trzy miał przecież prowadzić testy na zwierzętach. Chyba że...

4 kwietnia 2006

Czynnik X-4 niestety zawiódł. Ogromny przerost tkanki, brak spójności systemu korzeniowego. Straciliśmy całą uprawę.

Major twierdzi, że projekt „Odrodzenie” jest zagrożony – stąd zwiększenie liczby personelu wojskowego. Szczerze mówiąc, od tej tajemniczej napaści na Obiekt Trzy mogę nawet w to uwierzyć. Nie wiem tylko, czemu nie pozwolono mi tam pojechać po moje próbki... Słyszałem, jak żołnierze rozmawiali o tym, co rzekomo tam widzieli, gdy odpowiedzieli na sygnał alarmowy. Ukraińcy to tępi brutale i sługusy Zachodu, ale nie posądzałem ich o tak bezmyślne okrucieństwo.

9 kwietnia 2006

Dziś dotarła do nas dostawa X-7 i X-8 – ilości minimalne, ale i tak przygotowałem już zasiew.

Dane potwierdzają się, X-3 zwiększa absorpcję materiałów radioaktywnych i prowadzi do ogromnego przyrostu tkanki, niestety przy dawce rzędu 300% zmiany rakowe prowadzą do utraty prymarnej funkcji roślin uprawnych. Pomimo to rośliny nie tracą żywotności i zdają się funkcjonować normalnie. Jutro nakazę próbę szczepienia na części grupy referencyjnej.

10 kwietnia 2006

Zaszczepienia zakończone, ale dzisiejszy wypadek kładzie się cieniem na mojej pracy. Prawdopodobnie nikt nie podejrzewa związku pomiędzy niewinnym skaleczeniem kaprała Pietrowa przy pracy i jego atakiem szału... Mam nadzieję, że Kucowski da radę się wylizać. Po ciała przyjedzie jutro transport.

Przeniosłem egzemplarz #327 do oddzielnej komory wzrostu. O dziwo, na roślinie nie widać praktycznie żadnych śladów naruszenia kory ani tkanki – zupełnie tak, jakby biedak Pietrow nie zaciął jej przypadkiem nożem... Boję się pobrać próbki soku, nie mam tu osprzętu do takich badań; kto wie jak działa ta neurotoksyna.

11 kwietnia 2006

Przygotowałem dziś kolejne nasadzenia do nowych badań. Ofiara Pietrowa i Czikuna była smutna, ale niezbędna – bez ofiar nie ma postępu, a Ojczyzna i Nauka nie zapomną im tego.

Mamy naprawdę piękną pogodę tej wiosny – jest tak ciepło, że żołnierze pracują w samych koszulkach. Niedługo zmienimy tę ziemię nie do poznania, a świat w podziwie spojrzy na dokonania naszej nauki.

Jutro będzie piękny dzień.

...niesamowite zjawisko, całkowicie niespotykane! Niczym zorza polarna, widzę dziwną luminescencję na południu, fosforyzujący blask, jak... to przedziwne, naprawdę niesamowite!

(syreny alarmowe w tle)

O Boże, sygnał alarmowy!... Koniszew, powiedzcie mi co!... (kroki, odgłosy rozmów) Jest noc, noc z 11 na 12 kwietnia 2006, godzina... Boże, zegarek mi nie działa! Na pewno noc, widzę tu niesamowite zjawisko, całe niebo na południu... (okrzyki, słycać wyładowania elektryczne) Padł prąd! Nic nie widzę, wysiadło światło, zaraz włączą się generatory rezerwowe... (kroki, odgłos tłuczonego szkła) Do stu piorunów! Matwijkenko, co się dzieje!... Co?... (głos słabo czytelny) ...nuklearny?... możemy ewakuować... badania... (głos wraca do normy) Sierzancie! Sierzancie, wydzielcie mi kilku ludzi do ewakuacji sprzętu! Musimy natychmiast... (odgłosy serii strzałów) Boże! Kapitanie, co to... (kolejne dwie serie z broni maszynowej) (inny głos) Do środka, do schronu! Panie profesorze, już! (Kuznieckij) Nie jestem profesorem! Zaraz, przecież muszę nadzorować... (strzały, wyraźne krzyki, znowu seria z automatu, wrzask) Jezus Maria! Co to ma... (krzyk, odgłosy szamotaniny)

(dalekie odgłosy detonacji i strzałów)

(krzyk)

(kroki)

(nierozróżnialne głosy)

(fala morska na kamieniach) (?) (krzyki)

(brzęk tłuczonego szkła)

(1h 12min 37s szumu, kilkukrotnie słycać szelest traw) (?)

(zbiżające się i oddalające chwiejne kroki)

(pozostałe 2h 41min 54s kasety rejestruje tylko szum i nierozróżnialne odgłosy)

(koniec zapisu)

Idiotka

Lato było wyjątkowo upalne tego roku”.

Od lat kręci mi się po głowie ten cytat i za cholerę nie mogę zlokalizować, skąd pochodzi. Może ktoś z Was będzie pamiętał?... Moje dwa typy to albo opowiadanie Hłaski, do przeczytania którego zmusiła nas polonistka w czwartej klasie, coś o ogródkach działkowych, ciepłym piwie i menelach, albo opowieść latynoskiej dziewczyny ze starego filmu z Arnoldem Szewardnadze, noszącego po rusku chwytliwy tytuł „Chiszcznik”. Ale mogę, oczywiście, się mylić. Zważywszy, że jestem właśnie dość daleko na południu w Zonie, to mylenie się jest dość prawdopodobną, choć niebezpieczną opcją. A działającej biblioteki, jak na złość, pod ręką nie ma.

Tak czy inaczej, lato naprawdę było gorące. Od kilkunastu dni już nie widziałem nawet porządnej chmury na niebie – chociaż na wschodzie, za Niedanczyczami, widoczna była granica Zony, poza którą nieśmiało przemykały się po niebie białe, puchate obłoczki ukraińskiego lata. Co rano słońce wyskakiwało zza horyzontu pomarańczową kulą, mając wszystkich kilkoma pięknymi godzinami miłego ciepła i rozkręcając grzałkę w południe, kiedy czasami trudno było nawet wyjść na dwór. Duża część pozarastanych rowów i półdzikich strumieni powysychała, przez co o wiele łatwiej było przekraczać blokujące marszrutę cieki wodne; opadł nawet poziom Dniepru, w związku z czym widać było na północ od Mostu kabinę i łopaty wirnika wojskowego Krokodyla, który w dwa tysiące jedenastym władował się tam w anomalie powietrzną i spadł prosto do rzeki. Pamiętam, że próbowaliśmy do niego nurkować z brzegu, żeby wyciągnąć sprzęt i amunicję,

ale maszyna leżała za głęboko, poza tym wodne anomalie są jeszcze groźniejsze od lądowych, więc operacja spaliła na panewce. Dr planuje w przyszłym tygodniu wznowić akcję, bo teraz przynajmniej wiemy, co może znajdować się w okolicy śmigłowca. Susza oznaczała dla nas dodatkowy kłopot, bo przyparte pragnieniem mutanty zaczęły podłazić bliżej ku brzegom rzeki, siłą rzeczy pchając się przez Jołczę – to z kolei spowodowało wzmożenie aktywności wojskowych, którzy wzmocnili rutynowe patrole wzdłuż Pogranicza, co w efekcie wymusiło na nas rotacyjny exodus w głąb Zony, żeby nie być na widoku. Tak więc zamiast siedzieć kulturalnie na Jołczy i chleptać chłodne piwo z piwniczki, musimy spędzać czas na przedłużonych rajdach poza zasięgiem wojaków.

Mnie to osobiście nie przeszkadza. Powiem więcej – ja tam lubię ekstremalną pogodę. Ja w ogóle pogodę lubię. I zima jest okej, bo narodu mało, widać wszystko i spokojnie tak. I lato w porządku, bo noce jaśniejsze są. I wieczną jesienią w Zonie też nie gardzę, bo to stan naturalny dla tej przeklętej ziemi. Teraz akurat było lato, więc cieszyłem się jego pełnią.

Szedłem sobie kulturalnie, spokojnie przez porzucone pola uprawne zarośnięte wysoką po pas trawą, wyschłą teraz na pieprz i wiór w palącym słońcu. Powietrze stało zupełnie nieruchomo, falując nad nagrzaną ziemią i przelewając się w okolicy anomalii, które też działały jakby wolniej, umęczone upałem. Dokoła panował zupełny bezruch – człowiek w taką pogodę spodziewałby się bzyczenia owadów i grania świerszczy, świergotu ptaków i śmigających po błękitnym niebie jaskółek. A tu nic, zupełnie nic dokoła – cisza tylko w uszach dzwoni. Chociaż nie, gdzieś daleko słyszę huk wirników wojskowego śmigłowca. Ot, głęboko się zapuścili, trepy jedne, że też się nie boją tak nad Zoną latać. Pewnie ich dowództwo ciśnie o akcje

prewencyjne, bo po Emisji sprzed czterech dni do dziś jeszcze słyhać strzały na lewym brzegu – ogarnięte pragnieniem i szaleństwem mutanty wielką falą rzuciły się ku rzece, część z nich chyba nawet przepawiła się przez wodę i do dziś spędza sen z powiek strażnikom na Niedanczyczach. Ale mnie to niewiele obchodzi, dzionek był naprawdę piękny, pot lał się ze mnie strugami nawet pod lekką kamuflażową kurtką – w Zonie z krótkim rękawem się nie chodzi, szkoda zdrowia i życia. Dobry moment, takie samo południe – mutanty zmęczone i zgrzane, pochowało się wszystko w cieniu, a ja sobie spokojnie chodzę i artefaktów szukam. Skoro jest tak bardzo sucho, to powinno obniżyć się też lustro wody w pozalewanych podziemiach, hmmm... Dawno już miałem chrapkę na kilka zalanych piwnic, a teraz chyba jest dobry czas. I chłodniej będzie...

I wtedy nadszedł moment, kiedy powinienem był w zasadzie zawrócić na bazę. Zasada jest prosta – jeżeli przed dojściem na miejsce dzieje się cokolwiek niezwykłego, jeżeli trafiasz w dziwne miejsce, znajdujesz nietypowy artefakt, to wypada zawrócić. Jeżeli człowiek w takim momencie idzie dalej, to znaczy, że wbrew okolicznościom próbuje się trzymać z góry ustalonego planu, a Zona takiego głupiego uporu nie lubi. Tak jak kiedy wychodzisz z domu i po coś wracasz – babcia zawsze każe ci rozpiąć kurtkę, usiąść, posiedzieć chwilę, siorbnąć herbaty, dopiero potem powie, że możesz iść. U nas tak samo, stalkerzy to przesądny naród; przynajmniej ci, którym udaje się przeżyć.

Powoli, nie do końca wierząc oczom, podchodzę do suchego krzewu, na którym wisi błękitna czasza prostokątnego spadochronu. Rozglądam się, rzucam profilaktycznie po okolicy kilka muterek – czysto. Ot, rośnie sobie krzak, a na krzaku spadochron. Dziwne? Dziwne, więc zawrócić by wypadało, ale

ciekawość silniejsza. Kawał materiału, linki solidne, bo to nylon przemysłowy... ciekawe, co tu na tym zrzucali. Przemysłowcy ostro szaleją w Zonie, pewnie ktoś próbuje kanał przerzutowy znowu zmontować, z drugiej strony, szelki i osprzęt wyglądają, jakby była to raczej paralotnia dla człowieka – pewnie imperialiści podrzucili szpiega, he, he. Śladów dokoła nie widać za dużo, ktoś się tu ewidentnie kręcił, ale gdzie potem poszedł, nie wiadomo – w płożącej się trawie nie idzie rozeznaczyć kierunku. Odpinam tylko krótki nożyk z ramienia, odpiłowuję wszystkie linki, do jakich daję radę sięgnąć, zwijam i chowam do plecaka – ot, łupy się zawsze przydadzą. Taką jebitną płachtę to z daleka widać, nie ma się co tu długo kręcić – skręcam ku najbliższym drzewom, chowając się w przyjemny cień.

Robi się tak cholernie gorąco, że chyba trzeba by gdzieś odsapnąć... W oddaleniu mającą mi ruiny którejś z wiosek, pewnie Gdeń to będzie, ale pewności nie ma – tu już do Sarkofagu bliskawo, na szczęście Prypeć-rzeka po drodze, bo gdyby nie bariera wodna, to strach pomyśleć, co by tu się dziać mogło. Dlatego właśnie lubię nasze Międzyrzecze – niby do jądra ciemności tu niedaleko, anomalie są, artefaktów nie brak, a mutantów jakby mniej. I żadnych durnych podziemnych laboratoriów wojskowych nie ma... no, PRAWIE żadnych.

Opa! – patrzę na leżące przede mną w trawie truchło dorodnego czarnobylca. Ciepło się zrobiło, człowiek rozleniwiony, przestał się rozglądać, a tu taka niespodzianka... Całe szczęście, że bydlę nie żyje, ale gdyby tylko tu drzemał albo się na mnie zaczął, to byłoby grubo. Leży nie tak znowu długo, ale w tym skwarze trup już zdążył się wzdąć gazami, w uszach i pysku kłębią się muchy. Zwierz leży na boku, więc dość wyraźnie widzę, że całe podbrzusze ma rozprute, flaki wylewają się na zewnątrz – ale ciekawe jest to, że rozprute nożem,

świadczą o tym równe krawędzie ran. Ktoś go tu nieźle zadźgał, nie ma co – pewnie chciał mieć pewność, że bydlę nie wstanie. No, trzeba uważać, jeżeli jest tu jakiś kozak, co z bagnetem na czarnobylce chadza, he, he. Na wszelki wypadek ściągam z pleców *Zbawiciela*, chwilę zastanawiam się, czy nie przeładować amunicji na brenekę, ale śrut powinien wystarczyć. Mam nadzieję, że wystarczy. Nie podoba mi się ten nowy rzut amunicji, gówniany jakiś jest, drobnawy ten śrut i przybitki za grube, lata to, jak chce. Jednak Ruscy nie umieją dobrych nabojów do gładkich luf robić. Przeładowuję i trzymając broń w pogotowiu, ruszam ku wiosce.

Od samego początku, jak tylko wchodzę między zabudowania, coś mi się nie podoba. Nie potrafię tego nijak określić, wymyka się to definicji, ale czuję się tak, jakbym bawił się z kimś w podchody – strzelba sama układa się do oka, idę powoli, ostrożnie, strzelając oczami na boki, unikając otwartych miejsc. Wieś stoi porzucona chyba jeszcze od Pierwszej Awarii, więc duża część chat dawno zamieniła się w rumowiska, słupy niedalekiej linii wysokiego napięcia górują nad okolicą, niczym milczący świadkowie słabości człowieka w obliczu katastrofy. Asfalt idący przez sioło tu i ówdzie poprzebijały młode brzoźki, ale las jeszcze nie wszedł tu pełną parą, więc przez większość podwórek i obejść da się przejść, pod warunkiem że zauważy się wszystkie przyczajone pośród listowia anomalie. Nie wiem czemu, ale czuję nagłe uderzenie adrenaliny – serce bije mi zdecydowanie za szybko, pot leje się ze mnie strumieniami, ale nie jest to kwestia tylko upału, organizm jakby rozgrzewa się podświadomie do akcji.

Wychodzę za róg i spoglądam prosto w twarz żołnierzowi w pełnym sprzecie. Nie widzę oczu za szklami ciemnych okularów pod hełmem w letnim kamuflażu cyfrowym, ale

sądząc po tym, jak opada mu szczęka, to musi być zaskoczony prawie tak samo, jak ja... Prawie. Są takie chwile, gdy wyćwiczone na specjalistycznych szkoleniach nawyki bojowe potrafią uratować ci życie, ale przychodzi też taka, gdy stają się twoim nemesis. Obydwaj działamy na odruchach – on przypada do ziemi na jedno kolano, w tym samym czasie podnosząc do ramienia amerykański M4, żeby maksymalnie przyspieszyć naprowadzenie oka na linię celowania i zmniejszyć zarys własnej sylwetki do minimum, więc wszystko podręcznikowo. A ja po prostu, nie celując, naciskam na spust trzymanej ukośnie przed sobą strzelby.

Gdyby żołnierz nie robił swojej durnej gimnastyki, to mój strzał trafiłby go prosto w kamizelkę kuloodporną albo w najgorszym razie odstrzeliłbym mu stopę. A tak klęka, dokładnie patrząc w lufę mojej strzelby. Głupi dureń.

Na jego szczęście sam przysiadam na nogach, więc strzał idzie jednak niżej – wiązka śrutu trafia żołdaka prosto pod obojczyk, ale śrut i tak rozlatuje się za szeroko, widzę, jak żołnierz krwawym bryzgiem dostaje rykoszetem od oRIS-owanej lufy w twarz, śruciny masakrują mu też lewe ramię, okręcając go i odrzucając do tyłu, ciskając na ziemię. Nie czekam na rezultaty – chowam się za róg, rzucam szczupakiem przez okno do budyneczku. Dopiero gramoląc się na nogi i biegnąc po przegniłej drewnianej podłodze, myślę o tym, co się w ogóle stało.

– Man down, man down! Repeat, Vickers down! Tangos at ten, fire at will!

Kurrrrrrrrrrrrrwaaaaaa, Amerykanie!... Padam plackiem na podłogę, gdy małokalibrowe karabinki otwierają ogień – cała chata napętnia się hukami i trzaskami pękającego drewna, spróchniałe bierwiona pękają i eksplodują szczapami, powietrze

wypełnia kurz pachnący próchnem, więc naciągam maskę na twarz. Co te dupki robią w Zonie? I jeszcze jaki fatalny akcent...

– *Deere, cover! McCoy – go! go! go!*

Niech ich cholera, drużynę tu zrzucili? Przeczoląguję się na tył budynku, wypadam na podwórzec, lecę ku rozwalającym się komórkom – o, pindosy wy wredne, tak łatwo wam się nie dam!...

– Waaaaahhh!! Aaaarggh! – słyszę dochodzący gdzieś spomiędzy domów wrzask, urywający się na najwyższej nucie zupełną ciszą. „Grawikoncentrat”, moim skromnym zdaniem. Naprawdę, są BARDZO istotne powody, dla których po Zonie się bez sensu nie biega, panie świętej pamięci McCoy. Sam przechodzę na spokojny trucht, chowam się w skryty w krzakach rów melioracyjny, odłączam tylko licznik, żeby trzask słuchawki nie przeszkadzał mi na próżno, na kolanach pełnę w śmierdzącej brei, starając się nie podnosić za wysoko głowy. Amerykosy chyba przeszli na ciche porozumiewanie, a szkoda, nie dość, że ich rozumiałem, to jeszcze była szansa, że do wtóru wywrzaskiwanych rozkazów wszyscy wbiegną w jakieś durne anomalie.

Jestem na samym rogu wsi, miałem być rzekomo na tenoklok, czyli oni pewnie są (byli) jakoś po przekątnej – będą próbowali mnie odciąć, więc muszę się pospieszyć. Za rozrośniętymi krzakami wyskakuję na równe, przemykam się pod osłoną rozchwierutanego płotka aż ku drugiej z kolei chacie... no i teraz pytanie, walczyć, uciekać czy się przytacić? Co w ogóle robią tu Amerykańcy, do diabła? Wiem, że pilnują odcinka na południe od Niedanczycz, ale żeby pchać się aż do Zony... czyli to ich transport słyszałem, musieli wysadzić się gdzieś koło Dniepru i przyleźć aż tutaj – a potem już nie mam czasu myśleć, bo słyszę hamerykańskie: *Contact!* i nurkuję pod

osłonę chaty, ryjąc nosem w trawie, gdy nad głową gwizdzą mi kule. Czyli dałem radę ich wyprzedzić, dobrze. Podrywam się, wpadam do chatki, prawie ładuję się w anomalię, skręcam w lewo, widzę wyrwany róg domku, więc podskakuję do prowadzących na górę schodków, starając się stawiać nogi jak najbliżej trzymających stopnie belek, w trzech susach wskakuję na górę, na pachnący butwą i zgnilizną stryszek. Od razu padam na czworaki, bo w takich miejscach często potrafi przytaić się „rdzawe włosie”, przeczołguję się do szczytu chatki, wyglądam przez malutki świetlik – tużeś mi, bratku... Chwilę kombinuję, jak by tu zmieścić i lufę, i siebie, w końcu przełączam na auto, wzorem dzikich Murzynów z Afryki podnoszę dwoma rękoma strzelbę nad głowę i walę cztery na oślep – wrzask bólu z zewnątrz obwieszcza, że przynajmniej część śrutu nie poszła „w mleko”. Na szczęście jestem już po drugiej stronie stryszku, gdy głuche stęknięcie M204 posyła w moją strzelnicę granat, cały dach podnosi się i eksploduje miliardem odłamków, czuję, jak coś szarpie mnie za nogę, a potem przewracam się i chroniąc tylko głowę, zlatuję po schodkach na dół – na całe szczęście, bo dach z głuchym jękiem – tak mi się wydaje przynajmniej, bo ogłuszyło mnie dokumentnie – osiada i zawala się, kilka desek spada na dół, uderzając mnie boleśnie po plecach.

Podrywam się, zaraz potem upadam – całą nogawkę mam we krwi, zdrowo mnie pieprznięło... Dokuśtykowuję do okna, jakoś gramolę się na zewnątrz, rozrywając zębami folię na ampule z adrenaliną i przeciwbólowym. Cholerne, naszpikowane sprzętem Amerykańce. Chowam się do chaty obok, idąc na spotkanie jankesom – tego się nie powinni spodziewać, bąble jedne. Luzuję glocka w kaburze, zarzucam strzelbę za plecy – i tak tylko jeden nabój został, cholera... O, tu nie przejdę – dechy podłogi zapadły się do leja pod domkiem, widać coś tam

najwyraźniej siedzi. No to drzwi obok... UPS. W ostatniej chwili zauważam rój drobnych iskier przy wejściu – „treser” się zaczął, a ja nie mam czasu go sprawdzać. Chociaż... Podchodzę do wyrwanego z futryną okna, na oślep strzelam ostatnim nabojem *Zbawiciela* po krzakach, potem szybko wyłączę przez przeciwległe na dwór, przypadam za ścianą domku. Cisza... A potem już znajome stęknięcie granatnika, całe wnętrze domku eksploduje odłamkami, wtulam tylko głowę w ramiona, gdy ściana nade mną nagle najeża się setkami szczap i drzag.

– Aaaa! Sukaaaa! – podnoszę się do okna i wrzeszczę do domku. – Aaaaaa!...

A potem, na tyle szybko, na ile daję radę, przeplancowuję się do resztek chlewika, gdzie po prostu kładę się na ziemi w ciemnym kącie i po cichutku ładuję *Zbawiciela*. Poczekamy, poczekamy... Dosiłam nabój, biorę na cel jasną szczelinę drzwi. Czekam.

Tylko cisza dzwoni w uszach.

Gdzieś daleko szczekają ślepe psy... ale chyba przynajmniej mi słuch częściowo wrócił.

Nic...

Leżę w tym nefajnym momencie zasadzki, kiedy mózg zaczyna sam siebie przekonywać, że to wszystko nieprawda i że wcale nie ma zagrożenia. Że wroga tam nie było, że już na pewno poszedł, że zmienił zdanie. Że trzeba się...

Ostry dźwięk, jakby naprężającej się struny. Chwila ciszy, a potem z wnętrza chaty odgłos ciała osuwającego się na podłogę. Koniec, po zabawie.

Podnoszę się z ziemi, obchodzę dokoła drewniany domek, zaglądam do sieni – na posiekanej odłamkami podłodze leży prawa-górna połowa amerykańskiego oficera, wciąż ściskającego w martwej dłoni półówkę M4 z granatnikiem. Na

szybko obszukuję leżące w rozlewającej się kałuży krwi i innych wydzielin zwłoki, których druga część leży w pokoiku obok; „treser” jak od linijki tnie, nie ma co. Wyciągam z kieszeni munduru krótkofalówkę, żeby mieć pojęcie, co pindosy mogą jeszcze robić, ale słysząc tylko trzaski w tle. Hm, ten trafiony ze stryżku jest niepotwierdzony... trzeba się przybunkrować gdzieś i ranę opatrzyć, po łupy się wróci na spokojnie.

Chowam się w krzakach, przekradam na tyle niepostrzeżenie, na ile mam siłę, do ziemnej piwniczki, nad której wejściem kręci się sobie w upalnym powietrzu „wyżymaczka”. Jezu, jak jest mi potwornie gorąco, dopiero teraz to do mnie dotarło... Rozkładałam się plackiem na ziemi, przeczołguję pod anomalią, na schodkach w dół zapalam latarkę – i słyszę poruszenie na dole. Ożeż ty w mordę i nożem. W takiej piwniczce może być wszystko, od zabłąkanego tuszka po wygłodzonego od ostatniej Emisji posokowca... tfu! nie mam o czym myśleć. Skradam się na sam dół schodków, wyraźnie słysząc, jak COŚ kręci się w ciemnym wnętrzu. Przyklejam się plecami do ściany, biorę głęboki wdech, wyskakuję zza rogu, gotów rozmaścić po ścianie każdego stwora, jakiego mogę tu zobaczyć, i widzę... KOBIECĘ?!

Kuli się w świetle latarki, zasłaniając ręką przed oślepiającym promieniem, jednocześnie wystawiając przed siebie szpanerski nóż surwiwalowy o wymyślnym kształcie. Jest brudna, cała zakrwawiona... ale nie wygląda na zombi, bo skóra wciąż różowa.

– *Ty kto?* – rzucam po rusku, nie gasząc latarki.

– *He надо, не надо стрелять, умоляю!... Don't shoot, please!* – skamle.

– *Ty kto?* – powtarzam drugi raz groźnie, ale gaszę światło.

– *Gawari, a to zastrielu!*

– O Boże, Boże wszechmogący! – szłocha po rusku dziewczyna. Dziewczyna, bo nie może mieć więcej jak dwadzieścia kilka lat. – Ja fotoreporterka, ja tu przypadkiem trafiła!... ja ranna, pomocy potrzeba!

– *Kak*, przypadkiem trafiła? – Znowu biorę ją na cel. Przynajmniej się do Zony nie trafia, chyba że jest się zombi, któremu się tak wydaje. – Który rok *siejczas*?

– Dwa tysiące trzynasty, proszę *nie strielajcie*! Ja tu na *parapłanie* trafiła, ja reporterka!...

Chwilę przekopuję swój słowniczek ruskiego, ale potem mam chwilę olśnienia. *Parapłan*. No tak, któż inny byłby na tyle durny, tylko reporterka... rzeczywiście, koło niej wala się mały plecaczek i ubabrany błotem aparat renomowanej firmy z obiektywem jak armata. Na parolotni do Zony, ja was chromolę... co za idiotka.

– *OK, fuck Russian* – decyduję. – *You speak English, I don't like Russian, so we speak English. Agreed?*

Kiwnięcie głową. DESPERACKIE kiwnięcie głową.

– No to po kolei – kontynuuję w języku Szekspira, którego nie używałem już ze trzy lata. Ściągam plecak, siadam koło niej na ziemi, zaczynam wyciągać opatrunki. – Kto ty jesteś, skąd się tu w ogóle wzięłaś, po cholere pchasz się do Zony. W tej kolejności.

– Nazywam się Nawaricz Anastasija Nikołajewna – pociąga nosem dziewczyna. Ma taki śmiszny, ruski akcent, przeciąga i zmiękcza głoski, jak Czekov ze „Star Treka”. – Nastia może być. Ja przyleciała na parolotni, na konkurs reportaż o Zonie zrobić. Zaraz kończy się okres zgłaszania prac, więc...

– Zaraz, powoli – przerywam jej, wyciągając sobie z nogi kawałek deski. – Do Zony nie da się wlecieć, chociaż wielu durniów próbuje. Kogo nie zestrzelą z rakiety nad rzeką, to

wpada w anomalie.

– U mnie ojciec dyplomata – nie patrząc na mnie, mówi takim tonem, jakby to wszystko miało tłumaczyć. – Ma znajomości w wojskach. On mi korytarz załatwił.

– Fiu, fiuuu... – gwizdzę w nieudawanym podziwie, polewając dziurę w nodze antyseptykiem. Będzie trzeba szyć, cholera, jak ja nie lubię szycia... – No to tatuńcio prawie cię ukatrupił, niemądra dziewczynko. I co, warto było stracić życie dla kilku durnych zdjęć?

– To nie żadne durne zdjęcia! – zaperza się dziewczyna, widzę, jak zaciska ręce, a w jej oczach rozpala się płomień. – Rząd ukrywa przed nami to, co dzieje się w Zonie! Mówią, że nie ma tu nic, że to wielka radioaktywna pustynia, a wszyscy wiedzą, że to nieprawda! Dlatego...

– Jak wszyscy wiedzą, to po co tu się pchasz? – Syczę z bólu, wbijając igłę pod skórę. Dziewczę z mieszaniną fascynacji i odrazy patrzy, jak nakładam nierówne szwy. – I co, masz swój reportaż?

– Mam wiele zdjęć! – Bierze do ręki aparat. – Ale muszę się stąd wydostać! Reszta czeka na zewnątrz?

Masz wiele zdjęć, tak. Chyba że ci je „psujak” skasował jakoś po drodze.

– Jaka reszta, dziewczyno? – Patrzę na nią zdumiony.

– No, reszta grupy ratunkowej... – Ona też patrzy na mnie, lekko zdetonowana. – Przecież żołnierze...

Zaczynam śmiać się tak, że aż dostaję kaszlu. Ona patrzy na mnie osłupiała, widzę tylko, że ściska mocniej swój frymuśny nóż. Wycieram łzy z oczu, patrzę na nią kwaśno.

– Dziewczyno, nie ma grupy ratunkowej.

– Ale... słyszałam żołnierzy...

– Nie żyją, dziewczyno.

– ...?

– Sam ich pozabijałem.

Patrzy na mnie niedowierzająco, dopiero jakby teraz zauważając, jak jestem ubrany. Oj, nie wyglądam ja na amerykańskiego nejwi silsa, oj, nie...

– Ale to była grupa ratunkowa! Żołnierze sił pokojowych! – wydziera się dyszkantem w narastającym ataku paniki, ale ja łapię ją tylko lewą ręką za włosy, odchylam głowę na bok, przystawiam jej pod brodę pistolet.

– Posłuchaj mnie, durna piczo! – syczę jej do ucha. – Nie ma tu wojsk sił pokojowych, nie ma tu grup ratunkowych! Ci ludzie widzieli, jak lądujesz swoją idiotyczną, niebieską parolotnią, i przylecieli za tobą po to, żeby cię zabić, rozumiesz? Jesteś w Zonie, więc nie żyjesz, rozumiesz? Nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi! Nie ma ratunku!...

Patrzę na jej łabędzią szyję, na tak bliskie ucho... Dziewczyna jęczy, gdy ciągnę ją mocniej za włosy, widzę, że oczy nabiegły jej łzami. Czuję słaby zapach dobrych perfum pomieszanych z potem.

Odpycham ją w kąt, ona zwija się w kłębek i zaczyna łkać. Zły na nią i na siebie samego, dysząc ciężko, kończę zakładanie fatalnie nierównego szwu, potem obwiązuję ranę bandażem.

– Pokaż rękę – mówię do niej. – Lewe ramię daj.

Chlipiąc i ciągnąc nosem, wyciąga przed siebie rękę. Uuula, ostro było chyba. Ślady kłów aż nadto wyraźne, widać, że miała czymś tę rękę owiniętą...

– Ty czarnobylca ubiłaś? – pytam, dezynfekując jej ranę. Brzegi zaczęły już się paprać, nie wygląda to dobrze. Ona patrzy na mnie, ewidentnie nie rozumiejąc pytania. – Psa wielkiego. Ogromne, czarne bydlę z mordą jak małpa. Widziałem po drodze.

– Aha. – Pociąga nosem, wyciera ręką umorusaną twarz. Cholera, ma naprawdę ładne oczy.

– Jak?

– Skoczył na rękę, w drugiej miałam nóż. – Wzrusza ramionami. – Psy zawsze na rękę atakują.

Teraz to ja patrzę na nią z podziwem. Czarnobylca nożem położyć, no...

– Lotnia w anomalię wpadła? – zagaduję, żeby odwrócić jej uwagę od szycia, ale dzielnie się trzyma. Skubana, jest twarda... ubrana trochę à la Lara Croft, opięta bluzeczka, dżinsowe spodenki, porządne buty... Drogie buty – powinienem był powiedzieć. Widać, że to dziewczę z tak zwanego „dobrego domu”, któremu się w dupie przewracało od nadmiaru pieniędzy. Dziewczęciu w sensie, nie domowi. Chociaż domowi pewnie też.

– Tak... dałam radę prawie wysterować z Zony, ale potem wiatr mnie zniósł, ledwo wylądowałam.

– Wiatr? – Zakładam jej bandaż. – Od tygodnia nie wieje.

– W górze, ponad ziemią było nawet nieźle, ale potem zaczęłam tracić wysokość... Próbowалаm jakoś bliżej rzeki, ale straciłam sterowność. Jesteś stalkerem?

Pytanie jest tak niespodziewane, że aż zacynam się w palec nożyczkami multitoola.

– Nie, cholera, pracownikiem opieki społecznej – odburkuję, ssąc palec. – A jak myślisz?

– Mogę zrobić ci zdjęcie? – Dziewczę sięga po aparat, ale łapię ją za rękę.

– Nie. Zona to nie miejsce na głupoty.

– Proszę... – Patrzy na mnie błagalnie kasztanowymi oczami. – Tylko jedno...

– Nie – ucinam.

Dłuższą chwilę nie mówi nic, patrząc tylko, jak pakuję sprzęt do plecaka.

– Nie, powiedziałem. – Pokazuję ręką na aparat. – Wyłącz i zasłoń obiektyw.

Wzdycha ciężko, wyłącza tryb kamery, zakłada zaślepkę.

– Naprawdę zabiłeś Amerykanów? – Jakby przypomina sobie to, co jej powiedziałem.

– Mam nadzieję.

– Myślisz, że mają race sygnałowe do wzywania pomocy?

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Pewnie tak, ale tutaj pomoc nie przyleci.

– Po mnie przylecą – prostuje się dumnie idiotka. – Tatuś już na pewno mnie szuka, więc patroli dostały odpowiednie rozkazy.

No, jasna sprawa. I ostatnią Emisję też twój tatuś zarządził.

– No, to na pewno cię znajdą. – Zapinam plecak, na próbę staję na nodze. Boli. – Oni albo potwory. Raczej to drugie, ale oni szybciej cię zabiją.

– Ale... ale ty zostaniesz ze mną? – Dziewczynka nagle uświadamia sobie, że ja tutaj *ni pri cziom*, że tylko przypadkowym widzem tu trafiłem.

– Ja? – Patrzę na nią. – Chyba żartujesz. Zaraz zwali się tu całe komando uzbrojonych po zęby idiotów ze Stanów, ciężko będzie im wytłumaczyć, co niby tu robię. Tobie też proponuję się zwijać.

– Ale ja przecież jestem reporterem! – Widzę, że próbuje przekonać bardziej siebie niż mnie. Podrywa się, gdy ja zarzucam sobie na ramiona szelki sprzętu. – Nie zrobiłam nic złego, mój tatuś jest dyplomata!

Mam nadzieję, że dam radę spojrzeniem wyrazić cały smutek duszy, zmęczonej niczym przedwieczorne słońce, jaki

odczuwam, słuchając takich ludzi.

– Jesteś w byłej Czarnobylskiej Strefie Zamkniętej, alias Zonie. Na posiedzeniu ONZ we wrześniu dwa tysiące siódmego, w Nowym Jorku bodajże, wszystkich znajdujących się na terytorium Zony uznano za martwych. Rozumiesz? Oficjalnie nie żyjesz. A panowie UNFOR-owcy są tu po to, żeby tego dopilnować.

– Strzelają do ludzi? – Oczy dziewczyny rozszerzają się niezdrowym zainteresowaniem.

– Na pamięć Dimy Szuchowa, tak! Bez pytania i od razu. Więc ja się stąd wynoszę.

Dziewczę sięga do kieszonki w spodenkach, wyciąga zafoliowany papierek.

– A wiesz, co to jest?

Jakżeby nie wiedział – *dipkartoczka*, zaświadczenie wydawane dla rodzin dyplomatów. Sam taką miałem kiedyś.

– To jest świstek papieru, na podstawie którego Amerykanie uświadomią sobie rozmiar popełnionego błędu – odpowiadam, nawet nie patrząc na nią i dopinając zatrzaski. – Z całą pewnością będą tak poruszeni twoją śmiercią, że nawet nie powiadomią odpowiednich władz, bo tak będzie dla nich prościej i łatwiej.

– Nie ośmielą się! – Tupie zgrabną nóżką w drogim buciku.

– Jasne. – Wyglądam na górę. – To na razie.

– Dokąd idziesz? – Rusza za mną. Jeeeeezu.

Nie odpowiadam ani słowem, przeczołguję się po prostu pod anomalią, rozglądam po okolicy. Czysto, spokój... nie, jednak nie – lezie za mną idiotka z aparatem fotograficznym. Ładna dziewczyna, drobna, zgrabna taka... szkoda jej.

– Dokąd idziesz? – powtarza.

Mam ochotę uderzyć ją w twarz, ale powstrzymuję się siłą

woli, bo Zona zbędnej przemocy na pokaz nie lubi. Albo nie dotykaj, albo zabij od razu.

– Uciekam – wyjaśniam półszepem, rozglądając się, czy gdzieś tu nie ma durnych pindosów. – Tobie radzę to samo, zaraz tu będzie kawaleria.

Jak na potwierdzenie moich słów, z przeciwległego końca wioski do wtóru odpalonego ładunku pirotechnicznego podrywa się w niebo rakietą sygnałowa, ciągnąca za sobą pióropusz jaskrawopomarańczowego dymu. Patrzę chwilę, jak leci w górę, a potem wpada w powietrzną „trampolinę”, która odrzuca ładunek dobre sto metrów w bok, zakręca nierówną spiralą i posyła prosto w ziemię, na pole suchej trawy. Średnio im się udało, ale ci z Kontyngentu Pakuli na pewno to zauważyli na swoich pedalskich urządzeniach, które uparcie montują na posterunku obserwacyjnym Dnieprowskoje.

– Helikopter? – patrzy z nadzieją na pomarańczowy ślad na niebie paniusia. Teraz dopiero zauważam, że musiała mieć umalowane oko i zrobione paznokcie. No ja was pierdzielę, jednak ruskie baby to mają we łbach narąbane.

– Albo bomba próżniowa. – Ruszam ku domkowi z „treserem”, skoro stamtąd odpalali, to tu ich nie ma. Na szybko szukuję rozkawałkowanego trupa, wyciągam z ładownic magazynki, pistolet z kabury na udzie, okulary przeciwsłoneczne z filtrem, zapas racji żywnościowych, mapnik, apteczka... buty ma dobre, ale zostały na nogach po drugiej stronie. Szkoda, że pozostałych nie będzie jak sprawdzić, po tym z „grawikoncentratu” to w najlepszym razie artefakt został, do tego postrzelonego na ulicy się nie będę pchał przecież, a i ten pierwszy mógł się wykaraskać. Pancerne geje.

Słyszę, jak dziewczyna rzyga w wejściu. Czego za mną łązi, no? Podchodzę do niej, podaję hamerykańskiego USP i

zapasowy magazynek.

– Umiesz strzelać?

Wyciera usta ręką, odbiera ode mnie broń – po babsku bierze, ale nawet jeszcze ujdzie. Widzę, jak patrzy na moją torbę... z ciężkim westchnieniem oddaję jej żarcie po Amerykańcu i do połowy wypitą plastikową butelkę perriera. Swoją drogą, nie żałują sobie, imperialiści.

– Przyda ci się. – Wymijam ją w drzwiach. – Dobrej Zony.

– Odchodzisz? – jej głos znowu oscyluje na granicy paniki.

Oglądam się, po raz kolejny ciężko wzdycham.

– Tak, odchodzę. Jestem stalkerem, więc zabiją mnie albo jeszcze gorzej – aresztują. I tobie radzę zrobić to samo. Uważasz, że się z nimi dogadasz, okej, fajnie. Ja wiem, że zastrzelą cię, jak tylko zobaczą, ale zrobisz, jak chcesz. Weszłaś do Zony, więc już nie żyjesz, po prostu weź to pod uwagę.

– Będzie dobrze. – Odrzuca grzywkę z czoła, pokazuje mi *dipkartoczkę*. – Dam sobie radę.

Nie dasz, idiotko.

– Dobrej Zony – rzucam tylko przez ramię, kierując się ku zarośniętym krzakami polom. Upadek rakiety chyba podpalił trawę, bo podnoszą się gęste kłęby białoburego dymu, akurat mnie przykryje, jak będę się wycofywał.

– Hej, nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz! – woła do mnie durna dziewczyna z progu rozpadającego się domku. – Ja jestem Nastia, a ty?

– Nie jesteś Nastia. – Odwracam się do niej, patrzę w oczy.

– Nastia już nie żyje.

– Ale... kim jesteś?! – woła tylko za mną płaczliwym głosem.

– Jestem stalker – mówię sam do siebie, chowając się w dym.

Idiota

Kurrrrrr!...

Zduszam w sobie przekleństwo, które tylekroć powtarzane przyniosło mi na Jołczy moją pierwszą niechlubną ksywkę. Staję na środku łąki, potem przykucam, uderzam się kilka razy pięściami po głowie.

– Kuurrrrrrr!!!... Uuuuuurrrrwwaaaaaa!!! – drę się na cały głos, podnosząc głowę do nieba. Nieba, po którym dla lepszego efektu dramatycznego powinny ciężko się przewalać fioletowoszare ołowiane obłoki, a które dziś – chyba tylko po to, żeby zrobić mi na złość – wali po oczach najczystszy lazurem.
– ...Aaaaa!!!

Zwieszam ciężko głowę na piersi, podnoszę ją już na spokojnie, rozglądam się po Zonie.

– No co, zadowolona jesteś? O to ci chodziło?

Zona milczy, ale to nie dziwota. Tylko skądś z oddali słyszę łopot poderwanego do lotu Superchuja, czyli UH-1Y Super Huey – musi mi wystarczyć za odpowiedź. Odwracam się na pięcie i ruszam biegiem po własnych śladach. Ścielący się nisko dym gryzie w oczy, naciągam na twarz respirator, wpadam w zarośla, przedzierając się prawie że na oślep przez gałęzie. Gdy dobiegam do pierwszych zabudowań, słyszę strzały. Spóźniłem się?

Nie.

Wyraźnie odróżniam długie, suche serie M4, a gdzieś pomiędzy nimi – tak! – basowe, pojedyncze szczeknięcia bez mała półcalowego USP. Biegnę bokiem, klucząc między komórkami, omijając anomalie i przeskakując przez truchła samochodów, kierując się wyłącznie na słuch. O ile dobrze

pamiętam, tutaj była ta „karuzela”... jest! Widzę skrawek anomalii wystający zza kolejnego domku, niewiele myśląc, wyrywam zawleczkę i prawie że przewracając się z bólu w poharatanym udzie, rzucam z całej siły granat...

– *Grenade, take cover!* – słyszę okrzyk zza domu, anomalia wychwytuje mój podarek i podrywa ku sobie, rozkręcając do niewiarygodnej prędkości. Trzask przekroczenia bariery dźwięku i detonacja granatu ofensywnego zlewają się w jedno, eksplozja na dodatkowym wektorze od anomalii zrywa kawał eternitowego dachu z pobliskiej chaty, zasypując okolicę kawałkami drewna i dachówek, pordzewiałych gwoździ i innego baracha. W jednej chwili okolica zamienia się w istny dziewiąty krąg piekieł, kiedy od deszczu śmiecia aktywują się naraz wszystkie anomalie, wyjąć, trzaskając, strzelając piorunami i ziejąc ogniem. Nie czekam na dalsze efekty – po prostu wbiegam pomiędzy domy, przeskakuję nad chwilowo rozładowaną „trampoliną”, wpadam do posiekanej kulami chaty i bez słowa, bezceremonialnie podrywam za ramię skuloną na klepisku dziewczynę, która nijak nie może trafić magazynkiem w gniazdo rękojeści.

– *Эмо вы! It's you!* – okrzyk, nie wiem, ulgi czy przerażenia, dziewczę chyba próbuje się do mnie przytulić, ale z otwartej dłoni strzelam ją tylko w pysk dla otrzeźwienia i wyciągam za sobą na dwór. Nie patrzę nawet, czy do przedramienia, które ściskam ręką, przytwierdzona jest cała reszta, po prostu prę jak holownik pośród pandemonium, na wyczucie poruszając się w zasnuwającym okolicę burym tumanie, w ostatniej chwili zatrzymując się i skręcając przed anomaliami, które wyróżniają się jako wyraźnie widoczne wśród dymu sfery. Idiotka za mną kaszle i krztusi się, Amerikosy sieją na oślep ze swoich pedalskich, plastikowych karabinków,

płomienie wydostające się z łanów płonącej trawy huczą i trzaskają gdzieś z boku, a ja po prostu brnę na azymut... Dziewczyna potyka się po raz kolejny, przewraca, z początku najzwyczajniej ciągnę ją po ziemi, ale kiedy uświadamiam sobie, że nie da rady się podnieść o własnych siłach, to po prostu zarzucam sobie ją na plecy i sapiąc jak parowóz, truchtam przez wysoką, ciągnącą za buty trawę. Pot zalewa mi oczy, serce zaraz wyskoczy z piersi, płuca palą żywym ogniem, noga rwie niehumanicznym bólem... Jeszcze krok, jeszcze jeden, byle do tego drzewa, jeszcze wokół „koncentratu”, ominąć tylko „popielniczkę”, jeszcze kawałek, jeszcze jeden oddech!...

Nie wiem, jak daleko daję radę ją odwlec, bo w pewnej chwili przed oczami zaczynają latać mi czerwone i czarne koła, a potem chyba urywa mi się film.

* * *

– *Stalker, wake up!... Проснитесь, Бога я прошу! Да не надо вам сейчас, да что я!...*

Powoli wraca do mnie świadomość, najpierw czuję płonące bólem gardło i plecy, potem odzywa się noga.

– *Мама ёмама, да проснись, мужик! Очнись, дурак, да ведь....*

– *Shut up, stupid cunt...* – chrypię przez zaciśnięte zęby. – *You want the mutants to come?*

Dziewczę zamyka się, jakby ktoś jej fonię wyłączył – punktowo. Powoli próbuję się podnieść, przynajmniej usiąść, ale łeb mi lata jak u kociaka małego, świat dokoła płynie...

– Ładownicę moją otwórz – rzucam po angielsku, opadając do tyłu i znów zamykając oczy. Potem uświadamiam sobie, że

tego akurat słowa może nie znać. – Kieszeń na pasie, druga od mojej lewej, wyjmij apteczkę.

Czuję, jak zaczyna mi grzebać przy szpeju, chyba wciąż chlipiąc i ciągnąc nosem.

– Lewej, idiotko – cedzę przez zęby. – Mojej lewej, twojej prawej.

Wyciąga w końcu pomarańczową AI-4, ja na pamięć otwieram, wyciągam tubę z pierwszego gniazda.

– Wbij mi w rękę, wstrzyknij połowę, drugą sobie. Nie bój się, ja tylko przewlekły syndrom popromienny mam, HIV-em się nie zarazisz.

Czuję, jak adrenalina wchodzi w żyły, zawroty głowy mijają jak ręką odjął. I noga przestaje tak ciągnąć... Siadam, rozglądam się – o, aż do lasu ją doniosłem? Wydawało mi się, że wcześniej odpadłem...

– Ałł... – wkłuwa sobie *szpryc-tubik* moja reporterka. – Dociągnęłam cię tutaj, dalej nie dałam rady.

Odwracam się do niej z nieudawanym podziwem w oczach.

– Niosłaś mnie?

– Nie no, po ziemi... – Wyciąga igłę. – Ała. Za ten uchwyt, o, na plecach. Co z tym zrobić? – Pokazuje pustą ampułę.

– Wyrzuć gdziekolwiek.

Siedzimy tak chwilę, wsłuchuję się we własne odczucia. Sięgam do pasa po manierkę, już wyciągając z mokrego pokrowca, czuję, że jest pusta – mały otworek wlotu i rozerwane ścianki po drugiej stronie, hamerykańska kula przeszła na wylot, nawet nie zauważyłem kiedy... Wyrzucam niepotrzebny kawałek blachy, mimo że pewnie mógłbym go oddać Drowi do naprawy, ale jak się coś traci na takim gigancie, to trzeba to chyba po prostu uznać za zrządzienie losu.

– Co teraz? – pyta dziewczyna. Widzę, że wojskowy

dopalacz ostro ją rozebrał już... tfu! co za głupie myśli! ...ostro ją wzięło, źrenice rozszerzone, reakcje szybsze.

– Idziemy na Jołczę. – Przesuwam się kawałek po ziemi, opieram plecami o drzewo. – Ale najpierw musimy odpocząć. Spałaś nocą?

– Niedużo. – Potrząsa głową. – Ale nie chce mi się.

– Jasne, że ci się nie chce. – Przymykam oczy, wyciągam z kieszeni paczkę sucharów. – Nie będzie ci się chciało, aż zaśniesz w marszu i wleziesz w anomalie. Masz, zjedz trochę.

– Nie chcę – potrząsa znowu głową panusia, ale ja tylko spoglądam na nią.

– Raz już w gębę dostałaś. Za kolejną pyskówkę dostaniesz drugi raz, a za trzecią cię po prostu zastrzelę albo zostawię. Zrozumiano?

Kiwa głową, wpycha do ust całego suchara na raz. Napuchł dziewczynie policzek, mocno jej przyładowałem wtedy. Trochę mi głupio, ale trudno.

– Mge złbić ci zdjęcie? – pyta, plując dokoła okruszkami. Nie odpowiadam nic, po prostu odwracam się do niej tyłem. Po chwili słyszę trzask migawki, jeszcze i jeszcze jeden.

– Wooow... – wzdycha zachwycona idiotka, patrząc na wyświetlacz. – To będzie po prostu sensacja...

– Jeżeli przeżyjesz. – Przetykam resztę mojego suchara, wyciągam z plecaka zapas wody. – Masz, popij.

– Fffleee, słona! – krzywi się panienska.

– Elektrolity, minerały, jod. – Wzruszam ramionami, zakręcając bidon. – Podstawa w Zonie. Ile masz amunicji?

– Ja... – rozgląda się bezradnie, a ja już mam jasność, co zaraz usłyszę – ja... ojej, nie wiem, gdzie położyłam...

– Zgubiłaś – stwierdzam po prostu. – Zgubiłaś broń. No pięknie. Nóż pewnie też?

– Nóż mam! – Wyciąga dumnie z kieszeni futurystyczne ostrze à la Predator.

Patrzę na szpanerski scyzoryk, przez chwilę mam ochotę posłać go śladem mojej manierki, ale rezygnuję. Sprawdzam, czy wszystkie kości całe, przeładowuję *Zbawiciela*, gramolę się na nogi.

– Idziesz za mną. Dokładnie za mną – rzucam suche wytyczne. – Idziesz moimi śladami, to może przeżyjesz. Zejdiesz z mojej ścieżki, to najpewniej zginiesz. Ja kucam, ty kucasz, ja stoję, ty stajesz. Każę ci skakać, to pytasz już w biegu, jak wysoko, jasne?

Panna kiwa głową, patrząc na mnie wzrokiem małego kotka. Cholera, naprawdę niebrzydka jest, nawet brudna, sponiewierana i poraniona. Grama tłuszczu na niej nie ma, pewnie siłownia i inne fitnessy na Dużej Ziemi, opalona, jakby z Grecji wróciła właśnie... tylko te idiotyczne dzinsowe spodenki i bluzeczka na ramiączkach. Ładne to i fajnie się jej na tyłku opina, ale nie na łożenie po Zonie... Trudno, będzie musiała sobie poradzić.

Ruszamy na północ, skosem do granicy Zony, po w miarę najkrótszym szlaku ku Jołczy. Gdzieś za nami huczy śmigłowiec, ale nie odważą się polecieć aż tak daleko w głąb... chociaż diabli ich wiedzą, debili zza oceanu. Trzymam się otwartego terenu, nie odważę się z tym żywym balastem wchodzić między lasy i zarośla, tym bardziej że tam teraz przesypiają dzień wszystkie mutasy, a na otwartym przynajmniej widać od razu zagrożenie.

Słyszę z tyłu trzask migawki, potem drugi, kolejny – odwracam się z podniesioną ręką, dziewczyna kuli się w sobie, chowa aparat za plecy. Opuszczam dłoń.

– Co mówiłem ci o robieniu zdjęć?

– Nic?

Wzdycham ciężko. Zły jestem, gorąco mi jak diabli, łeb mnie boli.

– Prawda. Zdjęcia sobie porobisz na postoju, chociaż to i tak idiotyczny pomysł. Jak idziemy, to idziemy, rozumiesz?

– Aha.

– I odpowiadaj pełnymi zdaniami!

– Aha.

Gospodarze Zony, zlitujcie się. Czuję się jak Leon Zawodowiec.

– A dokąd w ogóle idziemy? – zapytuje się w pewnej chwili durna reporterka.

– Do piekła – odburkuję, ale potem dochodzę do wniosku, że nie należy być niemiłym bez powodu. Cholera, jak ja odwykłem od chodzenia z kimkolwiek. – Za godzinę robimy postój, tam pogadamy. I biżuterię pozdejmuj, kolczyki, pierścionki.

– Piercingi też mam sobie wyjąć?

– Jeśli masz, to tak. – Najwyraźniej nie ma, bo nie wyjmuję. Blefować się jej zachciało, idiotce.

– Pierścionełk zaręczynowy też mam zdjąć? – pyta zadziornie. Staję, odwracam się tylko, ona od razu ściąga błyskotkę z kamieniem.

Zatrzymujemy się na Samotnym Dębie – ogromnym, rozłożystym drzewisku przy dawnej gruntówce. Jakiś zapobiegliwy stalker powbijał kiedyś w pień kawałki prętów zbrojeniowych, tworzących prymitywną drabinkę na drzewo – jedyny w miarę bezpieczny punkt noclegowy w tej części Zony. Wpuszczam dziewczynę przodem, sam mam ubezpieczać teren, ale odruchowo gapię się na jej tyłek. Rozkładamy się na górze, wyciągając rację żywieniową, orientuję się, że od kilku godzin

idę na wyłączonym geigerze. No świetnie po prostu.

– Tu stajemy na noc – oznajmiam. – Tu moja sypialnia, tam twoja toaleta dzienna pod drzewem, nocna na miejscu. Masz chusteczki, idź się ogarnij. – Rzucam jej paczkę.

– Jak masz na imię? – zapytuje mnie idiotka, kiedy już nieco oporzadzimy się na drzewie. Patrzą na nią kwaśno, ale ona tylko uśmiecha się do mnie. – Ja jestem Nastia...

– Nastia nie żyje – warczę ponuro. – Zabiłaś ją, wchodząc do Zony. A ty jesteś Dura.

– Dlaczego? – nie załapuje.

– Nie po angielsku, a po rusku, jesteś Dura, czyli idiotka.

– *Данет же, так нельзя! Вы не можете мне...!*

– *English, for fuck's sake* – przerywam jej. – Nie cierpię ruskiego i nigdy się go porządnie nie nauczę, a poza tym to nie ja jestem tu gościem, więc ja wybieram język urzędowy. Jesteś Dura i koniec, ksywy się nie wybiera, tylko dostaje. Ty właśnie dostałaś...

– Na Krymie mówili na mnie Nasty, czyli wredziocha. – Wydyma obrażone policzki. – To fajniejsze było.

– A na mnie wołali przez dwa lata Kurwa, nie narzekaj. Dura jesteś, i tyle.

– A ty? – Spogląda na mnie ciekawym wzrokiem. Twarda jest.

– Miś – rzucam w końcu. – Miszka.

– Michaił masz na imię? – zagaduje.

– Nie.

* * *

Noce na drzewie nie należą do najprzyjemniejszych –

szczególnie kiedy coś się kręci i węszy na dole. Przypuszczam, że był to zwykły mięsak, ale Dura i tak spanikowała – mnie obudziła, a potem się na nią wkurzyłem i nie mogłem zasnąć. Wkurzyłem się, bo ta debilka zaczęła robić w nocy fotki z fleszem! Nie dość, że oślepiłem dokumentnie na kilka minut, to ona jeszcze zaczęła się potem drzeć ze strachu, jak oglądała zdjęcia – no, faktycznie, zobaczyć mutanta z odległości dwudziestu centymetrów, nawet na zdjęciu... Ciężka noc była, szczególnie że dziewczyna gadała coś przez sen i pachniała kobietą – perfumami znaczy. No widzicie sami, nie było łatwo.

Zwlekliśmy się rankiem-świtkiem i ruszyliśmy azymutem na Katiczew – jak dobrze pójdzie, to do wieczora dojdziemy. Może być ciężko, bo po wczorajszym boli mnie wszystko, a najbardziej już noga – napuchła dość paskudnie, siniak się rozlał taki, że aż miło. Ona też nie wygląda najlepiej, ale muszę przyznać, że jest twardsza, niż myślałem. Nie marudzi, nie skamle, po prostu idzie naprzód, chociaż widzę, że słania się na nogach.

– Gdzie się tak wyćwiczyłaś? – zagaduję koło południa, gdy skwar robi się nieznośny.

– A?

– Gdzie się uczyłaś surwiwalu? – Odwracam się do niej, uśmiecham zachęcająco.

– Od małego zawsze sport. Na Krymie się zaczęło, tam się paralotniarstwa nauczyłam, jeszcze jak w szkole byłam. A od tamtej pory wszystko, i wspinaczka, i sporty walki, strzelania trochę, trekking... A co?

– Nic. – Gryzę się w język, żeby nie powiedzieć jej komplementu. – Uważaj, „grawikoncentrat” po lewej.

Obchodzimy łukiem niebezpieczny kawałek terenu, czuję za plecami niewypowiedziane pytanie.

– Rób – rzucam. – Tylko szybko.

* * *

Do Katiczewa dochodzimy jeszcze przed wieczorem, dziewczyna naprawdę dobrze sobie radzi, jak na totalnego żółtodzioba. Nie zadaje głupich pytań, szybko łapie, co się do niej mówi, chociaż miewa durne odpały – na przykład wtedy, jak zaczęła rzucać szyszkami w „karuzelę” i w końcu ją aktywowała. I tak staliśmy za daleko, ale wiatr się zerwał niezły, z ręki ostatni kęs suszonej wołowiny mi wyrwało, ona zaczęła krzyczeć i lepić się do mnie, więc dostała po pysku drugi raz. Popłakała się, chyba bardziej z nerwów niż czegokolwiek innego, a ja zupełnie nie wiedziałem, co mam zrobić. Nigdy nie umiałem pocieszać płaczących kobiet. Dałem jej w końcu batonika energetycznego, ona fachowo wysmarkała się w dwa palce i poszliśmy dalej.

Katiczew zrobił na niej chyba spore wrażenie – nie pozwoliłem jej chodzić po wsi, więc robiła tylko zdjęcia z dachu, na którym rozłożyliśmy się na nocleg. Dobry, wygodny, płaski daszek sklepu na podmurówce, porośnięty już mchem i trawą, ale solidny, bo pod eternitem beton, więc się nie zarwie. Ciepło, bo nocą beton temperaturę oddaje... Było jeszcze dość wcześnie, leżeliśmy sobie tak – ja na trawie, ona na moim śpiworze, bo nocą jednak robi się nieco chłodniej i organizm wariuje, przekonany, że jest zimno. Nad nami czyściutkie, czarne niebo Zony upstrzone tylko gwiazdami, migającymi i podrygującymi w pryzmatach anomalii, gdzieś na północnym wschodzie łuna od setek lamp bazy Kontyngentu Niedanczyce. Po całym dniu nieróbstwa wszystkie mutanty wylazły na żer,

więc noc rozbrzmiewała odgłosami ryków i wrzasków, warczenia i pomiaukiwania. Ostatnie dwa granaty ułożyłem na podporędku, żeby zrzucić na dół w razie większych nieprzyjemności – niby do Jołczy już niedaleko, ale zawsze może się trafić zabłąkany snork albo inne cholerstwo, co po ścianie będzie umiało łązić.

– Misza... – słyszę głos Dury.

– A? – sam odpowiadam monosylabą, jak Ruski.

– Jak zostałeś stalkerem?

– To dość osobiste pytanie. – Odwracam się do niej. Ma ładny profil nawet, tylko nos trochę wydatny, ale dodaje charakteru. – Stalkerem się nie zostaje, stalkerem się jest.

– Więc dlaczego jesteś stalkerem? – Unosi się na łokciu.

Nocne rozmowy w śpiworach... czuję się jak na szkolnej wycieczce koedukacyjnej.

– Tak wyszło – wzdycham. – Wszedłem do Zony i jestem stalkerem.

– A wcześniej?

– Wcześniej mnie nie było. Wcześniej byłem larwą stalkera na Dużej Ziemi, kimś innym.

– Nie żałujesz? – dopytuje się pannica. Już widzę ten nagłówek w gazecie: „Spowiedź więźnia Zony!”. Ale co mi tam, to, co na Dużej Ziemi, to nie moja sprawa.

– Niby czego? Tutaj moje życie. „W strefie zamkniętej umrę ja, i cały mój tutaj los”, taka piosenka stalkerska jest.

– Zaśpiewasz?

– Nie.

Patrzę w gwiazdy, czuję, jak wzbiera we mnie... coś.

Skolka liet, skolka zim uže prasło

S tiech por kak my uszli s taboj dalieko... – nie wiem po co, ale zaczynam nucić.

Księżyc koloru krwi wstaje nad czarną sylwetką CzAES.

* * *

Idziemy od Katiczewa drogą ku Bieriozkom, po lewej stronie mając linie wysokiego napięcia. Dura patrzy cały czas na falujące pod przewodami powietrze, aż w końcu zwracam jej uwagę:

– Nie gap się tam cały czas, bo jeszcze coś przyjdzie na to twoje patrzenie. Rozglądaj się, melduj, jak coś dziwnego zobaczysz.

– To po lewej jest dziwne. – Pokazuje umalowanym paznokciem. – Co to?

– Anomalia. – Wzruszam ramionami.

– Jaka?

– Pewnie zabójcza. Chcesz sprawdzić, to leć, stalkerzy będą ci wdzięczni za ofiarę.

Chyba się obraża, bo przez kilkaset metrów nie mówi nic. I dobrze. Ja samotnikiem jestem, ale dla mnie samotność nie jest przypisanym mi losem i przekleństwem – samotność to moja radość. Wszystko, co widzę i przeżywam, jest tylko moje, nikt nie zasłania mi widoku, nie psuje nastroju durnymi odzywkami. Gdy łąduję się w kłopoty, to łąduję się w nie sam, nie muszę za nikogo odpowiadać. Gdy udaje mi się z nich wykaraskać, to jestem w pełni dumny, że dałem radę o własnych siłach.

– Popatrz, helikopter! – woła i pokazuje palcem Dura, ale ja już widzę. Chowamy się za róg domu w dawnym Bieriezinie, patrząc, jak wojskowy Mi-24 nabiera wysokości nad rzeką.

– Nie helikopter, a śmigłowiec – mówię półgębkiem, jakby bojąc się podświadomie, że stalowy potwór może mnie usłyszeć.

– Może powinniśmy rzucić świecę dymną albo raketę wystrzelić? – słyszę w jej głosie podekscytowanie. No chyba że z RPG, ale nie mam akurat. Dziewczyna chyba chce powiedzieć coś jeszcze głupiego i naiwnego, ale wtedy skrzydła Krokodyla rozjarzają się płomieniami wylotowymi działek GSz-23, pióropusz dymu i łusek zostaje z tyłu, na trasie lotu, a do nas za chwilę dobiega echo serii wystrzałów i eksplozji amunicji odłamkowej.

– Oni... strzelają? – z niedowierzaniem pyta dziewczyna, jednocześnie zdejmując zaślepkę z obiektywu. – Ale... do kogo? Przecież...

– Do naszych pewnie. Albo do mutantów, miejmy nadzieję.

– Ale z tej odległości, z tą prędkością przecież nie mogą zobaczyć...

– Nie muszą. – Wzruszam ramionami. – Nie chcą. W Zonie nie ma ludzi, mówiłem ci już kilka razy. Głównie dzięki nim właśnie.

– Ale może Amerykanie... – słyszę łamiący się głos umierającej nadziei.

– Nie. Amerykańcy i inni z tak zwanego „cywilizowanego” Zachodu nawet nie pierniczyliby się z celowaniem z działka, od razu by napalm zrzucili. Ich odcinki Pogranicza wyglądają jak Hiroszima, widziałaś chyba z lotni.

Widziała.

* * *

– Ty *szto* – ze sobą kogo przyprowadził? – patrzy na mnie
Dr.

– *Da*, nie sraj ogniem, *Dyry*, *wsjo charaszo* będzie. Ty mnie

na *Balszaju Ziemlu* przerzut organizuj.

– Ty *szto*, zdurniał, Miszka? Ona co, dularów amerykańskich ciebie obiecała?

– Niczego mi ona nie obiecywała, ty już *nie bojsia*. *Arganizuj i wsjo*.

– *Misza, paszoł ty w pizdu, a? Ty szto*, słońcem przygrzany, a? Noga u *ciebia* jak mielonka porąbana, mnie i stąd *widno*, że odwodnił się. Tobie tygodnie dwa wypoczywać teraz, *kak minimum!* – Nasz mechanik ciska na stół kawałek przewodu od serwa.

– *Tri dnia posiedzim* na bazie, potem *idziom na Dużuju Ziemlu*.

– „My””? – Dr chyba już odpuścił sobie na dzisiaj próby ożywienia bezkształtnej kupy żelastwa, która w zamierzeniu ma stać się chałpniczym egzozszkieletem, bo zaczyna wściekle szorować ręce pastą BHP.

– Ja i ona, *znacit my*.

– Miszka, da weź ty mnie *pastuszaj*. – Podchodzi do mnie blisko, siada na stołku z żelaznych kątowników. – *Durak ty, i wsjo*. Ty dlaczego ją nie zostawił od razu, jak znalazł, a? *Na szto* się tobie ona zwidziała?

– Przerzut dla nas przez Mniow *zdziałaj*. *Wsjo, szto w pojemnikie*, ty sobie *wazmi*. – Rzucam na stół ciężki od artefaktów kontenerek, ruszam ku wyjściu. – *Ja dwa racjona bieru*, dolicz.

– Uch ty, Polak durny! – dogania mnie w drzwiach pogardliwa uwaga, ale nie reaguję. Biorę z zamrażarki dwie porcje żarcia, czteropak podłego ukraińskiego piwa i ruszam do siebie.

Dura już zdążyła się rozgościć – w aneksiku łazienkowym tylko woda szumi. Rozpinam paski, zrzucam z siebie sprzęt,

ściągam przez grzbiet przepoconą, cuchnącą kurtkę i znoszoną *majkę*, rozsznurowuję buty, krzywięc się z bólu, gdy skarpety odklejają się od popękanych odcisków. Bez artefaktów się nie obejdzie... Mimo panującego na dworze żaru otwieram okno – niech się przewietrzy trochę, nie ma nic gorszego niż zaduch. Wrzucam do mikrofalówki porcję jedzenia, wytrząsam z paczki bielamora, wychodzę na zewnątrz, siadam na betonowej podmurówce i strzelam zawleczką od piwa. Zapalam szluga, zaciągam się, powoli wypuszczam dym. Tak. Mój ulubiony moment powrotu na Jołczę. Popijając piwem, łykam po kolei tabletki – zielona, czerwona, dwie białe, kapsuła jodu, zielono-kremowa i sraczkowata na koniec. Zaciągam się jeszcze raz... mam jakieś dwadzieścia minut, zanim złapie mnie zgaga. Warto się zrelaksować przez ten czas.

Nie bardzo wiem, po co zabrałem tę idiotkę ze sobą. Uratowałem ją przed jankesami, dałem broń, jedzenie i wodę – więcej się w Zonie nie da dla człowieka zrobić. A mimo to wróciłem po nią, wyciągnąłem jej dupsko (zgrabne dupsko, jak się coraz bardziej utwierdzam w przekonaniu) z opałów i postanowiłem, że wyprowadzę na Dużą Ziemię. Po co? Dlaczego? Nie wiem. Może zaimponowało mi, że położyła tego czarnobylca samym nożem. Może dlatego, że to kobieta – faceta łatwiej byłoby zostawić, w końcu to mężczyzna, niech se radzi sam, takie tam rzeczy. A ona... nie wiem. Bardzo dziecinna i niesamowicie kobieca zarazem – takie połączenie bezradnej Lolity i dumnej Amazonki. Dopalam, dopijam, wstaję – ohydne beknięcie o zapachu chemii i trawy przychodzi z samych głębin żołądka. Pora się umyć, bo czuję własny smród.

Wchodzę – i widzę Durę, nagusieńką jak ją Pan Bóg stworzył. Leży na boku tyłem do drzwi, jedna noga podkulona, więc tyłek wypięty apetycznie ku mnie, mokre, zmierzwione

włosy, linie od opalenizny po bardzo skąpiutkim bikini. Gdy wchodzi, powoli, niby od niechcienia przewraca się na plecy, rzuca mi powłóczyście spojrzenie – widzę dwie idealnie równe półkule piersi, zdobne bladymi liniami ledwo widocznych blizn po mastopeksji. Skubana, jak dała radę się... a tak, pewnie moją golarką się posłużyła. Hm.

– Nie podziękowałam ci jeszcze za uratowanie mi życia. – Uśmiecha się. – Chodź.

Patrzę na apetycznie rozciągniętą na moim posłaniu sierpniową kotkę. Ładna jest, naprawdę ładna. Ładniejsza bez ubrania niż w ciuchach, a to rzadka zaleta u kobiet. Drobnusieńskie, zadbane stópki, mięśnie grają na udach i łydkach, kaloryferek na brzuchu... maszynka do przyjemności.

– Masz, zjedz coś lepiej. – Wyciągam z kuchenki ugrzaną porcję w plastiku. – Nawet piwo tu mamy.

Przez chwilę mam wrażenie, że obrazi się na mnie, zrobi awanturę albo coś równie idiotycznego, ale dziewczyna zaczyna się śmiać. Czystym, zdrowym, perlistym śmiechem, śmiechem, w którym wyrzuca chyba z siebie wszystko z ostatnich dni. Mijam ją, wyciągam z szafy czyste ciuchy i wchodzi sam pod prysznic, pod strumienie letniej, zbawiennej, czystej wody ze studni głębinowej, filtrowanej na sto sposobów wody, którą możesz się umyć, której możesz się napić.

Gdy wychodzę jakiś czas później, Dura kończy już swoją porcję – ubrała się w jakąś moją koszulę i wojskowe spodenki. Wygląda w tym, jakby wyszła z taniej przewalanki, trzeba będzie jej coś znaleźć lepszego... Ale ładnej dziewczynie we wszystkim dobrze. Podaje mi tackę z samolotowym żarciem, otwiera kolejne piwo.

– Masz tu zestaw witamin, detoksykantów i innego syfu. – W zamian wysypuję jej na dłoń garść tabletek. – Nie próbuj brać

na raz, bo się porzygasz. Masz, będę ci po jednej dawał.

– Dzięki – rzuca pomiędzy kolejnymi tabletkami i łykami. Nie mówię nic, bo co mam powiedzieć?

– Po co cycki robiłaś? – strzelam pytaniem, którego nigdy, przenigdy nie odważyłbym się zadać kobiecie w normalnych okolicznościach. Ona zapala papierosa, wydmuchuje dym wąską strużką ku górze.

– A tak sobie, moje mi się nigdy nie podobały. I uszy też, i nos.

– No nie żartuj.

– Nie widać, nie? Dobra rzecz, taki chirurg. A co, nie lubisz plastikowych bab?

– Tak się pytam, z ciekawości.

Chwilę milczymy oboje, ja tylko pochłaniam swoją porcję. Dura w pewnej chwili wstaje, podchodzi do mnie i całuje w policzek:

– Dziękuję.

– Się rozliczymy. – Przełykam kawałek gumowatego kurczaka. – Ale wyglądają zarąbiście.

– Prawda? – rozpromienia się dziewczyna. – Jednak robią wrażenie, przyznajesz!

– Pewnie. Faceci dzielą się na tych, co mają odwagę się przyznać, że sztuczne cycki są świetne, i na tych, co jej nie mają. To jedyna linia podziału moim zdaniem.

– Święte słowa. – Dura wygląda przez okno na wewnętrzny podwórzec dawnego gospodarstwa rolnego. – Fajnie, że jesteś po właściwej stronie.

– Tu Zona, dziewczyno, tu nie ma miejsca na półśrodki. A on?

– Kto? – Odwraca się do mnie.

– Twój narzeczony, idiotko. Lubi sztuczne cycki? I

konkurencję u wodopoju?

– Co mnie to obchodzi – uśmiecha się do mnie Dura. – Sam powiedziałeś, tu Zona jest. Tutaj nie mam narzeczonego.

Jest bystra. Chyba zaczynam ją lubić.

* * *

Rekonwalescencja zajmuje nieco dłużej, niż miałem nadzieję, więc dopiero po czterech pełnych dniach na Jołczy wyruszamy w kierunku Pogranicza. Kuracja artefaktowa jednak czyni cuda – żołądek tylko wysiada od antyradów, więc jadę na kleikach ryżowych z puszki i ohydny żarcie w tubce. Dura o wiele szybciej doszła do siebie, młody organizm, niezmęczony jeszcze. Dr wynalazł dla niej wdzianko w barbarzyńsko małym rozmiarze, 44-2 bodajże, a i tak wisi to na niej jak na manekinie. Całe szczęście, że nie wszystko z tego trefnego transportu z zeszłego roku przerobiliśmy na szmaty, bo inaczej ciężko by było, a tak dziewczyna paradytuje teraz w kulturalnej *bieriozce*.
Rewelacja.

Moje zdanie podzielają zresztą też inni stalkerzy z Jołczy – widać, że chłopcy mieliby chrapkę na bojową dziewczynę, więc dla bezpieczeństwa zachowujemy się jak para – nie pozwalam jej nigdzie chodzić samej, a śpi też u mnie. Nie, skoro już musicie zapytać – śpimy wspólnie, ale nie ze sobą, ona na łóżku, ja na materacu na podłodze. Przyznać jednak muszę, że po ostatniej nocy zachowanie separacji pozamałżeńskiej staje się coraz trudniejsze, więc cieszę się, że już ruszamy, bo Dura rozkręca się w klimatach Zony – nie rozstaje się ani na chwilę z PMM, który jej zakupiłem w naszym kramiku ze złomem, cały czas wypytuje mnie o mutanty i anomalie i okazjonalnie robi

zdjęcia do swojego durnego reportażu... Ostatnia noc była krytyczna, bo z robienia zdjęć nocnej Zonie płynnie przeszliśmy do portretowych, a potem do pełnoprawnej sesji zdjęciowej. Taaaak. Za taką stalkerską sesję w Strefie Zamkniętej każdy „Playboy” albo inny „Penthouse” zapłaciłby dowolną sumę pieniędzy. Naprawdę, powiem wam – pora ruszać, bo robi się niezdrowo.

Obładowany swoim sprzętem i towarem niesionym dla kupca, za plecami mając stającą za mną krok w krok Durę, ruszam ku Mostowi. Dzień będzie gorący jak diabli, na szczęście po drodze mamy Dniepr, więc będzie trochę chłodniej, a na wieczór powinna podnieść się mgła, pod osłoną której planuję przejść na drugą stronę rzeki i schować się w przybrzeżnych zaroślach. Droga po torach znana i chodzona, więc nie trzeba się szczególnie obawiać – ćwiczymy jeszcze podstawy mutantologii i anomalografii, uczymy się omijać „gorące plamy” i ufać przeczuciom przy omijaniu potencjalnych niebezpieczeństw. Raz i drugi puszczam Durę przodem, żeby dziewczyna poczuła odpowiedzialność – tutaj trasa bezpieczna, ale ona i tak strasznie się przejmuje, idzie w ślimaczym tempie, bojąc się każdej nietypowej plamy na suchej trawie i nacieku na betonowych podkładach. Zbytek ostrożności, ale to dobrze – nie zgrywa bohaterki, ma świadomość, że tu gra o życie idzie. Potem ja wychodzę na prowadzenie, bo zbliżamy się do Pociągu, a z wysokości Nasypu widzę kotłującą się w szuwarach rodzinę prypec-kabanów, w bloku rozlewisk szukających ochłody w skwarze południa. Prowadzę nas tak, żeby od mutantów zawsze odgradzała nas jakaś anomalia, potem chowamy się za żelazne cielsko *elektryczki*. Przywołuję Durę gestem:

– Odwróć się.

– I co, może się pochylić jeszcze? – Zaczepnie ogląda się,

opiera o ścianę wagonu i wypina tyłek, ale tylko strzepuję dłonią po jej rękach.

– Nie dotykaj niczego niepotrzebnie, głupia! Daj plecak.

Otwieram, wyciągam ze środka zawiniętego w szmatki Bizona.

– Masz, to dla ciebie.

– Co to?... woow! – Dziewczyna odwija pakunek. – PP-19!

– Znasz? – Jestem trochę zawiedziony, ale też... dumny? – Umiesz strzelać?

– Pytanie! – Ogląda broń, składa się do przyrządów, szczeka bezpiecznikiem. – To działa jak AK normalny, nie?

– Sześćdziesiąt procent zgodności części, sto procent obsługi. Magazynek masz załadowany, tutaj zapas. – Podaję jej dwie paczki amunicji dziewięć na osiemnaście. – Zasłużyłaś.

– Dzięki, Miszka! – Chce mi się rzucić na szyję, ale przytrzymuję ją ręką na dystans. Zona to nie miejsce na czułości.

– I tak na Dużą Ziemię go nie zabierzesz, ale w Zonie jest twój. Bardziej mi się przydasz z bronią niż jako *gruz-100*.

– Co? – marszczy brwi Dura. He, he, he, nie taka znowu jest obeznana, jak by chciała udawać.

– „Ładunek-100”, czyli wojskowe oznaczenie trumny z ciałem nieletniego. Martwy ciężar.

– Ha, ha, zabawne. – Zarzuca sobie na ramię Bizona. – Prowadź, stalker.

* * *

Wychodzimy na Most pod wieczór, akurat pośród wstającej znad wody szarej mgiełki. Normalnie droga zabrałaby mi dużo

krócej, ale szliśmy powoli, treningowo, przyszło też odstrzeliwać się od stada nazbyt natarczywych ślepaków. Na szczęście udało nam się nie ściągnąć uwagi wojskowych, którzy chyba trochę odpuścili w ostatnich dniach – w końcu ile można strzelać do mutantów, nie?

– Teraz uważaj. – Pokazuję palcem na lewy brzeg. – Gdzieś tam siedzą snajperzy.

– Skąd wiesz? – Instynktownie chowa głowę w ramiona.

– Nie wiem, ale tu zawsze trzeba zakładać najgorszą opcję, więc snajperzy z celownikami optycznymi i noktowizorami. Jak mamy pecha, to mają też termowizję.

– I co teraz?

– Musimy przejść na drugą stronę. – Wyciągam z plecaka dwa „Lesze lisy” na podkładce z alufolii. Zakładamy na siebie kostiumy maskujące – na świętych Radosława i Poloniusza, patronów wszystkich stalkerów, jak w tym gorąco będzie... Ruszam jak zwykle, idąc od przesłta do przesłta, chowając się za anomaliami, powoli do przodu. Tylko że teraz nie jestem sam, za sobą wciąż czuję ruch, słyszę czyjś jeszcze oddech, szuranie butów po stalowych przesłtach. Zrobiło się już dość ciemno, mgła unosi się długimi pasmami na brzegach, mutanty zaczęły buszować w trzinach porastających starorzecza, więc możemy przyspieszyć nieco kroku, nie bojąc się, że zdradzi nas byle hałas. Jest już prawie dobrze, kiedy...

Gdzieś z drugiego brzegu, po naszej lewej, nagle z hukem i sykiem wystrzeliwuje w niebo rakietka sygnałowa, zalewając pomarańczowym światłem okolicę i pokrywając przedziwnymi światłocieniami otuloną tumanem rzekę. Okoliczne mutanty z kwikiem i trzaskiem zrywają się z miejsc, przerażone nagłą iluminacją; ja waham się tylko chwilę.

– Naprzód, naprzód! Dawaj za mną, biegiem! – wołam do

Dury, podrywając się do cwału i lecąc po żelaznym moście, omijając tylko dziury i klucząc pomiędzy anomaliami. Słyszę z tyłu uderzenia jej butów, wbrew rozsądkowi zwalniam, żeby dziewczyna nie próbowała skrócić do mnie dystansu i nie władowała się z rozpędu w coś paskudnego. Po bokach migają dźwigary i tregry, przeskakuję nad trupami ślepych psów, które usmażyć musiała jakaś „elektra”, dopadam do wraku zaległego tu na zawsze wojskowego łazika, rozpląszczam się pomiędzy szynami, zaraz za mną wali się na twarde podkłady dziewczyna.

– *Да мы что...dafuq wa' that?* – dyszy. – Przecież mówiłeś, żeby...

– Raca sygnałowa – rzucam krótko. – Jeden ze snajperów wezwał wsparcie, pewnie go coś opadło i nie może się sam odbić. Wszyscy się gapili na raketę, więc mogliśmy ruszyć, a tu zaraz będzie gorąco.

Faktycznie – już słyszeć ryk beteerów wyjeżdżających z garnizonu, a w niebo podnosi się przecinający zmrok potężnymi szperaczami Krokodyl. Nie ma co czekać – przeczołgujemy się jeszcze kawałek, a potem spuszcza się po stalowej konstrukcji pod Most, ześlizgując na dół po wybetonowanej główce nasypu. W samą porę – nad nami przelatuje ogromne żelazne cielsko, potem zawraca nad rzeką, omiatając snopami światła brzeg na lewo od Mostu. Wciskamy się tylko jak najgłębiej w zarośla, słysząc głuche ujadanie enkaemu i wizg rakiet niekierowanych. Musiało ich coś porządnie nastraszyć.

Czekamy, aż kanonada ucichnie, a potem zaczynamy przekradać się wzdłuż brzegu.

– W porządku? – rzucam cicho, idąc przez trzciny.

– Tak – słyszę szept. – Tylko komary gryzą.

Uśmiecham się: pojawienie się insektów to pierwsza oznaka normalności. Emisje wybijają je na krótko, potem

przylatują nowe, ale na prawym brzegu praktycznie ich nie ma. Pryskaemy się nawzajem środkiem odstraszającym, wypijamy po trochu wody z manierki, podłączam tylko licznik i ruszamy dalej. Przed nami długa nocka.

Bagna i mokradła to wyjątkowo zdradliwa trasa, ale dlatego właśnie ją lubię. Człowiek zawsze ryzykuje, że wlezie na siedzącego w trawie mutanta, ale duże bestie rzadko się tu zapuszczają, a jeśli już się tutaj znajdują, to szybko opadają z sił w takim oddaleniu od Sarkofagu. Z drugiej strony, nawet jeżeli przychodzi tu strzelać, to wojaki wolą brać to za kanonadę z drugiego brzegu – po wodzie dźwięk nieźle się niesie, więc w najgorszym razie wyślą śmigłowiec na profilaktyczny patrol nad rzeką. Trzeba za to uważać na drobne anomalie – głównie słabe „grawikoncentraty” i „trampoliny”, przytające pod powierzchnią płytkich zalewowych stawów i podmokłych łągów. Nie na tyle silne, żeby zabić, ale połamać mogą albo wciągnąć po pas w grząskie błoto – najgorsze, co może być. Idziemy więc powoli, macając drogę kijami, ale i tak pędzimy jak TGV wedle standardów stalkerskich *chodek* – do świtu powinniśmy zrobić jeszcze z sześć kilometrów, więc tempo jest oszałamiające. W butach ciamka brudna woda, spodnie mokre po kolana, ręce ubabrane aż po łokcie od przekradania się na czworaka – sama radość. Pewnie mało kto w ten sposób sobie wyobraża epickie rajdy po bezdrożach Czarnobyła, ale w większości to tak wygląda.

Letnia noc praktycznie nigdy nie jest zupełnie ciemna – słońce zaczyna wstawać właściwie od razu, jak tylko zajdzie, więc szarówka wieczoru i świtu rozciąga się na większą część pory, w której normalni ludzie śpią, a nienormalni przekradają się pod nosem wojskowych patroli do wysiedlonych wiosek. Zgodnie z moimi kalkulacjami do opuszczonego Mniowa

docieramy około godziny piątej – słońce akurat podnosi się zza horyzontu, długie cienie idealnie kryją nasze podejście. Tu już w zasadzie nie ma anomalii, ale krystalicznie czyste powietrze świtu ostro oddaje tłem, licznik trzeszczy, ostrzegając przed podwyższonym promieniowaniem. Naciągamy na twarz respiratory, łykamy po podwójnym jodzie, nurkując między opuszczone budynki. Wszędzie dokoła wymalowane farbą ostrzeżenia o radiacji i poustawiane znaki ostrzegawcze, część domów pogryziona przez tworzące się podczas Emisji anomalie, reszta rozszabrowana przez hieny i strawiona pożarami – najczęściej wybuchającymi w wyniku celowych podpaleń piromanów albo przypadkowego zaprószenia przez bezdomnych... czy wręcz amatorów nocnych wrażeń, co lubią potem na fejsa wrzucić fotkę z podpisem „Noc w Zonie”. Przez takich idiotów mamy najwięcej kłopotów, bo to oni nie pozwalają wojakom spocząć na laurach. Takich jak oni – i takich jak ona. Patrząc na Durę, po całonocnym marszu na przełaj lekko już słaniającą się na nogach; kiwam jej aprobująco głową, gdy uśmiecha się do mnie słabo – zuch dziewczyna.

Nocujemy – „dniujemy” w zasadzie – w jednym z nielicznych domów o normalnym tle. Takie rzeczy trzeba wiedzieć; jest kilka miejsc, gdzie radiacja jest niższa albo wręcz na poziomie tła, to tylko w symulacjach komputerowych wszystko rozchodzi się proporcjonalnie. Promieniowanie opada losowo, placami – więc skoro zdarzają się „gorące plamy”, to muszą być też „zimne”. W takiej właśnie „lodówce” stajemy na tak bardzo potrzebny odpoczynek. Dawno tu nikogo nie było, jak widzę – materace lekko zaszły pleśnią, okno wypadło i do środka nawiało liści i innego śmiecia. Zastawiamy otwór meblościanką, zaminowujemy podejścia, walimy się spać.

Budzę się tylko, gdy Dura wymyka się za potrzebą. Patrząc

na zegarek – siedemnasta. Jeszcze trzy, cztery godziny i wymarsz. Prawie już zasypiam, gdy dziewczyna wraca i układa się, ale u mnie na posłaniu – czuję zapach jej włosów, gdy mości się wygodniej na moim ramieniu.

– Pomyliłaś łóżka? – mamrocę w półśnie.

– Nie – odpowiada po prostu.

* * *

Z Mniowa wychodzimy prosto na wschód, ku Wiedilcom. Po prawej mamy na pół wyschnięte zbiorniki jakichś tutejszych glinianek albo torfowników pewnie – duże, regularne dziury po kilka–kilkanaście metrów głębokie, ze stromymi brzegami porośniętymi krzewami. Świetne miejsce, żeby się ukryć przed śmigłowcem, ale wyjść stamtąd trudno.

– Dochodzimy do granicy terytoriów kontyngentów – tłumaczę po drodze. – Pójdziemy po granicy między nimi. Po prawej będziemy mieli twoich kolegów Amerykańców z Pakuli, więc jakby co, to uciekamy w las na lewo. Poradzisz sobie z kompasem, jakbyśmy się rozdzielili?

Patrzy na mnie pogardliwie, wydyma policzki.

– To i dobrze.

– A co z tymi po lewej? – pyta się Dura. Bystra jest jednak, mimo ksywki.

– Po lewej będzie terytorium Kontyngentu Niedanczyce, tam Ukraińcy siedzą. Dyry załatwił nam na tę noc u nich przejście...

– Jak? – dopytuje się, wyraźnie zaciekawiona.

– Jak, srak. Ciszej jedziesz, więcej wiesz, niech cię o to głowa nie boli. Pewnie urządzają im jakieś idiotyczne manewry po

drugiej stronie Zony albo coś w tym stylu. Mam nadzieję, że będzie warto za tę cenę.

– Płaciłeś mu za to? – A teraz jest naprawdę zdziwiona.

– A jak niby inaczej? Wszystkie artefakty na to poszły przecież.

Cisza. Widać musiała myśleć, że my, stalkerzy, coś jak Mściciele, fundusze dostajemy z innego wymiaru i rozliczamy się w punktach chwały. Jako pierwszy idę starą, popękaną asfaltówką, teraz poprzerastaną młodymi brzoźkami i pełną dziur – po zimach, ale i po kulach też, jako że często przelatują nad nią wojskowe maszyny. Po obu stronach ciemny, liściasty las, ale tutaj, poza Zoną, czuję się jak na spacerze po parku. Mimo to i tak idę krok za krokiem, nasłuchując i wypatrując oczy w ciemności, próbując wyłowić znaną ciszę pośród odgłosów nocnego lasu, od których tak bardzo już odwykłem.

Robimy po drodze dwa popasy, starając się nie zostawiać śladów – śmieci zbieramy do plecaka, tylko tego by brakowało, żeby wojaki się jorgnęli, że ktoś tędy chodzi. Po około trzech godzinach nocnego marszu dochodzimy do żelaznego szlabanu przegradzającego całą drogę i potężnej, trzymetrowej siatki na solidnych słupach, rozciągniętej nawet w poprzek drogi. Całość wieńczy korona cierniowa drutu kolczastego...

– Co to? – patrzy na lokalny mur Hadriana moja towarzyszka.

– Kordon, czyli zewnętrzna warstwa Pogranicza. – Wzdycham, obmacując siatkę u dołu. – Tam dalej już Duża Ziemia... o, tu jest!

Z niemałym wysiłkiem podnoszę kawał siatki, uciętej nożycami równo na poziomie gruntu, Dura przeczołguje się pierwsza, przytrzymuje dla mnie przejście, gdy przeciskam się po ziemi i przeciągam plecak za sobą. Wstaję, otrzepuję się...

dziwnie się czuję poza Zoną. Dziwnie się czuję bez *Zbawiciela* i bez maski p-gaz, bez granatów i apteczek – sprzęt trzeba było schować wcześniej w skrytce w pustym drzewie, przecież nie wleżę z tym wszystkim do wsi. Przebieramy się – Dura w swoje poprzednie ciuchy, ja zakładam szeleszczące spodnie od ortalionowego dresu i czapkę z daszkiem. Ot, tylko plecaki trochę dziwne, ale co komu do tego. Ruszamy na przełaj, brzegiem lasu.

Do Wiedilec dochodzimy jeszcze nocą, ale nie mam zamiaru się patyczkować – znajduję właściwy adres i po prostu łomocę do drzwi. Psy od razu podnoszą jazgot, we wsi raptem sześćset chałup, więc dźwięk się niesie... Ciężko przychodzi mi stanie tak po prostu na otwartym i niereagowanie na hałasy z otoczenia, ale staram się. Walę pięścią jeszcze i jeszcze raz, aż w oknie zapala się światło, potem drzwi uchylają się wąską szczeliną.

– *Widcyniaj, Fiodor, swiji pryszli* – błyskam ukraińskim. U Fiodora nie byłem już... no, długo nie byłem. Gospodarz wygląda jak zawsze – na pierwszy rzut oka prosty, ukraiński kmiotek, chata śmierdząca niepranymi skarpetami i przypalonym tłuszczem; i tylko mało kto wie, gdzie Fiodor jeździ na wakacje i jaką daczę sobie buduje nad morzem. Ot, klasyczny handlarz Zony – cicha woda brzegi rwie. Rozmowy nie trwają długo – zrzucam towar, oddaję listę zakupów, odbieram klucze od mieszkanka i trochę gotówki.

– Chodź, Dura. – Poklepuję towarzyszkę po tyłku. – Idziemy się ogarnąć, jutro kupimy ci telefon i bilet do domu.

– Jutro? – Patrzy na mnie czerwonymi z niewyspania, ale i tak ślicznymi oczami. – Już jutro?

– Aha. Stąd masz siedem kilometrów do stacji Malejki, do Czernihowa pociągiem dojedziesz, stamtąd już cię ktoś odbierze.

Tylko legitymować się po drodze nie daj, bo na pewno cię już szukają... Chyba że sama chcesz się oddać w ręce lokalnej milicji, tak szybciej będzie, oni już cię odwiozą, dokąd trzeba.

– Nie chcę. – Przeciąga się niczym kotka. – Nie chcę się oddać w ręce milicji. No, w twoje to co innego...

Patrzę na nią. Ona patrzy na mnie.

Tej nocy śpimy razem.

* * *

Następne trzy dni są po prostu... normalne. Normalne, czyli absolutnie wspaniałe. Chodzimy po siole, trzymając się za ręce i pokazując sobie wszystko palcami. Zwiedzamy wszystkie lokalne atrakcje – położony w samym centrum obowiązkowy pomnik bohaterów wielkiej ojczyźnianej, tablicę pamiątkową na miejscu masowej egzekucji w czterdziestym trzecim, grób bohatera CCCP, niejakiego M.G. Turowca, na miejscowym cmentarzu oraz dublujący tablicę minimemoriał czterdziestego trzeciego roku. Odwiedzamy wszystkie trzy sklepy, kupujemy świeży chleb i sok brzozy... Zabieramy się na furze pełnej siana na dziką plażę przy rozlewisku rzeczki Pakulki, gdzie kąpiemy się nago w zarośniętej szuwarami wodzie, odpoczywając potem na grząskiej, zielonej trawie pod dochodzącymi do samej wody drzewami, gryząc prażone nasionka słonecznika ze zrobionego z gazety różka i patrząc na białe chmury na błękitnym niebie.

Ludzie ze wsi boją się nas chyba – to znaczy boją się mnie. W rosyjskiej mentalności funkcjonuje coś takiego jak „syndrom Afgana”... Na przykładzie spróbujmy wytłumaczyć. Weźmy coś oczywistego, na przykład... „Wilka i Zająca”? No pewnie, każdy

to pamięta. Wilk chodził w takiej koszulce w paski i był ogólnie zły i iiiiiwiol, prawda? Otóż tak wyglądali i tak byli ubrani ci, co w latach osiemdziesiątych wracali z Afganistanu. Było ich widać na ulicach, bo chodzili w kontraktowych ciuchach. Można ich było rozpoznać, bo mieli nieobecne twarze. Ludzie schodzili im z drogi, bo dla tamtych wojna się nigdy nie skończyła. Jeżeli człowiek się z takim nieopatrznie pokłócił i „Afganiec” miał przy sobie TYLKO bagnet, to należałoby uznać, że miało się szczęście. Rozumiecie? I ja podobnie jak oni się tu czuję. To nie mój kraj, to nie moje miejsce. Ja jestem drapieżnikiem, i to drapieżnikiem innego zupełnie świata. Nawet lokalne żuliki spod sklepów rozsuwają się, gdy wchodzimy po piwo. Żaden z nich nie zaczepi mnie, bądź co bądź obcego w jego wsi. Żaden z nich nie uszczyplnie w tyłek, nie gwizdnie za Durą – boją się nawet patrzeć na nią, bo widzą, jak wyglądam i jak się zachowuję. A nie robię przecież nic szczególnego, nawet się uśmiecham, mówię „proszę” i „dziękuję”. Ale ci wszyscy ludzie czują przez skórę, że mam przy pasku mały, płaski nożyk o ostrzu jak brzytwa. Niektórzy pewnie nawet domyślają się, dlaczego w trzydziestostopniowym upale chodzę w lekkiej, niby-wojskowej bluzie z długim rękawem. Nie muszą nawet widzieć, że w kaburze pod pachą mam glocka z siedemnastoma posłańcami pewnej śmierci – oni to po prostu czują. To był cudowny sen i staram się trzymać zaciśnięte powieki, by trwał jak najdłużej, ale wiem, że to tylko sen.

– Pora tobie do domu, Durka. – Głaszczę po plecach leżącą na mnie, mokrą od potu dziewczynę. – Do rodziny, do narzeczonego twojego, do ojca dyplomaty. Pora tobie do życia wracać.

– Wiem, Miszka – uśmiecha się do mnie ona. – Wiem.

* * *

Stacyjka Malejki przypomina mi do bólu Jołczę – maluśka stacja w środku niczego, tylko nitki torów biegną w tę i we w tę, w ogromny, błękitny *prastor*. Jaskółki kręcą się na tle czyściutkiego nieba, ptaki śpiewają po zaroślach, maki i chabry kołyszą się wśród łanów dojrzałego zboża. Z narastającym szumem zbliża się od Niedanczycz stara *elektryczka*.

– Do widzenia, Durka.

– Do widzenia, Miszka.

Całujemy się i obejmujemy po raz ostatni. Pociąg jest coraz bliżej, widzę, że ona chce coś powiedzieć, w końcu sięga do kieszeni, wyciąga pomiętą kartkę w kratkę i kartę pamięci do aparatu.

– Miałaś rację, stalker. To, co tam widziałam i przeżyłam... to tylko nasze powinno być. – Upuszcza szesnastogigową kartę ze zdjęciami na płyty peronu, rozciera obcasem. Pociąg z wizgiem hamuje, otwierają się hydrauliczne drzwiczki. – Do zobaczenia.

Patrzę, jak wsiada do pociągu, zajmuje sobie miejsce w rogu. Porusza się zupełnie inaczej – oszczędna w ruchach, ostrożnie, z rozmysłem stawia nogi. Spoglądamy na siebie, gdy jękliwy sygnał wieści zamknięcie drzwi, pociąg szarpie i rusza, widzę ją jeszcze, potem miga mi raz i drugi w oknach, *elektryczka* nabiera pędu i z szumem niknie w oddali.

Zostaję sam – tylko ja, błękitne niebo nad głową i tory w dwie strony świata.

Rozprostowuję kartkę – żadnych listów, łzawych pożegnań, tylko nazwisko i adres w Kijowie. Patrzę chwilę na adres, na równe, wyćwiczone kształty liter, a potem pozwalam, żeby

podmuch wiatru wyrwał mi świstek z ręki i poniósł w siną dal.
Widzę go jeszcze, jak błyska bielą na tle pól i lasów, a potem
odwracam się plecami do Wielkiego Świata.

Podnoszę nogę, chwilę waham się, a potem robię pierwszy
krok na drodze powrotnej do Zony.

*W rozdziale wykorzystano fragment
utworu „Zona odczuźdienia” Władimira Minina*

Świniarnik

Popycham ciężkie, blaszane drzwi – w twarz uderza ciepłe powietrze świetlicy, niosące ze sobą woń przepalonego tłuszczu, taniej kawy, opiłków żelaza i towotu. Tłoczno dziś wieczorem – zawitało tu aż trzech z lokalnych stalkerów. Dwaj siedzą przy prostym stole z dykty, przejadając i przepijając zarobek z ostatniej *chodki*, trzeci kombinuje coś w tak zwanym cechu, czyli kąciku małego majsterkowicza – *stanok* szlifierki kątovej wyje niemiłosiernie, walcząc o prymat z rzeźącym coś przez przechodzony głośnik magnetofonem kasetowym. Krzywię się z dezaprobatą – Zona nie lubi zgromadzeń, Zona nie lubi hałasu. Trzech to już tłum, czterech to kłopoty... Rozważam chwilę, czy nie wrócić do siebie na kwaterę, ale sprawa zbyt istotna, nie mogę odpuścić, więc robię krok do środka, zamykam za sobą solidną gródź. Parka znad stolika podnosi głowy i taksuje mnie wzrokiem – no tak, Tribik i Dżon. O ile ten pierwszy to do rany przyłoż człowiek, zawsze uśmiechnięty, z tą jego czarującą szczerbą między jedynekami, wielbiciel AKS i pirotechniki, o tyle Dżona lubię chyba najmniej ze wszystkich. W innych okolicznościach prawdopodobnie zostałby zwykłym bandytą, ale jakoś tak się złożyło, że przystał do porządnych stalkerów, więc nikt go nie rusza. Ogolony na łyso konus z pokrytą bliznami głową i przedramionami w prymitywnych pseudoceltyckich tatuażach twierdzi, że jest narodowcem, ale wydaje mi się, że ideologia nacjonalistyczno-radykalna była jedyną, jaką potrafił zrozumieć. Coś mi się widzi, że on do Zony nie tyle przyszedł, ile uciekł; nie wiem, jakim cudem dał radę się utrzymać tutaj przez prawie rok, ale w końcu nie mnie o tym decydować. Co robi z nim Tribik? Pewnie po raz kolejny naciąga go na

pseudoideologiczne wywnętrzenia i darmową gorzałę, której wcięty Dżon nie żałuje, a Tribik potrafi wprowadzić do organizmu bliżej nieokreśloną ilość. Ech, życie...

Podchodzę do kontuaru, zaglądam na zaplecze – chyba Dra akurat nie ma, a ja pogadać z nim muszę... Czekam chwilę, ale gdy oczywistym się staje, że nasz handlarz nie wróci zbyt szybko, zbieram się już do wyjścia – i natykam na stojącego mi na drodze Dżona.

– *A ty szoo, wypić z nami przszoł, aaa?* – Owiewa mnie zaduch przetrawionego alkoholu. – *No tagda dawaj, Kurwa, u nas tu wsjo gotowe, jak trzeba!...*

Patrzę w lekko mętne oczy niby-nacjonalisty, spoglądam na Tribika, z zainteresowaniem obserwującego poczynania swego kompana. Przekrzywiam pytająco głowę, on tylko uśmiecha się i przepija do mnie ze szklanki-*granionki*.

– *Nie nada*, Dżon, u mnie sprawa do Dra. – Próbuję wyminąć konusa, ale on też przesuwa się na bok. – Amunicji mnie więcej *nada*, *pakupić* ja chciał.

– *Ty szoooo?* No ja *ciebia wabszcze nie panimaju*, Kurwa, *Paljak jobanyj...* a no dawaj, po rusku *skazy* jak trzeba! – rozplywa się w niby-szczerym uśmiechu Dżon, próbując objąć mnie przyjacielsko za szyję, ale strząsam jego rękę.

– Dżon, *nie nada*, pić *nie budu*. Dyry gdzie?

– *A u mienia*, Kurwa, *swoja*, i u Tribika *swoja*, a u ciebie to *nie znaju*, Kurwa, gdzie i ile!... Chodź, Kurwa, zaraz ci sprawdzę! – zanosí się pijackim śmiechem byłý kryminalista. Jasna sprawa, prymitywne żarty językowe. „Dyry” to też dziury, prawda? Ha, ha, ha.

– *Wsjo, paszoł ty, a?* – Lekko poirytowany raz jeszcze próbuję go minąć, ale on łapie mnie za ramię.

– *A ty szto*, Kurwa, ty nam *nie drug*, *nie tawariszcz?* Wypić

tobie nie honor z nami, a, białopolski burżujku?! O, *smatri ty*, Kurwa, a no *bystra* z nami usiadł! Teraz ty stawiasz, a jak ci nie pasuje!...

Dżon sięga do rękojeści bagnetu przy pasie, a ja żałuję, że nie wziąłem glocka – reguły świetlicy są jasne, żadnej broni... Dobre takie reguły, gdy każdy ich przestrzega.

– Dżon, *nie nada*, ja *spakojna* przecież... – Próbuję uspokajać, ale podpity narodowiec już się rozkręcił.

– *A nu dawaj*, Kurwa, z nami flachę walisz tera! *Ty szto, zasraniec*, lepszy ty niby od nas, żeby...

– *Ostaw ty Paljaka* w spokoju, Dżon – słyszę głos Buolkiego z kącika warsztatowego. – Weź ty go nie tarmoś.

– *A ty kuda wpizdywajeszsia, Moskal jobanyj!* – Dżon już chce wyciągnąć nóż, ale zatrzymuje go odgłos zapięcia magazynka i dosłania do komory naboju siedem sześćdziesiąt dwa na pięćdziesiąt jeden.

– A ja tobie *dwa raza gawarić nie budu*. – Buolki spokojnie odwraca się do nas i absolutnie nonszalancko bierze Dżona na cel swojego SCAR-a. – Ty Polaka zostaw.

Przez chwilę już wydaje mi się, że cała sytuacja zakończy się tragedią: Dżon coś szcześnie, Buolki go zastrzeli, ale na szczęście interweniuje Tribik:

– Ej, Dżonu, ty weź *Paljaka w pizdu* zostaw, burer go dymał!... *Dawaj*, opowiem ci, jak się stalker Pietrow z samicą juchociąga chajtnął. – Widać, że Dżon waha się jeszcze chwilę, ale szklanka wody z jednej, a lufa karabinu z drugiej w końcu popychają go ku słusznej decyzji, poklepuje mnie po policzku, wyszczerza się złym uśmiechem i lekko kołyszając, odchodzi ku swojemu stolikowi. Patrząc na Buolkiego, schylam głowę w milczącym podziękowaniu.

– Dyry u siebie na dole, z „elektrą” *wojujet*. – Pokazuje mi

palcem na zewnątrz, odpinając magazynek i wyrepetowując nabój. – A ty się *pa-russki* wreszcie porządnie *nauczi*, już chyba najwyższa pora.

Kiwam tylko głową, wychodząc na zewnątrz. To powiedz „Szczepreszyn”, jak żeś taki mądry.

Dra rzeczywiście znajduję w piwnicy pod świetlicą, w sercu całej Bazy Jołcza – to stąd zaczęła się jego kariera w Zonie, to tu podobno spędził swoją pierwszą noc i tutaj właśnie przyszła mu do głowy dość szalona myśl wykorzystania mocy generowanej przez stacjonarną „elektre” do bardziej zbożnych celów. Myśl równie zadziwiająca, co jej realizacja w praktyce.

Dawne pomieszczenie kolektora ściekowego jarzy się fioletem i błękitem, tonąc w wyładowaniach i cieniach rzucanych przez łuk elektryczny potężnej spawarki. Chałupnicza instalacja buczy, trzeszczy i sypie iskrami; różnej proveniencji, wieku i wykonania kawałki zbieranych po całej Zonie maszyn grzeją się ponad miarę, napełniając całą piwnicę zapachem palącej się gumowej izolacji.

– Hej, Dyry! *A nu dawaj robotę rzucaj, nada pagawarić nam!* – wołam od wejścia, przysłaniając oczy. Jeszcze kilka trzasków wyładowań, potem nasz mechanik przesuwając gogle na czoło, ociera spoconą twarz. – *Szto, znowu zjebałość?* – pytam.

– *Da niet, jeszcze rabotajet...* właśnie po to *paczinić nada*, żeby nie *pizdanuło*, jak ostatnio. – Dr zostawia stygnący spaw, wyłącza spawarkę i krytycznym okiem spogląda na własnej roboty urządzenie, ciągnące prąd z syczącej i buczącej na dnie studzienki „elektry”. Zawsze mnie to fascynowało, bo jest to namacalny dowód, że da się zrobić coś pożytecznego z zalegających w Zonie anomalii. Co prawda samoróbka ciągle psuje się, przepala i wysiada (w końcu trudno wymagać od anomalii, żeby podawała prąd o stałym napięciu, natężeniu czy

w ogóle jakiegokolwiek niezmiennej charakterystyce), ale i tak daje nam tu, na Jolczy, prąd i ciepłą wodę, a to już bardzo dużo.

– Strzelbę moją *zdziałał*, a? – pytam z nieskrywaną nadzieją. – Mnie w wymarsz *nada*.

– Aha, już *paszół ty*. Do samego Sarkofagu – burczy pod nosem Dr, wycierając ręce ze smaru i brudu. – *Wybrośa* już parę *niedziel* nie było, ty co, Miszka, odbiło ci?

– Dyry, mnie *nada*, *da i wsjo*.

– Ty śmierci szukasz, samotniku, i tyle. I znowu ty nocą *uchadzisz...* Ty do Obiektu Trzy wybrał się czy co?

– Strzelbę moją naprawił? – powtarzam tylko.

– I tak, i nie. *Lieżył ona siebie*, o tam, złożona i nasmarowana, ale ja z niej i z siebie niezadowolony. – Pokazuje ręką na swój stół roboczy, gdzie faktycznie odpoczywa sobie grzecznie *Zbawiciel*. – *Niby wsjo charaszo* jest, a i tak zacięcia i *prabljemy* ze spustem zdarzają się. Ty *gawarił*, że burery nią rzucały? *Nu, czort znajet*, co te stwory tam *natwarili*. Ja *zapcząści* niedługo dostanę, to *jeszczo raz wazmu...* tobie prawda iść trzeba, a?

Kiwam tylko głową, obracając w rękach broń – przeładowanie, ciągnę spust, trzask iglicy. *Niby działa...*

– Ile mnie policzysz?

– *Ty artefakty i tawar priniesi*, jak na południe się koniecznie zebrał iść. I *astarożna* tam pod linią wysokiego napięcia, tam znowu „letni gorąc” się tworzyć *naczinajet...*

– Na razie, Dyry.

– Na razie, Miś, dobrej Zony.

– I tobie nie chorować – zegnamy się zwyczajowymi słowami i wychodzę z piwnicy. Pora się zebrać i ruszać.

* * *

Następnego dnia po południu, okolice dawnego siola Katiczew

Powietrze pod linią wysokiego napięcia drży i faluje słupami, kołyszącymi się na tle pokrytego szarymi chmurami nieba. Wzdycham ciężko, zarzucam *Zbawiciela* na plecy, sięgam do kieszeni po garść muterek – no, to jedziemy...

Nikt tak naprawdę nie wie, czy „letni gorąc” jest anomalią w najczęstszym tego słowa rozumieniu – to znaczy nie ma wątpliwości co do tego, że jest anomalią, czyli czymś, co jest w Zonie, a czego nie ma na Dużej Ziemi oraz czego istnienie i działanie wymyka się naszej nauce i zrozumieniu; nie wiadomo natomiast, czy jest anomalią w znaczeniu śmiertelnej pułapki na ludzi. Nikt nie wie i jakoś nikt nie chce sprawdzić. Są tacy, co twierdzą, że przez falujące słupy pod liniami energetycznymi chodzą i nic im się nigdy nie stało; są tacy, co mówią, że „letni gorąc” to anomalia okresowa, czyli uderzająca periodycznie; z całą pewnością są też ci, którzy kiedyś w nią wleźli i już nie wyszli. Ja nie mam zamiaru sprawdzać.

Rzucam pierwszą muterkę z dowiązanym kawałkiem sznurka – czysto, można iść; stary, nieśmiertelny sposób określania położenia anomalii. Wiem, że istnieją detektory i radary anomalii, rejestrujące nawet najlżejsze odchylenia grawitacji, gęstości powietrza, pola magnetycznego, ble, ble, ble, ale wiem też, że w Zonie nawet nóż potrafi się zepsuć, a ludzie giną tu niemalże każdego dnia. Moje zdrowie, moje błędy, moja sprawa – nigdy nie zawierzyłbym durnemu elektronicznemu pudełku swojego życia, które tylko ja mam prawo na własne życzenie kiedyś stracić. Trzy kroki, zatrzymać się, podnieść muterkę, schować, wyjąć inną, rozejrzeć się, rzut, poczekać,

znowu trzy kroki... Jeżeli cokolwiek mi się nie podoba w locie, upadku, leżeniu znacznika czy czymkolwiek innym związanym z daną próbą – nie idę tam. Jeżeli powieje wiatr, nagle oświetli dane miejsce promień słońca, powietrze zafaluje – nie idę tam. Jeżeli nie jestem przekonany – nie idę tam. Zdarza się, że w tym tempie można przez godzinę pokonać sto metrów, ale to jedyny bezpieczny sposób. Skąd wiem? Bo od dwa tysiące dziesiątego tak właśnie robię i jeszcze żyję.

Po co mi to było – w sensie Zona, stalkerstwo i cała reszta? Nie wiem. Miałem wszystko, czego mógłby sobie życzyć człowiek – własny kopulodrom w Wa-wie w luksusowym apartamentowcu na P3+++; dobrze płatną pracę, szafę pełną CK, DKNY, DG i innych szpanerskich skrótów, kilka fajnych koleżanek z firmy na weekendy i czerwony dwumiejscowy samochodek, wart tyle, co piętrowy domek na prowincji. Miałem wszystko, czego mógłbym chcieć, a mimo to czułem, że jestem pusty w środku... A potem przyszedł pamiętny dwa tysiące dziesiąty, gdy obudziłem się któregoś poniedziałku, wykąpałem w mojej kabinie prysznicowej z podłogą z podgrzewanej płyty piaskowca, ubrałem się w najlepszy garnitur i pojechałem po raz ostatni do pracy. Wiedziałem, że nigdy nie wrócę, więc nawet nie zamknąłem drzwi do mieszkania; wieczorem siedziałem już w ekspresie do Mińska białoruskiego, a dwa tygodnie później czołgałem się pod drutem kolczastym na Pograniczu. Dlaczego? Po co? Nie wiem. Podobno niektórzy słyszą zew Zony – nie wiem, ja nie słyszałem nic. Po prostu zrobiłem to, co zrobiłem, więc jestem tym, kim się stałem.

Muterka leci prosto, ale wyraźnie widzę drganie powietrza tam, którądy spadała – jakby fale na wodzie. Rzucam kolejną o półtora metra w lewo... Czysto. Krok, dwa, trzy, stop. Sięgnięcie do kieszeni, zważenie, rzut...

Gdy przechodzę wreszcie przez „letni gorąc”, to jest mi faktycznie tak gorąco, jakby był najupalniejszy lipiec, mimo że siąpi lekki kapuśniaczek – czuję, że pod kurtką jestem zlany potem, a spodnie lepia się do nóg. No, w końcu szedłem całą noc... Pora na odpoczynek. Po niegdysiejszym siole Katiczew nie pozostało praktycznie nic – z jakichś dwudziestu chałup stoi może pięć, przy czym dach trzyma się na trzech – nakładam kawałek drogi i nie wchodzę od razu do pierwszej, ale decyduję się na drugą z kolei, żeby nie drażnić losu. Widziałem chyba kilka ślepych psów, gdy przechodziłem przez anomalie – trzeba uważać, żeby nie dać się głupio zaskoczyć... Chata okazuje się mocno rozczarowująca – od mojego ostatniego pobytu tutaj dom stracił całą jedną ścianę, chyba w wyniku działania „popielniczki”, której ślady jeszcze widać na podwórku, więc teraz nadaje się tylko na opał... Decyduję się w końcu na murowaną piwniczkę, będącą teraz jedynym śladem po domu, który musiał stać kiedyś dalej w krzakach; zbieram jeszcze tylko odpowiednią ilość resztek drewnianego dachu – deski posłużą mi za barykadę wejścia. Całość przykrywam od zewnątrz kawałkiem plastikowej pseudodachówki, pod który wkładam odbezpieczony granat – wiatr tego nie ruszy, a ewentualni nocni goście będą mieli niespodziankę. Na dole pachnie trochę pleśnią, ale poza tym nie jest źle, nawet sucho... Prześpię się i dalej.

Budzę się o świcie – na zewnątrz robi się już szarawo, ale słońca jeszcze nie widać. Idealnie. Zwijam obozowisko, wyłuskuję granat spod barykady, przez chwilę nasłuchuję jakichkolwiek podejrzanych dźwięków... Spokój. Sprawdzam kompas, ruszam na południowy wschód, w kierunku Karłowki.

Nie lubię wschodnich rubieży Zony – tych, które w dwa tysiące szóstym były już zamieszkane. Już, a może jeszcze... Projekty rekultywacji i ponownego zasiedlenia Strefy

Czarnobylskiej szły wtedy pełną parą, ludzie coraz odważniej podsuwali się do Sarkofagu, podobno nawet biura podróży organizowały wycieczki turystyczne – to mniej więcej tak, jakby jechać na wakacje na cmentarz, no ale co ja, stalker, mam tu do powiedzenia? Wszystkie miejscowości nad Dnieprem – Komaryń, Kirowo, nawet nasza Jołcza – żyły wtedy normalnym życiem. Ludzie w osiemdziesiątym szóstym mieli przynajmniej czas na ewakuację, a ci, co żyli tu dwadzieścia lat później, zaskoczeni niczym mieszkańcy nowych Pompejów, zostawili wszystko tak, jak było wieczorem przed Pierwszą Emisją. W niektórych domach do dziś pali się światło, bańki na mleko wystawione na ławeczkach przy drodze, samochody dostawcze i ciężarówki stoją w pół drogi tak, jak zastał je gniew Reaktora. Trzymam się z daleka od tych miejsc. Raz wszedłem do jednego takiego domu – młody jeszcze byłem, głupi; myślałem, że znajdę coś przydatnego – może jakieś konserwy albo narzędzia. Pomyliłem drzwi, przez przypadek wszedłem do pokoiku dziecięcego. Do dziś to pamiętam.

Las jest tu niemalże normalny, praktycznie jakby szło się zwykłą, lekko zapuszczoną asfaltówką gdziekolwiek na Dużej Ziemi... I tylko dywan kilkuletnich liści na nawierzchni wskazuje, że nie jeżdżą tu samochody, i tylko „rdzawe włosie” na resztkach znaku drogowego podpowiada, że to nie jest zwykły świat. Widzę już przed sobą pierwsze zabudowania Karłowki, domy we w miarę dobrym stanie, zaparkowaną na podejździe ładę... Przerzucam broń do ręki, gdy widzę przemykający pustą ulicą zgarbiony kształt pseudopsa – większego i groźniejszego kuzyna ślepaków, agresywnej bestii wielkości mastifa. I tak nie miałem ochoty iść przez wieś, więc skręcam dużo wcześniej ku kępie drzew po prawej, obchodząc martwe sioło szerokim łukiem.

Do Obiektu Trzy wiedzie widoczna do dziś gruntówka, odchodząca od starego asfaltu przez dębowy starodrzew – nie decyduję się jednak iść drogą, a ruszam brzegiem lasu, starając się nie wychodzić na otwarte przestrzenie. Przez gałęzie drzew widzę już teraz kryte falistym eternitem dachy budynków, ciemne otwory okien i słupy elektryczne z transformatorami, wokół których trzaskają wyładowaniami „elektry”. Wśród drzew spoczął wrak wypalonej do cna wojskowej ciężarówki, kolejny samochód stoi na sflaczałych oponach pomiędzy słupami bramy, zwoje drutu kolczastego na płocie z betonowych płyt obrosły powojem, a ramię półpodniesionego szlabanu oblepia „żrący puch”. Nie będę pchał się głównym wejściem, poszukam innej drogi – ruszam w lewo wzdłuż płotu. Nie przychodzi mi iść długo, po jakichś pięćdziesięciu krokach natrafiam na spory wyłom w ogrodzeniu, przez który wchodzę na teren Obiektu. Widać, że stary kołchoz musiał zostać gruntownie odremontowany na początku dwudziestego pierwszego wieku – budynki są zdecydowanie mniej zapyziałe i brudne niż w reszcie Zony, a duża część okien ma jeszcze szyby... W kilku widzę nawet nowszego typu plastikowe framugi. Bliżej stojące hale dawnych chlewów chyba nie były akurat objęte renowacją – czas i anomalie zrobiły tu swoje, dachy pozawały się i osiadły, od ścian odchodzi placami tynk. Ale to dobrze, bo bardziej swojsko czuję się wśród ruin i zniszczenia niż pośród prawie nowych budynków. Nasłuchuję chwilę, potem wspinam się po betonowym rumowisku na poddasze, a stamtąd na blaszany dach. Układam się przy szczycie, wyciągam zza pazuchy lornetkę – pora na pracę koncepcyjną. Po prawej mam dwa budyneczki przy wjeździe, potem brukowana dróżka idzie do niedużego, podpiwniczego prostokąta pośrodku, na prawo i nieco z tyłu budynek administracji zapewne, dalej za nim dwie

duże hale, a tam, po lewej, pośród czegoś, co wygląda jak... bambus?... będą dwa ciągi budyneczków dla prośnych macior. Do tego jeszcze podstacja elektryczna, hale garaży po lewej... Spory kompleks, niech mnie. Gdyby nie stojące tu i ówdzie, widoczne na pierwszy rzut oka, wojskowe samochody, to można by nawet przypuszczać, że to zwyczajny dla Zony porzucony kompleks hodowlany.

Zauważam ruch gdzieś po lewej stronie, kieruję tam szkła lornetki – coś chyba idzie przez krzaki, ale trudno dokładnie rozpoznać. Nieduże, więc pewnie pies albo tuzkan. Nie ma pośpiechu, poleżę sobie tu, poczekam. Jeżeli gdzieś było laboratorium, to pewnie trzeba sprawdzić budyneczek pośrodku albo administrację... Najbliżej byłoby od administracji zacząć, ale nie pójdę na wprost – wrócić też za płot nie wrócę, w Zonie tą samą drogą się nie wraca. Czyli trzeba od jednej do drugiej stróżówki, przez drogę; niechętnie, ale nie będę przecież dookoła szedł.

Zsuwam się na ziemię, krzakami przekradam w pobliże czegoś, co roboczo ochrzciłem „kasynem” – nie wiem czemu, jakoś kojarzy mi się taki ceglany budynek z jednej z wycieczek w dzieciństwie. Zaglądam przez wyrwane okno – hm, raczej koszary; trzy piętrowe łóżka, resztki wojskowych materaców, straszna bardacha, bure plamy na podłodze... czuć dawny fetor krwi i odchodów, w porwanych szmatach da się rozpoznać resztki białoruskich mundurów polowych i pasiastych *majek* w stylu „Wilka i Zająca”. Przez chwilę waham się, ale w końcu wsuwam się do pokoju – pod nogami chrzęści wybite szkło, gdy ostrożnie uchylam lufą *Zbawiciela* drzwi na korytarzyk. Z pomieszczenia naprzeciwko została wyłącznie framuga wejścia – resztę wraz z metrem betonu i ziemi musiała wciągnąć w siebie jakaś anomalia. Po lewej korytarzyk, wzdłuż podobne

pokoje sypialne, we wszystkich ślady dawnego chaosu i zaskoczenia, na kilku łóżkach do dziś leżą skurczone, wyschnięte trupy na poły ubranych wojskowych, w jednej sali ślady strzelaniny i łuski na ziemi. Wchodzę do dyżurki obok wejścia – paradoksalnie tu relatywny porządek, drzwi były zamknięte na klamkę, więc nawet przez te lata nic tu nie weszło. Przeglądam papiery – lista telefonów, wykaz zakwaterowanych... O, to ciekawe – „W razie potrzeby dzwonić” i lista nazw i nazwisk. Wszystko to pieczołowicie składam i pakuję w hermetyczne folijki, przyda się na długie wieczory w Jołczy. No tak, skoro tu była obstawa wojskowych, to tam pewnie...

Odgłos szurania na zewnątrz od razu stawia mnie do pionu – przykucam i składam się do strzału przez okienko dyżurnego. Wydaje mi się, że coś widzę przez pożółkłe liście na zewnątrz, ale nie będę strzelał na czuja i zdradzał pozycji... Czekam długą chwilę, ale nie słyszę nic więcej. Trzeba będzie uważać tutaj, jednak to nie przechadzka po parku. Ostrożnie wyglądam przez drzwi, ale nie widać nic podejznanego, więc patrzę po placyku między budynkami i przebiegam szybkim truchtem ku domniemanemu budynkowi administracji. Rzucam tylko okiem w korytarz, ciągnący się na przestrzał, ale praktycznie go tam nie ma – większa część podłogi zapadła się, zbrojenia żelbetu sterczą pokrzywionymi prętami, widać jakieś dno w dole, chyba zarys pomieszczenia... O rany, czyli podziemia będą. Nie lubię, no ale co zrobić – ciekawość zbyt silna...

Szelest krzaków za rogiem, błyskawicznie zapominam o korytarzu i podrywam *Zbawiciela* – słyszę odgłosy węszenia i niuchania, a potem zza winkła prosto na mnie wychodzi mięsak. Pokryta sierścią, krzywa morda jest może metr ode mnie, dokładnie na wysokości lufy strzelby, trzecie oko kręci się i

wierci w elastycznym oczodole, potem spogląda prosto na mnie, zwierzak spina się w sobie – a ja po prostu przykładam mu lufę do łba i naciskam spust. Stwór patrzy na mnie chwilę, potem wydaje zduszony, przerażony kwik i rzuca się na oślep do ucieczki. Jestem tak zaskoczony, że nie wiem, jak zareagować – bez sensu cisnę palcem jeszcze raz i drugi, aż w końcu język spustowy bezwładnie zwisa na zawiasie. Choooooleeraaaa! Wyszarpuję glocka z kabury, zarzucam strzelbę na plecy. Pół biedy, że trafił się akurat durny mięsaka, a nie...

Dość. Już nieraz przez durne myśli ładowałem się w kłopoty, a Zona słucha tego, co nam w głowach gra. Ujmuję pewniej plastikowy chwyt pistoletu, przekładam przedłużony magazynek do przedniej ładownicy. Którędy najbezpieczniej? Tam, gdzie już coś przede mną biegło... Ruszam przez krzaki śladem spłoszonego mięsaka.

Wychodzę na skraj dawnego placyku – zad uciekającego potwora miga mi gdzieś w oddali, ale przecież nie będę biegł za nim jak kto głupi. Na splekanym asfalcie kręci się wir „karuzeli”, zapadlina nawierzchni to pewnie ulokowany pod poziomem ziemi „grawikoncentrat”. Po lewej mam środkowy budynek, po prawej pierwsza z dużych hal – zacznę stamtąd, powinien być dobry widok, a przynajmniej dwie strony będę miał kryte, no i muszę znaleźć kawałek spokojnego miejsca, żeby rozłożyć strzelbę i zobaczyć, co tam się spierniczyło. Cofam się kawałek, wchodzę do chlewni przez półotwarte drzwi... No, z całą pewnością zwykły kołchoz to to nie był. Pod sufitem ciągną się rzędy rur i przewodów, nad boksami dla trzody zwieszają się dozowniki i butle po jakichś płynach, kamer i mikrofonów chyba bym nie zliczył... Wiązki kabli biegną do pomieszczenia kontrolnego po przeciwległej stronie hali – przez rozbite lustro weneckie widać wygasłe prostokąty monitorów i martwe

konsole z mnóstwem przełączników. W powietrzu wisi słodki zaduch zgnilizny i rozkładu – nieczyszczona kanalizacja dawno już się zapchała liśćmi, więc biegnące pod boksami rynny zbierające gnojowicę są pełne cuchnącej brei; wszędzie poniewierają się kości i resztki tuczników, których kiedyś musiało tu być kilkadziesiąt sztuk... Nie znam się zupełnie na świniach, ale sądząc po masywności boksów, te akurat musiały mieć imponujące rozmiary – czubkiem buta trącam ogromną miednicę, leżącą na posadzce. Ciekawe, co też mogli tutaj...

Słyszę poruszenie za sobą, błyskawicznie sięgam po pistolet, celuję – nie wiem dlaczego, ale nie naciskam na spust. W drzwiach wejściowych stoi mięsak, chyba jeden z najbardziej masywnych, jakie dane było mi widzieć – korpus dosłownie wygląda jak nadmuchany, rozdęty do naprawdę niesamowitych rozmiarów. Zwierzak węszy i kręci łbem, patrzy na mnie, ale ani nie atakuje, ani nie ucieka... Robi niepewny krok i drugi do przodu, ja składam się do strzału, ale wtedy stwór spogląda na mnie – spogląda mi prosto w oczy – i wydaje z siebie pełen bólu, przejmujący, niski jęk... Nie wiem, jak to możliwe, CZY to w ogóle możliwe, ale wydaje mi się, że widzę cierpienie w oczach mutanta – mięsak robi jeszcze dwa kroki, patrząc na mnie uważnie, jest zdecydowanie za blisko, ale ja nie strzelam, podchodzi jeszcze, jest niemalże na wyciągnięcie ręki... Gdyby teraz chciał mnie zaatakować... Ale WIEM, że nie zaatakuję, bo widzę, z jakim trudem się nawet przemieszcza – pająkowate, chude odnóża z trudem przenoszą ciężar potężnego tułowia.

Robię chyba najgłupszą rzecz w życiu – nie strzelam.

Mięsak obwąchuje moje spodnie, a potem przeciska się obok mnie, włączając do zasłanego odpadkami i resztkami kojca dla świń, z trudem układa się na boku, patrzy na mnie błagalnie, a kiedy wydaje z siebie pierwszy jęk, to nagle ROZUMIEM!

Nagle dociera do mnie, po co ta samica wróciła w to miejsce, w jednej chwili znajduję odpowiedzi na dręczące naukowców pytania i żałuję, tak strasznie żałuję, że nie mam ze sobą kamery, aparatu, nawet głupiego kawałka papieru i ołówka, bo wiem, że dowolny uczoney ozłociłby mnie za to, co za chwilę rozegra się na moich i tylko i wyłącznie moich oczach – ale Zona kieruje się własnymi motywami, wybierając świadków swoich misteriów, więc robię jedyne, co zrobić mogę; odsuwam się dalej, chowam do zdewastowanej kabiny dowodzenia, by nie denerwować prośnej samicy, i po prostu patrzę. Patrzę, gdy uchyla się przede mną rąbek tajemnicy życia i śmierci, gdy widzę coś, co nawet na Dużej Ziemi uchodzi za wielkie wydarzenie, a tu, w Zonie, urasta do rangi... Nawet nie wiem, jak to opisać. To, co widzę, jest ohydne i piękne zarazem, są chwile, gdy zbiera mi się na wymioty i takie, gdy oczy zachodzą mi łzami, ale gdy patrzę w końcu – pięć minut? godzinę? trzy godziny później? – na kłębiące się przy brzuchu matki cztery małe, różowe jeszcze mięsaki, to... to naprawdę nie wiem, co mam myśleć. Za kilka miesięcy te bezradne, bezbronne kulki wyrosną na duże osobniki, które zaczną same szukać jedzenia i polować. Polować również na ludzi. Rozsądek podpowiada mi, że mógłbym uratować komuś – może nawet sobie samemu – życie, gdybym teraz nacisnął kilka razy na spust... Ale Zona to nie miejsce na rozsądek. Zamykam oczy, by na zawsze zapamiętać to, co zechciała mi pokazać, ale gdy je ponownie otwieram, to spoglądam na świat już jako ja – jako stalker.

Słyszając cały czas popiskiwanie młodych i mruczenie samicy, przeglądam resztki pomieszczenia z maszyną kontrolną – gdzieś tu powinien być jakiś system zapisu przecież... Podważam ostrzem noża kieszeń napędu CD, siłą wyciągam podajnik i płytkę – może Dr coś z tego odcyfruje.

Uwagę zwraca też żelazny podest po przeciwległej stronie hali; najpierw wydawało mi się, że to tylko jakieś miejsce do składowania, ale teraz widzę, że to po prostu solidna winda platformowa... Wpuszczone w ścianę prowadnice mechanizmu, obok prosta konsola sterowania, zamykana żelazna klatka w charakterze kabiny – pewnie tędy zwozili świnie na jakieś pomiary na dół; w ramach próby stoję na platformie i naciskam przycisk, ale winda ani drgnie. No cóż, nie mogę powiedzieć, żebym spodziewał się nie wiadomo czego.

Gdy zbieram się już do wyjścia, widzę wchodzące do hali dwa tuszkany – drobni padlinożercy pewnie przyszli tutaj w nadziei łatwego łupu po samicy albo planując wykraść jej jedno z młodych, gdyż ta, wyczerpana porodem, na pewno nie da rady ich obronić. Na szczęście to nie moja sprawa. Patrzę, jak tuszkany węszą w powietrzu i podkradają się coraz bliżej do kojca – samica mięsaka już chyba je wyczuła, bo stara się przemieścić ryjem młode za siebie, ale słabo jej to idzie. National Geographic, no naprawdę no... Gdy pierwszy tuszkan wsadza łeb do kojca, puszcza mi nerwy – czuję się jak dzieciak na szkolnym teatrzyku, krzyczący do Pinokia, żeby nie szedł z Lisem i Kotem, ale wyszarpuję glocka i kilkoma strzałami roznoszę obydwu drapieżniki na strzępy. Tak, jestem głupi. Tak, marnuję trudno dostępną amunicję. Tak, to nie moja sprawa. Tak, młode i tak mogą zginąć nawet jutro. Ale nie dziś. Praktycznie wybiegam z chlewni, starając się nie patrzeć na samicę – boję się tego, że mogłaby na mnie spojrzeć, a wtedy nie wiem, co bym z tego jej paskudnego pyska wyczytał.

Oddycham głęboko, zamykam za sobą drzwi... Nie, nie po to, żeby cokolwiek chronić! Po prostu zamykam za sobą drzwi, koniec! Wychylam się za róg budynku, patrzę na drugą halę – powinna być zbudowana podobnie, może tam znajdę coś

bardziej namacalnego niż osobiste doznania natury duchowej. No i nadal mam niesprawną strzelbę. Przechodzę na tył chlewni, gdzie po prawej mam już betonowy płot – przed sobą widzę w powietrzu „trampolinę”, ale dam radę się pod nią przeczołgać. Na wszelki wypadek oznaczam drogę muterkami, uważając tylko, żeby nie rzucać za wysoko – „trampolina” potrafi odbić taką nakrętkę niemalże z prędkością dźwięku, a skutki trafienia czymś takim w czoło są przezabawne. Czołgam się jeszcze kawałek, wstaję, podchodzę do ściany – powstrzymuję się siłą, żeby nie zajrzeć przez brudne okienko do środka. NIE MOJA SPRAWA.

Druga hala jest lustrzanym odbiciem pierwszej, czyli z tej strony będzie budka kontrolera... tfu! budka kontrolna i winda, a brama dla tuczników i wejście z drugiej. Ale tu jest inaczej – okienka zamurowane na głucho, więc nie ma jak zajrzeć. W jednym miejscu segment ściany jest popękany, tynk i farba odeszły, odsłaniając przepalone cegły – pewnie anomalia od środka, najpewniej „żarnik”. No, zawsze coś nowego. Wychyłam się ostrożnie zza rogu – czysto, pusto. Na wprost mnie są te mniejsze segmenty hodowlane schowane wśród czerwonych łodyg i liści niby-bambusa, po prawej resztki stacji transformatorowej, buczącej jarzącą się wokół izolatorów „elektrą”. Zauważam, że pobliska lampa wciąż ćmi się nierównym blaskiem – ciekawe, może nawet prąd tu będzie... W krzakach widzę podrygujący nad ziemią jakiś artefakt, ale nie czas teraz na to. Na razie hala. Wyjmuję z kieszeni zapasową latarkę, zapalam – działa, ale bzdzi straszliwie w porównaniu z tą, którą mam na *Zbawicielu*. Świecę do środka chlewni – czysto; mutantów nie widać, ale bałagan potworny, zaduch taki, że aż zatyka, ciemno i duszno... Na szczęście myliłem się – budka kontrolna jest zaraz po prawej przy wejściu, podobnie jak

winda towarowa. A dalej... hm. Ciemny korytarz bez okien, jedyne światło daje moja latarenka; boksy nie są tu ażurowe, a murowane – betonowe w zasadzie, i to w pełni zabudowane, bardziej na zasadzie bunkroklatek, z jednym jedynym otworem z pancernego szkła w potężnych, stalowych drzwiach oznaczonych kolejnymi numerami. W środku oczywiście nie ma teraz oświetlenia, więc nie mogę ocenić, co w nich było, ale chyba też niekoniecznie chcę wiedzieć. Najbliższy boks jest otwarty – w środku nie ma nic, ale zaglądam tam, żeby popatrzeć na instalację. No tak, automatyczny podajnik do karmy, poidło, dwie kamery w rogach, kratka do odchodów... Nosorożec by się tu nie zmieścił, ale niedużego hipopotama by upchnęli. Zwraca uwagę dysza w suficie – system gaśniczy czy co? Ewidentnie rodzaj spryskiwacza, ale dość mocno oznaczonego – kręgi żółtej i czarnej farby, napisy ostrzegawcze... Wyjmuję głowę z boksu, patrzę na pomalowaną na czerwono, zaplombowaną skrzynkę przy drzwiach. Zrywam plombę, otwieram – jeden czerwony przycisk i jedna czerwona dźwignia, przycisk pod szkłem, dźwignia z oddzielną plombą. Odcyfrowuję białoruskie napisy – „W razie niebezpieczeństwa wduś przycisk i trzymając, pociągnij dźwignię w dół. Uwaga! Nie używać przy otwartych drzwiach. Uwaga! Niebezpieczeństwo dla życia i zdrowia. Uwaga! Nieuzasadnione użycie będzie karane”. Co oni, hamulec bezpieczeństwa tu zrobili... Przechodzę dalej obok rzędu zamkniętych drzwi, aż docieram do jednych po prawej, które wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi zostały wyrwane od środka – stalowa gródź leży pod przeciwległą ścianą, pogięta jak wieczko od puszek; próbuję, ale nie mam szans nawet ruszyć jej z miejsca. W środku pusto, ale ślady uderzeń i pazurów na ścianach... O MAMCIU. Coraz mniej mi się tu podoba. W przedostatnim boksie po lewej

zamknięte drzwiczki wygięte i pordzewiałe, cała ściana oblażała z farby i popękała, przy framudze widzę ślady sadzy i gorącego powietrza – skrzynka otwarta, dźwignia w dolnym położeniu. Zapewne to samo miejsce jest przepalane na zewnętrznej ścianie – czyli to jednak nie system gaśniczy się tymi dźwigniami uruchamiało, a raczej pożarowy. **BARDZO POŻAROWY.** Wracam ku wejściu, zaglądam do budki kontrolnej – stopień dewastacji nieco mniejszy... Z ciekawości otwieram skrzynkę elektryczną, przerzucam hebel bezpiecznika raz i drugi – nic. Podobnie jak poprzednio próbuję wyekstrahować płytkę z napędu CD, ale – niespodzianka! Tu napędu nie ma. Jest podwójny rząd monitorów – po dwa na każdą celę, czyli osiem cel, to się zgadza – i manipulatory do sterowania kamerami, ale nic ponad to. Czyli albo wszystko szło na tę płytkę, którą już mam, albo zapis odbywał się gdzie indziej... O, a tego nie zauważyłem w pierwszej chwili – żelazna drabinka do klapy w suficie. Sprawdźmy, sprawdźmy...

Poddasze pełne przewodów, plątanina kabli, rurek, pojemników i las agregatów – tędy szły pewnie wszystkie media do dawnych klatek. Przepalona posadzka nad celą numer pięć widoczna nawet stąd ciemnym kręgiem i zoksydowanymi rurami w bąblach farby... Staram się trzymać z dala od stojącego pośrodku pomieszczenia pojemnika z wymowną trupią czaszką i oznaczeniami „żrące” oraz „łatwopalne” – to od niego idą rury, kończące się w sufitach boksów. Poza tym podajniki do karmy, worki ze skawaloną paszą, system jakichś mierników – to raczej nie tutaj chciałem trafić, ale na pewno jest tu spokojniej. Przechodzę ku szczytowi hali, gdzie silnik z wyciągiem kiedyś wciągał na górę butle, karmę i sprzęt – tu jest nieco jaśniej, więc można rozłożyć się ze strzelbą. Nie najlepsze miejsce ani moment, ale lepiej nie będzie chyba...

Po jakiejś godzinie kończę skręcać obudowę, zakładam czółenko, przeładowuję, naciskam spust – trzask iglicy. Niby wszystko gra. Dokręcam śruby, ładuję sześć naboju do magazynka, repetuję, zabezpieczam. Zobaczymy. Przegryzam batonika, zapijam wodą z kompletem witamin, łykam profilaktycznie jod. Ruszamy dalej.

Licznik Geigera trzeszczy, gdy przekradam się przez zrujnowane zagrody dla świń w mniejszych halach, więc zakładam półmaskę i otwieram zaworek na plecach, przez który wmontowany w pochłaniacz „purchel” podaje swoją gazową wydzielinę do obiegu powietrza. Smrodek siarkowodoru to może nie najprzyjemniejsza rzecz, ale lepsze to niż białaczka na stare lata. Ach, tu jesteś – „kwiatkamień” podryguje sobie kulturalnie w bambusowym gąszczu. Chowam artefakt do pojemnika, rozglądam się dokoła – no dobra, warto byłoby jeszcze poszperać po okolicy... I wtedy widzę świnię.

W zasadzie normalną, gospodarską świnię – ryj, uszy, szczecina, te rzeczy. Nieco brudną i sponiewieraną, to fakt – ale w końcu jesteśmy w Zonie. Ściągam z pleców *Zbawiciela*, cofam się kawałek w podcień budynku... Oj, nie podoba mi się ta świnka, nie podoba – stoi sobie po prostu na środku placu, łeb zwieszony jakoś tak dziwnie do ziemi, chyba wolałbym, żeby mnie nie widziała. I coś z nogami jest nie tak... liczę racice, przeliczam jeszcze raz, ale nie mam czasu potwierdzić rachunku. Świnka nagle obraca się wokół własnej osi, ciągnąc ryj po ziemi, wykręca się do mnie lewym bokiem, który otwiera się na zewnątrz płatami mięsa niczym jakaś ohydna lilia, widzę wyraźnie porozrywane wnętrzości i połamane żebra, ale gdzieś w trzewiach zwierzęcia zauważam ruch – COŚ wysuwa się na zewnątrz, dwie chude łapy opierają się o boki rozerwanego brzucha tucznika, pokryta skrzepami krwi główka rozgląda się

dokoła. Chowam się za ściankę, ale nie dość szybko – siedzący w świńskim brzuchu pasożyt wydaje z siebie przenikliwy pisk i rusza ku mnie, przebierając niezgrabnie wszystkimi pięcioma kopytami nosiciela i machając w powietrzu niewykształconymi racicami na swoich odnóżach. Ciało świni próbuje podporządkować się, drepcząc w bok, potykając się na nierównościach terenu i uderzając bezwładnym łbem o ziemię. Chwilę patrzę na to autentycznie zszokowany, potem składam się do strzału i pociągam za spust – kopnięcie odrzutu, łuska odbija się od ściany i uderza mnie w ramię, siła strzału roznosi na strzępy świński ryj, okręca zwierzakiem i rzuca nim na ziemię, ale pasożyt nie daje za wygraną, tusza gramoli się na nogi i dalej próbuje pełznąć w moim kierunku, ciągnąc za sobą przestrelone przednie racice i zmasakrowany łeb. Przymierzam się do strzału, widzę w celowniku główkę potworka i jego pełne niemalże ludzkiej nienawiści oczka, a potem jest tylko huk strzału, chmura dymu i wszystko to zamienia się w krwawą miazgę. Nadgniły świniak osiada bezwładną grudą mięsa, a ja na czworakach odczołguję się w głąb budynekczku, zrywam z twarzy maskę i rzygam jak kot. Jeeeezuuuu... No widywało się paskudne rzeczy, ale to jest po prostu *top ten*. Gdy torsje ustają, przepłukuję jeszcze usta wodą, drżącymi rękami wyciągam z kieszeni paczkę bielamorów i zapalam ohydny szluga. Zaciągam się głęboko, czując, jak smolisty smród tanich białoruskich fajek zabija gorycz żółci. Głupie to, ale musiałem zajarać po prostu. Zaciągam się jeszcze raz...

Papieros wypada mi z ust, gdy następny świniak-nosiciel wchodzi do mojej hali od drugiej strony. Ten ma z kolei swojego pasożyta z przodu, więc porusza się zdecydowanie sprawniej – ryj majta mu się z prawej strony, trąc o betonową ściankę, gdy przeciska się niespecjalnie szerokim korytarzykiem. Pasożyt

wyciąga do mnie ohydne łapki i skrzeczy wściekle, ale nie daje mu podejść – dwa strzały ze śrutówki w tak wąskiej przestrzeni zmieniają grzbiet dorodnego tuczniaka w sieczkę, a samego stwora roznoszą na strzepy. Cztery! Cztery, już cztery łuski poszły... Sięgam do ładownicy i wyciągam następny nabój już w biegu, widzę kolejnego prosiaka wypełzającego tyłem z krzaków, ale na razie nie strzelam – omijam tylko łukiem anomalię, żeby odgrodziła mnie od potworka, dopadam do prostokątnego budynku na środku placu, wskakuję na rampo-podpiwniczenie biegnące wzdłuż tej ściany. Tutaj nieprędko wleżą, a ja zdążę się rozejrzeć. Nie podobają mi się odgłosy, jakie dochodzą do mnie z gęstwiny bambusowego buszu, ale co zrobić – wiele rzeczy mi się nie podoba. Daję radę doładować tylko dwa shellsy, zapalam latarkę, omiatam snopem światła pierwsze pomieszczenie – czysto, więc wskakuję do środka, ślizgając się na pokrywających podłogę arkuszach. Próbuje zamknąć drzwi, ale dawno urwały się z zawiasów, więc po prostu układam je w poprzek wejścia, myślę chwilę – przekręcam, podnoszę, blokuję wejście od zewnątrz. Głupie prosiaki się nie wepchną... A już dwa łażą pod budynkiem, piszczą i skrzeczą, próbując wdrapać się na rampę; na szczęście taki prosiak to ze sto pięćdziesiąt kilo waży, prędko im się nie uda. Przechodzę nad zwalonym z biurka antycznym pecetem z monitorem marki „cycek”, wyglądam przez szybkę w drzwiach na wewnętrzny korytarz – tylko jakiś stary trup leży w przejściu, mam nadzieję, że nie wstanie. Człowiek w Zonie dmucha na zimne, a co. Otwieram drzwi, rzucam muterką w trupa, drugą wzdłuż korytarza. Brak reakcji. Wysuwam się na korytarz, słyszę ruch i widzę cień od strony głównego wejścia po schodkach – przyczajam się w rogu, pozwalam pasożytowi wcisnąć tuszę świniaka do połowy w drzwi, potem odstrzeliwuję

mu łeb jedną dobrze ułożoną kulą z pistoletu... Bydlaki, czyli myślą, świnie jedne, i kojarzą topografię terenu. Martwy tucznik dość skutecznie blokuje drzwi, ale cholera wie, czy go nie wyciągną – kolejny ohydny konstrukt już gramoli się po schodkach, tym razem pasożyt wystaje mu... no... z tyłu mu wystaje. Chichoczę nerwowo, sprawdzając inne drogi wejścia, ale to chyba jedyna... Nie. Jeszcze jedna winda towarowa na przestrzał wychodzi na rampę z drugiej strony. Diabli, tamto wejście ma ze trzy metry średnicy! Dopadam do rozsuwanych żelaznych wrót, daję radę zamknąć je o jakieś pół metra, nim prawie dostaję udaru mózgu z przesilenia. W bezsilnej złości uderzam pięścią w panel sterujący...

Słyszę przeciągły jęk spod ziemi, szarpnięcie mechanizmu, zgrzyt metalu o metal, a potem platforma zaczyna powoli, centymetr po centymetrze zjeżdżać w dół! Tak! Patrę zdyszany, ale zadowolony, jak winda jedzie coraz niżej i niżej, półtora, dwa, dwa i pół metra... Teraz nie przeleżą, świnie jedne. A potem zza chmur wychodzi słońce i widzę swój własny cień w szybie podnośnika.

O-o... Rozglądam się w panice – cholera, cholera, cholera i dupa! Jestem po złej stronie windy, stoję przy drzwiach na zewnątrz, więc nie dostanę się do środka budynekczku! Walę pięścią w wyłącznik windy, ale oczywiście nie dzieje się nic – platforma jest już kawał niżej, cały czas sunie w dół, z jękiem pokonując kilkuletnie pokłady rdzy i zastanego smaru. Ile to może być, ze trzy metry już?... Słyszę odgłos niezdarne go człapania racic i skrzeczenie z rampy, więc niewiele myśląc, wystawiam pistolet za róg, strzelam dwa razy na oślep, słysząc tylko wściekły pisk bólu i zaskoczenia, rzucam się na podłogę, zwieszam na rękach w szybie i skaczę na platformę...

Łojezu! Jakimś cudem udaje mi się nie zwichnąć kostki,

gdy z głuchym hukiem podkutych, wojskowych *bierców* o metal łąduję na żelaznej powierzchni. Leżąc tak na platformie, widzę wyłaniającą się powoli po lewej szczelinę korytarza podziemi, jedną ręką ściskam rękojeść glocka, w drugą ujmuję *Zbawiciela* i leżę tak, gotów rozwalić na strzępy wszystko, co mogę zobaczyć na dole.

Winda staje w końcu, szarpiąc i kołysząc się na sprężynach amortyzatorów. Leżę jeszcze chwilę, ale jako że nie dzieje się nic strasznego, wstaję i rozglądam się po podziemnej hali. Kawał solidnego schronu tu mieli... Bździ się jeszcze kilka lamp, w ich migotliwym, nierównym świetle betonowy bunkier wygląda na dużo większy, niż jest w rzeczywistości. Półkoliste sklepienie tonie gdzieś w półmroku, latarka wyłuskuje z ciemności stoły laboratoryjne i aparaturę pod ścianami, zwieszające się z góry łańcuchy i wielokrążki na systemie szyn transportowych... Gdyby nie to, co widziałem na górze, to mógłbym uwierzyć, że to po prostu część jakiejś hipernowoczesnej rzeźni albo zwykłego przemysłowego R&D – ale nie wierzę.

Podziemny kompleks musi rozciągać się pod dużą częścią chlewni – to staje się oczywiste, gdy przechodzę korytarzem wzdłuż linii transportowej do kolejnej, niewiele mniejszej komory, mijając po drodze kilka kałuż „wiedźmiego kisielu” i podnosząc niespecjalnie cenny, ale niemniej miły artefakt „łyszczyk”. Nie widać tu śladów walki ani masakry, więc może dali radę się stąd ewakuować... Albo coś ich zeżarło do czysta. W tym z kolei pomieszczeniu musieli prowadzić wiwisekcje – ogromny stół z kanalikami do odprowadzania krwi, cała aparatura, lampy, szafy pełne narzędzi i odczynników. Przeglądam szybko poniewierającą się tu i ówdzie dokumentację – jakieś mądre łacińskie terminy zapisane białoruskimi bukwami, wykresy i tablice, rysunki narządów, które nic mi nie

mówią... I plik zdjęć, na które rzucam tylko pobieżnie okiem, a potem chowam na dno torby. Pewnych rzeczy nie należy oglądać na trzeźwo.

W węższym korytarzyku natrafiam na część laboratoryjną – bingo. Ostrożnie świecę latarką i zaglądam najpierw przez uchylone drzwi, gdy upewniam się, że nie ma tam żadnych głupich niespodzianek, wchodzę i zamykam za sobą. No, tutaj się obłowimy... Zacieram ręce, patrząc na rząd stojących pod ścianą komputerów i... i zauważam, że wszystkie mają wysunięte kieszenie napędów CD. Mało tego – po bliższych oględzinach okazuje się, że ze wszystkich profesjonalnie wypruto dyski twarde. Wiedziony strasznym przeczuciem zaglądam do szafek na dokumenty – pusto. Pustką ziejże też wewnątrz sejfu, sprytnie udającego kratkę wentylacyjną. Ojojjoj, chyba ktoś mnie ubiegł. I to ubiegł planowo, systematycznie i profesjonalnie... Patrzę na podłogę – tylko moje ślady odznaczają się w kurzu. To znaczy, że wojskowi dali radę tu dotrzeć niedługo po Drugiej Katastrofie i zabrać co bardziej łakome kąski; czuję się jak człowiek, który szukając skarbu piratów, znajduje pustą skrzynię z kartką: „Tu byłem, Tony Halik”. Masakra. Zamykam drzwi, zapalam szluga, gaszę latarkę. Przez kilka minut jestem tylko ja i mały, pomarańczowy ogień na końcu papierosa.

Rozcieram nogą niedopałek, włączam latarkę na strzelbie. Pełna gotowość do wynurzenia.

Kręcę się jeszcze jakiś czas po opuszczonym podziemnym laboratorium, ale wygląda na to, że nikogo ani niczego więcej tu nie ma. Oczywiście, są jakieś przedziwne preparaty w słojach, tony martwej aparatury badawczej, próbówki w wirówkach, których wolę nie dotykać, i masa pojemników z oznaczeniami kodowymi – istna gratka dla początkującego bioterrorysty, ale

nic szczególnego dla stalkera. Znajduję jeszcze jedną windę towarową, ale ta jest podniesiona i nie reaguje na przycisk wezwania, oraz „słipek”, który wyławiam z kadzi pełnej jakiegoś paskudztwa, w której chyba usadowił się „żarnik”, bo woda cały czas paruje i bulgoce. Jedna z odnóg korytarzy jest zawałona – to pewnie to widziałem w podłużnym budynku przy wejściu, gdzie siadła podłoga, ale nie mam zamiaru się bawić w górnika. Pora zbierać się na bazę, i tak miałem już dość przygód, jak na tak absurdalnie bezowocny wymarsz. Przypomniałem sobie żelazne drzwi, które rzuciły mi się w oczy na dole schodów w centralnym budyneczku – w końcu jakoś musieli tu ludzie schodzić. Oglądam się ostatni raz na podziemia, przekręcam rączkę odblokowania...

No tak, drzwi na kartę kodową. Grzebię chwilę w kieszeni, wyciągam kartę po docencie Kuznieckim, którą tknięty przeczuciem zabrałem ze sobą. Przeciągam kartą po szczelinie czytnika, przekręcam rączkę...

Co ona, aż tak się zastała? Przeciągam kartą jeszcze raz, pcham rączkę obiema rękami, przeciągam, zapieram się plecami o futrynę i naciskam nogą – a potem dostrzegam słabe, czerwone światełko przy czytniku. O, zmieniło się na żółte; przeciągam – czerwone.

Czuję, że nagle zrobiło mi się gorąco, plecy zrosił pot. Spokojnie, tylko spokojnie... Przecież musi być inne wyjście. Musi? No bez jaj. To było tajne, wojskowe laboratorium, tutaj nic nie „musi”. Jak wszedłeś, tak i wyłaź, stalker.

Ruszam szybkim krokiem, choć jeszcze nie biegiem, do hali z dźwigiem towarowym. Staję na platformie, naciskam przycisk. Nic. Okeeeej, drabinka dla technika... Nie ma. Po prostu nie ma, osiem metrów szybu pionowo w dół, tylko pokryte smarem prowadnice dla windy.

O kuchwa. Przeważnie nie poddaję się panice, ale coraz mniej mi się to podoba. Na szczęście przez szyb wpada trochę światła, więc mogę zgasić latarkę i pomyśleć na spokojnie. Tędy nie wyleżę, drzwi zamknięte. Druga winda nie działa... zaraz. Przecież windy na górze były trzy, czyli ten zwalony korytarz musi gdzieś prowadzić.

Zatem jednak bawimy się w górników, myślę sobie, idąc przez podziemną halę do zawaliska. Staję przed hałdą betonu i ziemi, gaszę latarkę – no dobra, trochę światła się przesącza... Wyposażenie zrzuc, saperki w dłoń, do roboty.

Nie wiem, ile czasu mija, ale udaje mi się zrobić szczelinę, a potem poszerzyć ją na tyle, żeby się przecisnąć. Najpierw chwila przerwy dla drużyny – pić, jeść, pić, siku, zapalić, odsapnąć. Doładować amunicję, sprawdzić dozymetr... Jedziemy – najpierw przepycham na drugą stronę szelki bojowe z plecakiem, potem ręka z pistoletem, potem głowa, potem cała reszta... Trochę podrapany, mocno brudny, ale zadowolony ląduję po drugiej stronie rumowiska, widząc parę metrów powyżej dach pierwszego budyneczku i otwarte nad przepaścią drzwi do pomieszczeń w byłym korytarzu. Też wysoko, cholera... nie aż tak strasznie i nie aż tak gładko, jak w szybie windy – od biedy można spróbować. Ale na razie... na razie ciekawi mnie, dokąd też prowadził korytarz. Jeżeli mam tu zdechnąć, to i tak zdechnę, ale wcześniej sobie pozwiedzam. Mam już odciski na rękach, ale i tak biorę się za przekopywanie przejścia do korytarza po drugiej stronie wyłomu – tylko najpierw rozkładam panelik solarny, żeby chociaż minimalnie podładować akumulatory do latarki.

Zmierzcha już, gdy znajduję w sobie odwagę, żeby przecisnąć się do korytarzyka. Nie wiem, cały czas z góry lecą jakieś kamienie i gruz, raz mnie prawie przysypało... Strach

podobno dodaje sił, więc niczym wąż ślizgam się po betonowych blokach, nie zważając na obtarcia i kaleczące palce kamienie. Byle dalej, byle dalej... Przejście zaczyna się poszerzać, aż w końcu zjeżdżam po rumowisku na dół, na podłogę korytarza – światło latarki ginie gdzieś w mroku, jest tu zdecydowanie wilgotniej niż w poprzedniej części, na podłodze stoi cienką warstewką burobrązowa woda. Rzucam kawałkiem gruzu – czysto, *min niet*.

Idę korytarzem, starając się nie robić hałasu – w sumie nie wiem, czego się tu spodziewać, ale jestem pełen jak najgorszych oczekiwań, które wzmagają się, kiedy w najbliższej salce natykam się na szkielety. Ktoś – albo coś – ewidentnie przywlokło tutaj ciała, zjadło tyle mięsa, ile było, i rozłupało kości, żeby wyciągnąć szpik. Śmierdzi tu jak nieszczęście, w rogu coś w rodzaju posłania, albo raczej legowiska, zrobionego z przywleczonych szmat i kawałków mebli – wygląda to jak niegdysiejsze leża bezdomnych pod Centralnym, ale cuchnie jeszcze gorzej. Szit, szit, szit, nie wygląda to dobrze. Przez chwilę łudzę się nadzieją, że to miejsce opuszczone, ale część resztek jest w miarę świeża – widzę czaszki mięsaków o trzech oczodołach, trochę drobniejszych, jakby ptasich kostek, to pewnie tuskany, i kilka zdecydowanie ludzkich czerepów. Sziiiiit... W przeciwległym rogu hałda szmat, które kiedyś musiały być ubraniami, pośród nich widzę kilka sztuk broni – zardzewiały AK, jakiś przedpotopowy pistolet, nawet granat w kałuży wody. Mam naprawdę fatalne podejrzenia...

Dosłownie na paluszkach przechodzę kawałek dalej, krok za krokiem, i próbuję nasłuchiwać jakichkolwiek dźwięków. Zapinam mniejszą latarkę z czerwonym filtrem na ramieniu, więc poruszam się tylko w ledwo widocznej poświacie, ale to nie szkodzi – tutaj nic mnie nie napadnie. Jeżeli mam rację, to w

tych podziemiach jest tylko jeden jedyny stwór, którego muszę się obawiać... I to już teraz muszę się przygotować na kontakt z nim. Linka, granat, kłębek stalowego drutu z plecaka – jeżeli się mylę, potem bez problemu to zwinę. Natomiast jeżeli mam rację... To wolę nie myśleć nawet.

Jeżeli mam rację, to myślenie będzie ostatnim z moich problemów.

Jeszcze pracuję, gdy w uszach zaczyna narastać mi irytujące brzęczenie – jakby komar usiadł na poduszce zaraz obok i nie chciał odlecieć... Ręce mam już pokłute drutem i zdętwiałe od kombinerek multiloala, ale próbuję pracować, **choć komar jest coraz bliżej... Oganiam się od insekta raz i drugi**, zastanawiam się, gdzie też mogłem położyć **muchozol**. Hm, był chyba **na półce**, ale znajdę go **potem**. Cholerny **zawór przy kaloryferze** nie chce się dokręcić, **ale** zaraz przyjdzie **Tata** i mi pomoże, muszę tylko pracować dalej, **Tata** zaraz przyjdzie i mi pomoże...

...O NIE.

Jak przez mgłę jeszcze świadom tego, że zbliżający się korytarzem kontroler **Tata** właśnie próbuje wyprać mi mózg i **poczekaj, pobawimy się** zmienić w powolne tylko jemu warzywo, chwiejnie wstaję **od kaloryfera, okna** i zataczając się jak pijany ruszam, podpierając się rękami i trzymając się betonowych ścian, do tyłu przed siebie, skąd przyszedłem, mimo że **Tata** zaraz przyjdzie muszę **poczekać** ale nigdy nie byłem grzecznym chłopcem **zepsułem kaloryfer** ale nie poczekam na **Tatę** muszę się schować ale zostawię **narzędzia** puszczam broń ale idę dalej dalej korytarzem nie chcę **czekać na Tatę** schowam się głęboko daleko ucieknę na koniec schowam się gdzie **Tata** mnie i tak znajdzie poczekam na niego nie mam gdzie uciec i tak, ale przecież poczekam ukryję się, jeszcze kawałek, dalej

trochę dalej, jeszcze kilka kroków, byle do zakrętu **chodź do Taty** o nie nie nie nie, tylko tutaj, do zakrętu, tu poczekam, aż podejdzie nieco bliżej... No chodź, bydlaku, chodź! Jeszcze kawałek, jeszcze dwa, trzy kroki, nie bój się, nic tam nie ma! Słyszę cię, jak ciągniesz z trudem nogami, no chodź, nie bój się – jeszcze kawałek, tylko pociągnij i zerwij drucik mojego potykacza...

Szurające kroki stają, a wraz z nimi moje serce. Czuję umysł mutanta gdzieś na obrzeżach swojej jaźni, niemalże widzę, jak pochyla się nad rozciągniętym w poprzek korytarza drutem, patrzy wzdłuż błyszczącej w świetle mojej porzuconej latarki srebrnej nici, na końcu której tkwi umocowany między rurami granat... I CZUJĘ, jak w jego niegdyś ludzkim umyśle rodzą się dawno porzucone uczucia pogardy, rozbawienia i podziwu dla żalosnego intelektu wroga, który próbował go przechytryć. Mutant z ciężkim stęknieniem podnosi nogę i przechodzi nad potykaczem...

A wtedy pociągam za sznurek przyczepiony do zawleczonego drugiego granatu.



Słyszę, jak łyżka odskakuje od korpusu i toczy się po podłodze, sprężyna bojowa uderza igłą w spłonkę zapalnika, z cichym trzaskiem zaskakuje reakcja chemiczna, ledwo słyszalnie pali się spowalniacz... I wtedy do kontrolera dociera, co się stało, w podziemiach rozlega się ryk wściekłości i rozpaczy psionika, który w ostatnim akcie desperacji rzuca się mentalnym atakiem ku mnie, czuję, jak eksploduje mi mózg, a wraz z nim detonuje granat.

* * *

Budzę się.

Jest zupełnie, całkowicie ciemno, baterijki latarki skończyły się pewnie dawno temu... Poruszam na próbę ręką, jęk bólu odbija się echem i gaśnie w ciemnym korytarzu. Boli mnie wszystko, najbardziej boli mnie głowa, nie jestem w stanie zatrzymać...

Daję radę tylko przekreślić się na kolana, rzygam sobie na ręce.

* * *

Nie wiem, jak długo leżę na ziemi, nim ból głowy mija.

Gdy mogę się wreszcie poruszyć, nie odważam się wstać – najpierw otępiałymi palcami wyciągam zapasowe baterie, zakładam do latarki. Dzięki niech będą Czarnemu Stalkerowi, nie oślepiłem – czerwonawy blask zalewa korytarz. Trzymam się ściany, podnoszę się z trudem na nogi – ledwo stoję, ale stoję.

Gdy schylam się po pistolet, upadam znowu, nie mogąc utrzymać równowagi.

* * *

Trzecie przebudzenie jest spokojniejsze – włączam latarkę i już spokojnie oceniam sytuację. Ręce, nogi – są. Oczy – są. Język...

– Fakju, fakju...

...jest. Powoli, najpierw na cztery, potem na dwie, kilka kroków na próbę, potem próbujemy bez podpórki. Krok za krokiem, jak paralytyk na rekonwalescencji, drepcę korytarzem.

Mój przeciwnik leży tam, gdziemiotnął go wybuch granatu – w zasadzie granatów, bo w efekcie detonowały obydwa. KONTROLER. Niby-ludzki kształt, ubrany w jakieś łachmany i szmaty, zmasakrowany nie do poznania przez odłamki i falę uderzeniową, leżący w kałuży własnej krwi i flaków na podłodze, nie wygląda teraz na najgroźniejszego mutanta Zony... ale nim jest. Był. Pochylam się nad trupem tylko na chwilę – starając się nie patrzeć na wykrzywioną grymasem śmierci groteskową parodię ludzkiej twarzy o spiczastych zębach, odciągam resztkę wojskowej kurtki z tego, co kiedyś musiało być ramieniem. 037 – tatuaż wygląda jak numer ewidencyjny. Powinno mi to dać do myślenia, ale nie mogę zdobyć się na włączenie mózgu. Ruszam jak automat dalej...

...o, *Zbawiciel*. Podnoszę strzelbę z pękniętym szkiełkiem latarki – można powiedzieć, że oto w tych podziemiach znalazłem Boga. Rechoczę z własnego durnego żartu, chichoczę jak idiota, śmiejąc się potem z własnej głupoty. Wyciągam papierosa, zapalam – cholera, w ogóle nie czuję smaku.

Nie wiem, jak długo idę po tych podziemiach. Mijam jakieś sale, klatki, urzędnia... Może zmieniłem się w żywego trupa? Nie, chyba nie. Za bardzo chce mi się pić.

Wyłażę przez rumowisko w kolejnym zawalonym odcinku korytarza, gdzieś w jakimś zagajniku. Brudny, zakrwawiony, zarzygany, idący sztywno i potykający się o własne nogi – gdyby ktoś mnie teraz zobaczył, to zastrzełiby od razu jako zombi. Śmieję się bezgłośnie z własnej głupoty, wymijając anomalie, brnę przez martwy las na północ, ku bazie. Nad Zoną budzi się świt; przez drzewa prześwieca poranne słońce, nadając pejzażowi barw grafitu i ołowiu.

* * *

Gołubowka, niedaleko Jolczy. Nie wiem, ile dni później

Nie do końca pamiętam, jak w końcu znalazłem właściwą drogę, bo kompas gdzieś w międzyczasie szlag mi trafił. Pamiętam, że strzelałem chyba do jakichś zwierząt – ślepych psów? kotów? – ale nie wiem, czy trafiłem. Spałem po rozwalających się chałupach jak zwierzę, po prostu zbyt zmęczony, by iść dalej... Zmęczony nie tyle fizycznie, co na skraju wyczerpania psychicznego. Nie jestem w stanie porządnie zasnąć – przysypiam na kilka minut, budzę się z krzykiem i zlany potem, pamiętam urywki jakichś korytarzy i wiszące mi nad głową wysięgniki maszyn, uczucie bezsilności, tonięcia i dławienia się. Przeglądam się w kałużach po deszczu i brudnych szybach, sprawdzając, czy zobaczę w nich znajomą twarz.

Gdy wyszedłem z lasu i zobaczyłem przed sobą znajome zabudowania Bieriozok, brzeg Dniepru i linię wysokiego napięcia po lewej, to autentycznie się rozplakałem – bardziej z

puszczających nerwów niż jakiegokolwiek innego powodu. Jeszcze tylko przejść pod drutami, stamtąd do Jołczy już dwa kroki... Ale trzeba odpocząć najpierw. Stalkerzy giną podobnie jak *dalnobojszcziki*, czyli długodystansowi kierowcy ciężarówek – na ostatnich kilometrach przed domem, kiedy odpuszcza napięcie i człowiek pozwala sobie na chwilę relaksu. Dlatego właśnie teraz siadam pod drzewem, wypijam resztkę wódki z piersiówki, zjadam ostatniego batonika, zapalam papierosa... wyrzucam go i rozcieram nogą. Coś mi nie smakuje od kilku dni. „Letni gorący” przelewa się słupami powietrza pod trakcją, za nim niedaleko majaczy już Nowa Jołcza. Ostatni kawałek.

„Letni gorący” jest tu nieco mniej gęsty niż na wysokości Katiczewa, ale i tak idę ostrożnie, nie żałując muterek i pozbieranych po drodze kamyków. Nie mam zamiaru zginąć teraz, po tym wszystkim, czego udało mi się uniknąć. Po prawej, zaraz za drogą na grobli, zaczynają się bagienne rozlewiska Dniepru, więc obserwuję też tamten kierunek, żeby jakieś durne bydlę nie zaskoczyło mnie z przysłowiową ręką w nocniku – w sięgającej do szyi, zmutowanej trawie może kryć się dokładnie wszystko.

Mijam w końcu pole anomalii, idę poboczem pomiędzy pierwszymi domkami Nowej Jołczy. Widać stąd już nawet Nasyp, do Mostu zdaje się, że wystarczy ręką sięgnąć. Wciągam głęboko w płuca zapach rzeki, niesiony przez wiatr ze wschodu...

– *Ruki wwierch*, ani kroku dalej, *suka jobana!*

Zamieram w pół kroku, słysząc głos za plecami. Powoli podnoszę ręce do góry, rozważając, czy nie zaryzykować próby sięgnięcia po *Zbawiciela*... Nie, nie dam rady. Zaplatam dłonie za głowę, czekam. Głos niby znajomy...

W plecy wbija mi się szeroka, podwójna lufa dubeltówki,

ktoś odpina moją strzelbę i wyłuskuje pistolet z kabury. Szit, szit, szit! Na ostatnim kilometrze w zasadzie!

– Nu, Kurwa – obchodzi mnie szerokim łukiem Dżon, wciąż trzymając mnie na muszce swojego dwulufowego bajkała – *a nu dawaj*, z ciuszków wyskakuj, ćwoku polski.

– Ty co, na marudera jednak poszedł, a? – zapytuję go smutno, zaczynając rozpinąć szelki mocujące sprzęt. – Trzeba tobie stalkerów dobrych obrabiać?

– Nu, Polaczek, przecież ty tak gadasz, że nawet nie rozumiem ciebie ja. – Kręci głową ze złośliwym uśmiechem. – Dawaj ty szybciej. A taka pompka to mi już dawno się marzyła...

Patrzę na domorosłego chałupniczego bandytę w nadziei, że coś wyskoczy z krzaków i oderwie mu łeb – niestety, Zona bywa złośliwa w takich momentach.

– I kurtkę też zdejmaj! – Patrzy się łakomie na mojego partizana. Ściągam kurtkę maskałatu przez głowę, rzucam mu pod nogi.

– *Wsjo*, tobie gacie brudne też oddać? – pytam z przekąsem.

– A tera dawaj, Kurwa! Biegiem z powrotem do Zony poszedł, naprzód marsz, Polaczku jeden! – Pokazuje mi lufą kierunek.

Odwracam się i odchodzę, doskonale świadom tego, że teraz strzeli mi w plecy. Tacy jak on nie potrafią...

Huk strzału rozchodzi się echem nad całą Zoną, stado przerażonych gawronów podrywa się do lotu.

Spoglądam po raz ostatni w niebo.

...
...?

Wbrew oczekiwaniom nie upadam, nie uginają się pod mną nogi, nie kaszlę krwią. W zasadzie to chyba nawet nie zostałem trafiony.

Oglądam się przez ramię na Dżona, który klęczy z dość głupią miną na asfalcie i patrzy na mnie nierozumiejącymi oczami. Potem na ustach wykwita mu krwawa bańka, a on sam upada na twarz... Wokół ciała rozlewa się szybko rosnąca kałuża ciemnej krwi.

– Nu, pan kawaler Skrzetuski, tośmy Bohuna usiekli! – Spomiędzy domków wychodzi Tribik, uśmiechnięty jak zawsze i z dymiącym AKS w rękach. – Zaraz, czy to Wołodyjowski był?... Cholera, dawno już ja polskie kino nie oglądał.

Patrzę na niego, gdy podchodzi do leżącego na ziemi Dżona, podnosi i odkłada dalej dwururkę, na szybko przekopuje mu kieszenie, wyciąga papierosy, pieniądze, odcina od paska ładownicę z nabojami do strzelby, rzuca w moją stronę:

– Ty co, Misz, ze strachu w gacie zesrał się? A weź przecież pomóż, szkoda, żeby jego towar się zmarnował... Chamem był, chamem i zdechł. Ty nóż jego chcesz?

Kręcę głową, Tribik ogląda rozkładany nóż myśliwski, potem rzuca daleko w trawę.

– Nu, i mnie on po chuj, pedalska tandeta... Dawaj, ty swoje rzeczy bierz i zakładaj, bo jajka przeziębisz.

– Tribik, ty tutaj skąd wziął się? – wykrztuszam w końcu pytanie, zakładając na siebie z powrotem sprzęt.

– A tak sobie za nim ja polazł, tak ja czuł, że coś głupiego zwidziało się jemu. A jak on tutaj przyczaił się, to tak ja sobie pomyślałem, że musiało mu się uroić, że ciebie na drodze powrotnej ujechać będzie chciał. Przecież ty na południe poszedł, a tędy najlepszy szlak z powrotem...

– *Spasiba*, Tribik. – Wyciągam rękę w podziękowaniu. – Ja twój dłużnik.

– Tak przecież Miszka, nie ma za co! – Wyszczерza się do mnie szczerbatym uśmiechem. – Tak ty przecież swojak, mimo

że burżuazyjny Białopolak i po naszymu ledwo gadasz. No, ale skoro tak się do podziękowań rwiesz... a ty czegoś fajnego po drodze nie znalazł? Sam wiesz ty, toż ja zasiedział się tutaj, czasu natracił...

– *Paszli na Jolczu.* – Uśmiecham się. – Po drodze się rozliczym.

51403030

Pomnik wielkiej wojny ojczyźnianej w wiosce Grusznoje lśni nieziemskim blaskiem w świetle trzaskających i sypiących iskrami „elektr” na asfalcie dookoła. Wygląda to naprawdę przedziwnie – taka ogromna, betonowa ręka z pepeszą, wystająca z jeziora wyładowań elektrycznych. Normalnie można by się spodziewać, że w ślad za nią zaraz wyłoni się jakiś obłądny, socrealistyczny *übersalдат*, który ruszy na Berlin, polewając świat po drodze pociskami wielkości puszek po piwie.

– Jeszcze będziesz? – Buolki wyciąga do mnie manierkę z koniakiem, ale dziękuję mu ruchem ręki. Nie, stary, dla mnie już wystarczy. W końcu jeśli mam trzymać pierwszą wartę, to muszę być w jako takiej formie.

– Nie, dzięki. I tobie też chyba za dużo nie trzeba.

– Ha, człowieku! – uśmiecha się do mnie doraźny partner. – Żeby ty wiedział, co to za dużo!

Kiwam głową. Fakt, pewnie tego mógłby mnie nauczyć. Przed wejściem do Zony Buolki był podobno szefem sprzedaży w jakiejś sporej moskiewskiej firmie gorzelniczej, więc... taaak.

– Nu, ja spać poszedł. – Buolki rozsznurowuje buciory i chowa się do swojego śpiwora. – A ty pewny, że pięć godzin wytrzymasz?

– Wytrzymam. – Kiwam tylko głową, zakrywając resztki żaru ogniska starym żeliwnym garnkiem. – I tak spać się boję...

– Czego? – Odwraca się do mnie.

– Niczego, śpij, śpij. – Uspokajam go, kładę na odwrócony garnek konserwę do ugrzania. Wkrótce oddech mu się wyrównuje, a ja wychodzę na balkonik nad wejściem, wzdycham sobie i spoglądam w rozgwieżdżone niebo.

Ech, Zona, Zona. Taka piękna, a taka straszna przy tym... Nic nie poradzę na to, że uwielbiam Zonę nocą – może dlatego, że pierwszy raz ją właśnie w nocy zobaczyłem. To musiało gdzieś tutaj być, na północnej rubieży Pogranicza; pierwsze dotknięcie kochanki mojego życia, pierwsze muśnięcie włosów ustami, ulotny zapach perfum... Tyle lat, a Ona nadal nie uchyliła mi nawet rąbka swoich tajemnic. Opieram o ramię dwulufowego bajkała, nie spiesząc się, lustruję okolicę. Czysto. Zrujnowana, spalona wieś śpi spokojnie snem wiecznym, domy bez dachów patrzą w czarnobyłską noc ciemnymi oczodołami okien, wrzeszczą bezgłośnie rozwarte usta garaży. Anomalie przelewają się wszystkimi kolorami tęczy, gdzieś dalej na zachodzie kręci się w powietrzu „grawik”, rzucając blaski purpury i zieleni na martwe drzewa. Trzeba zapamiętać miejsce i podejść za dnia. Piękna jest Zona nocą, spokojna taka i delikatna, niczym przysypane śniegiem ogrody w styczniu – czyste, zimne i pozbawione życia. Pięknie tu.

Spoglądam na pochrapującego Buolkiego. Tak spokojnie śpi, ufny, że go ochronię... Nie wiem, czemu ludzie sobie ufają. Nie wiem, czemu ufają mi. Co miałoby mnie powstrzymać przed przystawieniem mu lufy do głowy i wymalowaniem podłogi jego mózgiem? Nic. Nie chcę, żeby ludzie mi ufali. Sam sobie nie ufam. Przymykam oczy, potrząsam głową. Od ponad dwóch miesięcy nie spałem normalnie. Albo nie chce mi się wcale spać, a wtedy potrafię działać dzień i noc non stop, albo przysypiam na pięć, dziesięć minut, budzę się przerażony, nie wiem, gdzie jestem ani kim jestem, serce mi wali... Po kilku takich przydrzemkach człowiek jest jeszcze bardziej zmęczony, niż jakby w ogóle nie próbował spać. A kiedy już zasnę, to śnią mi się koszmary – prawdziwe, straszne koszmary, takie, po których dorosły boi się zamknąć oczy. Więc próbuję nie spać, piję

ohydną rozpuszczalną kawę i szczynowate energetyki, chodzę na nocne wypadki po Zonie, bo potem za dnia już się nie uśnie, byleby noc jakoś przepędzić.

Bardziej niepokojące są dziury w pamięci. Zdarza mi się, że nie zauważam całych etapów wyprawy po Zonie, nie pamiętam, czy przechodziłem przez wieś, którą mam za plecami, czy nie. Bywa tak, że budzę się w miejscach, w których nie pamiętam, bym kładł się spać; pamiętam marsz, pamiętam drogę, a potem się budzę na posłaniu, które najwyraźniej sam sobie przygotowałem poprzedniego wieczora. Dr twierdzi, że powinienem iść na Dużą Ziemię do lekarza, brać na to jakieś proszki, zrobić sobie przerwę. A ja wiem, że na Dużą Ziemię nie pójdę i przerwy nie zrobię, bo mnie to zabije.

Zmieniam nogę, przekładam dwururkę na przód. Bajkał... Niestety, po przejściach na Obiekcie Trzy *Zbawiciel* definitywnie odmówił współpracy i musiałem go wysłać na profesjonalny serwis do Dra, u którego leży rozebrany już trzeci tydzień, czekając na transport jakichś absolutnie niedostępnych w tych cholernych barbarzyńskich ruskich krajach części. W ramach samochodu zastępczego mam zdobyty na Dżonie bajkał MP-43 – solidną słowiańską dwururkę, z której jak na razie najbardziej podoba mi się nazwa, przywodząca na myśl tylko dawne czasy gry w „Wolfensteina”. Nie no, a tak na serio – *soraktrojka*, czyli czterytrójka to kawał porządnej broni, oksydowana lufa, orzechowe łożo... Oczywiście trzeba było ją dopieścić po tym durnym bandycie, który też pewnie ukradł ją komuś lepszemu od siebie, ale teraz prezentuje się naprawdę ładnie, no i bije bardzo porządnie – jednak to strzelba myśliwska, więc na pięćdziesięciu metrach ma skupienie, że aż miło. Tylko że... tylko że to nie *Zbawiciel*, i *wsjo*.

Siadam na balkoniku – zapaliłbym, ale chyba w końcu

udało mi się rzucić. Po prostu mi papierosy nie smakują, i tyle. Nuceę sobie pod nosem bezimienną stalkerską piosenkę, patrzę, jak powoli przesuwiają się gwiazdy.

Piękna jest Zona nocą.

* * *

– Wstawaj, chłopie, pora iść!

– Co, gdzie? – Buolki podrywa się z posłania, zaspany i opuchnięty, rozgląda się dokoła mętным wzrokiem. – Rano już?... Tyś co, Misza, całą noc pilnował?

– Ano – stwierdzam tylko krótko, wyglądając przez okno na zasnute porannym tumanem łąki. – Dawaj, iść pora.

– Nu ty dajesz, Misza... – Buolki kręci głową, zwijając swoje legowisko. – Tak ty co, cały dzień spać teraz będziesz?

– Nie, ja normalnie. Wyspał się?

– Nu, dawno tak nie pospał... – przeciąga się stalker. – Miszka, ale tak poważnie, a wczoraj ty spał na mojej warcie?

– Tak – kłamię. – Dawaj, do Chrakowicz dziś dobrze byłoby dojść, tam zasiądziem i poczekamy.

– Prawda. – Buolki kiwa głową. – Słuchaj, Misz, a u mnie takie pytanie jest... można?

– Dawaj.

– Misza, ty kiedy tak ruski zdążył wyuczyć? Toż ty w Zonie już kilka lat; wiosną, jak żeśmy w piwnicy siedzieli, ty ledwo gadał, a teraz... no, może być, nie jak Rosjanin rodowity, ale za Gruzina już byś poszedł. Ty co, repetytora w Zonie znalazł?

– Samo przyszło. Dawaj, idiemy.

Wychodzę pierwszy, Buolki ubezpiecza mnie z okna na

górze, ruszamy przez opuszczone pola w kierunku sióła Cełujki, ku starymu mostkowi przez Brahinę. Nie powinno się okłamywać towarzysza podczas *chodki*, Zona tego nie lubi. Po drodze gryzie mnie wyrzut sumienia, ale co miałem mu powiedzieć?

Sam nie wiem.

* * *

Gdy zbliżamy się do Pogranicza, ogarnia mnie irracjonalny, absurdalny niepokój. Uświadamiam sobie, że od pewnego czasu nie widziałem już żadnej porządnej anomalii, że coraz rzadziej musimy zatrzymywać się i obchodzić łukiem „gorące plamy”, czyli obszary o wysokim tle radiacji. Posypał nam się nawet szyk prowadzący – ubezpieczający; Buolki miał iść pierwszy, ale zwalnia i czeka na mnie, zagaduje, zachowuje się, jakbyśmy byli na niedzielnym spacerze. No, w końcu to już w zasadzie nie Zona, normalni ludzie w takiej okolicy wracają do normalnych zachowań... A ja czuję, jak narasta we mnie panika.

– Buolki, dawaj, zrobimy postój w Starych Chrakowiczach, a?

– Ty co, Misz, zmęczył się? – uśmiecha się do mnie były *trade rep.*

– Dawaj, przysiędziem tam, marszrutę omówim.

– Nu, niech będzie.

Skręcamy trochę w bok, chowamy się między domkami wsi, rozkładamy w opuszczonym garażu. Tutaj widać ślady działalności maruderów i szabrowników – przez pierwsze miesiące po Drugiej Katastrofie lądowały się tu wszelkie szumowiny i bandyci, kryminaliści i inne popłuczyny. Potem

oczywiście przyszła Druga Emisja i wszystko to trafił zasłużony szlag, ale domy są tu mocno zdewastowane – powybijane okna, ściany pomazane sprayem, samochody wypatroszone na części albo w ogóle pokradzione, wypruta ze ścian instalacja, niektóre domy noszą ślady celowych podpażeń. Kawalek dalej trzeba będzie uważać – czasami potrafią się tu zapuszczać wojskowe patrole w pogoni za co bardziej nieostrożnym idiotą, który da się przyłapać na przekraczaniu Pogranicza.

Zamieramy w trakcie gryzienia chleba z konserwą, gdy rozlega się narastający huk wojskowego śmigłowca, odbity jeszcze echem od pustej uliczki pomiędzy domkami. Maszyna robi dwa kręgi nad okolicą, wisi chwilę nad pustymi polami, potem odchodzi w kierunku Asarewicz.

– Uff... – wypuszcza powietrze z płuc Buolki. – Nu, uchowali się my. Tak co, wypijem za szczęście?

Odbieram od niego flaszkę, pociągam łyk. Ciekawe, skąd on bierze koniak w Zonie... Może z przemytu? W końcu świetna droga przerzutu, taka wielka dziura między dwoma państwami.

– Tak co, Misz, odpoczął?

– Odpoczął. Dawaj, ruszymy się wzdłuż granicy Zony, a potem brzegiem rzeki na północ, a?

– Nu ty co, Misz? – Patrzy na mnie zdziwiony. – Toż tak my jeszcze kilometry ze cztery nadłożym minimum, a tutaj do granicy Zony ręką wyciągnąć tylko... Ty co?

– Nie podoba mi się wracać tą samą drogą. – Kręcę głową. – Tak w Zonie nie robią.

– A ty Misza zapomniał, że tu już zaraz nie Zona. – Uśmiecha się. – Jak na Nowe Chrakowicze wyjdziemy, to już Pogranicze tylko, tam można po ludzku iść.

– A ty jeszcze po ludzku umiesz? – Spoglądam na niego poważnie. – Pamiętasz jeszcze?

– No i pytanie! – Odkłada na bok puszkę. – Jak ostatnio na dziwkach w Chojnikach był, to jeszcze pamiętał. A ty co, zapomniał czy co?

– A kiedy to było, Bolek? Zimą jeszcze?

– Nu, zimą będzie jakoś... – zacukuje się stalker. – Jak po postrzale do szpitala się położył. Ale pamiętał, pamiętał... A ty co?

– A ja już nie umiem chyba. – Dźgam nożem tuńczyka w puszcze. – Dla mnie już wiatr powieje, liście się zakręcą wirem w powietrzu, a ja od razu na ziemi leżę. Nie dla mnie już Duża Ziemia.

Przez długą chwilę milczymy obaj.

– Idziem – rzuca hasło Buolki. – Ty prowadzący teraz, twoja droga. Chcesz Zoną – tak Zoną i pójdziem.

* * *

– Niby czysto. – Odsuwam od oczu szkła lornetki. – Ty popatrzeć chcesz?

– Nie-a. Raz ty powiedział, że czysto, to tak ono i jest.

– Bolek, ty mnie tu...

– A ja powaga! Ty co nerwowy taki zrobił się, a? – Buolki odrywa się od montowania celownika optycznego na swoim potężnym SCAR-ze. – Raz czysto, tak czysto. I tak ty idziesz.

– Ano – konstatuje. – Ty gotów?

– Zanim dojdiesz, ja gotów będę. Dawaj, idź już, a to się spóźnim.

Kiwam mu głową, opieram czterytrójkę na ramieniu, ruszam spokojnym krokiem ku górze, widocznej na tle rzadkiego zagajnika.

Rzeczy trafiają do Zony na różne sposoby. Niektóre z nich „gubią” wojskowe patrole. Inne przynoszą na sobie głupi ludzie, którzy potem w Zonie giną, a ich rzeczy tam zostają. Część rzeczy już w Zonie była, więc nie trzeba było ich nigdzie przynosić. Ale część towaru wnoszą do Zony mrówki.

Mrówki, dziady, wózkarze, workowcy – jest na nich masa nazw, a każdy stalker nazywa ich po swojemu. Oni sami przeważnie używają imion, czasami niby-stalkerskich pseudonimów, ale większość z nich nie określa samych siebie w żaden konkretny sposób. „Ja – to ja” – odpowiedział mi kiedyś jeden z nich, gdy próbowałem zagadać przy dobijaniu targu. Przypuszczam, że najmujący ich handlarze na Dużej Ziemi mają dla nich imiona albo przynajmniej numery – ale to pewnie bardziej dla potrzeb nieoficjalnej księgowości niż w wyniku rdzennie ludzkiego odruchu nazywania rzeczy bez nazwy.

Mrówki są wszystkim tym, co znajduje się pomiędzy uśmiechniętą świnką przy korytku a smakowitą kiełbaską w sklepie. Każdy czuje, że istnieje jakiś nierozzerwalny związek między tymi dwoma stanami, każdy lubi uśmiechnięte świnki i smaczną kiełbaskę, ale mało kogo interesuje, w jaki sposób jedno zamienia się w drugie, mało kto chciałby wiedzieć, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami masarni. Nas, stalkerów, interesuje towar u handlarza; czasami musimy się kawałek przejść, żeby go odebrać i przynieść; ale to mrówki powodują, że trafia z Dużej Ziemi na Pogranicze i do granicy Zony.

Kiedy Sarkofag bluznął na świat śmiercią w dwa tysiące szóstym, Białorusini podeszli do sprawy bardziej tradycyjnie i metodycznie niż Ukraińcy i NATO, próbujący od Zony odgrodzić się systemem monitoringu satelitarnego, zdalnie sterowanych rakiet i współdziałania różnych rodzajów wojska koordynowanym na szczeblu centralnym i polowym celem

osiągnięcia efektu synergii, czymkolwiek by on był. Na rozkaz podpisany (jak wieść gminna niesie) osobiście przez zastępcę głównodowodzącego sił zbrojnych Republiki Białoruś, czyli samego Kole, mającego wówczas lat jeden, pięciokilometrowy pas ziemi na granicy Zony zaorano, zaminowano i pokryto siecią bunkrów zbrojnych w karabiny maszynowe i miotacze płomieni. W strategicznych punktach rozlokowano też baterie haubic i dywizje pancerne, mające jakoby służyć do rekonkwisty. Pomysł był z zasady słuszny, gdyby nie jedna subtelność – Emisje nigdy nie są powtarzalne pod względem zasięgu ani siły, a Drugiej w ogóle nikt się nie spodziewał, szczególnie po prawie rocznej przerwie. Tak więc w falach anomalnej energii technika się popaliła, ludzie poumierali albo zamienili się w potwory, a miny w większości eksplodowały, ale białoruskie Pogranicze pozostało takim, jakie było – śmiertelnie groźnym pasem ziemi niczyjej, z rzadka tylko obsadzonym przez losowo dyslokowane kompanie karne i do dziś straszącym wrakami porzuconych czołgów i zakopanymi Bóg raczy wiedzieć gdzie minami. Przez to właśnie Pogranicze, sobie tylko wiadomymi ścieżkami, ciągnąc worki ze sprzętem i pchając prymitywne wózki na kołach od rowerów, przekradają się od lat do Zony mrówki.

Słyszałem różne opowieści – o wypalonych stalkerach, którzy nie mogli odejść od Zony, ale też Zona nie chciała ich już wpuścić; o ludziach, co cudem przeżyli Emisję, ale stracili pamięć i rozsądek; w końcu o zwykłych odrzutach społeczeństwa, tak jak my ciągnących do Zony, ale zbyt słabych, by do niej wejść. Tacy ludzie właśnie zostawali na Pograniczu, zajmując się tym, czym zajmować się tam można, czyli handlem w obydwie strony i usługami wszelakimi. Dla nas mrówki są tym, czym musieli być stajenni dla wielkich posiadaczy ziemskich w dziewiętnastym wieku – czymś, co sprawia, że

rzeczy są tam, gdzie być powinny, gdy są potrzebne, ale czemu nie poświęca się szczególnej uwagi. Podobno na Pograniczu istnieją jakieś ćwierćlegalne organizacje i niby-gangi szmacciarzy, toczących pod samym nosem wojskowych swoje małe wojny o prawa do szlaków przerzutowych. Różne rzeczy słyszałem, ale czego się w Zonie nie słyszy... istotne jest to, że idę teraz na rendez-vous z naszymi mrówkami na 51403030.

Ach, 51403030? Przepraszam, już wyjaśniam. Chodzi o tę górkę, do której właśnie się zbliżam – mam nadzieję, że pod czujnym okiem Buolkiego i jego karabinu, schowanych w brzezynie nieopodal. Górka jak górka, punkt charakterystyczny, bo najwyższy w okolicy i zaznaczony na mapach, a nazwa to po prostu 51°40'N 30°30'E, czyli położenie geograficzne. Może nie mamy dokładności co do dwustu metrów, ale oznaczenie jest pomysłowe, przyznaję.

Gdy podchodzę bliżej, z krzaków po prawej wyłania się ubrana w poszarpane szmaty postać – nasz kontakt i transport w jednym. Byłem na to przygotowany, ale i tak powstrzymuję się siłą woli, żeby nie poderwać lufy i nie odstrzelić mu głowy – człowiek w Zonie robi się nerwowy, gdy z krzaków wyłaniają się różne takie obdartusy. Podnoszę dłoń na przywitanie, on też macha mi lewą ręką... Coś mi ta lewa nie pasuje, ale to już chyba moja paranoja. Gdyby ten włóczęga był anomalią, tobym go ominął, ale muszę podejść, odebrać transport, rozliczyć się. Żle się czuję poza Zoną, diabli nadali... i jeszcze mi się spać zachciało teraz. Ziewam rozdzierająco, podchodzę bliżej.

– Nochal, to ty?

– Ja, ja! – odpowiada mi kudłaty menel, macha ręką. – Chodź.

– A ty co, Nochal, czego wózka nie wtaszczył na górkę? – pytam, gdy widzę, że mój mrówkarz schodzi na drugą stronę

pagórka. – Sił nie starczyło?

– Chodź! – Macha na mnie znowu.

Co on z tą lewą ręką?... Prawą cały czas w kieszeni trzyma.

– Chodź! – Macha na mnie jeszcze raz. Robię jeszcze kilka kroków, zauważam, że Nochal unika mojego wzroku i jest cały oblany potem. I ta ręka w kieszeni...

Rzucam się na ziemię i podnoszę strzelbę w tym samym momencie, w którym Nochal wyciąga z kieszeni makarowa i bierze mnie na cel. Dwa wystrzały padają równocześnie, widzę tylko wielkie z przerażenia oczy menela na ułamek sekundy przed tym, jak ładunek śrucin dosłownie wyrzuca go w powietrze, okręca wokół własnej osi i ciska bezwładnym tłumokiem do tyłu. Jednocześnie z dwóch stron, z lasu, rozlegają się strzały, pociski gwizdzą mi nad głową i koszą trawę niebezpiecznie blisko mnie, więc nie czekając, podrywam się do biegu, skacząc szczupakiem za szczyt górki, czuję jednocześnie szarpnięcie za ramię, upadam na ziemię i czołgam się dalej, starając się odgrodzić od napastników skłonem wzgórza. Jeden karabin milczy, tylko drugi pluje bez sensu długimi seriami... Amator – wydymam pogardliwie wargi i nie przestając robić kolanami i łokciami, pełnę przez niewysoką trawę. Nie uciekam jednak bez sensu do tyłu, na otwartą przestrzeń – zamiast tego trzymam się połówki wysokości wzgórza, tam, gdzie mam jeszcze dobre pole widzenia. Wyciągam po drodze dwa naboje z ładownicy, trzymając je w zębach, wczołguję się w niewielki wykrot. Ot, tu na ciebie poczekam... Naciągam na głowę kaptur maskałatu, kładę przed sobą czterytrójkę w trawie, po cichutku łamię lufę, wydaję wystrzeloną łuskę, wkładam nową, zamykam. Klimat nawet fajny z tą dwururką, szkoda, że kurków nie ma do odwodzenia. Coś mi ciepło w ramię... Patrzcie, zaczepił mnie, bydlak jeden, rękaw mi porwał i krew mi leci. O,

kochany, chodź do tatusia... O plecy i górę się nie boję – od tego mam Buolkiego.

Tu jesteś... Widzę ruch w krzakach – ile będzie, z pięćdziesiąt metrów? Bura kurtka miga za zielonymi gałęziami krzewów, bandyta przykuca i przysiada, ale i tak ciężko mu przychodzi giąć nienawykłe do uczciwej pracy plecy – a jak wiadomo, kto nie ma w głowie, ten ma w nogach. Celuję na wysokości pasa i gdy sylwetka znów się prostuje, płynnie pociągam obydwaj języki spustowe.

– Aaa!!! – słyszę wrzask bólu, gdy przebrzmiewa już echo wystrzału. – Waaahaaa!! Iwaan, suuuka, trafił mnie on! Na górcę on leży, granatem go! Aaa!

Aha, już ci uwierzę z tym granatem – szkoda, że nalotem dywanowym mi nie grozisz. Spokojnie przeładowuję strzelbę, wyrzucam łuski wysoko do góry, ładuję kolejne dwie, nawet niespecjalnie celując, walę z obu rur w kierunku „na wrzask”. Bandzior zamyka się od razu, ale widzę, że nadal zwija się na ziemi; odczekuję chwilę, znowu pociągam śrutem po jego krzakach. Przeładowuję, zamykam, czekam. Ten drugi powinien już być...

Wystrzał, zduszony jęk bólu, chwilę potem pojedynczy huk, gdy ściągnięty dreszczem konwulsji palec pociąga za spust.

...na szczycie góry, gdzie Buolki będzie miał go na widelcu. Wstaję, otrzepuję spodnie, podchodzę do gnojka, leżącego twarzą do dołu dosłownie kilkanaście kroków ode mnie. Jednak siedem sześćdziesiąt dwa na pięćdziesiąt jeden to potęga – ciężko mieć inne zdanie, patrząc na człowieka z wyrwanymi plecami. Przekręcam drgającego jeszcze trupa – nikt, kogo bym znał. Morda typowego *kryminalitetu*, stare spodnie w kamuflażu, skórzana kurtka – ot, taki sobie bandzior-szakal. Pewnie przechwycili Nochala po drodze, on im sprzedał

Buolkiego, a oni kazali mu spróbować go zastrzelić. I tak by go pewnie potem ukatrupili, ale warto było spróbować. Plan dobry, ale biedny, durny menel nie wiedział, że będzie nas dwóch – no i dobrze, jak się okazało. Wyjmuję stary, rozchwierutany AKM z rąk sztywniaka, podchodzę do wózka z towarem, podnoszę plandekę – no proszę, wszystko jest. Pewnie w takim razie jeszcze chcieli, żeby im to Nochal gdzieś zatargał, zanimby mu kulę w łeb wpakowali. Patrzę w kierunku krzaków, gdzie postrzelony bandyta jęczy coraz ciszej – pewnie gardło go rozboleło, biedaczynę. Zakładam sobie uprząż wózka na ramiona, ciągnę towar w kierunku Zony.

– Ty co tak długo, a, osiołek? – wita mnie radosnym wyszczerzem Buolki, kiedy w końcu udaje mi się dotoczyć dwukółkę do naszych drzew. – Na kierowcę się uczysz?

– Poszedł ty, Bolek. – Ocieram pot z czoła. – Dawaj, ładujemy towar po plecach i uchodzimy stąd, zanim wojenni się zlecą.

– Nochal to był? – pyta Buolki, pakując po kieszeniach paczki nabojów.

– Nochal.

– I czego z nim?

– Niczego. – Wzruszam ramionami. – Już niczego.

Puszczamy się truchtem, słysząc zbliżający się łopot wirników Krokodyla. Zaraz się tu zagotuje pewnie, bo wojaki nie lubią, jak ktoś łamie ich monopol na krzywdzenie ludzi, ale zaraz to my będziemy w Zonie, a tam za nami nie wleżą. Od południa zaczynają nachodzić ciemne chmury, w twarze uderza wiatr, czuję pierwsze ciężkie krople deszczu; znad dalekiej Prypeci rozlega się gniewny pomruk burzy.

Nasza kochanka wita swoich adoratorów.

Obiekt jeden

Stacja kolejowa Kołybań nie zachowuje już nawet pozorów miejsca niegdyś cywilizowanego. Gdyby nie pordzewiałe tory, widoczny jeszcze pod rzadką trawą rząd betonowych podkładów i pozostałości peronów, można by pomyśleć, że to dowolne inne miejsce w zalesionej części Zony. Ale starczy przyjrzeć się bliżej i widać okruchy niegdyśszego życia, jak odcisnięte w piachu na pustej plaży ślady stóp – tam, w resztkach budynku stacji, usadowiły się krzaki czeremchy, wyciągające teraz gałęzie ku zamglonemu słońcu; tu porzucony metalowy kiosk, w którym kiedyś wściekła baba w brudnym czepku nalewała stojącym w karnym ogonku podróżnym ciepłego kwasu bez gazu. Jeszcze dalej zardzewiała ciężarówka ze skrzynią pełną przegniłego kradzonego drewna, które chłodną wiosną osiemdziesiątego szóstego miało pewnie jeszcze niezłą cenę.

Schodzę z torów, idę potrzaskanym chodnikiem, przekraczam przewrócony płotek i ruszam asfaltową uliczką, wzdłuż szpaleru zrujnowanych domków. Po lewej mam dawny park, w którym do dziś stoją szkielety ławek i pokrzywione pręty zardzewiałego placyku zabaw z huśtawkami i drabinkami; gdzieś w głębi widać zarośnięty czymś paskudnym pomnik lokalnego gieroja – pewnie Czerniachowskiego albo innego Pawki Korczagina. Krzaki i chwasty zarosły każdy wolny kawałek ziemi, trawa przebija się przez asfalt.

Wydaje mi się, że widzę ruch po prawej, więc ściągam z pleców *Zbawiciela*. Taaak. Kocham fakturę polimerowego czółenka pod dłonią, zapach oksydowanego aluminium i smaru na ruchomych częściach strzelby, elektryzujący szmer mechanizmu, gdy przesuwam bezpiecznik palcem wskazującym

prawej dłoni. Naprawdę lubię tę broń – tym bardziej że już prawie się z nią pożegnałem. Rozglądam się dokoła, wybieram w miarę dobry punkt do obrony za starą ławką, zaraz obok sporej „karuzeli”, spokojnie czekam, aż ciemne, chude kształty podejną bliżej.

Ślepe psy to przedziwne stworzenia – potomkowie dawnych podwórkowych kundli utracili w ramach swoistej ewolucji zmysł wzroku, bo ich zupełnie białe oczy zaciągnięte są cienką warstewką skóry, ale za to Zona wynagrodziła im to szczątkowymi zdolnościami telepatycznymi. Całkowicie bezwłose, wychudzone ślepe psy zbierają się w stada i polują idealnie skoordynowanymi watahami, najpierw biegając wokół ofiary i starając się ją maksymalnie zmęczyć, a potem przypuszczając jeden śmiertelnie groźny atak ze wszystkich stron naraz. Taka jest teoria – jak z praktyką wyjdzie, zaraz się okaże.

Psy wypadają biegiem z zarośli, ujadając i szczerząc żółte kły, ale jeszcze nie strzelam – to na razie tylko pozorowany atak, próbują mnie wystraszyć, może liczą na to, że spanikuję i rzucę się do ucieczki. Stado jest nie aż tak duże – chyba sześć albo siedem sztuk – ale to i tak dość spore niebezpieczeństwo dla niedoświadczonego stalkera. Tak jak przypuszczałem, wataha rozdziela się na dwie części, próbując obiec mnie dokoła, ale tu zaczynają się problemy – jakoś niespieszno im władować się w „karuzelę”, którą mam za plecami, ławka chroni mi przód, więc mogłyby atakować z boku, ale na to jeszcze za wcześnie, więc stado zwalnia i miesza szyki, próbując uzgodnić wspólną taktykę. Tegom chciał, jak to ładnie ujął hetman Czarniecki. Dwa szybkie strzały wyłuskują ze stada największe sztuki, reszta rozprasza się w przerażeniu, któryś kundel ciągnie za sobą przestrzelone łapy, ale nie dobijam – szkoda amunicji. Wataha

już zbiera się znowu i wraca – teraz pójda na atak, bardzo dobrze... Strzelam raz, celując po grzbiecie pierwszemu biegnącemu psu, przykucam, gdy któryś rzuca mi się do gardła – rozmazany kształt przelatuje mi nad głową, zaraz potem świst rozkręcającej się „karuzeli” i żałosny skowyt rozlegają się piękną uwerturą do chrupotu kości i ścięgien, kontrapunktowanych krwawym bryzgiem po koronach drzew. Tyle – reszta stada ucieka w krzaki, zostawiając martwych i rannych na łaskę i niełaskę losu... Czyli w zasadzie swoją własną, bo ślepani z takim samym apetytem pożerają zdobycz, jak i mniej fartownych pobratymców. Szybkim krokiem odchodzę z miejsca jatki; tylko tego mi brakuje, żeby zapach krwi ściągnął tu jakiegoś większego drapieżnika.

Zostawiam ze sobą Kołybań – mijając znak z przekreśloną nazwą wsi, słyszę zza siebie dalekie ujadanie. Czyli jednak coś przylazło. Nie ma co się oszukiwać, w końcu w Zonie...

...mrugam oczami, rozglądam się dokoła. Kołybań majaczy daleko na horyzoncie, po lewej pokryta kożuchem rzęsy rzeczka Brahinka, na wprost już niedaleko do linii wysokiego napięcia. Znowu spałem na jawie? Wycieram ręką twarz pokrytą mokrym potem, drżącymi rękami odkręcam korek manierki, pociągam łyk wódki. Prawie do Czikałowicz doszedłem... Nagle czuję się potwornie zmęczony, sięgam do kieszeni, otwieram puszkę ohydneho ukraińskiego energetyka z logo EURO 2012, duszkiem wychylam zawartość, zginam puszkę i wyrzucam w „grawikoncentrat”, który z chrzęstem prasuje aluminium do wielkości pojedynczego ziarnka piasku. Zapaliłbym, ale mi się nie chce. Prawda jest taka, że szedłem dziś całą noc... No i dzień wcześniej. Ale zaraz, przecież wychodziłem z bazy nocą, więc... Ile ja już nie śpię?

Patrzę w dróżkę odchodzącą w bok, do Obiektu... Ale nie

mogę tam iść w takim stanie. Jest już popołudnie, a nie poleżę tam na noc – o nie. Dojdę do Czikałowicz, prześpię się, rano pójdę na eksplorację.

„Prześpię się” – przechodzi mnie dreszcz na samą myśl. Rzecz nawet nie w zaśnięciu, raczej w zamknięciu oczu i w tym, co wtedy widzę. Ale muszę się przespać, bo inaczej źle się to skończy – osłabł mi refleks, zdarza mi się „zawieszać”, jeżeli brak większych bodźców. Muszę po prostu zmusić się do spania... Muszę, i tyle.

Zbliżam się już do Czikałowicz, przede mną betonowy mostek i zarośnięte krzakami pierwsze chałupy, kiedy zatrzymuję na chwilę wzrok na słupie wysokiego napięcia. Hmmm. W sumie już od dawna chodziła mi po głowie taka myśl, ale jakoś nigdy się nie złożyło... Może pora spróbować? Zostawiam po lewej opuszczoną wieś, idę ostrożnie wzdłuż linii elektrycznej aż do stojącego na zakręcie ażurowego słupa. Powinien się nadać. Sprawdzam najpierw muterkami teren – czysto, *anomalii niet*. Wkładam sobie do plecaka podniesiony po drodze kawał deski, korzystając z dospawanej drabinki prętowej zaczynam wspinać się na górę po pordzewiałej konstrukcji. Włazę po stopniach, a kiedy się kończą, jak pajak pnę się po przęsłach. Nie miałem nigdy problemów z lękiem wysokości, ale przyznaję, że tutaj jest, hm, dość strasznie. Wspinam się tak wysoko, jak się da, zanim zaczną latać mi kolana, siadam na poprzeczce, przypinam się za pasek do słupa. Uff... Sięgam do plecaka, wydaję deskę, kładę ją w rogu na dwóch przęsłach, usadawiam się na niej tak, żeby trzymała się w miarę stabilnie. No proszę, jak na razie nie jest źle. Odpinam od paska troki wojskowe, przyczepiam szelki z oporządzeniem i broń do słupa, wyciągam śpiwór, rozwijam – byleby go teraz na dół nie upuścić... Odkręcam pudełeczko od Dra, wytrząsam na rękę trzy

tabletki – mówił, żeby brać dwie, więc trzy nie zaszkodzą. Łykam, popijam gorzałą, zawijam się w wodoodporny materiał, zapinam wszystkie kieszenie plecaka i ładownic, przyczepiam się do żelaznych szyn resztą troków, zasuwam zamek śpiwora. Wzdycham ciężko, zamykam oczy. No dobra, jedziemy...

Duszę się. Duszę się i dławię, próbuję zaczerpnąć powietrza, usta i nos zalewa mi gęsta maź. Miotam się na wszystkie strony, próbuję krzyczeć, ale tylko tracę powietrze, bezgłośnymi bąblami uciekające ku górze. Walę pięściami, uderzam w coś, szkło rezonuje głuchym echem. Gdzieś na zewnątrz zapala się czerwone światło, pode mną otwiera się pustka – maź ściąga mnie w dół, przyciska do kratki odpływowej, gdy z głośnym mlaskaniem wyciągają ją z kadzi turbiny odsysające. Kaszlę i krztuszę się, leżąc nago w pustym pojemniku, próbując zaczerpnąć powietrza przez zaklejony nos. Krzyczę w bezsilnej wściekłości i cierpieniu, podnoszę ręce ku niewidocznemu niebu, którego nie widziałem już tak długo... Widzę za to obserwujące mnie przez pancerne szkło pozbawione wyrazu twarze.

Leżę twarzą w dół na stole, widzę, jak kanalikami spływa do kratki ściekowej krew. Chyba krzyczę, bo boli mnie gardło, ale wszystko zagłusza wibrujący w czaszce świst wysokoobrotowej piły, wgryzającej mi się w potylicę – nie wiem, czy to ja wyję, czy wyje piła. Przesuwają się przede mną buty w szpitalnych ochraniaczach, częściowo zakryte zielonym ochronnym fartuchem, przetaczają się kółeczka wózka z instrumentami. Ten wózek to ból, tyle pamiętam. Potem krzyk wciąga w siebie cały świat, a ja unoszę się samotny w ciemności.

Leżę w celi, na twardej pryczy. Boli mnie wszystko, boli mnie każdy mięsień, bolą mnie oczy, zęby, boli mnie głowa i mózg. Nie mam siły się poruszyć. Słyszę zbliżające się

korytarzem kroki, ale nie mam siły się nawet bać. Dźwięk kroków narasta, odbija się hukiem w betonowym korytarzu, potem cichnie, rozlega się zgrzyt i łomot otwieranego zamka. Śmieję się i płaczę z ulgi, słysząc przerażone wrzaski człowieka z celi obok, potem uderzenie paralizatora elektrycznego, odgłos ciała wyciąganego na korytarz i oddalające się kroki. Gryzłbym własne palce do krwi, ale jestem przypięty pasami do łóżka.

Siedzę na twardym, żelaznym krześle, skrupowany obejmami trzymającymi mnie w miejscu. Nie mogę poruszyć nawet szczęką ani otworzyć ust, więc skowyczę tylko przez nos, gdy wbijają mi w żyły igły grubości ołówków, które potem przyklejają na kawałki odcinanego z rolki plastra. W twarz świeci potężna lampa, ale nie mogę zamknąć palących suchością oczu, bo powieki trzymają mi żelazne spinki. Próbuję rzucać się, gdy widzę pełznącą przez przezroczyste rurki ciecz – świat rozbłyska potwornym bólem, gdy zaczyna się kolejny wlew.

Leżę na stole operacyjnym, a zjeżdżająca w dół automatyczna piła zaraz zacznie po raz kolejny odcinać mi sklepienie czaszki. Gdy pierwszy różowy obłoczek krwawej mgielki osiada mi na oczach, widzę jeszcze tylko twarz w okularach w rogowej oprawce, patrzącą na mnie oczami bez wyrazu. Potem jest tylko świst i zgrzyt metalu, a ja wyję niczym zwierzę, którym się stałem.

– HhhhhhaaaaaAAaaa... – budzę się z krzykiem. Rzucam się do tyłu, ale na szczęście troki trzymają mocno, więc szarpnięcie nie posyła mnie lotem pikującym w dół, a tylko odzywa się bólem w plecach. Ciskam się w bok, próbuję łapać równowagę, ale nie ma jak – przypiąłem się na fest, więc miotam się tylko raz i drugi, a potem poprzez płótno śpiwora obejmuję rękami słup i dyszę ciężko. Serce wali mi jak młotem, krew szumi w uszach, wręcz słyszę jeszcze wizg tarczowego

ostrza, gryzącego moją głowę. Ja pierdzielę. Ja pierdzielę... Otwieram oczy, wygrzebuje się częściowo ze śpiwora, wystawiam twarz na chłodne krople nocnego kapuśniaczku, przykładam czoło do zimnego metalu. Ja pierdzielę... Jest noc, być może nawet już bliżej świtu niż dalej – na wschodzie wśród szarych chmur powoli rodzi się różowa luminescencja, rozświetlona blaskiem okazjonalnej anomalii mgła zalega po dolinkach i wzdłuż kanałów melioracyjnych. Widzę, jak jakieś trzysta metrów ode mnie mgła otwiera się i omywa przemykający się chyłkiem kształt, który zaraz znika w zagajniku po drugiej stronie rzeczki – po raz kolejny czuję się jak reporter kanału przyrodniczego na misji. Niech to wszystko Czarny Stalker... Jestem cały zlany zimnym, lepkiem potem, kurtka klei mi się do pleców, nadal nie jestem pewien, na ile otaczający mnie świat jest realny.

Siedzę na słupie, aż zrobi się jasno, nie spieszę się zbyt do zejścia. Zjadam śniadanie, łykam dawkę jodu, załatwiam swoje mniejsze i większe potrzeby, raz w życiu nie bojąc się rozpiąć spodni. Deszcz przestał padać, więc czekam, aż śpiwór nieco wyschnie, rozciągam i rozgrzewam zastane, ścierpnięte mięśnie, szykując się do kolejnego marszu. Ha – nawet widzę stąd Obiekt Jeden! Wyciągam lornetkę i pozeram wzrokiem nie tak znowu odległe zabudowania, odrabiając od razu pracę domową z rozlokowania budynków i anomalii. Komu w drogę, temu krzyżyk. Złazę ze słupa, stając wreszcie na twardej ziemi – stąd do Obiektu będzie nieco ponad kilometr, tylko jak pójść? Wczorajsza droga dookoła będzie dzisiejszą najkrótszą, a tą się nie powinno chodzić... Wracać też nie będę, hmmm... No dobra, to w takim razie pójdę wzdłuż kanału, jakoś się potem przeprawię na drugą stronę i na przełaj przez las.

Idę na azymut i na widoczny między drzewami ceglany

komin, ale i tak nieco rozmijam się z Obiektem Jeden, bo wychodzę na róg betonowego ogrodzenia. Zapinam filtr na twarzy, uruchamiam obieg wzbogaconego powietrza; rozglądam się wokoło, zapieram nogami o szczelinę między segmentami, przesadzam płot, zeskakuję w wysoką po pas trawę po drugiej stronie. No, witaj znowu...

Mleczarnia wygląda o wiele mniej upiornie za dnia, ale wiem, że to bez znaczenia – prawdziwe niebezpieczeństwo od oświetlenia nie zależy. Po lewej mam skład węgla i widoczny dalej za nim budynek stołówki, na wprost jakiś niski, nieduży budynek techniczny, po prawej halę kotłowni, przyklejoną do administracyjnego, dalej główny masyw Mleczarni, który znam już częściowo od środka. Sędziwy, rozłożysty dąb z konarami wywichniętymi przez anomalię grawitacyjną spogląda na to wszystko z wysokości swej isticie królewskiej korony, tu i ówdzie ponad miarę rozrośnięte krzewy jałowca zasłaniają widok. Cały ten majątek oddziela ode mnie jeszcze wybetonowany rów starego osadnika do wód ściekowych z Mleczarni, teraz pokryty cienką warstwą szlamu i zarośnięty trzcina i krzakami. Słuchawka w uchu trochę trzeszczy, więc nie będę zląził póki co na dół. Widzę leżący nieopodal dużej kałuży „wiedźmiego kisielu” jakiś artefakt chemiczny, ale nie pora teraz na grzybobranie – zapamiętuję tylko miejsce, przekradam się stromym brzegiem koryta ku bocznej bramie, a stamtąd powoli, pod osłoną niewysokiego żelbetowego murku, ruszam ku budynkowi domniemanej stołówki. Po lewej mam główną bramę wjazdową – betonowa budka strażnika, szlaban i drut kolczasty na szczycie ogrodzenia dość wymownie wskazują na paramilitarny charakter obiektu. Dochodzę aż do parterowego budynku, opieram się plecami o ścianę, przekładam do lewej ręki i ujmuję pewniej *Zbawiciela*, powoli wychylam się za róg.

Czysto. Tylko „trampolina” pod starym dębem podrzuca leniwie liście, które opadając, znów aktywują gniewnie prychającą anomalię; wsuwam się w najbliższe drzwi, włączam latarkę, ostrożnie eksploruję stare zaplecze kuchenne i spiżarnie. Hmmm, zaopatrzenie tu mają niezłe – zaglądam przez uchylone drzwi do składziku, gdzie kartonowe pudła wojskowej żywności piętrzą się na żelaznych stojakach. Większość tego pewnie już zgniła i skisła, w końcu to Zona, ale nawet jeżeli dziesiąta część nadaje się do spożycia... Zauważam, że niektóre z pudeł noszą ślady dość świeżego otwarcia – pokrywający wszystko kurz pełny jest smug i zaciągnięć, jeden z kartonów stoi na podłodze, widać ślady rąk na brudnej tekturze. Ciekawe, ciekawe... Ktoś ze stalkerów? Wątpliwe, bo wtedy byśmy o tym wiedzieli. Może ktoś zbłądził tu kiedyś i wziął tylko tyle, ile było mu potrzeba?

Stołówka nieużywana od lat, ściany pokryte zaciekami i naroślami jakichś dziwnych porostów – wolę trzymać się od tego z daleka, więc nawet nie wchodzę do środka. Ktoś kiedyś wpadł na pomysł pokrycia sufitu kolorowymi ścinkami płyty pilśniowej, więc wrażenie jest takie, jakby siedziało się pod ogromnym kalejdoskopem – efekt potęguje jeszcze poziomy „żarnik”, który zamienił niegdysiejszą kuchnię, kotły i garnki w kałużę półciekłego żeliwa, żelaza i aluminium, odbijającą teraz światło słabo jarzącej się anomalii miriadą błysków i odbłasków tańczących po suficie. Powietrze między resztkami stołów drga niezauważalnie, bliżej głównego wyjścia widzę zmumifikowane truchło psa – o nie, moja noga w tym przybytku nie postanie. Wycofuję się po śladach, wychodzę na dwór.

Budynek administracji patrzy na mnie powybijanymi oknami, a ja za wszelką cenę staram się zejść mu z widoku, idąc tak, żeby kryły mnie rozkrzewione jałowce. Przedzieram się przez gęstwinę, robiąc zdecydowanie więcej hałasu, niż

mógłbym sobie życzyć. Cicho tutaj, nawet jak na Zonę, zdecydowanie za cicho... Jest w tym miejscu coś takiego, że człowiek aż się spina wewnątrz, puste budynki działają na nerwy, i tak zszargane tygodniami bezsenności – oglądam się co i rusz za siebie, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że ktoś mnie obserwuje. Pokryte rudymi liśćmi krzaki i zarośla zasłaniają widok, więc tak naprawdę idę na czuja, nie wiedząc, co czeka mnie na kolejnym kroku. Wyszedłbym na asfaltową dróżkę od bramy, ale na skos przez większość jej długości biegnie taka paskudna szczelina... Nie pęknięcie, nie rysa, a szczelina właśnie. Ani trawy w tej szczelinie nie ma, ani liście w niej nie leżą – ot, pomyślałby kto, wziął sobie asfalt i tak po prostu pękł. Ale w Zonie nic się tak po prostu nie dzieje, więc na asfalt nie wejść, bo jeszcze mi życie miłe. Zaglądam przez brudne okno do kolejnego niewielkiego budynekczku – w środku poniewierają się jakieś gazety, stare krzesło bez siedziska, kilkanaście przegniłych kartonowych pudeł pełnych spleśniałej makulatury... Chcę ruszyć już dalej, ale stoję w miejscu, cofam się, mocuję chwilę z wypaczoną przez czas i wilgoć ramą, otwieram okno i ładuję się do środka. Nie wiem po co, nie jestem pewien dlaczego, ale tak już jest, że czasem instynktom trzeba zaufać. Wyglądam przez wyrwane z zawiasów drzwi na zewnątrz – stąd ręką sięgnąć do piętrowego budynku, więc trzeba z okazji skorzystać, rozejrzeć się. Przemykam się przez wąski prześwit między ścianami, chowam w wykusz wiodącej na górę klatki schodowej. Zielona farba łuszczy się płatami ze ścian, stopnie pokryte potłuczonym szkłem i resztkami jakichś śmieci... Powoli, krok za krokiem wchodzę na górę, łowiąc uchem jakieś niewyraźne szuranie dochodzące z piętra.

Na górze oczywistym się staje, że pomyliłem się w moich rachubach i nazewnictwie – to nie żadna administracja, a

koszary. Dawne mieszkania pracownicze dla robotników Mleczarni i ich rodzin przerobiono na wojskowe sypialnie – żelazne łóżka, szafki na rzeczy osobiste, tu i ówdzie strzępy kamuflażowej odzieży. We wnękach kuchennych i ślepych łazieneczkach tandetne kafelki, tu i ówdzie upiększone prymitywnymi kalkomaniami z połowy lat osiemdziesiątych, takimi, jakie i ja w młodych latach pieczołowicie przenosiłem w moim rodzinnym domu na prowincji... Jedne z drzwi zabite na głucho, na białej farbie wymalowane szablonem rosyjskie bukwy: „Uwaga! Promieniowanie! Strefa aktywności anomalnej!”. No proszę, proszę – kolejny dowód na to, że Obiekt Jeden działał jakiś czas jeszcze po Drugiej Katastrofie, i to działał w dosyć zorganizowany sposób. Nadal słyszę z jednego z pokojów rytmiczne szuranie – szur, szur, szur, szur, przerwa; szur, szur, szur, szur, przerwa. Uchylam lufą drzwi – widzę plecy siedzącego do mnie tyłem żołnierza, polerującego pozostałościami szczotki wytarty do grubości pergaminu but. Wszędzie dokoła totalny chaos, porozpruwane sienniki, grzyb na ścianach, a on siedzi i czyści buty... Plamy rozkładu na mundurze i resztki włosów na niemalże nagiej czaszce dość wyraźnie wskazują, że stan ten utrzymuje się już jakiś czas; chcę zamknąć drzwi równie niepostrzeżenie, ale żołnierz nagle prostuje się i odwraca ku mnie. Widzę tylko wygniłe oczodoły i zwisającą płatami skórę na policzkach, gdy zombi rozwiera usta i wstaje, wyciągając do mnie szponiastą rękę, nie czekam ani chwili – strzał roznosi głowę umarlaka na strzępy, odrzucając go daleko w róg pomieszczenia. Dawno już pusta puszczałka po paście przez chwilę toczy się z brzękiem po podłodze, aby w końcu zatrzymać się ze stukiem przy podeszwie mego buta. Zamykam drzwi po cichu, wracam do schodów, wychodzę na dwór i idę dalej.

Skrećam w lewo, w kierunku hali kotłowni – muszę przynajmniej częściowo zabezpieczyć tyły, nim zapuszcze się dalej. Dach nad piecami przegnił i pozapadał się częściowo, ogromne komory z czerwonej cegły zioną pustką wygasłych palenisk, w powietrzu unosi się zapach kurzu, szlaki żużlowej i przepalonego popiołu, wszystko pokryte szaroczarnym pyłem, który podnosi się chmurami przy każdym kroku – nie podoba mi się tutaj. Wnętrze jednej z komór lśni słabym czerwonym blaskiem, ale nie będę pchał się do wielkiego pieca, nawet po kręcący się w nim „płomyk” – nie ma głupich.

Do kotłowni przylegają jeszcze jakieś garażopodobne dobudówki, ale pełno w nich „żrącego puchu”, więc naciągam tylko kaptur na głowę i ruszam wzdłuż ściany z powrotem – teraz zobaczymy, co mieści w sobie parter naszych koszar. Zaglądam przez okna z małych szybek – jakaś instalacja, rury i zbiorniki przeplatają się w tańcu obłąkanego inżyniera, część sprzętu porozrzucana i popalona przez anomalie przyczajoną w rogu. Zakradam się przez półotwarte drzwi, odpalam latarkę – trochę mebli biurowych, na ścianie nieopisana tabela z nazwiskami i oznaczeniami kodowymi, przejście prowadzące dalej mija niewielki aneks sanitarny i wychodzi ku sali ze sprzętem. Po prawej w ślepych, przeszklonym pomieszczeniu rozdzielnia elektryczna, na podłodze zwęglone zwłoki nieszczęśnika w ochronnych gumowanych rękawicach, które rozplynęły się w dwie kałuże skawalonego kauczuku – po przełącznikach i bezpiecznikach skaczą iskierki, łuki wyładowań spinają losowe zwoje, żarówki pod sufitem rozjarzają się i przygasają nierównym tempem. Niebezpiecznie tutaj, więc sięgam do kieszeni i zaczynam sprawdzać drogę muterkami – nie na darmo, przynajmniej jedna rozjarza się w locie iskrami i spada wśród rozbłysków mikrowyładowań. Nic tu po mnie,

wychodzę na zewnątrz.

Znaną już drogą przechodzę obok ściany głównej hali Mleczarni – kilka miesięcy temu szedłem tędy nocą, tyle że w przeciwnym kierunku. Przebiegam przez wyasfaltowany plac, przysiadam w krzakach obok ażurowego płotu. Hm, pomyślmy – stamtąd przyszedłem ostatnio, z tego domku na rampie oglądałem fasadę hali nocą, więc wiem, że tam jest czysto... BYŁO czysto, sam się poprawiam w myślach – tu jest Zona, tu wiedza historyczna ma wartość papieru, na którym ją spisano. Ale przynajmniej znam rozkład pokoi na dole, sprawdźmy teraz piętro.

Bingo. Pięterko musiało być kwaterą lokalnego dowódcy – pojedyncze łóżko, własna łazienka, zdjęcia ze służby, dekoracja orderem przez Baćkę Łukaszenko. Z okien rozciąga się piękny widok na cały kompleks Mleczarni, widzę oświetloną jesiennym słońcem frontową ścianę, stojącą przed nią porzuconą ciężarówkę i podłużny budynek w krzakach po prawej... No właśnie, tam mnie jeszcze nie było. Przekopuję się przez leżące na stole papiery, ale niestety, nie ma tam nic ciekawego – ogniotrwała szafa w rogu zamknięta na zamek szyfrowy, więc nawet nie próbuję jej otwierać, żeby się nie denerwować. Pff... Coś nie mam szczęścia ostatnio – miejsce niby nieruszone, a nie jestem w stanie znaleźć żadnych informacji. Patrzę na korkową tablicę na ścianie, coś mi kiełkuje w głowie... Pinezki najwyraźniej trzymały tu jakąś mapę, widzę jeden róg sztabówki, który musiał oderwać się od całości. Szuflady biurka też wyczyszczone do cna... Łapię za rączkę szafy ogniotrwałej, przekręcam i otwieram na oścież żelazne drzwi – pusto! Pusto, puściusieńko, ktoś tu był i wszystko zabrał!

Opieram się o ścianę, nerwowo bębnię palcami o blat biurka. Szczerze mówiąc, nie do końca rozumiem, po co tu w

ogóle przylazłem – zaczęło się od plecaka Łysego, niech mu Zona lekka będzie, potem ta wieża w lesie, ale czego ja w ogóle szukam? Co takiego miałem nadzieję znaleźć w tym – bez cienia wątpliwości – wojskowym obiekcie? No tak, był kalendarz w cieciorce – kalendarz z dwa tysiące siódmego roku, owszem. No więc dobrze, obiekt działał jeszcze po Pierwszej Emisji, może nawet po Drugiej – i co z tego? Prowadzili tu jakieś dziwne eksperymenty, piwnica pod Mleczarnią pełna jest zombi – no i co? Wymarli wszyscy, wytlukła ich radiacja albo podłożyli się pod Emisję i usmażyło im mózgi na skwarki. Co mi do tego?... Po co mi w ogóle to wszystko? Patrzę na pistolet. Nie wiem, kiedy wyjąłem go z kabury, zastanawiam się, jak może smakować lufa...

Spokojnie. Desperacja i zawiedzione nadzieje prowadzą tylko do szybkiego grobu, a tam się nie wybieram. Jestem tu, bo był tutaj Łysy, któremu obiecałem, że wrócę z jego plecakiem. Jestem tu, bo był tutaj Wańka, który został w tej hali na zawsze. Obydwaj wsadzili sobie kulę w usta... A teraz ja stoję tu z pistoletem w dłoni. Nie zawiodę towarzyszy, nie zawiodę samego siebie. Nie ugnę się, nie poddam się Zonie. Jest w tym Obiekcie coś dziwnego, a ja dowiem się, co to takiego. Żałuję – ale czego? Tego, że nic nie znalazłem? OCZEKIWAŁEM czegokolwiek od Zony? SPODZIEWAŁEM SIĘ, że coś mi da? LICZYŁEM na coś? Zatem mogę winić tylko siebie. Przyszedłem tu, goniąc ulotne marzenie; nie pozwolę, by rzeczywistość mi je odebrała.

Zostawiam po prawej ciąg niskich komórkoskładów i ogromną blaszaną halę, przeskakuję przez starą brukówkę i chowam się w zaroślach przylegających do budynku schowanego między krzakami. Trzymam się ażurowego płotu z betonowych segmentów, dochodzę do dawnych wychodków i

szamba, omijam z daleka „grawikoncentrat”, wyróżniający się pustym bąblem wśród gęstego listowia – widzę tworzący się w centrum anomalii artefakt, bodajże „wywich” z tego kiedyś wyjdzie, jak tylko pole grawitacyjne wciągnie w siebie odpowiednią ilość materii organicznej. Widzę pomiędzy gałęziami ciemne okna, przekradam się nieco bliżej do rogu parterowego baraku – cały sufit pomieszczenia zarośnięty „rdzawym włosiem”, więc tędy nie będę się pchał, zamiast tego przemykam się po betonowej podmurówce ku wejściu, zasłoniętemu krzewami czegoś, co kiedyś musiało być bzem. Nurkuję pod gałęzie, przeczołguję się ku dróżce wiodącej do wejścia... Ha, dobrze czułem – lekka zapadlina w betonie pełna liści i innego śmiecia, leży tam też resztkę psa i porozwłóczony szkielet w pozostałościach stalkerskiego sprzętu. Pewnie słaby koncentrat pod ziemią, łapiący tylko za nogi – biedak NN wdepnął w anomalię i już tu został, kiedyś później pies przyszedł go zjeść i w efekcie też tutaj zakończył żywot. Brr, straszna śmierć – bezradność w Zonie. Ostrożnie popycham drzwi do środka – nawet przez pochłaniacze maski czuję smród zgnilizny i starości. Spoglądam na licznik... dość wysokie tło, ale nic, czego miałbym się bać.

O dziwo, panuje tu relatywny porządek – podłoga jest w miarę czysta, nie widać kurzu ani liści. W powietrzu wisi jakiś zapach... trudno mi go określić bez zdejmowania maski, ale przywodzi na myśl mieszkania starych ludzi, którzy rzadko wietrzą dom i czasami zapominają się umyć... A potem przypadam do ziemi, słysząc narastający gdzieś w budynku gwizd, jakby postawionego na gazie czajnika – zaczynający się znikąd i przechodzący w crescendo wysokich tonów, a potem dość gwałtownie pikujący w nicość. Oczy otwierają mi się zdziwieniem oscylującym na granicy strachu, kiedy w ciszy

martwego budynku wyraźnie dobiega do mnie odgłos nalewania wody do szklanki, potem brzęk łyżeczki uderzającej o ścianki naczynka, chwila przerwy i równie słyszalne siorbanie gorącego napoju. Słyszałem o duchach w Zonie, ale miałem nadzieję, że nigdy żadnego z nich nie spotkam. A może to jakaś anomalia czasoprzestrzenna – zapisany i odtwarzany dźwięk sprzed lat?...

– Młody człowieku, herbatę będziecie? – Zza drzwi wychyla się pomarszczony staruszek. Z przerażenia aż przewracam się do tyłu, pociągam za spust, *Zbawiciel* rzyga ogniem, z hukiem wyrywając kawał futryny o dłoń od głowy dziadka w białym fartuchu laboratoryjnym. Ten patrzy na mnie złym wzrokiem, spogląda krytycznie na futrynę, kręci głową, chowa się z powrotem w pokoiku. Leżę na podłodze, serce wali mi jak młotem, krew szumi w uszach – Jezu, Jezu, Jezu... Dym prochowy rozpełza się powoli po przedpokoju, a ja czuję, że chyba odkleja mi się dekiel. Gramolę się na nogi, podchodzę do uchylonych drzwi, zaglądam przez szczelinę... Drzwi otwierają się na całą szerokość, ja aż odskakuję, widząc przed sobą twarz człowieka. Patrzę jak osłupiały na trzymającego w dłoni filiżankę herbaty (herbaty! w Zonie!) staruszka.

– Nu, młody człowieku, niegrzecznie tak na pytania nie odpowiadać. Zachodźcie, zachodźcie dalej... Wy stalker pewnie?

Palec drga mi nerwowo na spuście, ale przełykam ślinę, kiwam głową. Człowieczek zaprasza mnie ruchem ręki do pokoiku – widzę gazowy prymus, przykrytą kraciastą kapą rozkładaną wersalkę, kilka półek z książkami naukowymi, śnieżący telewizor bez fonii... Na stoliku pokrytym kołami odbarwień stoją dwie brudne szklanki pełne burobrązowego płynu, obok nich miętki, wojskowy chleb z puszki i otwarta konserwa z warzywami. Na sznurku suszą się jakieś ubrania, niegdyś pewnie białe fartuchy, żółta ze starości bielizna,

dziurawe wojskowe swetry... Słuchawka licznika zanosi się trzaskiem jak wściekła, więc wypinam ją z ucha i tylko odkręcam szerzej zawór przy rurze pochłaniacza maski.

– Tak stać będziecie w wejściu, młody człowieku? – zwraca się do mnie ponownie dziadyga. Zauważam, że lewą rękę ma wykręconą jakby jakimś przykurczem i dotkniętą martwicą chyba... Na łopatce narósł mu spory garb, siwe włosy wypadają placami, skóra łuszczy się i marszczy – ewidentnie choroba popromienna, musi mieć nie więcej jak z sześćdziesiąt lat, ale wygląda na dziewięćdziesiąt. Słyszało się, że do dziś w Zonie bytuje część *samosiołów*, czyli ludzi, którzy po Awarii albo zostali, albo potem wrócili, ale myślałem, że to taki *urban myth*... *Rural myth* w zasadzie. Wchodzę, rozglądam się po pokoiku, zauważam wiszące na ścianach pożółkłe fotografie, na nich Mleczarnię z dawnych lat i młodszego o kilkanaście lat dziadka.

– Byliście naukowcem na Obieckie Jeden? – przetykam gułę w gardle i pytam staruszka.

– Czy byłem, młody człowieku? BYŁEM? – Podnosi na mnie niedowierzające spojrzenie znad spodeczka z brudną szklanką. – Ja naukowcem byłem, jestem i będę! Artjomow Sałamon Wasiljewicz, do waszych usług.

– Miś – przedstawiam się krótko, ale widząc jego piorunujący wzrok natychmiast dodaję: – Michaił Markowicz, znaczy się.

– „Markowicz” – interesujące... wy *jewriej*?

Przez chwilę próbuję zrozumieć, o co mu chodzi, wreszcie załapuję.

– Polak.

– Ach, Polak... bratni naród, znaczy się. No, ale u młodego pokolenia już inne wychowanie, prawda? Wam ciasteczko do

herbaty? Konfitury?

Patrzę na lekko już spleśniałe wojskowe warzywa z puszki.

– Dziękuję, panie docencie, ale...

– Profesor – przerywa mi. – Ja profesor MGU, na roboczej katedrze w BSSR. Ale wystarczy Sałamon Wasilicz, w końcu prywatnie rozmawiamy.

– Sałamon Wasilicz... – zagaduję z innej beczki – wy współpracownik naukowy Obiektu Jeden?

– No i pomysł! – kręci głową profesor. – Toż ja badaniami zawiadowałem! Wam Dmitrij laboratorium pokazywał już?

– Dmitrij? – zapytuję niepewnie.

– Pomocnik mój, laborant – macha ręką dziadek. – Nicpoń i leń jakich mało. *Aparatczik* taki typowy – zniża głos do konfidencjonalnego szeptu. – Podesłany, żeby mi na ręce patrzeć. No niczego, herbatki popijem i ja was sam oprowadzę. No popatrzcie tylko, co te świnię w naszym parlamencie wyczyniają! Nie do wiary, na co nam taka „niezależność” była?...

Patrzę na pokryty kaszką ekran starego telewizora, potem na wygrażającego mu pięścią dziadygę. Psych, jak mi Bóg miły.

– Profesor, a was tu zombi nie niepokoją? – Wyglądam przez okno w kierunku głównego masywu budynków.

– Zombi? – Naukowiec unosi brwi.

– No, trupy żywe...

– Ach, macie na myśli epibiotów! – rozpromienia się staruszek. – Ależ nie, oni tu nie podchodzą, niestety. Samemu mnie do nich chodzić trzeba na pomiary.

– Wy do zombi podchodźcie, profesor? – Patrzę na popijającego mętłą lurę półobląkanego dziadka.

– Sami nie przyjdą, młody człowieku, więc mi trzeba do nich. – Uśmiecha się pieńkami przegniłych zębów. – Ale

chodźcie, pokażę wam laboratorium.

Mam poczucie mocnej nierealności sytuacji, gdy idę przez barak za śmierdzącym dziadygą w brudnym fartuchu. Mijamy jakieś drzwi, gdy profesor nagle staje w miejscu, cofa się dwa kroki, więc wpadam na niego, on spogląda na mnie z dezaprobatą. Mamrocę jakieś przeprosiny pod maską przeciwigazową, a dziadek w tym czasie otwiera na oścież drzwi zaraz obok. Na środku pogrążonego w chaosie archiwum siedzi na krześle trup z odrzuconą do tyłu głową i na zawsze otwartą w okrzyku agonii szczęką – w przedramieniu wciąż tkwi mu strzykawka z nierdzewnej stali, którą umarłak ściska zmumifikowanymi palcami. Ongiś biały fartuch jest teraz burobrązowy, a pod krzesłem zdążyła utworzyć się i wyschnąć kałuża płynów organicznych. Musi już tak z rok siedzieć, jak nie więcej.

– Dawidow, tutaj się schowaliście! – wydziera się na trupa dziadek. – Co ja wam mówiłem, trzeba przecież spektrometry nastawić! Żadnej z niego pociechy, całkowicie bezużyteczny, powiadam wam, młody człowieku. No, ale mniejsza o niego, chodźmy do laboratorium...

Przez chwilę rozważam strzelenie mu w plecy, potem po prostu odpinam i luzuję glocka w kaburze – ot, tak na wszelki wypadek.

Laboratorium utrzymane jest we względnym porządku – to znaczy nic nie wala się po podłodze, a „porządkiem” jest to dla kogoś, kto osobiście każdą z tworzących potworny bałagan rzeczy rzucił akurat tam, gdzie leży. Próbówki walają się po stołach, odczynniki stoją w kawałkach plastikowych wiader i pustych puszkach po konserwach, losowe elementy instalacji i maszyn laboratoryjnych sterczą tu i ówdzie niczym anteny jakiegoś porzuconego statku kosmicznego. Ze zdziwieniem

konstatuję, że najwyraźniej tutaj też jest prąd – chodzi kilka elektrycznych grzałek, w zapyziałych kolbach bulgocą zawiesziste ciecze, kilka ekranów daje jeszcze oznaki życia.

– Oto i moje królestwo! – z dumą rozkłada ręce garbaty dziadek. – Oto Obiekt Jeden lata po śmierci, he, he, he... Oj, wybaczenie, zagadaliśmy się z wami, a mnie trzeba reagenty przemieszać.

Patrzę, jak kawałkiem zagiętego drutu bełta w kolbach.

– Profesor, wy wspomnieliście tych, no...

– Epibiotów? – podpowiada były naukowiec. – Pytajcie, pytajcie. Tak rzadko ktoś nas tu odwiedza... Pewnie myślą, że nie żyjemy. – Puszczą do mnie oko, a ja czuję się nieswojo.

– Mówiliście, profesor, że prowadzicie na nich badania – zagajam.

– Badania to za dużo powiedziane, młody człowieku. Ja tylko rejestruję stan obecny i porównuję zmiany w perspektywie diachronicznej, które z kolei mogą implikować pewne dalsze wnioski co do natury epibiotów i ich faktycznych zasad funkcjonowania.

– Aha. – Uznaję temat za wyczerpany, szczególnie po rusku. – A skąd oni się w ogóle biorą? To znaczy w jaki sposób człowiek...

– ...przechodzi w stan wegetacji epibiotycznej? – Zauważam błysk w oku szaleńca. – To dość długi temat, młody człowieku, ale jeśli chcecie posłuchać... Pozwólcie do mojego pokoju zatem. Przepraszam was za spartańskie warunki, ale nauka wymaga ofiar, prawda?

– Z pewnością – rzucam, gdy przechodzimy koło nieładnie cuchnącej części z toaletami. Spociłem się już jak świnia pod maską, ale za żadne skarby jej tu nie zdejmę.

– Zatem, młody człowieku... – zawiesza głos profesor, gdy

jesteśmy już w jego norze, a ja usadam się na brzeżku rozchwierutanego stołka. – Może coś do jedzenia? Herbaty wam zrobię albo wyślę Dmitrija po coś do kuchni?

– Nie, dziękuję, profesor. – Odmawiam ruchem ręki. – Opowiedzcie mi o epibiotach, proszę.

– Cóż, zatem zacznę od początku, jeśli pozwolicie, Michaił Markowicz. Otóż musicie wiedzieć, że ojcem epibiotyki jako gałęzi nauki, jak również epibiotów znajdujących się na Obieckie Jeden jestem – ja.

Dłuuugą chwilę przyglądam się wariatowi w brudnym fartuchu.

– Profesor... profesor, wybaczcie, ale czas mnie nagli, więc... – Wstaję już, gotów wyjść od starego szaleńca, kiedy nagle mój wzrok pada na jedno ze zdjęć na ścianie. Podchodzę bliżej, ściągam z gwoździa ramkę z fotografią, gapię się na mężczyznę stojącego obok profesora na tle mauzoleum Lenina. – Profesor, kto to taki tam z wami?

– Jednak zaciekawiony, młody człowieku, co?

Patrzę na twarz bez wyrazu i okulary w rogowej oprawie.

– Tak.

– Więc siadajcie, Michaił Markowicz, a ja wam wszystko opowiem.

Siadam posłusznie, czując, że chyba trafiłem na ślad czegoś dużego.

– Otóż moje badania nad epibiotami zaczęły się wkrótce po pierwszym pozaplanowym szczycie we fluktuacjach energii, to musiał być... zaraz... to był kwiecień dwa tysiące szóstego roku, zatem jakoś latem dwa tysiące szóstego zapewne. Trafił mi wtedy w ręce bardzo ciekawy egzemplarz, który...

Jestem już gotów przerwać wariatowi i wprost zapytać go o twarz z moich koszmarów, widoczną na zdjęciu, ale uderza mnie

zupełnie co innego.

– Profesor, wybaczcie, ale jak to „pozaplanowym”?
Mówicie o Drugiej Katastrofie w dwa tysiące szóstym?

– Katastrofie! – prycha pogardliwie garbus. –
Nieplanowanym szczycie fluktuacji raczej, tak! To oczywiste, że
wystąpiły pewne efekty uboczne, ale...

– Profesor, ale to znaczy, że były jakieś planowe?...

– Naturalnie! – Spogląda na mnie jak na studencika
pierwszego roku na kolokwium. – To przecież oczywiste,
Michaił Markowicz, że skoro ten był pozaplanowy, to inne
musiały być w planie, nieprawdaż?

– Planie? – pytam i czuję się jak zupełny idiota, ale co tu
poradzić.

– Tak! To ja zaprojektowałem aparaturę pomiarową, którą
rozmieszczono wokół CZAES, mieliśmy dokładne wykresy i
prognozy. Niestety, w obliczeniach musiał być błąd, bo gdy
delta promieniowania...

– Mówicie o wieżach pomiarowych? – Robi mi się aż
gorąco z wrażenia.

– Dokładnie, Michaił Markowicz – kiwa głową uczony. –
Odkąd zaczęliśmy nasze pomiary w dwa tysiące trzecim,
najpierw jeszcze wspólnie, ja i Łabodkin... Ech, to były dobre
czasy...

Nie mogę nie zauważyć, jak powędrował wzrokiem do
fotografii. Łabodkin. To nazwisko muszę zapamiętać. Potem
jednak dociera do mnie coś zupełnie innego.

– Dwa tysiące trzecim? Rejestrowaliście wtedy energię
anomalną dochodzącą z Sarkofagu?

– To duże uproszczenie, młody człowieku – krzywi się
dziadyga. – Ale można to tak ująć, owszem. Prawdopodobnie
emanacja była wyczuwalna już wcześniej, ale nasze pomiary

uruchomiliśmy w październiku dwa tysiące trzeciego. Tak, pamiętam, to było w rocznicę rewolucji akurat. Tak, więc po pierwszym pozaplanowym szczycie fluktuacji rozpocząłem moje badania nad epibiotami, którzy wtedy jeszcze powstawali w sposób, hm, przypadkowy i nieuporządkowany, ale potem...

Odpywam na chwilę myślami, próbując przetrwać to, co właśnie usłyszałem. Dwa tysiące trzeci rok – trzy lata przed Pierwszą Emisją!

– Macie coś ważniejszego do roboty, Michaił Markowicz?
– świdruje mnie wzrokiem uczony. Uśmiecham się tylko przepraszająco, czując, jak czerwienię się pod maską. Do diabła, zawsze jak ktoś się tak do mnie po rusku zwraca, to się czuję, jakbym znowu w ubłoconych śniegowcach wszedł do mojej podstawówki na Białorusi i wlał prosto na wicedyrektorę.

– Ale pytaliście, młody człowieku, o powstawanie epibiotów, prawda? No więc muszę wam powiedzieć, że po żmudnych badaniach udało mi się wyekstrahować z powietrza frakcję lotną odpowiedzialną za proces epibiotyfikacji i zestalić ją do formy stałej. Nazwałem ją (może nieco dramatycznie, przyznaję, ale to prawo odkrywcy) od imienia wielkiego burżuazyjnego pisarza z Ameryki, Asz Pi Ławkrafta!

Patrzę na niego, próbując rozszyfrować znaczenie ruskich dźwięków.

– H. P. Lovecrafta?

– Tak przecież powiedziałem, Asz Pi Ławkrafta. Nazwałem ją „popiołem Lovecrafta”!

– Chcecie powiedzieć, Sałamon Wasilicz, że odkryliście substancję zdolną zamienić człowieka w zombi? – Patrzę na dziadka w brudnym chałacie, siedzącego w tej cuchnącej norze.

– Odkryłem nie tylko substancję, ale i sposób jej produkcji!
– puszy się obłąkaniec. – Niemalże na skalę przemysłową!

Widzicie, sprawy skomplikowały się tylko, gdy ten idiota Simonow wrócił tu na czele swojego żalostnego oddziałiku...

– Simonow? – Łapię znajomo brzmiące nazwisko. – Profesor, a on nie pracował z wami na Obiekcie Jeden?

– Tak było z początku, ale ta *swotocz* bez sumienia myślała wyłącznie o sobie! – Uderza ręką o poręcz fotela. – Przeniósł się do Obiektu Zero, gdy tylko dali mu szansę, a potem wrócił tu, aby zawłaszczyć rezultaty moich badań! Wyobrażacie to sobie, Michaił Markowicz? Pod lufą karabinu oddawałem owoce lat pracy!...

Jedno oko profesora roni dużą, perlistą łzę, a mnie robi się go prawie żal.

– Myśleli, że nie żyjemy! Ale przetrwaliśmy pierwszy pozaplanowy szczyt, a potem daliśmy radę też ukryć się przed drugim! Myśleli, że wjadą tu jak po swoje, pazerne świnie, a zamiast tego pułkownik Iharenka i jego ludzie powitali ich, jak należy, w paradnym szyku! Ach, Michaił Markowicz, żebyście widzieli ich twarze wtedy – najmężniejsi z mężnych, porzuceni i zdani sami na siebie na dwa długie lata! A te szakale zażądali przekazania im wszystkich materiałów i całej produkcji! Całej! Miałem tego sześćdziesiąt pięć kilogramów, Michaił Markowicz! Sześćdziesiąt pięć kilogramów czystej substancji, przy czym zaledwie trzydzieści trzy deko wystarcza zazwyczaj do pełnej transformacji!... Zabrali wszystko, zabrali dokumenty, zabrali aparaturę, zabrali moją krwawicę, obiecali, że wrócą za kilka tygodni po ludzi i resztę sprzętu, ale wiedziałem, że kłamią, że spróbują nas zniszczyć, że Simonow będzie próbował zatrzeć każdy ślad mojego istnienia!

Patrzę, jak szalencie rozkręca się w napadzie furii, niepostrzeżenie ujmuję w dłoń pistolet.

– ...więc musiałem działać wyprzedzająco, Michaił

Markowicz. Dałem im też próbki anomalnych tworów fizycznych, „artefaktów”, jak je nazywał ten barbarzyńca Simonow. Ha! Artefaktem nazywać twór przyrody, nawet najbardziej obcej, to dopiero ignorancja... Ale dałem im je wszystkie, jakie tylko mogli zapakować, w pięknym, pionowym pojemniku z drewnianymi przekładkami, odkażonym spirytusem, wyłożonym od środka aluminium i wzmocnionym miedzią, he, he...

Czuję, jak włosy jeżą mi się na głowie.

– Profesor, na Boga! Zabiliście ich wszystkich!...

– Zabiłem? – patrzy na mnie oczami obłąkańca staruszek. – Michaił Markowicz, ja nikogo nie „zabiłem”, ja tylko przyspieszyłem nieuniknione. Kto nie wie, co bierze w pojemnikach, jest już sam w zasadzie martwy, he, he...

Słyszałem opowieści o domorosłych straceńcach, co fabrykują z artefaktów tak zwane „mezomodyfikaty” – wyższego stopnia artefakty, łączące w sobie właściwości dwóch lub więcej części składowych. To fakt, że twory Zony reagują ze sobą nawzajem, czasem niezamierzenie, i to dość gwałtownie; alkohol jest najprostszym aktywatorem artefaktów biologicznych, aluminium i miedź akurat takie reakcje przyspieszają. Pół biedy, jeśli stworzą „brukowiec”, będący w zasadzie ujemną sumą ich działań – przeważnie jednak takie eksperymenty kończą się zrodzeniem nie mezomodyfikatu, a całkowicie nieprzewidywalnych anomalii wiązanych, na przykład „wiedźmiego kisielu” połączonego z „karuzelą”, brr... Ale żeby podrzucić coś takiego komuś nieświadomemu – no, to już wyższy poziom draństwa.

– Zabrali wszystko, Michaił Markowicz, wypruli nawet aparaturę z laboratorium! – jęczy dziadek, pokazując ruchem ręki na wykuty w ścianie budynku Mleczarni otwór. – Wszystko,

co dali radę, nawet moje narzędzia! To wszystko – spogląda w kierunku chałupniczego laboratorium – musiałem tworzyć od zera, jak jakiś nie przymierzając jaskiniowiec albo rozbitek na bezludnej wyspie! Ja, profesor MGU i laureat *Leninskiej Priemii*, harujący niczym prosty laborant!...

Garbaty dziad spuszcza głowę, ale zaraz podnosi ją i uśmiecha się makiawelicznie.

– Ale nie wiedzieli, że miałem już gotową kolejną transzę produkcji. Udało mi się ukryć próbki badawcze, a potem na ich podstawie wznowić produkcję! I oto... voilà!

Wyciąga z szafki pięciolitrowy słoje z grubego szkła, wypełniony do połowy szaroczną, popielatą substancją – jak resztki po spaleniu drewna, taki lotny, szary pył... Ale widzę, jak zawartość słoika wyciąga się i oblepia od środka słoik tam, gdzie dotykają go palce uczonego, próbując za wszelką cenę przylgnąć do żywej, ciepłej substancji organicznej. Wiedziony czystą ciekawością przykładam do słoja ssawkę powietrza przy liczniku – słuchawka zachłystuje się wyciem, wskazówka wychyla daleko poza skalę. Jeeezu...

– Piękny, prawda? – Profesor patrzy na wirujące w słoju lekko opalizujące płatki. – Moje dzieło... Ach, widzę, że wy też interesujecie się nauką, Michaił Markowicz?

Patrzę na niego, potem na trzymany w ręku licznik.

– Nauką stosowaną, profesor, tak.

– „Popiół” to fascynująca substancja, młody człowieku, naprawdę niesamowita. Widzicie, ma zadziwiające zdolności absorpcji promieniowania we wszystkich jego spektrach, w związku z czym...

– To pochodna któregoś z czynników X? – Uderza mnie przeblask olśnienia. Garbus przygląda mi się chwilę, po czym niechętnie kiwa głową.

– Owszem, Michaił Markowicz, dokładnie tak. Jesteście zadziwiającym młodym człowiekiem, doprawdy... Nie myśleliście o karierze w nauce? Dawno już myślałem o zwolnieniu Dmitrija, chętnie przyjąłbym was na jego miejsce...

Przed oczami staje mi rozkraczony na stołku trup, kręcę głową.

– Hm, szkoda. Ale wracając do „popiołu”, ma on zadziwiające właściwości absorpcyjne, w tym też wspaniałe wchłanianie wszelkie niezbadane energie z pełnego spektrum naszych odczytów. Zastanawialiście się pewnie, Michaił Markowicz, w jaki sposób pułkownik Iharenka dał radę utrzymać tę placówkę pomimo niezliczonej ilości krążących wokół mutantów odzwierzęcych i odludzkich?

– No, przeszło mi to przez myśl, Sałamon Wasilicz...

– Otóż dzięki „popiołowi”! Oczywiście Iharenka nie wiedział o tym, ale cały obwód Obiektu Jeden został przeze mnie pokryty cienką warstewką „popiołu” – nie na tyle, aby wywoływać transformacje w epibiotów albo powodować efekty uboczne, ale wystarczającą, by utrzymać na dystans niebezpieczne elementy zwierzęce; to, co wcześniej już sprawdziliśmy na czynniku X-9, okazało się jeszcze skuteczniejsze w moim preparacie. Niestety, ten idiota Simonow wszystko popsuł... Po jego przyjeździe nawet Iharenka zaczął podburzać ludzi, mówić coś o porzuceniu Obiektu, o rzekomym zakończeniu misji badawczej. Oczywiście był przekonany, że Simonow po nas wróci, a ja wiedziałem, że Simonow nie wróci już po nikogo. Dlatego też musiałem uspokoić moich żołnierzy, jednocześnie zapewniając sobie ochronę i materiał badawczy...

Po raz kolejny mam ochotę strzelić mu w twarz, ale powstrzymuję się, zaciskam zęby i słucham dalej.

– Jak się domyślacie, Michaił Markowicz, „popiół

Lovecrafta” działa długofalowo, ale pierwsze efekty widoczne są dość szybko. Nie zdążyłem co prawda dokładnie przebadać natury oddziaływania na psychikę człowieka, ale grupa referencyjna mojego oddziału ochrony pozwoliła mi ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że prowadzi on do stanów lękowo-depresyjnych, połączonych z narastającymi tendencjami samobójczymi. Niestety, o tym ostatnim przekonałem się dopiero po pewnych, hm, stratach w grupie badawczej, którym dałem na szczęście radę zapobiec poprzez chwilowe odebranie badanym podmiotom broni osobistej. Oczywiście na dalszych etapach transformacji epibiotycznej broń zwróciłem, aby nie dopuścić do całkowitego zaniku funkcji motorycznych i nawyków bojowych, który miałby negatywny wpływ na zdolność moich epibiotów do bronięcia Obiektu...

On patrzy na mnie dumny z siebie, a ja zastanawiam się, co mam powiedzieć.

– Profesor... – zaczynam ostrożnie – wy eksperymentowali na żywych, nieświadomych ludziach?

– Najlepsza grupa docelowa, nieprawdaż? Cieszę się, że podzielacie mój sposób myślenia, Michaił Markowicz. Oczywiście wraz z upływem czasu epibioty stają się dość podatne na uszkodzenia, ale zapewniam was, młody człowieku, że „popiół” jest też doskonałym spoiwem przy procesach naprawczych... Chcecie popatrzeć na mojego ostatniego pacjenta?

– Nie, profesor, nie trzeba – odzywam się matowym głosem.

– O ile nie dojdzie do znaczących uszkodzeń kory mózgowej i ośrodków ruchowych, epibioty zachowują pełną zdolność ruchowo-bojową przez bliżej nieograniczony czas. No, przynajmniej do ostatecznego zużycia tkanki mięśniowo-

chrześcijańskiej, prawda?

W głowie wirują mi huraganem myśli, nie mogę pozbyć się wrażenia, że coś mi umyka...

– Profesor, a co z Łabodkinem? On też z wami pracował?

– Anatolij Gieorgijewicz? Nie, gdzieżby tam, młody człowieku. – Profesor uśmiecha się, wznosi oczy ku sufitowi. – Łabodkina ja znam... hm... od sympozjum w osiemdziesiątym ósmym, poznaliśmy się, gdy ja jeszcze zwyczajnym doktorem nauk był. Podobno działał w Kijowie potem, bardzo mocno zaangażował się w projekty w Strefie. No, a potem tak wyszło, że po dwóch stronach granicy się okazaliśmy, on poszedł do *NII „Agroprom”* pracować...

– „Agroprom”? – podchwytyję. – Łabodkin pracował na „Agropromie”?

– „Agroprom”, młody człowieku, to zaledwie przykrywka, czubeczek góry lodowej – patrzy na mnie szalony profesor. – Łabodkin Anatolij Gieorgijewicz zaangażował się w badania programu pozazmysłowego, zawsze ciągnęła go parapsychologia, jeszcze w latach siedemdziesiątych działał w laboratorium biokomunikacji, a potem, po rozwiązaniu wydziału w Leningradzie, przeniósł się tutaj, do Kijowa, gdzie bliżej na Zachód mu było. Wiecie, młody człowieku, takie czasy były, że każdy na delegację próbował wyjechać – do Bułgarii po ubrania, albo nawet do Czechosłowacji... A po osiemdziesiątym szóstym słyszałem, że prowadził badania wokół Strefy. Ponoć wpływ radiacji na psychikę sprawdzał. Phi, doprawdy, Michaił Markowicz, no pomyślcie sami – poważny naukowiec, goniący za jakimiś pseudofantastycznymi wymysłami parapsychologii!...

Patrzę jeszcze raz na twarz ze zdjęcia, zamykam oczy, wspominam moje koszmary.

– ...natomiast to, młody człowieku! – Stuka palcem w pełny

szarego popiołu słój. – To jest prawdziwa nauka! To jest namacalny, żywy dowód na tryumf podejścia naukowego nad pseudoreligijnym bełkotem! „Życie pozagrobowe”, ha! – „życie wieczne” raczej!

Kręci mi się w głowie, dłużej tu nie wytrzymam – filtr w pochłaniaczu muszę wymienić... Wstaję, czując, że muszę stąd wyjść jak najszybciej, że nie wytrzymam ani chwili dłużej z tym obłąkanym zbrodniarzem. Patrzę na dozymetr – na Czarnego Stalkera, to sobie pogadałem.

– Profesor, mnie pora. Dziękuję wam za gościnę i opowieści.

– No, zachodźcie częściej, Michaił Markowicz! – Profesor Artjomow wstaje razem ze mną, rozkłada ręce zapraszająco. – Odprowadzę was do wyjścia, bo ten bumelant Dmitrij znów gdzieś się pewnie schował... A może wam trzeba czegoś? Jedzenia wam przyniosę, wody dać czystej?

– Nie, profesor, dziękuję. – Aż wzdrygam się na myśl o tym, jak ten człowiek wytruł i zamienił w żywe trupy ochraniający go przez półtora roku oddział. Ciuchy po tej wizycie chyba spalę, a popioły do rzeki wrzucę...

– Szczęśliwej wam drogi! – Macha mi przez wybite okno, a ja nadal mam wrażenie, że coś ważnego przegapiłem...

– Profesor! – Odwracam się na pięcie, raz jeszcze przedzieram przez krzaki. – Obiekt Zero! Wy przecież o Obieckie Zero mówili!

– No, mówił ja, prawda, Michaił Markowicz – patrzy na mnie lekko stropiony naukowiec.

– Profesor, wy wiecie, gdzie Obiekt Zero stoi? – Wyciągam i rozkładam na stoliku sztabówkę. Artjomow chwilę patrzy na papier, próbując zrozumieć oznaczenia, potem brudnym, szponiastym paluchem dźga w mapę.

– Tu.

– Wy pewni, profesor? – Patrzę na niego. – Przecież to...

– Toż mało razy ja tam był, młody człowieku! – zagłada mi w oczy obłąkany dziadek. – Mogilnik to najlepsze miejsce przecież, tam nikt nie zajrzy!

– Dziękuję wam, profesor. – Składam mapę. – Do widzenia.

Gdy odchodzę, czuję na plecach jego wzrok.

Obiekt Zero.

Idziemy.

Obiekt zero

Duszę się.

Walczę i próbuję drapać pancerne szkło, ale palce tylko skrzypią po wnętrzu kadzi. Usiłuję krzyczeć, ale maź zalewa mi usta, piecze w rozwarte paniką oczy, wdziera się do nosa. Elektrody w głowie rażą mózg prądem, czuję, jak powoli zaczyna opuszczać mnie świadomość, jak na jej miejsce wlewa się wszechogarniająca, pusta czerń... Czerwone, zbawienne światło rozjarza się gdzieś daleko, spadam na dno pojemnika, robię się nieznośnie ciężki i bezwładny. Jakieś ręce podnoszą mnie, widzę błysk światła na strzykawce, potem zbliżające się prostokąty defibrylatora.

Widzę przez okienko oświetlony błyskiem księżyca kompleks – ponure, betonowe ściany kazamatów szpitalnych, zakratowane okna, strażników na dachu. W oknach bloku operacyjnego pali się jasne światło – rzeźnicy pracują do późna, nadając cierpieniu nowy sens. Stoję tak, nawet gdy słyszę zbliżające się korytarzem kroki. Stoję, bo dałem radę o własnych siłach wstać po raz pierwszy od tygodni. Stoję, bo przestałem już czuć ból w kręgosłupie, plamiącym siennik burobrązową ropą. Stoję nawet, gdy otwierają się za mną drzwi i trzech strażników wchodzi po mnie do celi. Czuję ich strach i nienawiść, czuję ich myśli i emocje, czuję ich umysły tak blisko... a potem jest tylko uderzenie paralizatora w kark.

Jadę – jestem wieziony – na wózkonoszach przez korytarze. Nade mną jednostajnym tempem przemykają lampy jarzeniowe – raz, raz, raz, raz... Uderzenie stołu w wahadłowe drzwi odzywa się bólem całego ciała, próbuję krzyczeć, ale nie mogę poruszyć

nawet palcem u ręki, więc wydobywa się ze mnie zaledwie żaloszny jęk. Wjeżdżam do wyłożonej kafelkami sali, ustawiają mnie pod dwiema ogromnymi, okrągłymi lampami, które niczym miniaturowe słońca świecą mi w bezsilnie otwarte powieki. Gdy po raz kolejny stają nade mną upiory w fartuchach i maskach z gazy, zbrojne skalpelem, piłą i lancetem, zaczynam łkać w głębi mej czarnej duszy. Jak przez grubą, puchową kołdrę słyszę echa rozmów, suchych, zdawkowych uwag rzuconych obojętnym tonem, terminów medycznych i wartości odczytów na aparaturze. Gdy włączają piłę, a nade mną nachyla się twarz w okularach w rogowej oprawce, miga mi jeszcze tylko myśl:

Boże...

...czy to jest kara za to, co zrobiłem?

– Misiek!

Rzucam się, podrywam, próbuję usiąść, ale silne ręce trzymają mnie, zakrywają usta. Walczę, miotam się, chcę wyrwać oprawcom, rozbić szkło pojemnika, zeskoczyć ze stołu i uciec, uciec, nie czuć, nie myśleć...

– Miszka, uspokój się! Wszystko w porządku, Miś!

Nade mną spokojna, ale stanowcza twarz Dra, obok niego Tribik cmoka ustami i kręci głową.

– No, ty dajesz, gościu... Poznał nas już czy w mordę dać?

– Poznał... – chrypię przez suche gardło. – Poznał, puśćcie mnie, chłopcy.

Tribik odchodzi, siada przy żarzącym się na środku pokoju ognisku, raz jeszcze patrzy na mnie, widać, że coś sobie myśli, w końcu spluwa w ogień i pociąga solidny łyk z manierki. Dr siedzi obok mnie na posłaniu, wyciąga latarkę, świeci mi w oczy.

– A, no spokojnie teraz, nie krzywi mi się... Tak, drugie teraz... Nazwisko, imię pamięta?

- Pamiętam – odburkuję. – Nie twoja sprawa.
- Mhmm... Rok, data?
- Dwa tysiące trzynasty, zima pewnie. Po cholere pytasz, jak sam nie wiesz?
- Obowiązek lekarza – konstatuje krótko Dr. – Odruchy w normie, ale długo tak nie pociągniesz, choćby dlatego, że coś na te twoje wrzaski przyjdzie i cię zje. Niech no mi się przyzna, każdej nocy tak ma?
- Skąd mam wiedzieć, co? – Próbuję usiąść na materacu, ale kręci mi się w głowie. – Śpię przecież, nie?
- Czyli zaczął sypiać w ogóle... No, to już pewna poprawa. Koszmary? – Notuje sobie coś w swoim kapowniku nasz konował. Kątem oka widzę, że za oknem czarno jeszcze, tylko księżyc przyświeca po zapadających się dachach.
- Co noc. – Opadam na posłanie, zamykam oczy. – Sam widzisz przecież.
- Hmm. Tabletki bierze?
- Przestałem miesiąc temu.
- Mógł powiedzieć przynajmniej. – Spogląda na mnie karcąco. – Jak bez tabletek?
- Bez tabletek, bez różnicy – wzdycham ciężko. – Śpię po cztery, pięć godzin, niby regularnie, ale koszmary jak w zegarku. Zawsze to samo – operacje, szpitale, podtapianie, lobotomia, elektrowstrząsy... No i te budynki.
- Mhm. Medycznie nic ci nie jest, nawet poziom radiacji w normie. – Dr przejeżdża nade mną swoim szpanerskim, podrasowanym DP5V. – Tylko psychika siada. Kiedy ostatnio na Dużej Ziemi był, a?
- Nie pamiętam – odpowiadam zgodnie z prawdą.
- Widzę, że chce o coś jeszcze zapytać, ale huk wystrzału z zewnątrz przerywa naszą słodką rozmówkę. Dr podrywa się,

sięga po broń, ja rozsuwam śpiwór, zaczynam naciągać buty.

– Bojcy, do strzelnic! – rozlega się głos Buolkiego. – Czarnobylce do nas idą dużą sforą, chyba u nich *psi-sabaka* na czele!

– No i co? – Obok mnie Tribik wkręca zapalniki i upycha granaty po kieszeniach. – Wykrył Dyry, że coś przylezie. Schody moje! – Łapie swojego AKS, wyskakuje na korytarz.

– Tylko granatów w pomieszczeniach nie rzucaj, durak! – drze się za nim Dr, ale nie wiem, czy tamten go słyszy. Odbezpieczam i repetuję *Zbawiciela*, podchodzę do wybitego okna – faktycznie, czarne zgarbione kształty czarnobylskich pseudopsów przemykają ulicami wokół naszej niedużej twierdzy, małe pyski błyskają ogromnymi zębiskami. Kolejny strzał ze SCAR-a – jeden z psów znika niczym bańka mydlana, rozwiewając się obłokiem pary. Czyli będzie psionik. Wychylam się przez okno, biorę na cel najbliższego psa – za trytowe przyrządy celownicze zapłaciłem swego czasu jak za przysłowiowe zboże, ale było warto, bo pociągam tylko za spust, a bestia zwija się bezkształtnym tłumokiem na zarośniętym chodniku. Zapalam latarkę, omiatam światłem okolice – dwa kolejne czarnobylce biegną po ulicy, ale rozdzielają się i chowają w cieniach, gdy tylko je zauważam. Bydlaki, podobno czują, jak się na nie patrzy, więc podejść takiego to prawie niemożliwość...

– Granat! – słyszę niemalże jednocześnie radosny okrzyk Tribika i przerażony wrzask Buolkiego, który szczupakiem wskakuje do wnętrza budynku z balkoniku, z którego się ostrzeliwał. Eksplozja targa nocnym powietrzem, odłamki rykoszetują po domach wokół, fragment czegoś wlatuje do naszego pomieszczenia i rozrzuca żarzące się główne z ogniska, posyłając w diabły imbryk z niedoszlą kawą.

– Tribik, ty złamasie pieprzony! – drę się po polsku, słysząc maniakałny śmiech domorosłego grenadiera. Z zewnątrz wyraźnie dobiega jednak skowyt rannych psów. Buolki wyskakuje z powrotem na swoją pozycję, słyszę kilka strzałów z pełnokalibrowego karabinu, więc sam też znowu wychylam się przez moje okno... I widzę czarnobylca, szczerzącego zębiska na dachu budynku obok.

Bydlę musiało wleźć na piętro, a stamtąd jakoś przedostać się na dach – zawsze czułem, że czarnobylce są o wiele mądrzejsze od reszty bestii Zony, a jeśli idzie o złośliwość, to dorównują chyba tylko ludziom. Wiem, że nie zdążę, ale muszę spróbować – w akcie desperacji rzucam się do tyłu na plecy, aby choć minimalnie zyskać odległość, bo pies już skacze na mnie z góry, widzę zbliżającą się, zaślinioną paszczę pełną ostrych kłów, pałające nienawiścią żółte ślepia i staram się za wszelką cenę przysłonić ten widok niewyobrażalnie wolno sunącą ku górze lufą strzelby, widzę łeb w szczerbinie i pociągam za spust...

Odrzut i szarpnięcie prawie że wyrywają mi broń z ręki, chwilę potem pseudopies spada na mnie całą masą kilkudziesięciokilogramowego cielska – przeszywający ból lewego przedramienia, na którym zamykają się szczęki jak imadła, twarz owiewa dech niosący zatykającą woń starego mięsa. Wielki czarnobylec rzuca się i rwie mi rękę, krwawiąc z grzbietu rozoranego wiązka śrutu, ja próbuję przetoczyć się na górę, sięgnąć po nóż, ale wtedy widzę, jak w bok stwora wchodzi aż po rękojeść bagnet od AK – ciało wiotczeje, rozwieram prawą dłoń wielką paszczę, zrzucam z siebie bestię. Dr pomaga mi wstać, wyciera nóż o spodnie, chwyta karabin i biegnie do okna, ja gramolę się na nogi zaraz za nim...



– Odchodzą! Podają tyły! – słyszę okrzyk Buolkiego, który pojedynczymi strzałami stara się jeszcze sięgnąć uciekającego stada. Faktycznie – sfora zostawiła zabitych i zdecydowała się odpuścić, nie chcąc tracić bez sensu sił. Ciekawe, czy dorwaliśmy przywódcę? Pewno nie, upolować psi-czarnobylca można chyba tylko przypadkiem, te bydlaki prawie się nie pokazują i zawsze jako pierwsze odstępują.

– He, tośmy się ubawili! – Na pięterko wdrapuje się cokolwiek osmalony Tribik. – Tam na dole ze trzy sztuki się nakryły, jednym jak rzuciło, to normalnie...

– Nu, ostrzegaj następnym razem, bo nas pozabijasz, debilu! – warczy na niego Buolki, oglądając krytycznie swój sprzęt. – Albo nie rzucaj tak blisko, jak tu szrapneli poleciecieli, to aż kawę nam rozpiżdżyło.

– A? – marszczy się do niego Tribik.

– Uważaj, gdzie rzucasz, bambaryło szczerbaty! – drze się Buolki.

– Co? Toż ja nic nie słyszę, w uszach mi dzwoni – chichocze Tribik, wypinając magazynek. – Od futryny mi się odbił, pod nogi same, dobrze, że go wykopać na dwór zdążyłem, cholera jasna... Nożeż wy suki! Który moją kawę wylał?

Wymieniamy z Drem spojrzenia, ja bez słowa ściągam kurtkę, koszulę i bluzę, on otwiera apteczkę, przełamuje ampułkę z antybiotykiem. Dobrze, że zima, to i ciuchów sporo miałem, inaczej by mi rękę odgryzł, suczynsyn jeden, ale i tak krwawi jak cholera... Krzywię się, gdy Dr przelewa ranę spirytusem i wbija *szpryc-tubik* z końską dawką leków.

– Polej gencjaną, się zagoi... – jęczę, ale już widzę, że na tym się nie skończy. Kurczę, jak ja nienawidzę szycia. Od małego, jak wpadłem do piwnicy na żelazny kosz z cebulkami

kwiatów, mam uraz do zszywania ran. A piwnica głęboka była, dwa metry jak nic, prosto w dół... Dużo szczęścia, że nogą się wtedy na ten pręt nadziałem, a nie krzyżem na przykład. Syczę, gdy igła wbija mi się w skórę, ciągnąc za sobą chirurgiczną nić.

– Duży chłop, a jak baba jęczy. – Dr podnosi na mnie skupiony wzrok. – Poświeciłby lepiej, ciemno tu jak w *żopie*... Misiek, jest chwila, pomówić nam trzeba.

– Nie teraz – ucinam. – Nocleg i tak już spalony, świt niedługo, możemy ruszać. Zaszuj mnie, załóż bandaż i idziemy.

– Jak chcesz.

* * *

Mogilnik Sawiczi położony jest jakieś pięć kilometrów od zabudowań wsi, więc dojście tam zajmuje nam sporą część dnia – mimo że poruszamy się wzdłuż ułożonej z betonowych bloków dojazdówki dla ciężarówek, to musimy przecież nadkładać sporo drogi, by omijać gęsto rozsiane tu anomalie. Tło promieniowania jest dość wysokie, więc wszyscy idziemy w maskach i pochłaniaczach, by nie nałykać się bez sensu radioaktywnego kurzu; mimo że ziemia jest wilgotna od padających deszczów, to często trafiają się suche place wokół „żarników” albo innych anomalii grawitacyjnych. Poza tym zdarzają się „gorące plamy”, gdzie poziom nawet kilkakrotnie przewyższa normę, a nie trzeba w takim miejscu długo stać, żeby nałykać się rentgenów za cały tydzień. Jedziemy wszyscy, co do jednego, na dwukrotnej dawce jodu i antyradów, poza tym każdy z nas targa na sobie ciężką, gumowaną pałatkę, którą po prostu wyrzuca się po kilku podobnie ryzykownych przemarszach. Niewiele słyhać pod takim kapturem, do broni też się szybko nie sięgnie, ale radiacja

zabija najgroźniej, bo niewidocznie... O rany, zaczynam myśleć sloganami z sowieckich plakatów propagandowych.

– Przenikliwie tu trochę, po nogach ciągnie, a, *riebiata*? – uśmiecha się samymi oczami za szkłem maski Dr. *Skwozniak*, czyli „przeciąg”, to taki niegroźny eufemizm na promieniowanie przenikające. „Cugi tu chodzą” – jak mawiała moja babcia na Dużej Ziemi – nawet dawka w granicach jednego milisiwerta na godzinę to już sporo, mniej więcej tyle, ile w normalnym świecie uznano by za wysoki poziom radioaktywności w elektrowni jądrowej. Tam lataliby pajace w śmisznych białych wdziankach na ołowianej podszewce, a my tylko getry pod spodniami mamy. Nasz mechanik ma swój radiometr wyskalowany we wszystkich możliwych jednostkach, mój stareńki geiger podaje tylko standardowe wskazania – no, tutaj mamy siedemdziesiąt pięć milirentgenów na godzinę... nie mikro, tylko mili! A więc posiedzisz tu trochę ponad godzinę i masz przekroczoną dawkę na rok. Przyspieszamy mimo woli kroku – niedługo powinniśmy wyjść na ogrodzenie mogilnika, a potem... no właśnie. Co potem, to się zobaczy na miejscu.

Muszę przyznać, że człowieka zdejmuje duży szacunek, gdy wchodzi się na teren starego składowiska odpadów radioaktywnych. Droga biegnie prosto jak strzeł, ginąc gdzieś dalej pomiędzy równymi hałdami ziemi, skrywającej doczesne pozostałości sprzętu, którego używali niegdysiejsi likwidatorzy awarii na CzAES – prajcowie wszystkich stalkerów, w samych tylko mundurach ładujący łopatami radioaktywną ziemię na ciężarówki, wożący piach do gaszenia reaktora i udzielający pierwszej pomocy cywilom... To były czasy potwornego obłędu, ideologii i kłamstwa, ale chyba jeszcze większego poświęcenia. Mało kto z likwidatorów wiedział, przeciwko czemu naprawdę próbują walczyć, na pewno szli wypełniać swój obowiązek w

nieświadomości, która jest ponoć tak ważną częścią życia, bo pozwala nam nie zauważyć granicy między życiem a śmiercią – ale jestem pewien, czuję tą ruską częścią mojej duszy, że wielu z nich nie zawahałoby się zrobić tego samego, nawet mając pełną świadomość ogromu niebezpieczeństwa. To była prawdziwa tragedia i równie prawdziwe poświęcenie i bohaterstwo.

– Miś, nam daleko jeszcze? – głos Buolkiego przytłumiony jest przez maskę, ale wyczuwam w nim napięcie.

– Wiem tyle, co i wy, towarzysze stalkerzy. – Wzruszam ramionami. – Tutaj ma być Obiekt Zero. Jeżeli go tu zbudowali, to...

Szturchnięcie w ramię, odwracam się do Tribika, który pokazuje na coś palcem. Spoglądamy wszyscy w tamtą stronę – za zakrętem drogi stoi wymalowany w białoruski kamuflaż GAZ-2975, czyli tigr, wschodni odpowiednik amerykańskiego hummvee. Widać, że ściągnęła go z drogi pobliska anomalia grawitacyjna, która najwyraźniej zdążyła już sprasować mu na naleśnik przednią część maski i prawdopodobnie dość spektakularnie wypatroszyć kierowców, których resztki wciąż tkwią w okienkach przedniej szyby, ale ciekawe jest zupełnie co innego... Tigr miał swoją premierę jakoś w połowie pierwszego dziesięciolecia nowego wieku, co znaczy, że to dość nowa maszynka, jak na mogilnik z osiemdziesiątego szóstego. Drzwi przedziału pasażerskiego są otwarte, co znaczy, że przewożeni piechociarze dali radę się wydostać... No, przynajmniej kilku z nich, stwierdzamy, gdy przechodzimy obok i zaglądamy do środka. Ciekawe, bo po śladach wyżłobionych przez opony próbującego wyrwać się z anomalii wehikułu widać, że jechał w tę samą stronę, co my, czyli DO mogilnika. Ciekawe, ciekawe... ruszamy nieco szybciej.

– *Jobana w rot chrienowa mać...* – mruczy pod nosem

Buolki, gdy mijamy ostatni zakręt i wychodzimy na otwarty plac pomiędzy ogromnymi hałdami ziemi. Szczerze mówiąc, sam bym tego lepiej nie ujął. Nie wiem, kto wpadł na pomysł zbudowania czegokolwiek na cmentarzysku odpadów radioaktywnych. Tym bardziej nie wiem i boję się myśleć, jaki to zwyrodniały umysł rozkazał stawiać tu pełnowymiarową bazę.

Po lewej stronie, pod skłonem wzgórza gnieźdzą się cztery wielkogabarytowe garaże dla samochodów ciężarowych; ponad nimi dwa bunkry strażnicze straszą otworami strzelnic, zamaskowanych od góry warstwą ziemi. Koparki i dźwigi budowlane zastygły tak, jak zastała je Emisja w dwa tysiące szóstym – podniesione ramiona, betonowe segmenty na hakach, łyżki wciąż pełne ziemi, w której zdążyła wyrosnąć przez ten czas trawa i nieduże drzewka. Niedokończona wylewka po prawej urywa się rozmytą warstwą betonu, który zastygł kaskadą spływającą z przemysłowej betoniarki; pancerny szkielet dwukondygnacyjnego budynku pokryty warstwą darni i idealnie wkomponowany w hałdę ziemi, którą przecież mijaliśmy po drodze! Wszędzie spod ziemi wystają rury i kable wysokiego napięcia, widać, że w założeniu miał to być potężny obiekt wojskowy – nad większością terenu wciąż wiszą resztki siatki maskującej, teraz pokrytej „żrącym puchem” i poprzerywanej przez padające w Zonie kwaśne deszcze. Ale nie na niebo nam trzeba patrzeć, o nie...

– Towarzysze komsomolcy, oddział stój; u mnie dwie wiadomości – ogłasza idealnie spokojnym głosem Dr. – Jedna dobra, a druga zła.

– Dawaj, z dobrej zaczynaj – rzucam, bo sam już widzę, jaka zła będzie.

– Dobra wiadomość taka, że radiacja tu tylko nieznacznie

powyżej normy; a zła taka, że miny.

Nie da się nie zauważyć, szczególnie że zaraz obok drogi zieje spora jama, i to świeża. Cały teren wokół placu budowy znaczą kolorowe paliki – niezawodny sposób oznaczania sadzonek na polach śmierci... Tu i ówdzie znać, że coś się na nie kiedyś ładowało, jako że leje po detonacjach i resztki padliny dość wymownie świadczą, że zabójcze pułapki wciąż działają. W niektórych miejscach grunt osiadł albo spłynął wraz z deszczówką, tam wyraźnie widać wąsiki czujników przeciwpiechotnych min odłamkowych i pomontowanych tu i ówdzie fugasów. Ktokolwiek to robił, robił to metodycznie i nie licząc się ze środkami... Ciekawe jest to, że zaminowany jest też sam plac budowy – linki potykaczy ciągną się pomiędzy porzuconym sprzętem, przyczepione do drutów zbrojeniowych granaty straszą rychłą śmiercią, na betonie miny leżą zupełnie swobodnie, niczym krowie placki po przejściu Imperial Walkera z lodowej planety Hoth... Ten teren zaminowano PO Emisji dwa tysiące szóstego roku, zostawiając wolną tylko drogę dojazdową po betonie.

– *Nu, niczego sobie...* – próbuje zagwizdać pod maską Buolki, ale średnio mu to wychodzi. A potem po prostu podrywa broń, zrzuca bezpiecznik i otwiera ogień. Zanim załapuję, co się stało, zaczyna pluć ołowiem też G36 Dra, ten strzela krótkimi, mierzonymi seriami, praktycznie nie mając odrzutu na małokalibrowym karabinku. Zrzucam płaszcz, rozglądam się dokoła – i widzę...

– Snorki! – krzyczy Dr. – Snorki na dziesiątej!

Snorki. Najpaskudniejsze chyba i najbardziej ohydne stworzenia Zony, bo tak strasznie podobne do ludzi... „ohydne” i „podobne”, bo kiedyś to BYLI ludzie. Jak rzadko w którym wypadku, tu akurat stalkerskie podania są zgodne co do genezy

tych stworów; co do jednego snorki noszą porwany w strzępy kamuflaż, duża część z nich nawet jeszcze nie pogubiła wojskowych butów, więc nie ma wątpliwości, że są to byli żołnierze jakiegoś wyjątkowo pechowego oddziału – albo batalionu raczej, zważywszy na to, ile tych bydlaków spotyka się głębiej w Zonie. Biedacy musieli mieć dość ogarniętego dowódcę, który widząc idącą Emisję, najwyraźniej zdążył dać rozkaz: „Maski włóż” – niewiele to co prawda pomogło biednym sukinsynom, poza tym, że wszyscy mają teraz te maski p-gaz przyspawane na stałe do twarzy... Co wcale nie przeszkadza im poruszać się w tempie, jakie wprowadziłoby w zdumienie dowolnego kaprała-sadybę, lubiącego sobie popatrzeć, jak „słoniki” biegają wokół placu – snork potrafi z miejsca skoczyć na kilkanaście metrów w dal, wspinać się po niemalże pionowych powierzchniach i w ogóle wyczyniać cuda akrobatyki, oczywiście w międzyczasie wyrywając ci krtań i łamiąc kręgosłup.

– Suuuukiiii! – otwiera ogień na oślepego Tribika, wbrew rachunkowi prawdopodobieństwa trafiając jednego stwora w połowie skoku, w wyniku czego postrzelony w powietrzu skoczek zamiast na nas trafia prosto w stalowe ramię koparki i bezwładnie osuwa się na glebę, przy okazji wyrywając zawleczkę potykacza i detonując pod sobą ładunek. Tribik zdążył w tym czasie już wywalić cały trzydziestonabojowy magazynek, więc sięga do ładownicy, nie mogąc widzieć potwora, który przyczał się na hałdzie złomu po prawej. Mógłbym krzyknąć, ale tak będzie prościej – po prostu podstawiam nogę i obalam Tribika na ziemię, dzięki czemu pazury snorka przelatują o cal od jego twarzy, samo monstrum przetacza się po betonie i skacze od razu dalej, nim zdążę wziąć go na cel. Tribik klnie na ziemi i pomstuje na kilka pokoleń

moich przodków, Buolki pojedynczymi strzałami stara się sięgnąć dalsze stwory, Dr kryje ogniem średni zasięg... Dzięki niech będą Czarnemu Stalkerowi, że poszliśmy razem, bo tutaj zakończyłaby się moja przygoda. Kolejny snork rusza na mnie, ale takie było założenie – niech skoczy, niech skoczy... Tak! Stwór wybija się, rozczapierza pazury i przygotowuje się, żeby obalić mnie na ziemię i samym uderzeniem połamać kości, ale gdy tylko odrywa się od ziemi, ja rzucam się w bok, odsuwając z trasy lotu. Widziałem kiedyś snorka, który skoczył z trzeciego piętra budynku na wiszącą na dźwigu tregę i trafił na nią bez pudła, więc nie boję się tego, że może wpaść na mnie przypadkiem – wyląduje tam, gdzie celował, a zatem tam, gdzie mnie już nie będzie. Mam na wyciągnięcie ręki wąż maski starego typu, słyszę wściekłe warczenie potwora, który ląduje w pustce i przetacza się isticie akrobatycznym saltem w przód, po czym na spokojnie strzelam mu w plecy, poprawiając od razu, gdy jeszcze próbuje się podnieść. Jezu, jak cholernie boli mnie ręka, zapomniałem! Drgający trup siłą bezwładności leci kawałek jeszcze naprzód, malując krwawy ślad na betonie, a potem znika z mojej mapy niebezpieczeństw – odwracam się i posyłam wiązkę śrutu w następnego snorka, tłukąc szkła maski i odstrzeliwując mu kawał łba. Potwór przechyla się w tył i znika za kadłubem starego BMP, powinien już nie żyć na dobre, ale duża część poronionych dzieci Zony ma zaskakujące zdolności regeneracyjne, więc nie można nic zakładać... Rozglądam się dokoła, ale chyba już po balu – snorki znikają równie nagle, jak się zjawiały, tylko nasze dyszenie przez filtry i dym prochu świadczą o tym, że coś się tu stało.

– Nu, mnie już dość! – zrywa maskę z twarzy Buolki, czerwony, jakby miał zaraz wylewu dostać, spocony jak nieboskie stworzenie... Jakby czekając tylko na pierwszego,

wszyscy ściągamy filtry i półmaski, z ulgą dysząc radioaktywnym, ale świeżym powietrzem, a nie kotłującymi się pomiędzy zaworami oparami własnego potu i lotnymi frakcjami kauczuku. Osuwam się na kolana, zwieszam głowę, mam ochotę tylko napić się i zjeść cokolwiek...

– Powstań, powstań! – Dr blady ze zmęczenia, ale przytomny umysłem. – Powstań, do betonów dojdziemy, tam robimy postój, a teraz na nogi, towarzysze komsomolcy! Broń w pogotowiu, magazynki wymienić, oczy dokoła głowy! Tribik, ty prowadzący, Miś i Bolek środkiem, ja zamykam, naprzód marsz!

Zataczając się ze zmęczenia i spluwając gęstą flegmą, dajemy radę dowlec się do niedobudowanego schronu, gdzie planujemy odpoczynek – ja ruszam sprawdzić zakamarki betonowego szkieletu, chłopcy ubezpieczają przód od ewentualnego powrotu snorków. Budowa przerwana dosłownie w pół taktu – worki skawalonego cementu przy betoniarkach, otwarte skrzynki z narzędziami stoją przy do połowy zaizolowanych przyłączach, tu i ówdzie jeszcze palą się jupitery, przy których musiały iść prace w nocy. Pod nogami walają się kaski i resztki odzieży roboczej, miejscami trafiam na rozwłócone ludzkie kości. Pamiętacie, jak mówiłem, że nie lubię miejsc zamieszkałych do dwa tysiące szóstego? No właśnie dlatego ich nie lubię. Zona jest pusta i wroga, to fakt, opuszczone wioski straszą na każdym kroku, ale tutaj praktycznie czuć jeszcze zapach śmierci i słyszeć echo krzyków. Wychodzę na piętro, spoglądam w dół na plac budowy – stąd wygląda to wszystko jak zabawki, porzucone przez znudzonego chłopca w piaskownicy. Widzę pojedynczego snorka, jak przeskakuje między hałdami złomu kawałek dalej... Trzeba będzie tu uważać.

– Tutaj czysto, panowie stalkerzy! – krzyczę do moich na

dole. – Snorka widział ja, uważać tam!

– Ty na dół dawaj, Misz! – słyszę Tribika. – My wejście znaleźli, chyba ty jednak prawdę mówił!

Rzucam jeszcze okiem na plac... Biały tigr stoi zaparkowany po lewej stronie, przodem do wyjazdu na betonową drogę. Schodzę na dół, patrzę na ogromne drzwi schronu atomowego otwarte na oścież i niknącą w ciemności za nimi rampę.

– To tutaj dużo wcześniej było. – Dr ogląda ścianę wokół framugi kilkutonowych stalowych wrót. – Beton starszy, a tu nową wylewkę dodali. Rozwinięcie istniejącego kompleksu czy co?

– Tam na placu drugi tigr stoi. – Pokazuję kciukiem za siebie. – Pójdziemy sprawdzić?

Rozglądając się dokoła i pilnując pleców, podchodzimy całą grupą do wojskowej maszyny. Samochód wygląda tak, jakby ktoś zaparkował go tu na chwilę i zapomniał o nim na kilka lat, bo warstwa kurzu, brudu i liści na masce jest już zauważalna, ale nawet w połowie nie tak gruba, jak na innych porzuconych tu sprzętach budowlanych. Rzucamy muterki i śruby, łapiemy powietrze dyszami liczników, ale wygląda na to, że wszystko w normie. Buolki jako pierwszy znajduje w sobie odwagę, pociąga za klamkę drzwi do kabiny.

– Nu, otwarte! – Jest chyba równie zaskoczony, jak my. Tribik z radosnym okrzykiem rzuca się do przedziału transportowego – były zawodowy żołnierz, więc wie, czego i gdzie szukać... Jego ochy, achy i inne zabawne ruskie zawołania świadczą o tym, że samochód musi być nieźle zaopatrzony. Buolki bobruje po kabinie, ja i Dr wymieniamy tylko spojrzenia i dalej pilnujemy okolicy, bo w takich momentach o śmierć najłatwiej.

– Bolek, znajdź no tam gaśnicę w środku! – rzucam przez ramię, łapiąc myśl. Z samochodu wylatuje podłużny czerwony pojemnik, chwytam go w locie, przekręcam i odcyfrowuję etykietę...

– Nu, dawaj – patrzy się na mnie pytająco Dr. – Który?

– Producent AwangardSpecMontaż, zawartość, sposób użycia, zalecenia, waga... Data produkcji: grudzień dwa tysiące sześć, ostatni techniczny sprawdzian: lipiec dwa tysiące osiem, ważny do: grudzień dwa tysiące osiem.

Przez chwilę milczymy obydwaj, bo w sumie to nie wiadomo, co powiedzieć. W dwa tysiące ósmym roku, ponad dwa lata po utworzeniu się Zony, wjechał tu na najnowocześniejszym sprzęcie oddział białoruskiego specnazu – na tyle dobrze przygotowany, że dali radę dotrzeć aż tutaj, kilkanaście kilometrów w głąb terytorium zakazanego, i na tyle głupi i nieostrożny, by wpakować się na dojeździe w „grawikoncentrat”. Nie mówiąc o tym, że DO Zony to wielu daje radę dotrzeć; problemem jest, jak widać, droga powrotna, na której nasz oddział musiała spotkać jakaś paskudna niespodzianka.

– Chłopy, ano popatrzcie wy tylko! – Z przedziału transportowego wyłania się Tribik, obładowany sprzętem jak juczny muł. – Toż oni tutaj arsenał cały mieli, samych WOG-ów dwa pasy!...

– A podlufnik u ciebie jest? – osadza go w miejscu jak zawsze trzeźwy Dr.

– Raz granaty są, to i granatnik się znajdzie! – Niezrażony Tribik zrzuca wszystko na kupę i lezie z powrotem do bagażnika. – Ty taki mądry, a jakby apteczki zobaczył, to sam by zesrał się! O, i ten, do elektrowstrząsów mają... – Pudełko z przenośnym defibrylatorem wylatuje na zewnątrz prosto w

kałużę. Dr kręci głową, podnosi bezcenny pakunek, wrzuca z powrotem do środka i wyciąga za kołnierz protestującego Tribika.

– Ty co, zdurniał zupełnie? – Puka się w czoło. – Życia ci od tego przybędzie? I co z tym zrobisz, głupi? Myślisz, że snorki uciekną ze strachu, jak cię zobaczą?

– Toż to przebrać, najlepsze wziąć, po resztę wróci się! – płaczliwie tłumaczy Tribik, widząc, jak Dr nieubłaganie ładuje łupy z powrotem do samochodu. – Ja granaty tylko wezmę, a resztę na maszynie do Jołczy dowieziem...

Dr wychyla się z samochodu, spogląda na Tribika dzikim wzrokiem, odsuwa się od samochodu i pojedynczymi przestrzeliwuje obydwa tylne koła. Do wtóru jęku Tribika maszyna z sykiem osiada na felgach, ale po chwili słychać bulgotanie pianki i samochód podnosi się na awaryjnie wypełnionych oponach.

– *Ot, czort!* – klnie pod nosem Dr. – *Solidnaja suka*, wojenna... Buolki, a weź no maskę mi otwórz, zobaczymy, co w silniku słychać!

Przechodzimy wszyscy na przód samochodu, gdzie Dr pochyla się nad silnikiem i próbuje rozeznąć w wojskowej technice. W końcu zadowolony konował prostuje się, spogląda na nas tryumfującym wzrokiem, wyciąga pistolet i trzema strzałami w akumulator, chłodnicę i bezpieczniki unieruchamia tigra na zawsze.

– No i ty co narobił najlepszego! – biadoli Tribik. – Taką maszynę rozwalić, tu tyle dobra zdobycznego w środku!...

– Do grobu ze sobą nie zabierzesz – ucina krótko Dr. – Weź to, co potrzebne na teraz tylko, resztę na powrocie się ogarnie, o ile będzie komu ogarniać.

– Tak ja granaty i amunicję wezmę! – Ucieszony

pirotechnik wskazuje na tył transportera. – Tam SP-5 i SP-6 całe pudełka są, znaczy się i broń gdzieś być musi!

Buolki podnosi brwi, wyraźnie zainteresowany – SP dziewięć na trzydzieści dziewięć milimetrów to elitarna amunicja jednostek specnazu, używana chociażby w takich zabawkach, jak...

– *Wintorez* – kiwa głową Dr. – Weź kilka pudełek, podzielimy się. Ale, towarzysze stalkerzy, ostrożnie tam! Jeśli u tych, co tu przyjechali, taka broń była, a i tak z bunkra nie wyszli, to tam wesoło będzie.

– Prawda – potwierdzamy wszyscy. W zasadzie łupy mielibyśmy już tak bogate, że można by spokojnie wracać, ale człowiek nie zostaje stalkerem dla pieniędzy przecież. Jeżeli jest tu faktycznie tajne laboratorium, w którym od lat nikogo nie było, to... No właśnie – każdy chciałby być pierwszy.

– Dyry, daj antyradu i jodu łyknąć, odpocznem trochę i dopiero w podziemia złązić będziem, nie ma się co tam pchać na szybkiego – ordynuję. – Czarny Stalker jeden wie, co nas tam czeka, a my cały dzień już szli przecież. Na dole i tak ciemno, można i nocą złązić przecież, a?

Rozkładamy się na postój w niedobudowanym garażu, gdzie mamy dobrze zabezpieczone tyły i bok, siedzimy na pace wojskowej ciężarówki, bo na posadzce stoi woda do pół łydki. Gdy wchodzę do środka, nie mogę nie zauważyć wymalowanego na kabinie logo Sarkofagu, z którego wyrastają zielone pędy bluszczu; Dr dostrzega moje skupienie, podchodzi bliżej i też patrzy na znak.

– Co, widział to już wcześniej?

– Aha. Na wieży, tej w lesie – odpowiadam.

– I co to jest?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszam ramionami. – Projekt

badawczy jakiś. B430 masz skrót, ty nejtiw jesteś, powinieneś wiedzieć.

– 430 to *Czernobylskaja Zona Otcużdżenija*, czyli Strefa Zamknięta, a to B na początku... Nie wiem ja.

– *Wozrożdżenije* – rzucam na pałę. – Projekt „Odrodzenie”, z kasety pamiętasz?

– Nu taaak. – W zadumie pociera podbródek. – No i odrodzili się, niczego sobie.

– Idź do innych, przykimaj. – Pokazuję mu ręką na ciężarówkę. – Ja postróżuję.

– Miś, póki my jeszcze nie weszli pod ziemię... Nam z tobą rozmówić się trzeba.

– No dawaj – wzdycham ciężko. – Nie odpuścisz, prawda?

– Miszka, poważna sprawa, nie żartuj, a?

– Dawaj. – Spoglądam na mogilnik, nad którym zbierają się ciężkie, deszczowe chmury.

– Te koszmary twoje i bezsenność to zaczęły się jak ty na świniarnik poszedł za Karłowkę, a?

– Ano. – Oglądam uważnie osłonę lufy *Zbawiciela*.

– I te luki w pamięci podobnie, prawda?

– Po co pytasz, skoro wiesz, konowale durny. – Zerkam na jedyne spotkanego w Zonie człowieka, którego mógłbym nazwać przyjacielem. – Dawaj do rzeczy, bo czasu szkoda.

– Co tam się stało, Miszka? – Kładzie mi rękę na ramieniu.

Wzdycham ciężko, kręcę głową.

– Nic takiego, Dyry, nic takiego. Z kontrolerem się spotkałem, potrzepał mnie trochę.

– Ty kontrolera uwalil? – patrzy na mnie w szczerym zdumieniu Dr. – Sam?

– Na granat go ściągnąłem, z linki odpalałem.

– Nu, ty dajesz, stalker... – Cmoka z podziwem. – I on

ciebie tak po rusku nauczył?

– Dyry, ja w Zonie już trzy lata, niewiele krócej jak ty. Może pora, że ja już po rusku gadać zaczął, a?

– Ty mnie, Miszka, oczy nie mydl. – Ścisła moje ramię. – Jak wychodził ty wtedy na *chodku*, to gadał jak dziad z mięsnego rynku, a teraz już prawie akcentu nie słychać u ciebie. Co, za cztery miesiące tak wyuczył?

– *Otstań*, Dyry. – Strząsam jego rękę. – Idź ty lepiej przydrzemać, za godzinę ciebie obudzę.

– Niepokoję się ja o ciebie, Miszka. – Kręci głową, odchodząc.

– Ja też – mówię po cichu sam do siebie, odwracając się plecami do przyjaciela, a twarzą do Zony.

* * *

– Nu, pany burzuje, powstań, powstań! Misza, rusz zadnicę, już dłużej ja twoich jęków słuchać nie mogę!...

Nie ma to jak zostać wybudzonym z koszmaru przez kopnięcie wojskowym buciorem pod żebra. Ale w sumie to wdzięczny Buolkiemu jestem, bo moje sny robią się coraz bardziej szczegółowe i realistyczne... Wycieram rękawem mokrą od potu twarz, czuję, że całą bluzę mam przepoconą – co ja, piżamę mam do snu zakładać czy jak? Obok mnie gramoli się na nogi Dr, Tribik już zeskakuje z kabiny i rusza ku wejściu do bunkra, ćpun adrenalinowy jeden.

Otwarte wejście zionie w twarz wilgocią, zatechłym powietrzem i nieznaną grozą. Stajemy we czterech, każdy sprawdza sprzęt, latarki, ładownice, maski, zawory – normalnie jak nurkowie podlodowi.

– Wszyscy gotowi? – pyta Dr. – Dobra. Ja zostaję tutaj, zabezpieczam wyjście...

Patrzemy z Tribikiem i Buolkim po sobie, ale nie mówimy nic.

– ...i odbieram ewentualnych rannych. Jeżeli was trzech na dole nie wystarczy, to i ja bym nie pomógł, a jeśli dacie sami radę, to znaczy, że tylko bym zawadzał. Logiczne? Logiczne. Pytania? No to dobrej wam Zony, stalkerzy.

– I tobie nie chorować – odpowiadamy chórem, po kolei nurkując w mrok.

Bunkier będzie ogromny – to widać na pierwszy rzut oka. Korytarzem wejściowym swobodnie przejechałby samochód dostawczy, a już na pewno niewielkie wózki widłowe, ustawione karnym rzędkiem w niszy przy windzie towarowej. Na wejściu wita nas ogromny, mozaikowy mural z herbem BSSR i emblematem wojsk rakietowych, niegdyś oświetlany ohydny, socrealistycznym żyrandolem, przywodzącym na myśl drapieżnego pająka z tanich filmów SF. Wszystko to stoi od lat opuszczone, więc zdążyło pokryć się warstwą kurzu, w którym jednak widać nierozróżnialne ślady jakichś dziwnych stworzeń, które muszą bytować w tak kuszącym habitacie.

– Trup – melduje sucho Buolki, badający dawną strażnicę i dyżurkę. – Kilkuletni jak minimum, objedzony prawie do czysta. Kości połamane, więc ostrożnie, tu snorki mogą się zapuszczać.

Idziemy w szyku ubezpieczonym: lewy przedni nieco wysunięty, drugi z tyłu, trzeci pilnuje pleców, starając się nasłuchiwać dowolnych odgłosów, mogących nieść ze sobą potencjalne niebezpieczeństwo. Cisza podziemnego kompleksu aż dzwoni w uszach, ale od czasu do czasu rozlegają się gdzieś w trzewiach bunkra jakieś trzaski, jęki i zgrzyty, rozchodzące się echem pośród betonowych ścian.

– Trup – tym razem melduję ja. – I dalej kolejny. Obydwa cywilne.

Przechodzimy obok zasuszonych resztek nieszczęśników, zapuszczając się głębiej w podziemia. Mijamy rzędy pomieszczeń biurowych, sypialnych, administracji, część sanitarną, umywalnię, nawet kompleks koszar, ale nie ma ani śladu po czymkolwiek, co można by zakwalifikować jako laboratorium. Schron jest nadspodziewanie dobrze zachowany – mimo upływu lat i okazjonalnych wizyt stworów z zewnątrz w większości pomieszczeń panuje jeszcze jaki taki porządek. W sypialniach łóżka zasłane pod linijkę, rzeczy osobiste leżą na szafkach, jakby ich właściciele tylko na chwilę wyszli gdzieś w swoich sprawach i mieli lada moment wrócić... Ale nie wrócą, to wiemy aż nazbyt dobrze. Kalendarze naścienne, niektóre z powykreślanymi dniami albo wyrwanymi kartkami, aż zbyt wyraźnie pokazują nam moment śmierci tego kompleksu – 13 października 2007 roku, sobota. Półtora roku po Drugiej Katastrofie, siedem miesięcy po Drugiej Emisji. Jeżeli wierzyć temu, co mówił mi profesor Artjomow, to mniej więcej w tym czasie przybyła do niego, właśnie stąd, ekipa pod wodzą Simonowa, który odebrał mu jego badania... I sam zapewne zginął w efekcie. „Uderz pasterza, a rozbiegną się owce” – takiego kalibru obiekt może działać tylko jakiś czas po stracie swojego spiritus movens, a jeżeli ten Simonow był na tyle szalony albo na tyle twardy, żeby utrzymać tu ludzi po dwóch Emisjach, to nie dziwota, że po wyciągnięciu sworznia konstrukcja się posypała. Bunt, wypadek, panika, wtargnięcie mutantów z zewnątrz – mogło stać się cokolwiek, pewnie nigdy się nie dowiemy.

– Ruch z przodu! – melduje Buolki, przykuca i daje ognia pojedynczym ze swojego SCAR-a. Huk jest niemalże

ogłuszający w zamkniętej przestrzeni, błysk na chwilę rozświetla cały korytarz, widać w nim sylwetki szczuroskoczków, rozpierzchających się na wszystkie strony i chowających w zakamarkach; na środku zostają tylko dwa tuskany, rozerwane praktycznie na kawałki potężnym, pełnowymiarowym pociskiem, który pewnie żłobi jeszcze sporą dziurę w ścianie dalej.

– Uch, ty dajesz, Bolek... – cmoka Tribik. – Z armatą na komary się wyprawił, *nowyj ruskij*. Kamieniem by lepiej rzucał.

– A ty sam siedem sześćdziesiąt dwa strzelasz, *bulbasz* – odgryza się moskwicz. – Raz taki mądry, to idź kamieniami rzucaj, a my popatrzmy.

Mijamy windę osobową, ale ta również jest martwa – nie reaguje na przycisk wezwania, zresztą nie ma się co dziwić, bo na całym piętrze brak prądu. Wspólnymi siłami udaje nam się otworzyć drzwi do szybu, ale tylko liny ciągną się w dół i znikają w bezdennej ciemności.

– Nu, znaczy się niższe piętro będzie – podsumowuje Buolki. – Nam teraz schody znaleźć trzeba. Tribik, ty wojskowy, gdzie w raketnych bunkrach schody?

– A mnie skąd wiedzieć? – wzrusza ramionami Tribik. – Ja w zaopatrzeniu był, ja po kuchni polowej oprowadzić mogę albo po aprowizacyjnym składzie, a jądrowe wyrzutnie to nie moja działka.

– Chłopy, a wy skąd wiecie, że to bunkier wyrzutni? – pytam, bo chyba coś mi umknęło. Spoglądają obydwaj na mnie jak na niedorozwiniętego.

– Ty znak raketnych wojsk widział? – zagląda mi w oczy Tribik. – Tak pomyśl, co innego może być? Albo anteny, albo rakiety. Anteny widział? Nie widział. Znaczy rakiety.

– Chcecie powiedzieć, że gdzieś tu jądrowe głowice stoją?

– Robi mi się nieco nieswojo.

– Ta jakie głowice u Białorusi, Miszka! – śmieje się Buolki.

– Nu, toż u nich nawet czołgów dobrych nie ma, a gdzie do raket im. Zaczęli pewno budować, jak Czarnobyl-2 i „Dzięcioła” stawiali, ale tak i nie dokończyli. Pod AES zawsze schrony dla głowic są, pod CzAES pewnie i takie były, ale ZeteSeReR nigdy w republiki głowic nie dawał, jak by one bratnie i sojusznicze nie były. Ot, zaczęli budować i rzucili, jak to *bulbaszy*.

– A ty od *bulbaszej* odczep się, Moskal – burczy Tribik. – U nas choć Zona jest, a u was tylko jeziora radioaktywne i lasy płoną.

– Panowie, ja wam przeszkadzać nie chcę, ale na nas się tuszkany gapią. – Ciągnę obydwu za rękawy. Faktycznie, w głębi korytarza stoi kilka stworków, stroszących uszy i syczących przez zęby. Podnoszę broń, ale rozbiegają się, jak tylko widzą ruch.

– Nu i ścierwa – stwierdza Buolki. – Niech się gapią, byle za dużo ich nie przylazło.

– E, tu trup leży! – woła z bocznego korytarza Tribik. – Specnaz, jego mać!

Faktycznie, pośrodku korytarza, przy wyjściu z części umywalnianej, leży obgryziony z mięsa szkielet. Tuszkanie obrobiły go do czysta, ale nie miały sił przedrzeć się przez kevlar i płyty pancerne, więc truposz nadal ma na sobie potężną kamizelkę i okrągły hełm z zasłoną. Dokoła wala się sporo kawałków materiału, zapieć i żelaznych nitów, które drapiezniki pewnie systematycznie zdzierały w poszukiwaniu kolejnych pokładów mięska, między nimi sporo amunicji dziewięć na trzydzieści dziewięć, jakieś resztki systemu komunikacyjnego, chyba jeszcze cały pistolet i...

– Moja, moja, moja! – drze się Tribik, rzucając się na leżący nieopodal karabinek OC-14, znany szerzej jako Groza. – Moja, pierwszy ja zobaczył, maj ołn, maj prrreszyssss...

– Nu, bierz, ścierwnik – odwraca się Buolki niby obojętnie, ale widzę, że sam by miał chrapkę. – Tylko patrz, czy działa i czy tam kawałków poprzedniego właściciela nie zostało...

– Działa, działa wszystko! – Tribik już zdążył odpiąć magazynek, przeładować broń, spuścić iglicę, teraz siada na podłodze i zaczyna zbierać rozsypaną amunicję. – A, no poczekajcie, chłopcy, ja tylko chwilkę i już idziemy... Ha, pasuje, a co!

Patrzemy, jak uradowany niczym małe dziecko Tribik ładuje od przodu granat do lufy wyrzutni – pocisk z głośnym klik zapina się w mechanizm, uzbrajając spust.

– Nu, tylko teraz niech patrzy, gdzie lufą obraca. – Buolki ręką delikatnie przesuwają załadowaną śmiercionośnym towarem broń ku pustemu korytarzowi. – I patrz ty, spustu nie pomył.

– *Wsjo*, teraz ja Dżon Rembo. – Tribik wstaje, ściąga z pleców swój AKS. – Chce który? Nie? No to tu dla przyszłych pokoleń ostanie. – Kładzie wysłużony automat koło trupa.

– Ty choć magazynki zapasowe weź – podaję mu leżące pod ścianą pudełka – a to z jednego se w łeb strzelić można. I zobacz, czy strzela, a to jak on kilka lat tak na brudasa leżał...

– U, a to ty mnie zasmucił – patrzy krytycznie na broń Tribik. – A, no poczekajcie, *riebiata*.

Odsuwamy się kawałek, gdy Tribik celuje do stojących gdzieś na granicy widzenia tuzszkanów i naciska spust – huk, chmura dymu, potem kolejny, jeszcze jeden, potem seria... Wizg rykoszetujących pocisków miesza się z radosnym wyciem stalkera, ostatnie strzały idą odrzutem w sufit, potem broń cichnie.

– Tak!!! – drze się Tribik. – Nu, suki, Michaił Timofiejewicz wam dziś pokaże!

– Nu, jaki on Kałasznikow tobie, a? – Buolki wierci palcem w uchu. – A to nie Lebediew i Telesz grozę robili?

– Michaił Kałasznikow ojcem całego sowieckiego oręża! – Zadowolony z siebie Tribik nie zwraca uwagi na przytyki.

– Toż groza to *Tulskij Arużejnyj Zawod*, połowa dziewięćdziesiątych lat w Rosyjskiej Federacji.

– Oj, *małczy*, Moskal.

* * *

Zejdźcie na dół znajdujemy – a jakże – w najdalszym kącie bunkra, akurat w kawałku, którego sprawdzenie odłożyliśmy na sam koniec. Po drodze natykamy się jeszcze na kilka trupów, w większości cywilnych, ale i dwa noszące pozostałości mundurów – do czysta jednak obgryzionych i rozwłóczonych przez tuskany, więc ciężko nam wnioskować, czy nawet domniemywać, jaka mogła być przyczyna śmierci.

– Światło w dole widać – melduję, bo wchodzę na klatkę schodową jako pierwszy. Szyb wije się przeciwbieżnymi ciągami stopni dobrych kilkanaście metrów w dół, światło latarki z ledwością sięga dna betonowej studni.

– Strzelali tutaj – zauważa Buolki, gdy zaczynamy schodzić. – Z góry na dół strzelali, wzdłuż schodów. Na łuski i ślady po ścianach popatrzcie.

– Dziewięć na trzydzieści dziewięć – podnosi łuskę Tribik.
– Tyle amunicji zmarnować, ech, życie...

– Masz magazynek na zapas. – Podaję mu znalezisko, leżące sobie na schodach. – Ostro strzelali, ale nisko coś, po

schodach... Szczury.

Fakt – schodki pod nami zasłane są mnóstwem małych szkieletów porozrywanych kulami. „Małych” – szczur w Zonie potrafi osiągnąć rozmiar sporego kociaka, więc stado takich krwiożerczych gryzoni potrafi załatwić samotnego stalkera nie gorzej niż tuskany... *Quod erat demonstrandum* zresztą – na samym dole szkielet w podobnym jak na górze pancerzu i hełmie ściska w rękach aż dwie grozy. Słyszę, jak Tribik za mną zachłystuje się z wrażenia, zaraz potem odzywa się Buolki:

– Nu, Tribik, bierz jeszcze dwie. Po jednej do ręki, a trzecią se w *zadnicę* wsadzisz.

– Ty bez żartów, a lepiej tu popatrz. – Tribik przykuca przy resztkach specnazowca, pokazuje na płytę napierśną z wyraźnymi śladami pazurów. – Jego co, Friedzi Kriugier dopadł?

– Chociażby – rzuca Buolki, przestępując nad truposzem. – Tu Zona, tu wszystko może być. Popatrzcie wy, światło dali.

Rzeczywiście, w korytarzach jarzą się słabym blaskiem żarówki, ale mnie bardziej zastanawia co innego – pulsujące czerwienią lampy na skrzyżowaniach korytarzy i podświetlone napisy „*Тревога*”, czyli „Alarm”... Wyłożone białymi płytkami ciągi komunikacyjne wypełnia szum i trzaski, w których ledwo daje się rozróżnić strzępki słów, którymi rzeżą podsufitowe głośniki: *Тревога, тревога!... сотрудникам Объекта...! Нарушен внутренний...!немедленно!...!* Światło drży i rwie się, przez co cienie wydają się rozciągać i tańczyć na ścianach, wzrok płata człowiekowi figle, gdy trudno jest złapać i utrzymać ostrość.

– Trup – konstatuje Tribik. – I jeszcze dwa.

Posuwamy się powoli naprzód, ubezpieczając wszystkie możliwe strony i świecąc w każdą, najciemniejszą nawet dziurę i

kratkę wentylacyjną. Mam wrażenie, że oprócz rozchodzącego się echem szumu i trzasku głośników słyszeć coś jeszcze, jak gdyby ciągle szelest albo przesuwające się skrobanie. Czasami w wąskiej szczelinie drzwi migną czarne ślepie, to znowu coś przebiegnie po wiązce przewodów pod sufitem. Piski zaczynają napęlić korytarze, rozlegając się za nami i z przodu...

– Będą nas w ślepy zaułek brać – spokojnie stwierdza Buolki. – Magazyńki do przednich kieszeni przełożyć, ja dołem, Tribik środkiem, Miszka górą. Tribik, durniu białoruski, postaraj się nas nie ukatrupić w tej zamkniętej przestrzeni.

Spokojnie, metodycznie omiatamy światłem latarek korytarze, próbując wybrać dobre miejsce do obrony – bo o niczym innym już teraz nie ma mowy. Szczury trzymają się na granicy światła, przelewając się falami i rozstępując, gdy tylko podchodzimy bliżej, ale widać, że poczynają sobie coraz śmieiej, spychając nas ku sobie tylko wiadomym zaułkom i zakamarkom. My ze swojej strony staramy się nie poddać, wychodząc z prostego założenia, że jeśli one czegoś chcą, to my powinniśmy robić coś przeciwnego...

– Tutaj zostajem, panowie stalkery – rzucam głosem bez emocji. – Tribik, dzięki za uratowanie mi życia. Buolki, tobie też.

– Niczego, *pszek*, rozliczymy się na powierzchni. – Buolki uśmiecha się samymi ustami, rozkładając dwójnog SCAR-a i kładąc się na podłodze. – Tribik, ja raz jeszcze błagam cię...

– Urrrraaa, *za rodinu, za Stalina!!!* – wydziera się Tribik, wduszając spust broni. Z głuchym puknięciem granat wyskakuje z gniazda, rozkręca się pióropuszem dymu i ognia, ciągnąc za sobą ognistą smugę, wpada prosto w środek szarej masy gryzoni, eksplodując kulą ognia i deszczem odłamków, rwąc na strzępy i siekąc na krwawą miazgę skłębione szczury. Chóralny pisk

setek, tysięcy może nawet małych paszczek rozlega się w korytarzach, bura fala zębów i pazurów rusza na nas niczym lawina błota. Nie czekając na nic więcej, otwieramy ogień. SCAR pluje rwanymi seriami, odrzucając szczury wysoko w powietrze, przebijając się przez ich szeregi niczym przez masło, żłobiąc krwawe bruzdy i wachlarze w napierającej masie, *Zbawiciel* wtóruje mu basem, wyrywając puste place i odrzucając falę do tyłu, gdzie szeregi zwierzaków mieszają się i łamią, nowe wciąż próbują przeć do przodu, leżąc po głowach i brzuchach rannych i zabitych pobratymców.

– Uwaga po rurach! – wrzeszczę, widząc, jak szare kształty przemykają po instalacji pod sufitem i wzdłuż ścian. Wyrywam z kieszeni glocka, broń kopie i lata w rękę, gdy serie kul zdmuchują niedoszłych komandosów, rykoszetując od betonowych ścian i wbijając się w masę stada gdzieś dalej.

– Zmieniam! – drze się Tribik, odsuwając się do tyłu i sięgając do ładownicy. Zajmuję jego miejsce, walę po nadbiegających gryzoniach – cztery! pięć! sześć! Łapię znowu pistolet, pociągam rozłożystą serią po szczurach, Tribik, co tak długo!...

– Iiii-haaaa! – Nasz grenadier z dzikim wrzaskiem odpala z podlufnika kolejny granat, który eksploduje w ścianie, zasypując gradem betonowych odłamków nadbiegający rój. Ja jednak widzę w błysku eksplozji...

– Szczurowilk! – wyję, przykucając i próbując wepchnąć cokolwiek do magazynka trzęsącymi się rękami. Nie odrywam oczu od gniazda wsadowego – dwa, trzy – ale kątem oka widzę, jak w błyskach wystrzałów zbliża się do nas susami płowa sylwetka, poruszająca się z nieziemską wręcz gracją, niczym wielki rekin wśród burych wód szczurzego potopu. Bestia skacze po ścianach i czepia się pazurami żelaznych haków, nie dając się

trafić kulom, które śmigają wokół niej jak rój os...

– Szczury! Walcie po szczurach! – ryczę, ale jest już za późno – fala przyływu wzbiera i pochłania nas, a na jej szczycie widzę wyciągnięty, bezwłosy pysk pełen ostrych zębisk i pazury jak sztylety, zdążam tylko zamknąć magazynek i zarepetować broń, gdy szczury wczepiają się zębami w nogawki i rękawy mojego kombinezonu, wstaję, próbuję strząsnąć z siebie gryzonie, daję na oślep ognia w tłum potworków, widząc tylko, jak znajdujący się teraz za nami szczurowilk szykuje się do skoku na plecy Buolkiego... A potem pokryty szczurami Tribik zaczyna śmiać się durnowato i daje nura pomiędzy fale szczurzego roju. Waham się tylko chwilę i sam padam plackiem na ziemię, zakrywając głowę rękoma...

Potężna eksplozja rozrywa powietrze, rzucając szczurzą czeredą w tył korytarza, ogłuszając mnie dokumentnie i chyba urywając mi coś z pleców. Świat wypełnia tylko cichy pisk, nie ma bicia serca, nie ma szumu krwi w uszach, nie słyszę własnego oddechu, jest tylko pisk i dzwonięcie... Jak pijany gramolę się z posadzki, patrzę na miejsce, gdzie widziałem przywódcę stada – tylko rozwłóczony ochłap i fragmenty liniejącego futra, wszystko dokoła pokryte krwią i flakami, pod nogami poniewierają się martwe, ranne i ogłuszone gryzonie, ściany, podłoga i sufit korytarza za nami pokryte mozaiką bruzd i dziur po odłamkach... Coś ciepłego cieknie mi po ramieniu, piecze i szczypie w bark, przesuwam ręką – krew, a jakże. Odwracam się, widzę, że Buolki tarmosi Tribika za fraki, wrzeszcząc mu coś w twarz, a tamten tylko śmieje się idiotycznie, klepiąc Bolka po ramieniu i pokazując mu rękoma dokoła, robiąc przy tym minę istnego niewiniątka. Szczury zniknęły, po stracie przywódcy rejterując do swoich podziemnych kryjówek i legowisk, więc znów zostaliśmy sami...

Próbując coś wybełkotać, staram się uspokoić Buolkiego, który pokazuje na urwany kawałek ucha, w końcu rzuca Tribika na ziemię i sam siada koło niego, zdejmuje but i chyba zaczyna pomstować, na czym świat stoi – wygląda na to, że szrapnel urwał mu też kawałek podeszwy wraz z dużą częścią obcasa i mniejszą pięty.

– ...ja mam teraz chodzić, kartfolu ty białoruski jeden! – drze się na wciąż śmiejącego się Tribika. – Przecież mogłeś nas pozabijać wszystkich, dupku żołądny w rzyć chędożony!

– A co ja tam wiem, panie wielki Ruski z Moskwy – zanoszą się chichotem Tribik. – Tak pomyślałem, że on pewnie skoczy, żeby nam na plecy wejść.

– Co tu, wielka wojna ojczyźniana?! Wiązki granatów sobie umyślił rzucać, zdurniał czy co?! Co my, czołgi pod Stalingradem bijem?!

– Tam nisza taka akurat była, mogłem, prawda, nas pozabijać, ale udało się, hi, hi, hi!...

– Chłopy, wszyscy żyją? – pytam się, nie słysząc własnego głosu.

– Nu, Polak się obudził – pokazuje na mnie ruchem głowy Buolki. – Plecak ci urwało, Miszka.

– Co?! – drę się. – Nic nie słyszę!

Macha na mnie tylko ręką, zaczyna podnosić się z ziemi. Wszyscy krwawimy z dziesiątków małych ugryzień i zadrapań, nie mówiąc o posiekanych przez odłamki nogach i plecach, więc wyglądamy jak krwawe upiory pośród tej jatki... Gramolimy się jakoś, otwieramy apteczki, polewamy się w zasadzie cali spirytusem i gencjaną, wstrzykując sobie od razu antybiotyki i przeciwbólne, ładujemy się do najbliższej salki, zamykamy za sobą drzwi, walimy na podłogę, dysząc ciężko.

– O kuchwa... – odzywa się Buolki, którego już prawie

normalnie słyszę. – Nu, to żeśmy sobie miejsce na postój wybrali.

Podnoszę wzrok – o w mordę i nożem.

W słabym świetle lamp awaryjnych widać rząd słoików z formaliną, w których unoszą się embriony w różnym stopniu rozwoju – widać połowicznie wykształcone ogony i pazury, przerosty zębów, płetwy zamiast kończyn, podwójne pary oczu... Sala cała zawieszona jest tablicami poglądowymi, wykresami i opisami, na półkach leżą i stoją równusieńko poustawiane narzędzia i instrumenty chirurgiczne.

– Nu, chcieli my tajne wojenne laboratorium, wot ono i jest.
– Słabo uśmiecha się do mnie.

– Chłopy, tu nie ma co siedzieć! – w zwolnionym tempie wstaje Tribik. – Toż tutaj może wszystko być, trzeba przeryć te półki, toż Dyry nam za takie info złotem zapłaci, a...

Odsuwa wiszącą pod sufitem kotarę, chwilę patrzy na coś, potem upada na kolana i rzyga na podłogę. Patrzę w jego stronę...

– Ożeż ty jego w rot grzmocona mać...

... a za kotarą stoi fotel ginekologiczny. Zatem i embriony...

– Tribik, zlituj się, *mać twaju*... – Buolki zasłania kotarę, pomaga wstać nieszczęśliwemu odkrywcy. – Usiądź, odpocznij. Ja tajmer nastawię, za dwie godziny się obudzim, a teraz prochów walnąć, batonikiem zagryźć i odpocząć trochę. Ty już nie chodź nigdzie, ja ciebie błagam. Na, dawajcie za szczęście koniaczku szarpniem.

Rozkładamy się na podłodze pod samymi drzwiami, żeby nic nam tu nie wlało, każdy bierze końską dawkę wszystkiego, co mamy pod ręką – rzeczywiście, trzeba złapać oddech, przynajmniej słuch odzyskać. Nie trwa długo, jak zaczyna chrapać Buolki, zaraz po nim Tribik – a ja nie mogę. Nie mogę,

nie chcę, boję się, po prostu nie śpię. Wstaję zamiast tego i oglądam szklane słoje, otwieram szafki z dokumentacją, czytam karty pacjentów. Symbole kodowe, nazwy substancji, dawki promieniowania, wykorzystane czynniki X, ilość ciąży, data przyjęcia, data skreślenia z listy podmiotów testowych. Nie mogę spać, więc próbuję umęczyć umysł opisami tego, co w imię nauki robiono tu ludziom. Obejmuję głowę rękami, czuję nawałnicę myśli...

Płonę.

Moje żyły, mój kręgosłup, moje oczy i mózg, płonę od środka. Każdy ruch to eksplozja bólu, każde uderzenie męczarni to skurcz mięśni, więc jestem perpetuum mobile cierpienia. Widzę rurki, którymi ciemnoczerwony płyn nieskończenie powoli wsącza płynną udrękę w moje trzewia, ale widzę je tylko wtedy, gdy słabną błyski lampy stroboskopowej, którą ustawiono mi przed twarzą. Chcę zamknąć oczy, ale nie mam już powiek, więc wyję z bólu, próbując poruszyć nieistniejącą częścią ciała. Oczy łzawią i pieką, ale ból należy już do kogoś innego...

– Miś! – Uderzenie w policzek przywraca mnie do rzeczywistości. Potrząsam głową, wycieram rękawem pot z twarzy, czując ciągnięcie szwów na przedramieniu.

– Gotowi? – zapytuję retorycznie.

– Idziemy – rzuca Buolki, z grymasem bólu otwiera drzwi i wychyla się na korytarz.

Dolny poziom bunkra to w całości ogromne, potworne laboratorium. Przechodzimy przez sale pełne stołów operacyjnych i wciąż wyświetlających niezrozumiałe komunikaty monitorów, mijamy bloki laboratoryjne, gdzie w skrzypiących centryfugach nadal wirują dawno wyschłe próbki krwi. Brniemy przez pokryte łuskami korytarze, zostawiając za sobą szczątki milczących świadków tragedii, jaka kiedyś musiała

się tu rozegrać. Znajdujemy ciąg kilku pomieszczeń, które musiał strawić kiedyś potworny pożar – zwęglone, skulone trupy leżą na podłodze wśród poskręcanych żelaznych regałów i popiołu niegdysiejszych segregatorów. Gdziekolwiek idziemy, towarzyszy nam błyskanie czerwonych lamp alarmowych i ledwo rozróżnialny głos z rżących szczekaczek: *...ога, тревога! Всем..... Объекта Ноль! Нарушен внутренний.....! Эвакуироваться! ...говорит, у нас вырвался.....!*² Szczury wciąż chodzą za nami, ale nie odważają się atakować, ani nawet podchodzić bliżej, więc my też nie marnujemy amunicji. Tribik znajduje jeszcze dwie grozy, w tym jedną zupełnie niestrzelaną, więc radośnie podmienia swoją na nowszy model. A mnie nadal niepokoi to, co mogło wybić półtorej drużyny specnazu... No bo przecież nie szczury, to chyba oczywiste, jeżeli my daliśmy radę. Zbieramy po drodze wszystkie informacje, jakie tylko możemy – płytki CD, karty pamięci, nieśmiertelniki, identyfikatory, wykresy zbiorcze... Wypruwamy nawet dyski twarde z kilku komputerów, bo pamiętam, że tego właśnie brakowało na Obieckie Trzy.

– Chłopy, pomóżcie tutaj. – Tribik zapiera się o potężne, rozsuwane hydraulicznie drzwi. Poszerzamy wejście na tyle, by bez problemu przejść we dwóch przez wrota, wchodzimy do dużej, sklepionej sali – kojarzy mi się to wyłącznie z durnym filmem, który widziałem w kinie za młodu. Było tam coś o ufokach, o jakimś pilocie pijaczynie, którego ci kosmici kiedyś porwali i zgwałcili, który w końcu uratował świat ceną własnego życia... Ale było tam też coś innego – w tajnej amerykańskiej bazie na pustyni była taka hala, gdzie przechowywali trupy ufoków, i pamiętam jak dziś, że nazywali to „galerią odmieńców”. W takiej właśnie galerii odmieńców teraz jesteśmy.

– *Jobana w rot maja babuszka...* – gwizdże przez szczerbę w zębach Tribik.

– Nu... – nie popisuje się krasomówstwem Buolki.

Wokół całej okrągłej sali – być może części niedokończonego silosu raketowego – stoją podświetlane kadzie z formaliną, w których unoszą się zakonserwowane truchła dzieci Zony. Widzę tam kilka zombi, całą jedną kadź tuszkanów, jak koraliki nanizanych na druty, dwa ostro poharatane kulami snorki, w specjalnym powiększonym pojemniku pływa mięsak, obok niego – nie wierzę oczom! – świnia z wystającym jej z brzucha pasożytem, czarnobyłski pies, mają nawet karzełka-burera... Imponująca kolekcja, nie ma co. Oczywiście wszystkie stwory noszą ślady fachowo przeprowadzonych sekcji i pozaszywanych cięć chirurgicznych, nie mówiąc o przestrzelinach po kulach czy okazjonalnie brakującej kończynie.

– *Muzyki*, a ciekawe, co tutaj było, a? – podchodzi do stojącej na końcu rzędu, roztrzaskanej kadzi Tribik. – Coś małego pewnie, bo jak wypadło, to musiało w kratkę odpływową wpaść, hłe, hłe...

– Twój fiutas pewnie – rzuca ponurą uwagę Buolki. – Nie podoba mi się tu. Zbieramy jeszcze trochę dokumentów i spadamy stąd.

– Czekałta, chłopy, tu napis jakiś jest. – Trybik nachyla się nad kadzią i świeci latarką. – Co tu jest... cholerne łacińskie bukwy, no wymyślił ktoś, nie mógł po ludzku napisać... *Haemadipsida chernobyłensis* i data „jedenaście iks dwa tysiące siedem”.

– Jak to iks? – marszczy się Buolki, świecący latarką po ciemnych kątach pomieszczenia. Mnie też się tu nie podoba, tym bardziej że zaczynam chyba rozróżniać niewyraźne słowa w

komunikacie, wciąż powtarzanym przez radiowęzeł...

– No iks. Jedenasty iks dwa tysiące siódmego roku – prostuje się Tribik. – Może laboratorium X-11?

...Тревога, тревога! Вем сотрудникам Объекта Ноль! Нарушен внутренний периметр! Эвакуироваться немедленно!...³

– Iks, iks... – zamyśla się Buolki.

Trzaski, zmiana głosu w głośniku: *Это Симонов говорит, у нас вырвался образец, повотряю, из лаборатории вырвался образец! Всем бежать!...⁴*

– Jedenasty iks...

– Jedenasty października – rzucam zimnymi ze strachu wargami. – Jedenasty października dwa tysiące siódmego. Dostarczony dwa dni przed zagładą Obiektu.

Potężny, głęboki ryk wstrząsa salą – dziki, nieokiełznany ryk furii i nienawiści, ryk, jaki zdolny jest wydać z siebie jeden jedyny stwór, zamieszkujący najgłębsze, najbardziej niedostępne regiony Zony...

– *Крвоосоооо!!* – wrzeszczy Buolki, widząc przemykający się przez salę cień i dwa punkciki zbliżających się ku nam białych oczu.

Крвоосос, czyli „chłeptokrwij” albo „spijawa”, zwana też przez stalkerów pogardliwie „juchociągiem” – ale gardzą nim tylko ci, co w życiu go nie widzieli, a starają się chełpliwymi dowcipkami pokryć własny strach przed nieznanym. Dwieście kilogramów mięśni niczym stalowe liny i twardych jak granit kości, straszliwego intelektu, instynktu zabijania i nienasyconego głodu. Niezrównane zdolności regeneracji nawet najcięższych obrażeń, umiejętność przechodzenia w tryb częściowej niewidzialności. Najstraszliwszy drapieżnik, jakiego można spotkać na swojej drodze, zabijający dla samej

przyjemności polowania. Zdążył zyskać sobie w Zonie wiele imion i przydomków, ale ci, którzy go widzieli i przeżyli, najczęściej używają jednej nazwy, która najlepiej odzwierciedla charakter i naturę tego stwora.

POSOKOWIEC.

– Dawaaaaj, suuka!! – śmieje się i woła do nadbiegającego mutanta Tribik, biorąc na cel rozmyte kontury korpusu, przez który niczym przez kroplę wody widać świat po drugiej stronie.

– Tribik, nie! – krzyczę, ale jest już za późno. Stalker ciśnie na spust, z odgłosem wystrzeliwującego korka od szampana granat wyskakuje z wyrzutni, uderzając posokowca prosto między piersi, rzygając raketowym płomieniem i odrzucając potwora do tyłu. Chłeptokrwij traci swą niewidzialność, więc widzimy wszyscy, jak ogromny, burobrazowy mutant o małych ramionach i nienaturalnie wyciągniętej łysej głowie miota się po podłodze, próbując wyrwać nieuzbrojony granat, który wwierca mu się w trzewia. Ryk bólu i złości, stwór podrywa się na nogi i rzuca ku Tribikowi, który mocuje się z przełącznikiem spustu.

– Niiieeee! – słyszę swój własny głos, gdy potężna łapa chwyta Tribika wpół i podnosi w powietrze. Chrzęst miażdżonych żeber rozchodzi się echem po podziemnej sali, groza daje radę wypluć kilka pocisków w potwora, potem zachłystuje się ogniem i cichnie, gdy mackopodobne ssawki na otworze gębowym posokowca oplatają głowę i ramiona stalkera, przyciągając go do monstrum i w kilka мгнiеń oka zamieniając ciało w wysuszoną skorupę, niczym mumię na pustyni pozbawioną choćby odrobiny życiowych soków.

– Suuuukaaaaaaa! – wrzeszczy Buolki, prując ze swojego SCAR-a długą serią po chłeptokrwiju. Pociski z suchym trzaskiem przebijają bezwładne ciało Tribika, z miękkim mlaskaniem więzząc w ciele stwora, rozbryzgując się

fontannami czarnej krwi i ciskając posokowca w tył. Monstrum odrzuca zewłok stalkera, rusza ku nam – daję radę dwa razy nacisnąć spust, dwie pełne wiązki dwunastu dziewięciomilimetrowych śrucin wyrywają kawały mięsa z ramienia i brzucha potwora, widzę tylko dymiący ogniem nabój granatnika tkwiący w mostku mutanta, zanim uderzenie ogromnej łapy dosłownie wyrywa mnie z butów i wysyła ślizgiem po podłodze. Na chwilę robi mi się ciemno przed oczami, uderzam w coś barkiem, czuję potworny ból żeber i płuc, ale wiem, że jeśli odpuszczę, pozwolę sobie na chwilę słabości, to zginiemy obydwaj... SCAR Buolkiego pluje ołowiem, słyszę brzęk tłuczonych kadzi i wizg rykoszetów, potem ciszę i soczyste przekleństwo, gdy kończy się amunicja w magazynku.

– Kryję! – rżę przez porozbijane wargi, pomimo bólu chwiejnie stając na nogach z pistoletem w dłoni. – Bolek, ty gdzie?!...

– Miszka, za tobą!

Po prostu upadam plecami na ziemię i wciskam spust, wachlarz łusek uderza o podłogę, gdy glock 18 wyrzuca z siebie serię pocisków – kilka z nich więźnie w przelatującym nade mną rozmytym kształcie, który na krótką chwilę traci swą niewidzialność. Posokowiec biegnie prosto na Buolkiego, który zdążył już wpiąć magazynek, ale chyba nie zdąży zarepetować – ogromne łapy więżą go niczym w imadle, macki wiją się i nachylają nad jego szyją, a ja mam tylko tę jedną jedyną szansę na celny strzał, ryzykując trafienie partnera i śmierć nas obydwu... Biorę łeb na cel, ręce latają mi niczym w febrze, świat płynie, ale przymierzam się do tego iście ekwilibrystycznego wyczynu, ściągam spust – huk, kopnięcie podrzutu, łeb chłęptokrwija eksploduje fontanną krwi, ogromny potwór

wypuszcza Buolkiego, odwraca się do mnie, widzę przez dziurę w czaszce pulsujące zwoje mózgu, gdy mutant próbuje wejść w tryb niewidzialności, ale udaje mu się to tylko częściowo, więc rusza na mnie, migając, znikając i rozpływając się kawałkami w powietrzu. Cisnę spust po raz kolejny i następny, aż w końcu zamek odskakuje do tyłu i tak już zostaje. Nade mną nachyla się cuchnąca krwią paszcza, widzę rzędy igieł na mackach...

Seria ze SCAR-a odrzuca posokowca na bok, ogromny mutant zatacza się i opiera o żelazny filar konstrukcji chłodniczej, gdy pociski rwą jego ciało, ale widzę, że rany zamykają się praktycznie na naszych oczach... Z jakiegoś powodu Buolki przestaje strzelać, chłeptokrwij prostuje się na całą wysokość swojego ośmiostopowego wzrostu, wydaje z siebie tryumfalny ryk – i wtedy pojedynczy, idealnie przymierzony wystrzał karabinu posyła ostatnią kulę prosto w jego mostek, gdzie między krzywymi żebrami wciąż tkwi niewybuch naboju do Tribikowego granatnika.

Nie tyle eksplozja, co zduszone westchnięcie ładunku detonującego w potężnej klatce piersiowej ciska posokowca do tyłu, łamiąc podporę i naruszając całą stalową konstrukcję. Z przeraźliwym jękiem, zgrzytem i skrzypieniem agregat chłodniczy najpierw osiada, potem przekrzywia się na bok i w końcu wali w dół, grzebiąc mutantą pod tonami stali, miedzi i ołowiu. Syk unoszącego się mgłą freonu napełnia salę... Bogu dzięki nie amoniak.

W uszach znowu mi dzwoni, we łbie mi się kręci. Cudem wstaję na nogi, widząc rozlewającą się po posadzce kałużę glikolu albo jakiegoś innego syfu chłodniczego i zataczając się jak pijany, brnę przez halę.

– Buolki, ty żyw?...

– Nu, żyw, żyw ja... a kto tobie niby dupę uratował, a? –

Stalker siedzi pod ścianą, tam gdzie upuścił go mutant, nie mając siły nawet się poruszyć, obok niego na podłodze rozsypisko łusek i dymiący karabin. – Ot, *żywuczaja suka* trafiła się.

– Bolek, ty mnie drugi raz życie ratowałeś... – Poklepuję towarzysza po ramieniu, potem sam siadam na ziemi, nie będąc w stanie utrzymać równowagi ze zmęczenia.

– Nu, pluł ja na twoje życie, dla samego siebie strzelał. – Uśmiecha się słabo. – Żal, że Tribika nie zdążył. Dobrą, lekką miał śmierć.

– Że niby Moskal mu w plecy strzelił? – próbuję żartować, ale żadnemu z nas nie do śmiechu.

– Dobra śmierć – kiwa głową Buolki. – Szybka, bez bólu prawie, nie to, że w „wiedźmi kisiel” wlaź i po trochu patrzy, jak nogi rozmiękają. I pomszczon, jak należy...

Jakby dla zaprzeczenia jego słowom, z hałdy metalu dobiega przeciągły jęk i zgrzyt, góra złomu drga i porusza się – agregat powinien był rozsmarować ogromnego mutanta na miazgę, a ten zamiast tego próbuje się wyrwać na wolność!... Chcę rzucić się do przodu, ale tylko upadam na ziemię, więc najpierw pełzną na czworaka, potem daję radę jakoś wstać, po drodze podnoszę z ziemi *Zbawiciela*, dochodzę do żelaznego rumowiska.

Faktycznie, widzę łeb i ramię posokowca, wystające spod zespawanej z żelaznych szyn ramy. Białoróżowe żebra sterczą na zewnątrz z rozerwanej klatki piersiowej, wszędzie dokoła rozrzucone są przedziwnego koloru i struktury wnętrzości, prawa strona głowy mutanta zmieniła się w krwawą kaszę, a pomimo tego potwór wciąż walczy, próbując podnieść kilkunastotonowy bezwładny ciężar. Czuję, jak konstrukcja pode mną rusza się i chodzi, gotów jeszcze dać radę... Staję poza zasięgiem jego zmasakrowanej łapy, ujmuję pewniej *Zbawiciela*,

przystawiam mu go prawie do samej paszczyki – macki od razu wyciągają się i oplatają lufę, monstrum syczy wściekle, patrząc na mnie jedynym pozostałym mu okiem i próbując wyrwać broń z ręki, przyssawki pulsują, ciągnąc strzelbę bliżej ku otworowi gardzieli...

– Possij to. – Naciskam spust, łeb potwora rozbryzguje się burobrazową miazgą po podłodze, macki trzepoczą się konwulsyjnie, wiotczeją i opadają na ziemię. Koniec.

Wracam do Buolkiego, który przez ten czas przeczołgał się całe cztery metry – jest blady jak sama śmierć, dopiero teraz widzę na jego szyi ogromną czerwonosiną pręgę z odcisniętymi śladami okrągłych ssawek. Być zaatakowanym przez posokowca i przeżyć, no, no, no... Po prostu siadam koło niego, siedzimy tak bez słowa – nawet nie wiem, jak długo. Powoli zaczynamy wyciągać z apteczek przeciwbólowe i stymulanty, bandaże i witaminy, Buolki odszpuntowuje piersiówkę z koniakiem. Zapalamy latarki, zaczynamy nieformalną stypę po Tribiku i święto z okazji kolejnego uniknięcia śmierci.

Tribika chowamy w jednym z pokoiów laboratoryjnych – wysuszone ciało jest zadziwiająco lekkie, waży niewiele więcej niż dziecko... Zapadnięta twarz nie wyraża dla mnie nic, poza bezruchem śmierci, ale Buolki twierdzi, że na ustach Tribika widzi drwiący uśmieszek. Może i ma rację. Chciałbym, żeby miał rację. Zabezpieczamy kratki wentylacyjne, Tribika układamy na żelaznym stole, poza zasięgiem szczurów i innych pasożytów, na znalezionym kawałku pogryzionego czerwonego sukna, obłożonego garściami łusek, z pasem granatów na piersi, „limonką” u wezłowia i grozą w ręku. Wymieniamy spojrzenia – Buolki dokłada jeszcze pakiet opatrunkowy i rezerwową flaszkę, ja dodaję kilka batoników energetycznych i apteczkę. Kurhan jak u barbarzyńskiego wodza z dawnych czasów.

Zamykamy drzwi na głucho, na klamce wieszamy maskę przeciwgazową – symbol stalkerskiego pochówku. Może ktoś to kiedyś znajdzie i coś mu się przyda, a może zostanie tak już na wieki.

Droga na górę dłuży się niemiłosiernie – obwieszeni zdobyczym sprzętem i dociążeni papierami, w resztkach kamuflażu i rozwalających się butach, leziemy krok za krokiem po potwornie długich i wysokich schodach, odpoczywając co pięterko i dysząc jak dwa stare parowce. Na górze czekają na nas tuskany, ale otwieramy ogień, nie czekając na nic – albo my, albo one. Nawet nie zmieniamy magazynków, po prostu bierzemy kolejne karabiny, dyndające nam na szyjach.

– Chłopcy, to wy? – niesie się echem głos Dra. – To ja, Dyry!

– Dyry, dawaj tutaj! – odkrzykuję ostatnim tchem. – My tu!

Z pomocą Dra udaje się nam wydostać na zewnątrz – jest blady, dżdżysty świt, siąpi deszcz, spowijający cały świat w szarawej mgiełce. Anomalie grawitacyjne wirują kręgami w powietrzu, trzaskają „elektry”.

– Tribik? – pyta się krótko Dr.

– Został – rzucam tylko.

– Niech mu Zona lekką będzie – kiwa głową nasz lekarz. – Dawajcie do tigra na odpoczynek, wam teraz ogarnąć się trzeba, bo drogi kawał, a na plecach was do Jołczy nieść nie będę. Ja tam siedzenia wyprułem, można położyć się, pozszywam was chociaż trochę, rany opatrzę. Jutro wracamy!

Nad Zoną wstaje kolejny dzień.

1 Alarm, alarm!... pracownicy Obiektu!... Naruszono wewnętrzne.....!natychmiast!...

2 ...arm, alarm! Wszyscy..... Obiektu Zero! Naruszono wewnętrzne.....! Ewakuować obiekt.....! Mówi.....

egzemplarz.....!

3 Alarm, alarm! Wszyscy pracownicy Obiektu Zero! Naruszono wewnętrzne zabezpieczenia! Natychmiast ewakuować obiekt!...

4 Mówi Simonow, egzemplarz uciekł! Powtarzam, z laboratorium uciekł egzemplarz, wszyscy uciekać!...

Ostatni wymarsz

Trzy tygodnie później, na Obieckie Jeden

Gołe, bezlistne drzewa wyciągają konary ku ołowianemu niebu, nie wiadomo, błagając czy grożąc Niebiosom. Sucha trawa kładzie się płowym kobiercem na ziemi, bure plamy krzewów i martwych bylin sterczą tu i ówdzie wiechciami. Gdzieś w oddali wyją ślepe psy, wrony kołują w górze.

Spoglądam w prawo, na masyw Mleczarni – czysto. Na popękany asfalcie kręci się niespiesznie „karuzela”, wirują w powietrznym tańcu resztki szkieletu jakiegoś zwierzęcia. Skręcam za róg budynku laboratorium, przedzierając się krzakami obok pokrytych kurzem okien, mijam po lewej stronie budkę transformatora, w której trzaska sobie „elektra”. Przykucam i nasłuchuję, gdy zdaje mi się, że coś słyszałem; w Zonie nie można być nazbyt ostrożnym. Czuję, jak w pojemniku przy pasie podryguje mi „chlebuś”, który wcześniej wyciągnąłem z osadnika ściekowego, obok niego leżą spokojnie dwie „krople” i „śłuż”. Niezłe łupy, ale to jeszcze nie koniec – podkradam się jak najbliżej do „grawikoncentratu”, mniej widocznego zimą przez brak roślinności, ale i tak wyczuwalnego przez delikatny podmuch wiatru ciągnącego do wnętrza anomalii. Rozpłaszczam się na ziemi, wsuwam głowę w ramiona, czując, jak paski plecaka furkoczą nade mną i jak unosi się kaptur, ciągnąc za szyję do góry. Jeszcze trochę... jest! Podtaczam dorodny „krewkamień” bliżej ku sobie, rakiem wypęłam spod anomalii. Czekaleś tu na mnie kilka tygodni, ale wiedziałeś, że wrócę, prawda?

Obchodzę budynek dokoła, rzucając gęsto muterkami – po

ostatniej Emisji pojawiło się tu kilka nowych anomalii, więc uważać trzeba... Zresztą uważać zawsze trzeba. Boli mnie jeszcze wszystko po wyprawie na Obiekt Zero, ale już prawie normalnie się ruszam – tylko pęknięte żebro ciągnie niemiłosiernie, ale od czego się ma artefakty, prawda?

Przekradam się pod suchymi krzakami bzu, prostuję i staję przed głównym wejściem do laboratorium. Biorę głęboki wdech, powoli wypuszczam powietrze... Podnoszę rękę i stukam.

Chwilę nie dzieje się nic, potem gdzieś z trzewi budynku słyszę jakieś szuranie i niewyraźny głos. Kroki zbliżają się, przez brudną szybę widzę postać w poplamionym fartuchu laboratoryjnym, mocującą się, by jedną ręką otworzyć drzwi.

– Dobryj dzień, profesor. – Kiwam głową na przywitanie. – Można?

– Ach, Michaił Markowicz! – Pokryta plamami choroby popromiennej twarz profesora Artjomowa rozjaśnia się uśmiechem, pokazując połamane zęby, ledwo trzymające się w wygniętych dziąsłach. – Zachodźcie, zachodźcie! Jak dobrze was widzieć, młody człowieku! Wchodźcie, zaraz każę Dmitrijowi, by herbatę nastawił! Cóż was sprowadza do mnie?

Profesor odwraca się tyłem, wpuszczając mnie do środka, ale ja nie wchodzę.

Zamiast tego podnoszę rękę z pistoletem i strzelam mu w tył głowy.

Ciało upada bezwładnie na podłogę, czerwono-szary bryzg krwi i mózgu na ścianie powoli ścieka w dół, znacząc smugami wykaz pracowników Obiektu Jeden.

Ostrożnie, po cichu zamykam drzwi.



* * *

– Tak *sztó*, Miszka, odchodzisz ty?

– Odchodzę. – Kiwam głową. – Wiesz, że muszę.

Stoimy we dwóch, ja i Dr, na torach dawnej stacji kolejowej Jołcza. Dokoła nas przelewa się wszystkimi odcieniami czerni czarnobyłska noc, rozświetlana tylko błyskami odległych anomalii. Ja w pełnym wyposażeniu, *Zbawiciel* na plecach, garść muterek w kieszeni, mapa w garści, on tylko w kurtce – wyszedł mnie odprowadzić.

– Wiem.

– Muszę... mnie trzeba to sprawdzić, Dyry. Te sny moje, budynki, które ja widzę nocami. Trzeba mnie to znaleźć, gdzieś tam, na drugim brzegu Prypeci.

– Wrócisz? – pyta się z troską i nadzieją w głosie. Ja tylko wzruszam ramionami, rozkładam ręce.

– Jak Zona pozwoli, Dyry. No, idź ty już, mnie trzeba Zonę przywitać.

– Dobrej ci Zony, Miś.

– A i ty nie choruj. – Obejmujemy się ramionami, potem on odwraca i odchodzi, po stalkersku nie oglądając się za siebie. Spoglądam wzdłuż torów na zachód – gdzieś tam, przede mną, leży most przez Prypec, za nim samo opuszczone miasto. Gdzieś tam stoją osiedla Czarnobyła-2 i Limańska, wśród bagien skrywają się podziemia „Agropromu”. Gdzieś tam znajdę odpowiedź na nurtujące mnie pytania.

Naciskam włącznik latarki – żarnik LED zalewa stusiedemdziesięciolumenowym snopem trupio sinego światła

fasadę budynku stacji kolejowej. Przez chwilę spoglądam w puste oczodoły okien, lustrując wnętrze w poszukiwaniu ruchu. Nic. Puszczam przycisk, ciemność znowu opada granatowoszarą zasłoną, a ja zamykam oczy, bo przez parę minut i tak będę ślepy. Odwracam się twarzą ku czekającej mnie drodze, na pamięć ruszam po podkładach kolejowych.

Przede mną Zona.